



Becky Wade

UPARTE SERCE

HARVARD

Wade Becky

Uparte serce

On – były hokeista, niegdyś bardzo sławny, teraz zamknięty w sobie, unikający ludzi.

Ona – silna i uparta, pragnąca miłości i zmagająca się z własną przeszłością.

Dom, któremu wspólnie przywracają dawną świetność.

I Ktoś, kto ma wobec nich wspaniały plan.

Kate ma póki co dość swojej pracy w ośrodku interwencji kryzysowej. Jest też zmęczona powrotami do wiecznie pustego mieszkania. Kiedy więc babcia proponuje jej, by wspólnie odnowiły rodzinną posiadłość Chapel Bluff, Kate natychmiast się zgadza. Jeszcze nie wie, jak bardzo ta przygoda zmieni jej życie.

Na miejscu Kate poznaje Matta, który ma pomóc im w remoncie. Matt jest nieprzystępny. Z czasem okazuje się, że skrywa w sobie trudną przeszłość. Nie jest łatwo do niego dotrzeć.

Jednak uparte serce Kate nie daje jej spokoju – młoda kobieta postanawia za wszelką cenę pomóc Mattowi odzyskać radość życia – nieważne, czy mu się to podoba, czy nie.

Po pierwszych nieudanych próbach wreszcie udaje im się dojść do porozumienia. Czy Kate znajdzie odpowiedź na swoje pragnienia i obawy? A może oboje otrzymają o wiele więcej, niż mogliby się spodziewać?

Dla Lily, Colina i Corinne. Marna bardzo was kocha.

Prolog

Była sobie kiedyś dziewczyna, która za swego przyszłego męża zaczęła się modlić już w czwartej klasie podstawówki. Przez lata prosiła o zdrowie, szczęście, bezpieczeństwo dla niego i - no dobra - czasami też o to, żeby był przystojny. Modliła się, żeby - gdy nadejdzie odpowiednia pora - spotkać go na swojej drodze. Tylko że ta pora jakoś nie nadchodziła. Przez cały ten czas, od czwartej klasy, dziewczyna niecierpliwie wyczekiwała i wyglądała swego przyszłego męża - aż w końcu skończyła trzydzieści jeden lat. I choć starała się myśleć pozytywnie, to prawda była taka, że czekanie ją męczyło. Była zmęczona randkowaniem. Zmęczona odrywaniem od całej kiści tylko dwóch bananów w warzywniaku. Zmęczona kościelnymi spotkaniami dla singli. Zmęczona mieszkaniem w pojedynkę.

Co gorsze, zaczynała wątpić w to, że jej bezimienny mąż w ogóle istnieje. Może gdy tak leżała późną nocą w łóżku, najpierw jako dziecko, potem studentka, a wreszcie samotna dorosła kobieta, modliła się o kogoś, kto nie miał nadejść? Nigdy?

Może jej przyszły mąż w dzieciństwie wpadł pod autobus? Co zrobiłby wtedy Bóg? Podstawił dublera? A może ona sama w zwariowanych studenckich czasach nie zorientowała się, że nieśmiały chłopak, z którym chodziła na zajęcia z fizyki, był *tym jedynym*. A może Bóg nigdy nie zamierzał wydać jej za mąż.

A może jest jeszcze cień szansy - i była to myśl, której nadal kurczowo się trzymała, choć fakty wydawały się zaprzeczać — że kiedyś jeszcze spotka swojego przyszłego męża.

Była sobie kiedyś matka, która z całych sił modliła się za swego syna, odkąd on sam przestał się za siebie modlić.

Od najmłodszych lat był kimś wyjątkowym - perfekcyjną i niesamowitą kombinacją sportowego talentu i pełnej skupienia determinacji. Ona i jej mąż wspierali go i kochali, ale nigdy nie wymagali od niego, żeby osiągnął tak wiele. Nie wiedziała nawet, że jej syn może mieć tak wielkie aspiracje. Z nieco sentymentalną dumą i całkowitym zaskoczeniem obserwowała, jak pnie się po kolejnych szczeblach kariery zawodowej hokeisty.

W wieku osiemnastu lat grał już w lidze zawodowej. Matce wydawało się, że osiągnął już wszystko, co możliwe, ale jego gwiazda jaśniała coraz silniejszym blaskiem. Jego zdjęcia pojawiały się w czasopiśmie. Kupił dom i wynajął ochronę. Poślubił piękną dziewczynę; ceremonia była naprawdę okazją, a blasku i ekskluzywności dodały jej flesze aparatów, doskonała robota konsultantów ślubnych i róże w kolorze brzoskwini.

Jej syn osiągnął wszystko. Był u szczytu kariery. Sławny w całym kraju. Bogaty. Był w szczęśliwym związku.

I nagle wszystko się rozpadło, zawaliło i wypadło mu z ręki jak garść dziecięcych szklanych kulek. U jego żony zdiagnozowano nowotwór i nic - ani pieniądze, ani najlepsi lekarze - nie mogło jej uratować. Kiedy umarła, porzucił sport, wielki dom z monitoringiem, sławę.

Przez kolejne kilka lat coraz bardziej zamykał się w sobie i nikt z rodziny i jego przyjaciół nie mógł do niego dotrzeć. Dlatego jego matka modliła się. Modliła się, aby Bóg o nim nie zapomniał, aby nie zapomniał o jej synu, który w tak młodym wieku zdobył świat i w chwilę później go stracił. Modliła się o to, by Bóg zesłał kogoś, komu uda się do niego dotrzeć i uwolnić z więzienia żałoby, w którym sam się zamknął. Modliła się też, by może, w jakiś sposób, z czasem, jego serce zmiękło i znów odnalazło miłość.

To zabawne, co dzieje się z naszymi modlitwami. Bóg ich wysłuchuje - to pewne. Ale nigdy nie wiadomo, kiedy ani jak zamierza na nie odpowiedzieć.

Kate Donovan właśnie po raz pierwszy wjeżdżała do miasteczka Redbud w Pensylwanii. Siedziała za kierownicą swojego auta, ze swą siedemdziesięciosześcioletnią babcią na pokładzie, obszernym zestawem encyklopedii amerykańskich antyków, trzema torbami jedzenia z długim terminem ważności i taką ilością różowego bagażu, że nawet u Barbie wywołałaby ukłucie zazdrości. Był to już koniec ich trzydniowej podróży z Dallas, ale dopiero początek wielkiej wspólnej przygody.

- Spójrz tylko na to miasto. — Babcia opuściła szybę. - Spójrz tylko! Nie zaprzeczysz, że to najbardziej urokliwe miasteczko, jakie kiedykolwiek widziałas.

Popołudniowy wiatr wpadł do samochodu, mierzwiąc modnie przystrzyżone, krótkie, siwe włosy babci i unosząc rudy kucyk Kate.

- A nie mówiłam ci, że tu jest uroczo? - dodała.

- Mówiłaś. I rzeczywiście: jest uroczo - przytaknęła Kate.

Wzdłuż głównej ulicy ciągnęły się urokliwe ceglane budynki, z witrynami sklepów i restauracji. Kate kątem oka dostrzegła zachwycający pensjonat, a chwilę później drewniany malowany

szylid z reklamą kolejnego. Drzewa posadzone szpalerowo tuż przy krawędzi chodnika pięły się nad ulicą, tworząc tunel z gałęzi. Babcia wskazywała to tu, to tam, opowiadając Kate, do kogo należały mijane domy w czasach jej młodości; na przykład tam w 1940 roku był sklep ze słodyczami i taki a taki spalił go doszczętnie niedopałkiem papierosa.

Zanim Kate zdołała się czemukolwiek porządnie przyjrzeć, minęły już błyszczące witryny sklepowe i wjechały na tereny osiedlowe.

- Och, Kate - zawołała babcia - już prawie jesteśmy!

Po niekończących się autostradach i jedzeniu w barach szybkiej obsługi Kate miała w końcu zobaczyć Chapel Bluff. Dom, w którym wychowała się babcia, należał do ich rodziny od chwili swego powstania w 1820 roku. Kate już jako dziecko poznała jego historię.

- Tu w prawo, kochanie.

Kate skręciła i ruszyła pod górę wzdłuż drogi. Czarujące domki przypominające pudełka, z drzwiami pomalowanymi na czerwono, zielono lub czarno, wygodnie rozsiadły się przy drodze, zajmując ponad pół hektara. Kolejne parcele były coraz większe, aż w końcu domy zniknęły i ustąpiły miejsca wiejskiej, drzewiastej okolicy.

- Pięknie tu - westchnęła Kate.

- Prawda?

Kate wcisnęła guzik i otworzyła szyberdach. Powietrze wydawało się tu świeższe, bardziej przejrzyste niż w mieście. Liście, malowane na brązowo sobotnim popołudniowym słońcem, machały ze swoich gałęzi w ich kierunku, jakby zachęcając: Przystańcie i pogawędzcie sobie.

- Tutaj - powiedziała babcia przyciszonym, pełnym wyczekiwania głosem. Wskazała na zacieniony, prywatny podjazd po lewej. - O, tu.

Żwir zachrząścił pod kołami, gdy Kate wjeżdżała Fordem explorem na niewysoki pagórek. Drzewa rozrzedzały się, aż nagle spośród nich w swojej pełnej okazałości wyłonił się dom i Kate mogła spojrzeć na niego po raz pierwszy.

- Chapel Bluff- powiedziała dostojnie babcia.

Chapel Bluff. Kate wydała z siebie głośnie, pełne uznania westchnienie. Momentalnie zakochała się w tym miejscu.

Choć podjazd prowadził dalej, do budynku, który wyglądał jak stodoła, Kate zatrzymała się tuż przy domu i zgasiła silnik. Siedziały tak z babcią w ciszy i po prostu patrzyły.

Trzypiętrowy dom zbudowano z brązowego i beżowego kamienia. Białe drzwi osłonięte małym spiczastym portykiem były osadzone idealnie na środku, a po obu stronach i powyżej znajdowały się pomalowane na białą okna, z czarnymi okiennicami. Do centralnej części domu dobudowano rozpierające się po bokach dwa skrzydła. Zbudowano je z tego samego beżowo-brązowego kamienia i ozdobiono tak samo błyszczącymi oknami. Na pokrytym dachówką dachu odznaczały się dwa mansardowe okna i co najmniej trzy ceglane kominy.

Był to dom niemal żywcem wyjęty z angielskiej wsi. Brakowało jedynie żywopłotów i krzewów pnących róż.

Byłby to jeden z najładniejszych domów, jakie Kate kiedykolwiek widziała, gdyby nie wrażenie zaniedbania i opuszczenia. Zabrakło kwiatów, rowerów stojących przy ganku, flag, balotów siana, strachów na wróble i wieńca na drzwiach. Zostały jedynie nieco zachwaszczone rabatki, zasunięte story i samotne cykanie świerszczy.

Kate spojrzała za dom, w kierunku stodoły, a potem na budynek, który postawiono nieco dalej, a który wyglądał na małą drewnianą kapliczkę. Wszystkie trzy budowle znajdowały się na rozległej łące. Tam, gdzie kończyła się łąka, zaczynał się las, a w oddali

piętrzyły się pagórki. I jak to zawsze mawiała babcia, wszystko to, jak okiem sięgnąć, było częścią posiadłości Chapel Bluff.

I rzeczywiście, było to coś więcej niż tylko dom na wielkiej polaci ziemi. Znajdowało się tu zbyt wiele ukrytych zakamarków, a sam dom był zbyt stary, by być jedynie zwykłym domem. Już prędzej można go było nazwać majątkiem ziemskim.

- Dziękuję, Kate. - Głos babci drżał. Kate obróciła się i zobaczyła, że babcia uśmiecha się do niej z oczami pełnymi łez. - Za to, że ze mną przyjechałaś. To wiele dla mnie znaczy.

Kate pochyliła się ku babci i przytuliła ją.

- Cieszę się, że mogłam cię tu przywieźć. Cieszę się, że mogę tu być - odparła.

Kiedy wygramoliły się z samochodu, przywitał je chłodny, wrześnieowy wiatr. Babcia ruszyła przodem, zostawiając Kate z tyłu, a jej długa koszula trzepotała na wietrze. Dziś babcia miała na sobie czarny golf, czarne matowe spodnie z dzianiny i wzorzystą azjatycką koszulę w kolorze czerwonego wina. Dodatkowo do stroju były cztery bransolety, dwa olbrzymie pierścionki, naszyjnik z kamieni w kolorze burgunda i prostokątne okulary bez oprawek.

Przystanąły na werandzie i babcia zaczęła szarpać się z zamkiem, próbując otworzyć drzwi.

I nic.

Potem spróbowała Kate. Potem znów babcia. Później znów Kate i w końcu, po ciężkich zapasach, udało im się wspólnymi siłami pokonać zasuwę. Drzwi otworzyły się do środka z zardzewiałym skrzypnięciem.

Pierwszą rzeczą, jaka uderzyła Kate, był zapach domu. Mieszanka naftaliny i stęchłego powietrza.

Drugą był panujący w pomieszczeniu półmrok. Kate zmrużyła oczy i ruszyła do środka w ślad za babcią. W ponurym świetle wlewającym się przez drzwi była w stanie rozpoznać jedynie zarysy

ciężkich mebli, obrazów, rzeźb i bibelotów, tak niewyobrażalnie staroświeckich, że gdyby nie były tak tandetne, to można by je było uznać za zabawne.

- O ja cię - wydukała Kate. - Myślałam, że żartowałeś z tymi meblami.

- Nie. Jest dokładnie tak jak ponad pół wieku temu, kiedy matka kazała zmienić wystrój.

Chodziły od pokoju do pokoju, odsłaniając stopy i wpuszczając światło.

- Matt załatwił jakichś ludzi, żeby naprawili instalację i upewnili się, że działa ogrzewanie - powiedziała babcia. - *Powinien* być prąd.

W ramach eksperymentu przekreśliła włącznik lampy, która, ku ich zdumieniu, zapaliła się.

- O, jak dobrze - mruknęła babcia.

Oparła ręce na biodrach i rozejrzała się dookoła.

- Velma załatwiła nam gosposię, podobno była tu wczoraj. Biedna kobieta pewnie dostała zawału, widząc to wszystko - dodała.

Kate wzięła trzymiesięczny urlop w ośrodku opieki społecznej, w którym pracowała, żeby pomóc babci wskrzesić Chapel Bluff. Teraz, po raz pierwszy przyglądając się temu miejscu z bliska, pomyślała, że powinna była ją przytłoczyć już sama myśl o trzymiesięcznej pracy non stop nad odnowieniem tej kapsuły czasu, która przenosiła prosto w lata pięćdziesiąte. Ale gdy zobaczyła okropny brązowy dywan, brzydkie rdzawoczerwone kanapy i wyblakłe beżowe tapety, poczuła, że rodzi się w niej radość. Ten dom błagał o pomoc. *Błagał*. Bardziej niż jakikolwiek inny dom w jakimkolwiek programie telewizyjnym o remontowych rewolucjach, który kiedyś oglądała. Trzy miesiące wolnego od pracy, żeby odnowić to miejsce? Raj na ziemi.

Zapaliła się jeszcze bardziej, gdy babcia zaczęła oprowadzać ją po parterze, na którym w jednym skrzydle mieścił się gigantyczny pokój, a w drugim gabinet. Przez drzwi w głębi salonu weszły do jadalni z malowniczym niskim sufitem, wyeksponowanymi na nim belkami i wysokim kominkiem. Stamtąd można było przejść krótkim korytarzem do przestronnej i widnej kuchni z oknami z trzech stron. Najwyraźniej kuchnia początkowo była oddzielnym budynkiem i połączono ją korytarzem z głównym domem dopiero po jakimś czasie.

Tak jak w pozostałej części domu, podłogę w kuchni wyłożono szerokimi sosnowymi deskami, które nosiły znamiona czasu i ślady zużycia. I choć przestarzałe zasłony i tapety musiały zniknąć, to jasnoczerwony piec z lat pięćdziesiątych i lodówka, choć dziwaczne, nadawały pomieszczeniu wesoły nastrój. Na ścianach wzdłuż blatu położono białe płytki, a na środku kuchni stał wspaniały stół rzeźnicki we francuskim stylu.

- Kuchnia wygląda całkiem nieźle - stwierdziła Kate.

- Zgadza się. To chyba najlepsze pomieszczenie. Matt naprawił dla nas wszystkie urządzenia.

Kate otworzyła lodówkę i poczuła chłodny powiew.

- Ten chłopak to skarb - ciągnęła babcia. - I choć nie widziałam go, odkąd sięgał mi do kolan... Chodź, kochanie, pokażę ci górę.

Wróciły do salonu i weszły po schodach na piętro.

- ... i choć nie widziałam go, odkąd sięgał mi do kolan... -podsunęła Kate.

- ... to powiem ci dwie rzeczy, które wiem o Macie Jarreau. - Babcia dotarła na półpiętro między pierwszą a drugą kondygnacją i spojrzała na Kate roziskrzonymi oczami. - Jest do wzięcia. I nieźle z niego ciacho.

Kate zaśmiała się.

- Uważasz, że jest ciachem na podstawie tego, jak wyglądał dwadzieścia lat temu? - zapytała z błyskiem w oku.

- Dwadzieścia pięć lat temu. Również na podstawie rozmów telefonicznych o pracach, które będzie dla nas wykonywał. Przystojniaka zawsze poznam po głosie.

- No nie wiem, babciu. Casey Kasem też ma dobry głos.

- Nie byłabym tego taka pewna. Jesteśmy największymi farciarzami w tym mieście, bo, mówię ci (i zapamiętaj moje słowa!), nasz budowlaniec to ciacho.

Kate obudziła się następnego ranka pod stertą kołder. Zakopała się głębiej, poruszyła palcami u stóp i przez długie minuty po prostu leżała, rozkoszując się chwilą. Chapel Bluff, jak wszystkie domy, miał swoją własną, specyficzną melodię. Kate wsłuchiwała się w skrzypienie i stłumione stukanie hydrauliki i pieca. W powietrzu wyczuła zapach starego drewna i zmiękczacza do tkanin pościelowych.

Wybrała dla siebie sypialnię na trzecim piętrze. Przez cztery okna, dwa po jej prawej i dwa po lewej stronie, widziała czubki drzew oraz szybujące po porannym niebie, świergoczące ptaki.

Gdy przyglądała się drewnianym miodowym belkom na suficie, łuszczącej się na ścianach białej farbie i powykręcanej mosiężnej ramie łóżka, jej pierś wypełniła fala wdzięczności. Potrzebowała przerwy od codziennej rutyny, od swojej samotności, pracy - i Bóg o tym wiedział. Dał jej trzy miesiące i ten przepiękny dom.

* Amerykański prezenter radiowy i aktor znany z pięknego głosu. Kate sugeruje, że jego uroda nie idzie w parze z atrakcyjnym głosem - przyp. tłum.

Kate wzięła prysznic na drugim piętrze, w łazience w kolorze awokado, i zeszła na dół. Babci nigdzie nie było, ale w kuchni odkryła jeszcze gorące babeczki jabłkowo-cynamonowe i kawę. Niespiesznie zjadła śniadanie, nalala kawę dla babci, napełniła ponownie swój kubek i ruszyła z nimi na zewnątrz.

Znalazła babcię dokładnie tam, gdzie się jej spodziewała - klęczącą w jednej z rabat przed domem. Babcia pod ogrodniczkami miała golf, a do tego rękawiczki, plastikowe chodaki w kolorze fuksji i słomkowy kapelusz z powiewającymi, fioletowymi wstążkami.

- Dzień dobry, babciu.

Kapelusz podniósł się, eksponując szeroki uśmiech jego właścicielki.

- Dzień dobry, Kate! Czy przynosisz mi może jeszcze jedną kawkę?

- Pomyślałam, że może masz ochotę na gratisowy kubek.

- Dziękuję.

Babcia podniosła się z kolan, ściągnęła rękawiczki i wzięła od Kate kawę.

Chwilę później, kiedy jeszcze stały przed domem, omawiając plany babci związane z ogrodem, na podjeździe zaparkował biały pick-up. Ford Super Duty na oko liczył sobie kilka lat i był nieco zakurzony.

- To pewnie Matt - powiedziała babcia.

Energicznie pomachała przyjezdnemu i ruszyła w jego stronę. Kate osłoniła ręką oczy przed słońcem i patrzyła, jak kierowca wysiada z auta, a potem idzie w ich kierunku przez trawnik. Ruszyła w ślad za babcią, ale nagle zwolniła.

Mężczyzna miał na sobie dżinsy, zdarte buty robocze i rozpiętą brązowo-niebieską koszulę flanelową, narzuconą na biały podkoszulek. Wysłużoną czapkę bejsbolową z logo University of North

Caroline wcisnął na czoło tak mocno, że jej daszek rzucał cień niemal na całą twarz.

Na szczęście dla Kate, babcia miała rację.

Ich budowlaniec był ciachem.

Kate miała też wrażenie, że coś głęboko w niej go jakby - *rozpoznawało*. A to było przecież absurdalne. Zachwiała się i przystanęła.

Babcia przywitała mężczyznę z charakterystyczną dla siebie wylewnością, ściskając go, pokrzykując i posyłając uśmiechy.

- Kate. - W końcu zauważyła wnuczkę i pociągnęła w jej kierunku przyjezdnego. - To jest Matt Jarreau. Matt, to moja wnuczka, Kate Donovan.

- Miło mi cię poznać - powiedziała Kate.

- Mi również.

- Dziękuję ci bardzo, że zająłeś się elektryką, hydrauliką i całą resztą.

- Babcia zwróciła się Matta. - Tak, że mogliśmy się od razu wprowadzić.

- Nie ma sprawy.

- Pewnie czeka nas jeszcze sporo pracy, co?

- Tak, proszę pani.

- Czy mógłbyś zacząć od pomalowania naszych sypialni, mojej i Kate? Tak bardzo chciałybyśmy nacieszyć się tymi pokojami w trakcie remontu.

Babcia mówiła dalej, ale Kate praktycznie jej nie słuchała. Matt miał fascynującą twarz. Hardą i poważną; był przystojny. Gładki podbródek i usta wyrażały powagę i nieustępliwość. Jego nos był chyba kiedyś złamany i umiejętnie złożony na nowo, a ledwo widoczne blizny znaczyły skórę poniżej linii dolnej wargi i nad brwiami. Na karku, spod czapki, wystawały końcówki nieco za długich, lekko kręconych, brązowych włosów.

Jednak to jego oczy zaparły Kate dech w piersiach. Były nie-samowicie ciemne, niemal ciemnobrązowe. Zamyślane, przysłonięte długimi rzęsami i w pewien sposób... pełne cierpienia. Tym bardziej zadziwiające było to, że zostały osadzone w tak męskiej twarzy.

Babcia i Matt wymieniali uwagi, a Kate przyglądała się jego oczom i myślała: *Nieszczęście.*

Wciąż rozmawiali. Stała tam z kubkiem w ręku, czując się nieco idiotycznie i zdając sobie sprawę, że trudno jest jej odwrócić wzrok. Jakby coś w jej wnętrzu, do tej pory uspięne, teraz - im dłużej była blisko niego - budziło się do życia, biło na alarm, dudniło. To coś jakby mówiło: *To ty.*

W końcu.

Czekałam.

Na ciebie.

A było to przecież czyste wariactwo. Wariactwo! Jednak serce Kate zdawało się wiedzieć coś, o czym nie wiedział jej umysł. Nagle dziwacznie podwójnie zabiło, a potem zaczęło wręcz łomotać jej w piersi.

- ... wybrałyśmy już z Kate kolor farby do sypialni - opowiadała babcia - ale nie wiedziałyśmy, ile będziesz potrzebował, więc jeszcze nie zrobiłyśmy żadnych zakupów.

- Ja się tym zajmę - odparł Matt.

- Och, naprawdę? Byłoby świetnie. - Babcia prowadziła ich teraz w kierunku domu. - Wejdz do środka, a ja przyniosę ci próbki farb.

Kate i Matt podążyli za nią. Matt miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i poruszał się jak sportowiec. Kate czuła jego koordynację ruchów i siłę. Mogła się założyć, że miał niezłą muskulaturę i że pod gładkim podkoszulkiem krył się umięśniony brzuch.

- Matt, masz ochotę na coś do picia? — Babcia zaprosiła go gestem do kuchni. — Mamy kawę.

- Nie, dziękuję.

- Babeczkę?

- Nie, dziękuję.

- No dobrze. Tu masz próbki. - Zgarnęła je ze stolika do kawy i podała mu przy akompaniamencie brzęczących bransoletek. - Chcesz wejść na górę i rzucić okiem na nasze sypialnie?

- Już je pomierzyłem, więc wiem, ile będę potrzebował.

- Och, świetnie. - Babcia skrzyżowała ręce na piersiach, zatrzymując kubek z kawą na wysokości łokcia. - Więc opowiedz nam coś o sobie, Matt.

- Nie ma wiele do opowiadania.

Nawet w odpowiedzi na tak niewinne pytanie Kate czuła, że Matt się wycofuje.

- Pamiętam, że gdy byłeś małym chłopcem, przychodziłeś się tu bawić. Twoi rodzice byli praktycznie najbliższymi sąsiadami mojej matki i ojca. Mieszkałeś w Redbud całe życie? - dopytywała babcia.

- Przez jakiś czas mieszkałem w Nowym Jorku.

- Naprawdę? Manhattan to takie interesujące miejsce...

Kiedy babcia rozwodziła się na temat swojej niedawnej wycieczki do Nowego Jorku, Kate patrzyła, jak Matt powoli kieruje się w stronę drzwi i chwyta za klamkę.

Z doświadczenia wiedziała, że tak atrakcyjni mężczyźni jak on zazwyczaj mają o sobie wysokie mniemanie. Ale Matt wydawał się dziwnie powściągliwy, niemal zamknięty w sobie. Nie uśmiechał się, na wszystkie pytania babci odpowiadał grzecznie, w zaledwie kilku słowach, a jego postawa i ekspresja ruchów były niczym tarcza obronna.

- A od kiedy ponownie mieszkaś w Redbud? - zapytała babcia.
- Kilka lat. Chyba najlepiej będzie, jeśli już pójdę. - Matt otworzył drzwi i wyszedł na ganek.
- Oczywiście. Zobaczymy się później. - Babcia pomachała mu radośnie na pożegnanie.
Stały na ganku, dopóki pick-up Matta nie zniknął im z oczu.
- Mówiłam ci, że nieźle z niego ciacho - powiedziała babcia.
- Miałaś rację.
Wróciły do kuchni, by posprzątać po śniadaniu.
- Mam wrażenie, że w jego życiu wydarzyło się coś niedobrego - odezwała się w końcu Kate.
Babcia pobieżnie oplukiwała talerze i wkładała je do zabytkowej zmywarki.
- Komu? Mattowi? - zapytała wreszcie.
- Tak. Coś... - Kate zamarła, ze ściereczką do naczyń przewieszoną przez ramię. - Coś strasznego.
- Dlaczego odniosłaś takie wrażenie?
- Nie jestem pewna. Po prostu wiem.
- Wiesz?
- Widziałam to w jego oczach.
Babcia znieruchomiała nad zlewem, z jej mokrych palców kapłała woda. Spojrzała badawczo na Kate.
- Byłaś przy nim wyjątkowo cicha - powiedziała.
- Kiedy się zjawił, po prostu mnie zatkało! Nie mogłam nic z siebie wydusić.
- No cóż, jak już wcześniej zauważyliśmy, jest *bardzo* atrakcyjnym, młodym mężczyzną.
Mało powiedziane. Matt Jarreau bezdyskusyjnie był mega przystojniakiem. Ale nie chodziło tylko o wygląd, Matt miał w sobie coś jeszcze, coś nieuchwytnego, co ścisnęło Kate za gardło.

Nadal czuła w brzuchu motyle. A to nie wróżyło dla niej nic dobrego. Co to, to nie. Wyrzekła się przecież przystojnych facetów. Absolutnie nie mogła znowu się wpackować w kłopoty. Wróciły do sprzątanania.

- Jestem świetną swatką - stwierdziła babcia. - Przede wszystkim bardzo subtelną.

- O tak. Byłaś niezwykle subtelną, umawiając mnie z Barrym Markamenem na pikniku z okazji czwartego lipca.

- Po prostu jego babcia jest moją bliską przyjaciółką. Miałyśmy nadzieję... Cóż, skąd mogłam wiedzieć, że ma nieświeży oddech?

- Posłuchaj, *nikt* nie będzie mi organizował jakichś miłosnych podchodów do Matta Jarreau.

- Dlaczego?

- Bo to nie moja liga.

- Nieprawda!

- Prawda.

Kate była przecież zwyczajna. Rudzielec tuż po trzydziestce, dziewczica, a przy tym z astmą i genami, które nie zagwarantowały jej ani bioder, ani biustu.

- Nawet jeśli jakimś cudem chciałby mnie zaprosić na randkę, to ja już nie spotykam się z facetami, którzy wyglądają tak jak on. Kilka lat temu postanowiłam, że będę oszczędzać sobie cierpień. - Było powszechnie wiadome (i jej własne doświadczenie to potwierdziło), że przystojni mężczyźni zazwyczaj są albo zajęci, albo emocjonalnie niedostępni, albo narcystyczni. - Okay?

- Okay - westchnęła babcia.

Kate z przerażeniem wyobraziła sobie, jak babcia na każdym kroku przypiera Matta do muru, błagając go, by zaprosił jej biedną, opuszczoną przez wszystkich wnuczkę na randkę.

- Babciu, mówię poważnie.

- Ja również - odparła babcia. - Wiesz, że nigdy nie zrobiłabym niczego, co miałoby cię ośmieszyć.

Kate mogła z miejsca przywołać kilkanaście sytuacji, kiedy, mimo wszystko, jej babcia zrobiła coś zupełnie odwrotnego. Babcia wrzuciła dwa brudne noże do zmywarki.

- Ale uważam, że powinniśmy zaprosić go na kolację - zaproponowała. - Samotni mężczyźni nie odżywiają się najlepiej. Prawdopodobnie od tygodni nie jadł domowego posiłku. Jego matka i ojciec mieszkają teraz na Florydzie.

- Dobra, nie mam nic przeciwko zaproszeniu go na kolację.

- Świetnie. To postanowione. - Babcia opłukała zlew i wytarła dłonie.
— Co dziś mamy w planach?

- Dziś musimy zacząć przeglądać wszystkie rzeczy i zdecydować, co dać na wyprzedaż garażową, a co wystawić na eBayu, co wyrzucić, a co zatrzymać.

- A jutro?

- Hmm.

Kate nie zamierzała pielęgnować w sobie żadnych romantycznych uczuć w stosunku do Matta, a jednak... ten mężczyzna niesamowicie ją intrygował. Chciała (i zaskoczyła ją siła tego pragnienia) go poznać, dowiedzieć się, co sprawiło, że jest teraz taki przygnębiony i, przy odrobinie szczęścia, zaprzyjaźnić się z nim i zyskać towarzystwo kogoś w jej wieku na czas najbliższych tygodni.

Wszyscy, którzy znali Kate, wiedzieli, że była uparta jak osioł. Kiedy wpadł jej do głowy jakiś pomysł i zaczynał kiełkować, nie mogła przestać o nim myśleć. A Matt Jarreau zdecydowanie zapadł w pamięć Kate... i zakiełkował. Jeszcze nie wiedziała, że wkrótce odkryje jego sekrety i że zostaną przyjaciółmi.

- Jutro pomogę Mattowi malować.

Nazajutrz po południu Matt Jarreau wytarł ręce w dzinsy i rzucił okiem na swoje świeżo ukończone dzieło w sypialni pani Donovan. Gdyby to on miał wybierać, na pewno nie kupiłby jasnofioletowej farby. Będzie się tu spało jak w kielichu fioletowego irysa. A jednak pokój wyglądał zdecydowanie lepiej niż przedtem, zniknęły zawilgocenia, pęknięcia i wyblakła tapeta, która pokrywała wszystkie ściany i sufit.

Zabrał się do sprzątania i porządkowania akcesoriów malarskich. Z wyjątkiem kolorów farby, które starsza pani i jej wnuczka wybrały do swoich sypialni, podobały mu się wszystkie plany renowacyjne przedstawione przez panią Donovan. Wyglądało na to, że kobieta ma dobre wyczucie, by zachować charakter tego starego domu.

Z puszką farby i folią w jednej ręce oraz czystą kuwetą malarską i wałkiem w drugiej, Matt wszedł po schodach na górę, kierując się do pokoju na poddaszu. Wczoraj zagipsował w nim ściany, a dziś rano obkleił taśmą brzegi desek podłogowych i gzymsy przy suficie. Po tych zabiegach malowanie pokoju nie zajmie dużo czasu.

Gwałtownie zatrzymał się w drzwiach.

Wnuczka pani Donovan spojrzała na niego. Stała na środku pokoju, a Matt czekał, aż wymruczy, że już schodzi mu z drogi, i wyjdzie.

Ale ona tkwiła w miejscu.

- Jeśli to nie kłopot - odezwał się wreszcie po kilku chwilach pełnej napięcia ciszy - to chciałbym tu teraz malować.

- Nie ma problemu - odparła. - Mam zamiar ci pomóc. Pochyliła się i podniosła z podłogi nowiutki wałek.

Lubił pracować sam. Tak naprawdę, niemal wszystko, co robił w ciągu dnia - jadł, ćwiczył, kupował jedzenie, oglądał telewizję

- robił sam. Ludzie z miasteczka wiedzieli o tym i dawali mu spokój. Teraz zdenerwował się, że ta obca osoba chce z nim malować i że będzie tu z nią uwięziony, jak w jakimś potrzasku.

Starając się ukryć irytację, Matt rozłożył folię, podważył pokrywkę pierwszej puszki i ostrożnie wymieszał farbę. Była blad różowa i przypominała przeżutą gumę balonową.

- Piękny kolor - powiedziała dziewczyna. Matt spojrzał na nią i zmarszczył brwi.

- Kate, prawda? - upewnił się.

- Tak, Kate.

- Nie jestem pewien, czy chcesz malować w tym stroju. Była ubrana w biały podkoszulek na szerokich ramiączkach

i czarne cygaretki przed kostkę. Na nogach miała buty przypominające Mattowi czarne baletki.

- Spokojnie, to mój strój do malowania - odpowiedziała.

- Widzisz?

Przekreśliła koszulkę lekko na bok, pokazując mu kilka plamek farby na materiale:

- Będzie dobrze.

Miał ogromną ochotę jej powiedzieć, żeby wynosiła się z tym swoim wałkiem i malarskim strojem od czapy na dół, daleko od niego, ale przecież była jego klientką. Zamiast tego kiwnął głową, nalał farby do kuwety, zanurzył w niej wałek, odcisnął i zabrał się do pracy.

Kątem oka spostrzegł, jak Kate maluje na ścianie wielkie A', a potem wypełnia wałkiem wolne miejsca pomiędzy dwoma pionowymi liniami.

- Widziałam, jak robili tak w programie *Zaprojektowane, by sprzedać*. - Uśmiechnęła się do niego.

Chrząknął i postanowił ją ignorować.

Kate przerwała na chwilę pracę i Matt poczuł, że gapi się na niego. Malował dalej.

- Bardzo się cieszę, że możesz nam pomóc z tym remontem. Bez słowa kiwnął głową.

- Babcia już od dawna chciała odnowić to miejsce. Wciąż milczał.

- Jak długo zajmujesz się remontami?

- Trzy lata. Kilka chwil ciszy.

- Więc znałeś moich pradziadków? - zapytała.

- Tak. Mili ludzie.

- To prawda. Brakuje mi ich.

Nie przestawał malować, mając nadzieję, że Kate wreszcie skończy go zagadywać.

- Dorastałeś w Redbud? Kiwnął głową.

- Kilka domów stąd, w dół drogi? Znów potwierdził skinieniem głowy.

- Wiesz co... - Kate zamilkła, bacznie go obserwując. - Czuję się tak, jakbym rozmawiała sama ze sobą.

Napotkał jej wzrok i zmarszczył brwi.

Usta Kate drgnęły, a potem rozszerzyły się w wielkim, szerokim uśmiechu. Jej oczy emanowały autentycznym ciepłem.

A on... nie wiedział, co o niej myśleć. W pewnym sensie był przyzwyczajony do zalotów ze strony kobiet. Ale ona go nie podrywała. Co najwyżej droczyła się z nim. Jednak cokolwiek to było, nie podobało mu się. Nie podobały mu się jej pytania i bezpośredniość, z jaką patrzyła na niego.

- Wyglądasz na strasznie poważnego gościa — zauważyła. Matt skupił uwagę na ścianie i wrócił do malowania.

- Chyba nim jestem.

- Jak często się uśmiechasz?

Ból prawie uderzył w jego serce, ale Matt zdołał zrobić unik i cios był częściowo chybiony.

- Nie wiem.

- Hmm. Zastanawiam się, co mam zrobić, żebyś się uśmiechnął. Widziałeś kiedyś chudzielca, który robi pajacyka? Wyglądam wtedy jak modliszka. Ale jestem gotowa się wygłupić i spróbować.

- Dzięki za propozycję, ale myślę, że spasuję.

- Nie masz *pojęcia*, co tracisz.

- Pewnie nie mam.

Roześmiała się, odrzucając głowę do tyłu.

- Dobra, idzie nam coraz lepiej. Na swój sposób rozmawiamy. Wreszcie jakaś reakcja.

Po chwili w pokoju słychać było jedynie gąbczaste plaśnięcia towarzyszące zamaczaniu wałków w kuwetach i rozprowadzaniu farby. Matt przywykł do tych odgłosów i był zaznajomiony z tego rodzaju ciszą.

Nie przypominał sobie, żeby wczoraj, kiedy się spotkali, Kate cokolwiek mówiła. Była taka cicha, że ledwo ją zauważył. Co takiego się stało? Taka milcząca podobała mu się bardziej.

Omiótł ją wzrokiem. Przypominała tę gwiazdę filmową ze starych filmów... tę z diademem na głowie, co robiła zakupy u Tiffany'ego czy coś takiego. Audrey? Tak, Audrey Hepburn. Kate miała długie, ciemnorude włosy związane w niski kucyk, ale poza tym wyglądała tak samo jak tamta. Była szczupła i drobna jak Audrey i miała duże oczy.

- Co robisz w wolnych chwilach? *Na litość boską.*

- Nic specjalnego.

- No cóż, skoro wydajesz się tak zafascynowany tym tematem, powiem ci, co ja lubię robić. - Kate przykucnęła, żeby pomalować fragment ściany przy listwie podłogowej. - Interesuję się antykami. Lubię buszować po pchlich targach. Czytam. Chodzę do kina i na kolacje z przyjaciółmi... Teraz ty musisz mi powiedzieć, co lubisz robić dla przyjemności.

- Ćwiczę.

Mignął mu przed oczami jej zmarszczony nos.

- Czy ćwiczenie nie podpada bardziej pod jakąś kategorię męczarni? - Uśmiechnęła się zawadiacko.

- Może.

- Coś jeszcze?

- Oglądam sport.

Odgarnęła za ucho długie pasmo rudych włosów.

- W takim razie jeśli nie ma dziś w telewizji żadnego meczu, to z przyjemnością zapraszamy cię z babcią na kolację.

- Dzięki, ale nie mogę.

- Babcia świetnie gotuje.

- Mam inne plany - skłamał.

- No to może innym razem.

Po trzydziestu sekundach spokoju znów zaczęła paplać.

- Masz czapkę z logo University of North Caroline, studio-wales' tam?

- Słuchaj, bez obrazy. - Nie mógł już znieść jej gadulstwa. - Ale lubię pracować w ciszy.

Patrzyła na niego tymi swoimi oczami - orzechowymi, o długich rzęsach. Nie wyglądała na zagniewaną, ale na zaciekawioną. Chyba go trochę rozumiała.

- Jasne - odparła, na jednym jej policzku mignął mu dołeczek. - Rozumiem.

A potem ze zdumieniem Matt zobaczył, że Kate wraca do pracy.

Czyli nie zamierzała sobie iść? Patrzył, sfrustrowany, jak zabiera się za malowanie. Ruda Audrey Hepburn w baletkach, skoncentrowana na pokrywaniu ściany różową farbą.

Następnego popołudnia Kate siedziała pośrodku chaosu w bibliotece na parterze, przeglądając sterty staroci. Odłożyła na kupkę rzeczy do wyrzucenia teczkę z czymś, co wyglądało na stare rachunki, a porcelanową figurkę dojrzej krowy ze stokrotką za uchem do rzeczy, które miały trafić na wyprzedaż garażową.

Tak jak się spodziewała, czekało ją mnóstwo pracy z porządkowaniem pokoi Chapel Bluff. Mnóstwo! W związku z tym, że obie z babcią były bardzo dokładne i przeglądały każdą, nawet najmniejszą, szufladę, szło im boleśnie wolno. Pierwszą rzeczą, którą babcia zrobiła tego poranka, był telefon do Velmy Armstrong i Peg Lawrence i zwerbowanie ich do pomocy.

Velma i Peg były bliskimi przyjaciółkami babci od lat, jeszcze z czasów wspólnie spędzonych w podstawówce w Redbud. Babcia

zawsze nazywała je „dziewczętami”, co w przypadku Velmy i Peg dawno straciło już na ważności.

- Boże jedyny, Beverly, ta praca jest przytłaczająca! - Velma, złorzecząc, wynurzyła się z szafy. Wokół niej, migocąc w promieniach słońca, unosiły się kłęby kurzu.

Babcia podniosła głowę i spojrzała na nią ze swojego stanowiska przy biurku:

- Wiem, dlatego do was zadzwoniłam.

- Zaraz się uduszę! - Velma pomaszerowała do okna i z trudem je otworzyła.

Miała na sobie ubranie idealne do prac domowych: welurowy, błękitno-biały dres. Jej białe, zakrywające kostkę Reeboki wyglądały jak żywcem wyjęte z 1985 roku, choć nie było na nich ani jednej rysy. Swoje długie włosy, o niecodziennym jak dla siedemdziesięcioletniej kobiety odcieniu orzechowym, Velma upięła w kanciasty kok, podtrzymywany białymi, plastikowymi grzebieniami z kryształkami.

Gdy rześkie popołudniowe powietrze zawitało do pokoju, wszystkie odetchnęły z ulgą.

- Ile jeszcze tego mamy? - zapytała Velma, posyłając stertom rzeczy jadownicze spojrzenie.

- Tych nawet nie ruszyliśmy. - Babcia wskazała na półki z książkami.

- O Boże - wymamrotała Velma. Babcia zaśmiała się i powoli wstała.

- Myślę, że przyda nam się przerwa. Moje drogie panie, ciasteczka powinny już być gotowe - zachęciła.

Zaprowadziła je do kuchni i zaczęła się krzątać, zdejmując łopatką z papieru do pieczenia ciastka i podając każdej z kobiet coś do zanieśienia do jadalni na podwieczorek.

Velma, Peg i Kate zasiadły za stołem zastawionym filiżankami i spodeczkami, talerzykami z chińskiej porcelany, serwetkami i srebrem stołowym. Całość wieńczył bukiet kwiatów w niewielkim kryształowym wazonie.

Velma przyglądała się Kate krytycznie. Przeczesła włosy palcami udekorowanymi kilkoma złotymi pierścionkami z diamentami. Jej długie paznokcie były pokryte opalizującym perłowym lakierem.

- Kate - zaczęła tonem, który nie wróżył nic dobrego. - Ile ty właściwie masz lat?

O nie, pomyślała Kate. *Zaczyna się*. Choć Velma i Peg spędziły całe swoje życie w Redbud, Kate znała je dobrze z ich corocznych wycieczek do Dallas, w ramach odwiedzin jej babci.

- Trzydzieści jeden.

- Jakim cudem jeszcze nie wyszłaś za mąż?

- No cóż...

Czekam na Księcia Harry ego. Mam wszy, a to wcale nie ułatwia sprawy. Ostatniego potencjalnego kandydata zaatakował rekin.

- W czym problem? Taka ładna dziewczyna, pewnie interesują się tobą tabuny mężczyzn.

- Zdarzyło się kilku.

- No i?

- No i z żadnym nie wypaliło.

- A co się stało z tym dużym, wysokim, przystojnym chłopcem?

- Rickiem?

- Tak.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat Kate spotykała się na poważnie z dwoma chłopakami, była też garść mniej znaczących epizodów. Pierwszego poważnego, Ricka, Kate poznała na ostatnim roku college'u i wkroczyła z nim w dorosłe życie. Wydawało jej się, że myślą podobnie, że pragną tych samych rzeczy. Ale po trzech

latach bycia razem, kiedy ona w najbardziej delikatny i zwyczajny sposób zaledwie napomknęła o małżeństwie, Rick od razu się wycofał. Czuła się jak idiotka, uświadomiwszy sobie, że był z nią jedynie dla wygody i chwilowej przyjemności.

- Nie miał ochoty się zaangażować - odpowiedziała.

- A ten przystojny blondyn, którego spotkałyśmy w Dallas kilka lat temu?

Jej drugi poważny chłopak, Trevor, na pierwszy rzut oka wydawał się idealny. Po dwuletnim związku, właśnie wtedy, kiedy zaczęła marzyć o pierścionku z diamentem i białej sukni, dowiedziała się, że ją zdradzał. Wiele razy. Z wieloma kobietami.

- Nie był mi wierny - odparła.

- Więc to ty zerwałaś z oboma? - skrzywiła się Velma.

- Rick zerwał ze mną, a ja zerwałam z Trevorem.

Proste wyjaśnienie, które było jedynie czubkiem góry lodowej, kryjącej się pod powierzchnią oceanu. Kate była przekonana, że jest zakochana w każdym z nich. Zakończenie obu związków całkowicie i doszczętnie złamało jej serce.

Velma chrząknęła.

- No cóż. Tak czy siak, Rick i Trevor to nie są odpowiednie imiona. Nigdy nie znajdziesz męża, spotykając się z mężczyznami, którzy mają tak na imię. Szukaj mężczyzny z dobrym imieniem. - Jej mocno zarysowane ołówkiem brwi zmarszczyły się. - I pospiesz się, bo jeśli kiedykolwiek chcesz mieć dzieci, to musisz go znaleźć szybko - dodała.

Auć. Kate bardzo chciała zlekceważyć słowa Velmy. Próbowwała. Ale pomimo wysiłków, taka uwaga żądliła, i to mocno.

- Postaram się wziąć w garść — rzuciła oschle.

Babcia wpadła z talerzem owsianych ciasteczek z czekoladą.

- Wszystkie panie: kapelusze na głowy! - zakomenderowała.

Podniosła oparcie jednego z siedzisk przy oknie i wyciągnęła ze schowka cztery z wielu kapeluszy, które odkryły wczoraj z Kate w sypialni na piętrze.

Nikt nie wyraził zdziwienia. Babcia często serwowała podwieczorek. I niemal zawsze nalegała, by zakładać do niego ogromne, jarmarczne kapelusze.

Po debacie, która z pań wygląda najlepiej w którym kapeluszu, kobiety rozpoczęły podwieczorek herbatą.

- To Victoria Garden - ogłosiła babcia, nalewając napar do filiżanek. - Smakuje jak kwiat.

Kate patrzyła, jak Peg ostrożnie próbuje herbaty, a potem odstawia swoją filiżankę na spodek z cichym brzęknięciem. Już w młodości Peg uchodziła za piękność - jej makijaż był nienaganny, a bladosiwe, równo podcięte włosy — pięknie ufryzowane. Dziś wyglądała niemal zwyczajnie w skórzanych mokasynach, szarych spodniach, białej koszuli z kołnierzem i czerwonym swetrze zarzuconym na ramiona. Złota zawieszka na łańcuszku była idealną kopią złotych kolczyków.

- Wyglądasz na zamyśloną, Peg - skomentowała babcia.

- Peg zawsze jest zamyśloną - stwierdziła Velma.

Peg nieśpiesznie i z gracją ułożyła serwetkę na kolanach.

- Kiedy byłaś w kuchni, Velma powiedziała, że Kate powinna się pospieszyć ze znalezieniem męża. A ja cały czas się zastanawiam i staram się wymyślić jeden dobry powód, dlaczego Kate miałoby na tym zależeć.

- Co, proszę? - zaskrzeczała Velma.

- Dziewczęta w dzisiejszych czasach nie muszą wychodzić za mąż, Velmo - powiedziała spokojnie Peg. - Robią karierę i zarabiają pieniądze. Jeśli chcą mieć dziecko, mogą zaadoptować niemowlę z Chin. Na co im mąż?

- Właśnie! - przytaknęła Kate dziarsko, chociaż nawet w najmniejszej części nie czuła się podekscytowana perspektywą samotności i wychowywania chińskiego niemowlaka.

- Na co im mąż? - Velma powtórzyła z niedowierzaniem.

- Ależ, Peggy Elizabeth...

- Mężczyźni to bałaganiarze - łagodnie przerwała jej Peg.

- Są apodyktyczni. I *czasami* nie chcą wybrać się w rejs na Alaskę, i zamiast tego nalegają, żeby po raz szesnasty wyruszyć w rejs po Karaibach.

- Aha! - zreflektowała się Velma. - A więc o to chodzi!

- No cóż... tak. Po prostu nie mogę zrozumieć, co William ma przeciwko Alasce. - Peg delikatnie ścisnęła przedramię Kate i uśmiechnęła się. - Wiesz, Kate, póki mój mąż nadal jest między nami, mam prawo na niego narzekać.

Velma zaryczała ze śmiechu.

- Gdy umierają, wciskamy im na głowy aureole — wyjaśniła Peg. - Ale powiem ci tylko, że w rzeczywistości posiadanie męża bywa czasem bardzo męczące.

- Oczywiście, bo mężowie *są* męczący! Ale Kate i tak powinna wyjść za mąż! - Velma spojrzała na Kate zza swoich wielkich okularów, z zausznikami, które zaczynały się po zewnętrznej, u dołu szkieł i można było okręcić je za uszami. — Herb był głupkiem. Przez piętnaście lat tolerowałam jego niedorzeczności, ale szczęśliwie jestem już kobietą wolną. Mimo wszystko cieszę się, że za niego wyszłam, dał mi czterech synów. - Spojrzała na babcię Kate.

- Ty uwielbiałaś swojego Arthura.

- To prawda - przytaknęła babcia.

Dla wszystkich, którzy znali dziadków Kate, było jasne, że tych dwoje wprost się uwielbia. Arthur i Beverly byli szczęśliwym małżeństwem przez ponad pół wieku. U kresu swojego życia

dziadek dzielnie walczył z białaczką, aż półtora roku temu Bóg zabrał go do siebie.

Jego śmierć, bardziej niż wszystko inne, zmobilizowała Kate, żeby przywieźć babcię do Chapel Bluff, zanim będzie za późno, i razem podjąć się czegoś nowego, obiecującego - spełnić największe marzenie babci i odnowić jej ukochany dom.

- A Peg - ciągnęła dalej Velma - może sobie narzekać na Williama, ale ten człowiek kocha ją od dnia, w którym spotkali się w trzeciej klasie w Westfield High. Rozpuszcza ją jak dziadowski bicz i żyje praktycznie tylko po to, żeby uszczęśliwić Peg. Więc skoro ona chce wybrać się w rejs na Alaskę, to William właśnie tam ją w końcu zabierze.

Peg rzuciła Kate spojrzenie.

- *Nadal* jestem zmęczona podnoszeniem jego brudnych, porozrzucanych skarpetek - powiedziała spokojnie.

Wtedy rozległy się kroki i wszystkie kobiety spojrzały na Matta, który właśnie wypełnił całym sobą drzwi do jadalni.

Przez kark i ramiona Kate przebiegł dreszcz. Dziś rano znów spędziła z Mattem trochę czasu na pogawędce. Poszło prawie tak słabo jak wczoraj. Próbowwała być ciepła i czarująca, ale przez cały czas czuła, że jedynie go drażni.

Na widok czterech kobiet w olbrzymich kapeluszach Matt uniósł jedną brew.

- Matt! - wykrzyknęła babcia. - Dołącz do nas, proszę. Daj mi sekundkę, przyniosę filiżankę dla ciebie.

- Dziękuję, pani Donovan, ale nie skorzystam. Przyszedłem tylko powiedzieć, że na dziś skończyłem.

- Mów mi Beverly, proszę.

- Dobrze. Wrócę rano.

- Będę dziś smażyć kurczaka. Może zjadłbyś z nami kolację?

- Dziękuję za zaproszenie. Dziś nie mogę. - Matt skinął głową na pożegnanie, odwrócił się i wyszedł.

Cztery damy nasłuchiwały w ciszy, dopóki nie dobiegł ich odgłos zamykanych drzwi i warkot silnika. Velma pochyliła się do przodu.

- I co? *A nie mówiłam?*

Kate zaprzeczyła ruchem głowy.

- Ale co *a nie mówiła?*. - zapytała babcia.

- Czyżbym nie opowiedziała ci jego historii? Wtedy, przez telefon, kiedy ci go poleciłam?

- Nie, nie wydaje mi się - odparła Beverly.

- No ale chyba słyszałyście o nim? Naszej lokalnej gwiazdzie? Gwiazdzie? Kate poczuła niepokój.

- Nie - powiedziała wolno. - Wiemy tylko tyle, że dorastał niedaleko i że znał moich pradziadków.

- Mój Boże! Peg, one nie wiedzą, kim jest Matt Jarreau!

- Jestem równie zaskoczona, jak ty.

- Matt Jarreau - powiedziała wolno Velma, patrząc na nie z powagą, jakby zdradzała jakąś wielką tajemnicę — jest gwiazdą. To z pewnością najślawniejsza osoba, jaka kiedykolwiek urodziła się w Redbud w Pensylwanii.

- Dzięki czemu jest taki sławny? - zapytała Kate. *Dzięki stawianiu płyt kartonowo-gipsowych!*

- Dzięki hokejowi. Był wielkim hokeistą, grał dla New York Barons w... Jak się nazywa ta liga zawodowa? - Velma spojrzała na Peg.

- NHL.

- Właśnie, NHL. Kiedy dla nich grał, wygrali dwa razy to... no... — Velma pstryknęła palcami ze zniecierpliwieniem. — No to wielkie trofeum?

- Puchar Stanleya - podpowiedziała Peg.

- I wtedy, kiedy go wygrali, Matt był głównym graczem, który zdobywał dla nich punkty. Ich gwiazdą. - Velma opadła na oparcie, wyraźnie z siebie zadowolona, i pociągnęła triumfalnie łyk herbaty.

Kate gapiała się na nią, skamieniała z zaskoczenia. Ich *budowlaniec* — legendarnym hokeistą?

- I co było dalej? - zapytała babcia. - Dlaczego już nie gra?

- Cóż, to jest smutna część tej historii - odpowiedziała Peg.

- Jakies pięć lat temu Matt Jarreau ożenił się z byłą Miss Ameryki. Piękna dziewczyna, nazywała się Beth Andrews.

- Zdobyła ten tytuł jakieś dziesięć lat temu - dodała Velma.

- Może pamiętacie taką wysoką, cudną blondynkę? W kategorii talentów dała popis baletowy.

Kate i babcia pokręciły przecząco głowami.

- Rozpuszczone włosy, dotąd. - Velma pokazała na miejsce w połowie swoich pleców. — Urocza, *urocza* dziewczyna. Potrafiła zjednywać sobie serca.

- Chwila, chwila. Mówicie, że ożenił się z prawdziwą *Miss Ameryki*.

- upewniła się Kate.

Peg pokiwała głową.

- Zgadza się.

- Oczywiście to było, zanim się poznali i pobrali - mówiła dalej Velma. - Nie pamiętam już, jakiej działalności charytatywnej poświęciła się jako Miss. Chyba coś z niewidomymi. Tak czy siak, wzięli z Mattem wielki elegancki ślub, w miejscowości, z której pochodziła. Gdzieś w Georgii, prawda?

- Tak. W magazynie *People* była fotorelacja - dodała Peg.

- Wtedy byli zamożni. Wiesz, bogacze. - Velma wrzuciła do ust kawałek ciastka i przeżuła. - Ale ich małżeństwo trwało tylko kilka lat. I przez ostatnie pół roku, albo coś koło tego, Beth bardzo chorowała.

- Na co? - zapytała babcia zmartwiona.

- Guz mózgu — odpowiedziała Velma. — Bidulka. To było okropne. Taka piękna dziewczyna, miała tak wiele, miała dla kogo żyć i zdiagnozowano u niej raka. Miała tylko dwadzieścia siedem lat, kiedy zmarła.

- To strasznie smutne - wyszeptała babcia.

Kate współczuła Mattowi. Chciała odkryć jego tajemnice, dowiedzieć się, skąd wzięło się nieszczęście, które dostrzegła w jego oczach. Ale teraz żałowała, że wie, i było jej okropnie, *okropnie* przykro z powodu tego, przez co musiał przejść. Nie mogła uwierzyć, że wczoraj miała czelność się z nim droczyć, że się nie uśmiecha, że jest poważny.

- Po jej śmierci Matt rzucił sport - kontynuowała Velma.

- Był wówczas u szczytu kariery. Nikt nie wie, dlaczego to zrobił. Większość ludzi myślała, że po tym wszystkim jeszcze bardziej poświęci się grze, wiecie, żeby zapomnieć. Ale nie. Po prostu to zostawił. Potem wrócił do Redbud. Myślę, że wiedział, że tutaj nikt nie będzie go niepokoił.

- Rzadko widać go w mieście — dodała Peg. — Jest bardzo skoncentrowany na swojej pracy.

- Ale on pewnie wcale nie musi pracować. - Kate starała się zrozumieć, ale to było trudne. - Musi mieć fortunę.

- W rzeczy samej - odpowiedziała Peg. - Fortunę. Velma cmoknęła.

- Szczenia mu te pieniądze nie przyniosły. Nie będę się wymądrzać... A zresztą... *Moim zdaniem*, on ma potrzebę, żeby coś ze sobą zrobić. Lubi odnawiać stare domy, więc je odnawia — zawyrokowała.

Cisza spadła na nie niczym wiosenny deszcz. Siedziały z ponurymi minami, myśląc o Macie oraz jego uroczej i młodo zmarłej żonie.

Kate spojrzała na swoją herbatę i nadgryzione ciastko. Straciła ochotę na jedzenie.

Program *Antyki na wyjeździe* i torba miętowych ciągutek zazwyczaj leczyły wszystkie bolączki Kate. Ale nie dzisiaj.

Dzisiaj leżała na rozkopanym łóżku w koszulce na szerokich ramiączkach i spodniach od piżamy ściąganych tasiemką, oglądając telewizję na jedynym telewizorze w domu. Pożyczyła go od Peg, a dzięki ludziom z kablówki, którzy zjawili się tego dnia, zarówno telewizja, jak i połączenie internetowe na jej laptopie działały.

Widziała już ten odcinek. Prowadzący pojechali do Tucson, gdzie wykrzykiwali ochy i achy na widok znalezisk, będących przykładem sztuki rdzennych Amerykanów.

Postukała dużym palcem u stopy w mosiężną ramę łóżka i wepchnęła do ust kolejną ciągutkę, usilnie starając się znaleźć w tym radość. Jej romantyczna dusza nadal nie mogła otrząsnąć się z uczucia smutku po wysłuchaniu historii Matta i jego żony. Wyobrażała sobie, czym musiała być dla niego utrata ukochanej, i drżała z żalości.

Im dłużej myślała o tym cierpieniu, tym mocniej ów smutek mieszał się z jej osobistym smutkiem. Skoro Matt, ze wszystkich ludzi, nie przeżył bajkowego szczęśliwego zakończenia z drugą osobą, to jaką szansę miała ona?

Przez lata budowała wokół siebie twierdzę. I komentarze o jej stanie wolnym zwykle spływały po niej jak po kaczce. Ale dzisiejsze słowa Velmy już nie.

„Pospiesz się, bo jeśli kiedykolwiek chcesz mieć dzieci, to musisz go znaleźć szybko”.

Velma jedynie stwierdziła oczywisty fakt, o którym zarówno Kate, jak i wszyscy inni na świecie już wiedzieli. W wieku trzydziestu jeden lat Kate nie nazwałaby się starą, a przynajmniej nie strasznie starą. Ale jej jajniki i jajeczka nie były już takie młode.

Oparła głowę na zmiętej pościeli i leżała tak, gapiąc się pustym wzrokiem w sufit. Pewnie było to niepoprawne politycznie, ale chciała - od zawsze - mieć męża i dzieci. Może dlatego, że jej dziadkowie z obu stron i rodzice tworzyli takie szczęśliwe małżeństwa. Jej mama i tata do tej pory wszystko robią razem - kupują w spożywczym, chodzą na tenisa, do kina, jeżdżą na wycieczki. Nadal trzymają się za ręce, szepczą sobie na ucho sekrety. Są dla siebie partnerami i najlepszymi przyjaciółmi. Jak z bajki.

Kate wiele razy, najpierw jako dzieciak z kościstymi kolanami, a potem jako niezgrabna nastolatka, patrzyła na nich i czuła się wykluczona z tego ciasnego grona dwojga osób. Za każdym razem myślała: *Kiedyś chcę takiego czegoś dla siebie.*

Jako dziewczynka zmuszała swoją młodszą siostrę do wspólnych zabaw Kenem i Barbie, wymyślając wielowątkowe historie

O ich wzajemnym oddaniu, szczęśliwym domu, licznych potomstwie. Mając kilkanaście lat, połykała dziesiątki cieniutkich romansideł z działu dla młodzieży. Jako starsza pannica urządziła wycieczki do wypożyczalni wideo, żeby potem móc oglądać raz

1 drugi filmowe historie miłosne.

Zakochać się. Wyjść za mąż. Być bezgranicznie szczęśliwą. Mieć dzieci. To zawsze był jej plan. Fakt, że była już po trzydziestce i do tego sama, sprawiał, że czasem, w takich jak ta chwilach słabości, czuła się, jakby przegapiła pociąg, który zmierzał do celu jej życia.

W czym tkwił problem? Miała katastroficzną w skutkach skłonność do ulegania niewłaściwym facetom. Dlaczego nie mogła

po prostu zakochać się po uszy w kimś' z przykościelnej grupy dla singli? Czy było z nią coś nie tak, skoro nie umiała zdecydować się na kogoś otwartego i przyzwoitego - na przykład na przyszłego pastora albo gościa, który nosił Biblię w specjalnej skórzanej oprawie? *Dlaczego?* A może miała skłonność do autodestrukcji i o tym nie wiedziała? Lub po prostu była okropnie płytka?

Zawsze odpowiedzialne, najstarsze dziecko. Towarzyska, owszem. Ale nigdy nie zbacziała mocno z Drogi Cnoty. Żadnego alkoholu, żadnych narkotyków, żadnej rozwiązłości.

A jednak w tej jednej sferze życia, dotyczącej mężczyzn, nie rozumiała siebie. Odkąd dwa lata temu zerwała z Trevorem, nie mogła zrozumieć, dlaczego jej serce pozostawało głuche na tych facetów, którzy byli oczywistym, właściwym, mądrym i praktycznym wyborem. Desperacko chciała się zakochać w przyzwoitym facecie. I mogła się starać, lecz jej uparte serce i tak opierało się każdemu kandydatowi. Kate dobrze wiedziała, że dopóki to się nie zmieni, dopóty ona będzie sama.

Samotność, jej stary wróg i towarzysz, wślizgnęła się do jej serca i zacisnęła na nim łapy.

Kate usiadła. Była sfrustrowana swoją postawą. Dowiedziała się dzisiaj, że Matt stracił żonę, a ona nadal próbowała uzalać się nad *sobą*. Wsunęła stopy w futrzane kapcie i zeszła na dół. Wyszła tylnymi drzwiami i ruszyła trawnikiem przy świetle księżyca, oddychając głęboko nocnym powietrzem o zapachu palonego drewna. Kapliczka w oddali odbijała poświatę księżyca. Przodek Kate, który zbudował Chapel Bluff, zadbał o to, by umieścić ten niewielkich rozmiarów budynek z krzyżem na wzniesieniu, w samym sercu posiadłości. Kate pomyślała, że jej rodzina zawsze budowała na tym, co najważniejsze. Każde pokolenie skrupulatnie wpajało swoją wiarę kolejnemu, i tak doszło do niej. Wychowała się w kościele, a jej wieloletnia relacja z Bogiem była bliska i nie

sprawiała Kate trudności. Bóg powinien jej wystarczyć. Kate wiedziała, że On *wystarczał*. Było jej tylko przykro i miała poczucie winy, że w takich momentach jak ten pragnęła czegoś więcej.

Skrzyżowała ramiona, upajając się leniwie otoczeniem. Kamienna, masywna bryła obok domu. Budynek uparcie nazywany był „stodołą”, mimo że nie trzymano w nim żadnych zwierząt, a jedynie kilka samochodów. Czarne wzgórza w oddali. Gwieździste niebo. I znów kaplica z bielonymi wapnem ścianami w samym centrum tego wszystkiego.

Ruszyła przed siebie, delektując się odgłosem chrześzczącego żwirowego podjazdu, a potem szelestem trawy pod kapciami. Wyczuwała w tej nocy obecność Boga.

Nagle przypomniały się jej słowa Jezusa z Ewangelii według św. Mateusza. *Jeśli będziecie mieć wiarę jak ziarnko gorczycy, nic niemożliwego nie będzie dla was.*

Wiara, nawet ta mniejsza od ziarnka gorczycy, wymagała pokory. Kate zatrzymała się, westchnęła i zamknęła oczy.

Wydawało się, że Bóg mówi do niej: **Mam wobec ciebie zamiary.**

Byłoby miło, Boże, gdybyś miał też w planach jakiegoś mężczyznę. Odpowiedziała jej cisza.

Najtrudniejszą i najprawdziwszą rzeczą było uznać wyższość Bożej woli, a to oznaczało, że niezależnie od tego, jak mocno Kate modliła się o męża i o rodzinę, i tak nie mogła mieć gwarancji, że kiedykolwiek otrzyma to, o co prosi.

Spacerowała, pogrążona w modlitwie. Czowała chłodne powietrze na skórze i w płucach. Jej myśli poszybowały ku Mattowi.

No dobra, a zatem był nieziemsko przystojnym hokeistą i teraz remontował dom jej babci. No dobra. Przecież umiała sobie z tym poradzić. Potrafiła oprzeć się tej fizycznej pokusie, jaką Matt sobą reprezentował.

Kate była w końcu pracownikiem opieki społecznej i miała zakodowane w DNA, żeby wyciągać rękę do cierpiących i zrobić wszystko, co w jej mocy, aby było im lepiej. Historia Matta jeszcze bardziej zdeterminowała ją do tego, by się z nim zaprzyjaźnić.

Nie będzie łatwo.

Ale mogła spróbować.

Jeśli nie da za wygraną, to może w końcu wywoła u niego uśmiech. Wprowadzi trochę radości w jego pracowity tydzień. Oczywiście, nie od razu ukoi stratę. Ale zawsze będzie to już coś.

Wzięła głęboki oddech.

Mogła przecież spróbować.

Zastała go następnego ranka w jednej z gościnnych sypialni na drugim piętrze. Matt skuwał kawałek ściany, odsłaniając drewniany szkielet domu. Pokruszony tynk leżał wokół jego stóp.

- Wow. — Kate spojrzała na bałagan.

Matt przerwał pracę i rzucił na nią okiem. Miał na sobie workowate spodnie w kolorze khaki i bawełnianą koszulkę z długim rękawem i napisem *Abercrombie and Fitch* na piersi. Nasunięta głęboko na czoło bejsbolówka zasłaniała mu oczy.

- Przyniosłam ci wodę. Chcesz? - zaproponowała. Zawahał się.

- Jasne.

Przedarła się przez sterty gruzu i podała mu butelkę.

- Dzięki. - Pociągnął łyk.

- Nad czym pracujesz?

- Był wyciek.

Matt wskazał na pęknięcie w metalowej instalacji sanitarnej.

- Wygląda na to, że zgniło całe drewno naokoło - powiedziała Kate.
- Tak.
- I masz plan, żeby...?
- Muszę wymienić ten odcinek instalacji. Podreperować szkielet nowym drewnem. I nałożyć na to płytę kartonowo-gipsową.
- Przyda ci się jakaś pomoc? Spojrzał na nią krytycznie.
- Nie bardzo.
Nie mogła się powstrzymać. Musiała się uśmiechnąć. Był przerażający, naprawdę przerażający. Wielki i straszny, ze spojrzeniem, które cięło jak ostrze, kiedy był zirytowany. Kate mogła się założyć, że przerażał prawie wszystkich. A jednak, z jakiegoś powodu, jej nie.
- Rozumiem. Pewnie bym ci tylko przeszkadzała.
Przeszła kilka kroków i usiadła ze skrzyżowanymi nogami na czystym skrawku podłogi.
- Robię sobie właśnie przerwę, więc jeśli ci to nie przeszkadza, posiedzę tu przez chwilę - rzuciła lekko.
Nie przytaknął, ale też nie powiedział, żeby sobie poszła. Wzięła to za dobrą monetę.
- Uwielbiam remontować stare domy - powiedziała. - W Dallas mieszkam w połowie bliźniaka i sporą część wyremontowałam sama, zaraz po zakupie.
Matt skupił całą swoją uwagę na kuciu.
- Chociaż babcia opowiadała mi o tym domu przez lata, to jestem tu po raz pierwszy.
Nadal cisza.
- Cieszę się, że udało mi się wziąć urlop - dodała niezrażona. - Tylko dzięki temu mogłam tu przyjechać.

Nie odpowiadał. Kate zachodziła w głowę, co jeszcze mogłaby powiedzieć.

- Gdzie pracujesz? - zapytał nagle, nie patrząc na nią. - W Dallas?

W absurdalny sposób ucieszyło ją to pytanie. Po raz pierwszy Matt zapytał o nią samą.

- Pracuję w miejscu, które nazywa się Domem Krzysztofa - dodała. - To dom tymczasowy dla maltretowanych lub porzuconych dzieci.

Trawił informację przez kilka chwil.

- Dzieci, które zabrano z ich własnych domów? - zapytał w końcu.

- Tak, przez organizację Ochrony Praw Dziecka. Nazywają nas pogotowiem opiekuńczym. Oferujemy dzieciom miejsce, w którym mogą się zatrzymać i dojść do siebie, zanim zostaną umieszczone w rodzinie zastępczej.

- Co tam robisz?

- Oficjalnie jestem koordynatorem danych spraw. Przydziela mi się dzieci, które pojawiają się w Domu Krzysztofa, a ja kieruję ich sprawami, póki nie trafią do rodzin zastępczych.

- Co to znaczy?

- Organizuję dla nich powitalną wyprawkę, rozmawiam z nimi, załatwiam ubranie, organizuję opiekę lekarską lub psychologiczną, gdy zachodzi potrzeba, planuję, ile czasu spędzą w ośrodku i dokąd pójść dalej. Tego typu rzeczy. No i jestem w stałym kontakcie z ich kuratorami i rodzicami zastępczymi.

Matt przeciął przeciekającą rurę piłką do metalu, usunął wadliwą część, a potem wyjął taśmę mierniczą i zanotował, jak długa ma być nowa rura.

- Iloma dziećmi w miesiącu się zajmujesz? - zapytał. Naprawdę z nią rozmawiał!

- No cóż, oprócz mnie jest jeszcze jedna kobieta, też koordynatorka. Liczby się zmieniają, ale zazwyczaj zajmujemy się około sześćdziesięcioma sprawami miesięcznie - odparła.

Spojrzał na nią ponuro.

- Sześćdziesięcioro dzieciaków w miesiącu?

- Tak.

- W jakim wieku?

- Niemowlaki i starsze. Dla najmłodszych mamy własny żłobek.

Jego ciemnoczekoladowe oczy, zawsze smutne, wydawały się zadawać te same pytania, jakie Kate stawiała sobie od lat. Kto skrzywdziłby dziecko? Kto zostawiłby małego chłopca albo dziewczynkę na pastwę losu? Kto mógłby je uderzyć?

Nie miała w zanadrzu żadnych oklepanych wyjaśnień.

Matt wrócił do pracy, a ona patrzyła na niego, myśląc o swoim biurze, daleko w Dallas, o kolegach i koleżankach z pracy, o dzieciakach i o tym, co robiliby dziś rano.

Pomimo bardzo trudnych doświadczeń związanych z pracą, Kate od lat udawało się nie tracić pozytywnego nastawienia. Było dla niej jasne, że choć nie ma wpływu na przeszłość dzieci, z którymi się stykała, to zawsze może zmienić ich przyszłość na lepsze.

Niezależnie od tego, jak nudne czy samotne było wcześniej jej życie osobiste, Kate zawsze wierzyła, że praca naprawdę jej się udała. Wiedziała, że jest dokładnie w miejscu, jakie wyznaczył dla niej Bóg. I nagle, jakieś pół roku temu, jedna z jej podopiecznych, dziewczyna imieniem Gabriella, popełniła samobójstwo.

Na samą myśl o niej Kate poczuła ucisk w sercu. Spuściła wzrok i zaczęła skubać nitkę przy dzinsach. Widziała wyraźnie ciemne, kręcone włosy Gabrielli, jej błyszczące oczy, wyraz twarzy - nieśmiałość i wrażliwość pomimo wszystkiego, co przeszła.

Gabriella trafiła do Domu Krzysztofa dwukrotnie: pierwszy raz, gdy była jeszcze w podstawówce, a Kate dopiero rozpoczynała pracę w ośrodku, będąc świeżo po dyplomie, a po raz drugi rok później, kiedy skończyła czternaście lat. W obu przypadkach to Kate zajmowała się jej sprawą. Po pierwszym pobycie w Domu Krzysztofa Gabriella ostatecznie została oddana ojcu. Po kolejnym Gabriellę umieszczono w rodzinie zastępczej. Na pierwszy rzut oka wyglądało na to, że sytuacja dziewczyny stabilizuje się i że wszystko zmierza ku lepszemu.

I wtedy, pewnej nocy, Gabriella połknęła całe opakowanie tabletek.

Kate odczuła jej śmierć jak trzęsienie ziemi. Stała przy wykopanym dole na cmentarzu, gdy spuszczano trumnę do grobu, i zastanawiała się, wtedy i miliony razy później, czy mogła zrobić dla niej coś więcej. *Czy powinna zrobić więcej.*

Po śmierci Gabriellę Kate stopniowo przestawała czerpać radość z pracy. Na początku myślała, że jej radość gdzieś się zapodziała, jak pęk kluczy, i że wkrótce ją odnajdzie. Ale nie potrafiła już wskrzesić dawnego entuzjazmu. Każda wystraszona dziecięca buzia, każda tragiczna historia, wyobrażanie sobie za każdym razem warunków, w jakich dziecko musiało żyć - przygniatały ją. Zaczynała się czuć bezsilna, że nie może im pomóc - żadnemu z nich. Przez ostatnie sześć miesięcy wykonywała swoją pracę mechanicznie, bez prawdziwej motywacji.

Kiedy babcia poprosiła ją, żeby pojechały razem do Chapel Bluff na trzy miesiące, Kate wiedziała, że Bóg rzuca jej koło ratunkowe. Złapała je.

Podniosła głowę i zobaczyła, że Matt się jej przygląda.

Spojrzała mu prosto w oczy i to spojrzenie sprawiło, że jej serce zabiło mocniej. *Są tylko przyjaciółmi!* Skarciła swoje serce. *Tylko przyjaciółmi!*

- No cóż... - Wstała i otrzepała spodnie. - Lepiej wróć do pracy. Chciałbyś dziś zjeść z nami kolację? Gdyby babcia się dowiedziała, że wreszcie może coś dla ciebie ugotować, pewnie pomyślałaby, że umarła i poszła do nieba.

- Nie mogę. Ale dzięki.

- Nie ma problemu.

Zeszła na dół. Jej puls wciąż galopował. *To tylko przyjaciel! Pamiętaj! Tylko przyjaciel!*

W czwartek Kate przejrzała trzy szafy i czwartą z pięciu sypialni w Chapel Bluff. Wymusiła na Macie krótką pogawędkę i zaprosiła na kolację. Odmówił.

Podczas piątkowych porannych ćwiczeń wycisnęła z siebie siódme poty. Ostatecznie zorganizowała zawartość kuchni. Zmusiła Matta do jeszcze dłuższej rozmowy.

W piątek po południu skończyła porządkowanie rzeczy w domu. Wiele z nich wyrzuciła. Sporo czekało jeszcze na zbliżającą się wyprzedaż garażową. Póki co Kate pracowała nad zamieszczeniem pozostałych dwudziestu trzech przedmiotów na eBayu. Zaprosiła Matta na kolację. Odmówił.

W sobotę spały do późna, a potem zwiedziły miasteczko. Kate namówiła babcinę na zakup akwareli u miejscowego artysty, bo postanowiła powiesić obraz nad gzymsem kominka w swojej sypialni. Zjadły zupę i bagietki w „Grapewine” przy głównej ulicy. Po południu odwiedziły kilku starych przyjaciół babci. Matta nie było w okolicy, zatem Kate nie mogła go zaprosić na kolację.

W niedzielę rano udały się na nabożeństwo do kościoła, a potem na lunch w domu Peg. Był tam mąż Peg, William

- dystyngowany i uroczy, chodząca reklama Ralpa Laurenta. Był także gość o imieniu Morty. Jednak Kate w żaden sposób nie mogła odkryć jego powiązania z całą paczką poza tym, że Morty był emerytowanym oficerem policji z Redbud i wyraźnie czuł miętę do Velmy. Matta nadal nie było w pobliżu, więc nie mogła zaprosić go na kolację.

W poniedziałek rano Matt zjawił się punktualnie, w wyblakłych dżinsach, flanelowej koszuli i uniwersyteckiej bejsbolówce. Kate postanowiła, że bezwzględnie nie wzruszy się na jego widok. Zdjęła wszystkie wyświechtane zasłony w domu i pełna zapachu rozpoczęła proces zrywania tapety w kuchni i jadalni. Babcia zrobiła na kolację enchiladas. Kate zaprosiła Matta. Odmówił.

We wtorek babcia poinformowała Kate, że jej matka i babka używały strychu w stodole jako składzika. Mając już dość wszelkich przeglądów i porządków, Kate zdecydowała się na razie odpuścić sobie batalię ze stodołą i nadal walczyła z tapetą. Zasugerowała Mattowi, żeby został na kolacji. Odmówił.

W środę Kate przeżyła muskuły i rozciągała mięśnie podczas ćwiczeń w miejscowym klubie fitness. Zaraz po powrocie do Chapel Bluff zmusiła Matta do rozmowy, podczas gdy on instalował ścianę kartonowo-gipsową w jednej z łazienek na piętrze. Zaprosiła go na kolację. I stał się cud. Cud nad cudami! W dniu, który aż do tej chwili wydawał się tylko zwykłym dniem, Matt...

Zgodził się.

Matt nie był pewien, dlaczego to zrobił. Nigdy świadomie i z rozmysłem nie przystałby na kolację z Kate i Beverly. Tak naprawdę w swojej głowie podjął zupełnie inną decyzję. Decyzję, żeby trzymać się od tych kobiet z daleka.

Dziś, gdy Kate przyszła, by pogawędzić, miała na sobie strój do ćwiczeń i japonki, a rude włosy ściągnęła w wysoki kucyk. Oparła się o futrynę.

- Jak idzie?

- W porządku.

Jej częste wizyty już go tak nie irytowały jak wcześniej. Ku własnemu wielkiemu zdziwieniu zdał sobie sprawę, że nawet zaczął ją trochę lubić.

Paplała przez jakiś czas o remoncie, miasteczku, programie telewizyjnym, który obejrzała wczoraj wieczorem. Potem — znowu - zaprosiła go na kolację. Każda normalna osoba już dawno zrozumiałaby aluzję i przestała go zapraszać. Ale nie Kate. Mogła sobie być drobna i miła, ale była też uparta jak osioł.

- Przyjdź - powiedziała, splatając dłonie i wyciągając je w jego kierunku w udawanym błagalnym geście. — Proszę.

Przekrzywiła głowę, uśmiechając się uporczywie.

- Matt, tylko jedna mała kolacja. To by tak uszczęśliwiło babcię. Co ty na to? Tylko jedna kolacja? Dobrze?

W tej sytuacji, patrząc w jej pełne nadziei oczy, Matt nie potrafił odmówić. Jego struny głosowe same wydały z siebie dźwięk, zanim umysł zdążył zaprotestować.

Potem nie mógł uwierzyć, że się zgodził. Sama myśl o zjedzeniu z nimi kolacji sprawiała, że czuł się niekomfortowo. Czy powinien się lepiej ubrać? Przynieść jakiś podarunek? A może będą zadawać mu pytania, na które nie chciał odpowiadać? Zdecydowanie wolałby zostać w domu i zjeść kanapkę.

Ale było już za późno. Musiał przyjść.

Kiedy tego wieczoru rozległo się pukanie do drzwi, Kate pospieszyła, by je otworzyć. Matt stał na progu z niepewną miną, dzierżąc w ręku bukiet kwiatów. Poczowała przyływ czułości.

- Cześć. - Starła się zachowywać tak, jakby jego przyjście na kolację nie było niczym specjalnym, choć było wprost przeciwnie. - Wejdz.

- Matt! - Babcia rzuciła się w kierunku gościa na powitanie. - Witamy, witamy. Mam brudne ręce, bo gotuję, ale co tam!

Nachyliła się ku niemu i oplotła ramionami, trzymając przy tym upačkane dłonie w bezpiecznej odległości od jego koszuli.

- Pozwól mi się przytulić. - Odsunęła się, promieniejąc.

Bez swojej czapki bejsbolowej wydawał się inny, przede wszystkim wyglądał bardziej elegancko. Przyjemne kuchenne światło podkreślało lśniące kosmyki jego ciemnych włosów, jeszcze wilgotnych po niedawnym prysznicu. Matt miał na sobie brązowy sweter z krótkim zamkiem błyskawicznym przy szyi i dekoltem w serek. Kate zauważyła, że pod spód założył biały T-shirt.

- Eee... to dla was - powiedział, wyciągając przed siebie kwiaty.

Babcia miała ręce ubrudzone farszem do naleśników, więc Kate podeszła i odebrała bukiet.

- Dziękujemy. Ojej, są piękne. Poszukam wazonu - powiedziała.

- Och, są *urocze* - dodała babcia. - Po prostu urocze! Dziękujemy ci bardzo.

Kiwnął głową, wkładając ręce do kieszeni.

- Starczy już tych formalności. - Babcia gestem zaprosiła Matta, żeby poszedł za nią do kuchni, w której toczyła gastronomiczną batalię. - Umyj ręce, żebyśmy wreszcie mogła zagonić cię do roboty.

Zawahał się przez moment, ale spełnił prośbę.

Kate uśmiechnęła się. Biedny Matt. Kiedyś może i był wojownikiem na lodzie, przyzwyczajonym do zderzania się z ciałami gigantycznych facetów, ale teraz nie potrafił się oprzeć szturmowi babci. Przegrywał.

Kate zlokalizowała kryształowy wazon, nalała do niego wody i udawała, że zna się na układaniu bukietów — z białych róż i hortensji w kolorze kości słoniowej.

Babcia wróciła do nadziewania naleśników farszem z grzybów, podsmażonych wcześniej na niewielkiej ilości tłuszczu, w kremowym sosie, z drobiowymi poledwiczkami i serem Monterey Jack. Dwie bransoletki z kamienia uderzały o siebie rytmicznie na jej

nadgarstku. W tym tygodniu zrobiła sobie długi sznur fioletowo-różowych koralików, który teraz spoczywał na jej szyi, a którego końcówki połączone były z zausznikami okularów. Babcia co jakiś czas zdejmowała okulary, pozwalając im na pół sekundy zawisnąć, i po chwili wsuwała je z powrotem na nos. Teraz okulary spoczywały na nosie, a koraliki pod wpływem ruchów babci kołysały się na boki.

- Matt, przydałyby mi się z trzy albo więcej naleśników. Czy mógłbyś je dla mnie usmażyć? Tam jest ciasto. - Babcia wskazała na miskę.

Matt zamarł w momencie wycierania dłoni. Patrzył na naoliwioną patelnię, łyżkę i miskę z ciastem jak przedszkolak na zadanie z algebry.

Kate przełknęła nieuprzejmy chichot i ruszyła nakrywać do stołu.

- Ja... yyy... ja nie gotuję - wydukał w końcu Matt. Babcia odwróciła się do niego.

- Nie gotujesz?

- Nie.

- To co ty jesz?

- Yyy, głównie kanapki i mrożonki.

- Na obiad?

Przekrzywił głowę, próbując zrozumieć.

- Tak, proszę pani.

- Nie, dopóki mieszkam w Chapel Bluff. Matt wybałuszał oczy.

- Od tej pory będziesz jadł obiady tutaj i zapamiętaj to sobie, młody człowieku: zamierzam nauczyć cię gotować! - Siwe włosy babci sterczały, formując się w niebanalne kępkę. Beverly zmrużyła niebieskie oczy. - Nie przyjmuję odmowy.

- Ja...

- Nalegam. — Babcia wróciła do garnków. Matt spojrzał na Kate.
- Uh... może Kate mogłaby zająć się naleśnikami?
- Nie licz na to — odparła Kate. — Ja nie gotuję.
- Błuznierstwo! - obruszyła się babcia.
- O nie, moje zadania od zawsze są takie same: nakrywam do stołu, nakładam lód do szklanek i zbieram zamówienia na napoje.
- A może ja dziś wieczorem będę tą osobą? — zapytał Matt.
- Nie, nie, nie, nie, *nie*- ostro sprzeciwiła się babcia. - Pomimo wielu lat starań z mojej strony, pogodziłam się z tym, że Kate jest utalentowana w wielu sferach, ale nie w gotowaniu. A nad tobą jeszcze nie zaczęłam pracować.

Ściągnął brwi i stanął przy kuchence.

- A teraz, Matt - kontynuowała babcia, a jej koraliki kołysały się - zacznij od rozgrzania patelni... - ciągnęła nieprzerwany spokojny monolog, krok po kroku przeprowadzając mężczyznę przez kolejne etapy przygotowywania posiłku.

Trzy razy z rzędu Matt nalał na patelnię za dużo ciasta. Ale mimo to spróbował po raz czwarty. Nie odzywał się prawie wcale, wyraźnie mocno się koncentrując. Kate zerkała na niego ukradkiem, otwierając okna, by wpuścić wieczorny wiatr, nakrywając do stołu i robiąc mrożoną herbatę. Jediną wpadkę zaliczył, gdy babcia poprosiła go, żeby pokroił pomidory na sałatkę. Nóż ześlizgnął się z gładkiej skórki pomidora, a ten wystrzelił, poturlał się po blacie aż do krawędzi zlewu i wpadł z pluskiem do brudnej miski, pełnej mydlin.

- A niech to - szepnął Matt.

Kate nie mogła się już powstrzymać i roześmiała się. Rzucił jej gniewne spojrzenie.

- Śmieję się, bo ja zrobiłabym dokładnie to samo - usprawiedliwiła się.

- Może chcesz spróbować szczęścia? - Matt wyciągnął nóż w jej kierunku, groźnie unosząc brew.

- Kiedy mam ryle frajdy, patrząc na ciebie? Nic z tego. Wyszczерzył zęby.

Wybuchnęła jeszcze większym śmiechem. Chwyła nowego pomidora z miski na drewnianym stole rzeźnickim i położyła go tuż przed Mattem.

- Widzisz? Nic złego się nie stało.

- Nie mówiłabyś tak, gdybyś była ostatnim pomidorem - wymamrotał złowieszczo.

Jedzenie nie sprawiało już Mattowi przyjemności. Wcale tego nie chciał, po prostu tak się stało. Najwidoczniej, w którymś momencie, odzwyczaił się od dobrej kuchni, ponieważ dzisiejsza kolacja — naleśniki z farszem, domowe bułeczki, sałatka, szparagi polane masłem i oproszone solą - była najsmaczniejszym posiłkiem, jaki jadł od miesięcy. A może lat?

I teraz, po tym wszystkim, pani Donovan pochylając się nad nim, postawiła przed Mattem ciastko z jeżynami i kruszonką, wyjęte prosto z pieca. Gałka lodów waniliowych topiła się powoli na chrupiącej skórce, tworząc nitki białych rzek. Kate nalewała mu właśnie do kubka parującą kawę.

Choć żołądek miał już pełen, to jednak deserowi nie mógł się oprzeć. Czekał tylko, aż Kate i pani Donovan usiądą na swoich miejscach, w ślad za nimi chwycił za łyżeczkę i zaczął pałaszować. Jedzenie takich smakołyków w tej staroświeckiej kuchni było jak odwiedziny w krainie, którą niegdyś kochał, ale do której

nie wracał przez bardzo długi czas. Choć spotkania z ludźmi stały się dla niego raczej przykrą koniecznością, teraz z zaskoczeniem musiał przyznać, że kolacja z tymi dwoma kobietami nie była tak uciążliwa, jak się spodziewał. Trudno było nie czerpać przyjemności z wieczoru, podczas którego serwowano tak niesamowite jedzenie.

- Babciu, to jest przepyszne - powiedziała Kate.

- Tak, to prawda. - Matt odłożył łyżeczkę, starając się nieco ochłonać.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. - Pani Donovan sięgnęła przez stół i ścisnęła jego dłoń. - Cieszę się, że ci smakuje. I cieszę się też, że będziesz od dziś z nami jadał.

Zanim zdążył zaproponować, wstała i zaniósła swój talerz do zlewu.

- No, to na mnie już czas - powiedziała. - Zmykam do łóżka. Kto rano wstaje... - Mrugnęła do niego. - Matt, jest jeszcze jeden powód, dla którego warto nauczyć się gotować. Nie musisz po sobie zmywać. - Pożeglowała w kierunku jadalni. - Dobranoc, Kate.

- Dobranoc, babciu.

- Dobranoc, Matt. Zerwał się na równe nogi.

- Dobranoc.

Pani Donovan posłała mu pożegnalny uśmiech i zniknęła. Kate wróciła do jedzenia swojego deseru.

Matt opadł z powrotem na krzesło i połknął ostatnie kilka kęsów. Co tu się właśnie wydarzyło? Pani Donovan wyszła i teraz znalazł się sam na sam w kuchni z Kate. Oboje jedli. To mu wyglądało na randkę.

Randka. Na samą myśl dopadło go uczucie paniki.

Nie lubił jej w *taki* sposób. Właściwie wobec Kate starał się zachować ostrożność. A jednak... był tutaj, prawda? Wcześniej przyznał przed samym sobą, że jest w niej coś, co trochę lubił.

Patrzył teraz, jak pochyla głowę nad talerzem. Więc co to było? Co takiego w niej lubił?

Patrząc na nią, pomyślałbyś, że pochodzi z zamożnej rodziny. Była subtelna i wyrafinowana w sposób, który mógłby wskazywać na pochodzenie z bogatego domu. Tyle że nie miała na ręce Rolexa, a jej kolczyki, choć zapewne z prawdziwymi diamentami, były niewielkie. Kate łączyła też w sobie inne niezwykłości... Jej talia mogła mieć obwód jak jego nadgarstek, a jednak Matt widział, jak Kate pracowała cały dzień, zdzierając tapetę i przeciągając pudła. Lubiała się śmiać, a jednak czuł, że w środku boryka się z jakimś smutkiem. Na początku podejrzewał, że jej praca ma coś wspólnego z organizacją imprez, ale okazało się, że jest pracownikiem opieki społecznej i spędza czas z dziećmi z problemami.

Niektóre z tych rzeczy budziły jego podziw. A jednak żadna z nich nie była *tym* czymś, co go do niej przyciągało.

Po śmierci Beth rozpacział i żył z lodowatą kulą w piersi. Nosił ją ze sobą wszędzie, gdziekolwiek szedł. Przesłaniała mu każdą myśl. Wpływała na każdą decyzję, którą podejmował. Ludzie, którzy pojawiali się w jego życiu, nie mogli jej dotknąć. Nikt jej nie dotknął. Nikt nie mógł jej dotknąć.

Może oprócz... Kate.

Nie rozumiał tego, ale ona najwyraźniej miała siłę, żeby roztopić trochę to zimno, które nosił w sobie. Tylko trochę.

Nie chciał, aby miała na niego jakikolwiek wpływ. A to, że tak było, sprawiało, że stawała się niebezpieczna. I tak z ledwością uchodził z życiem. Tylko w ten sposób mógł przetrwać kolejny dzień. Robił tak każdego okropnego dnia, odkąd umarła Beth - stwarzał pozory. Wykonywał te same znajome, niezbędne czynności, zawsze w ten sam określony sposób, codziennie. Jeśli nie wydarzało się nic nieoczekiwanego, mógł uwierzyć w to, że uda mu się przetrwać od wschodu do zachodu słońca i że utrzyma

jakąs równowagę. Jeśli zrezygnowałby ze swoich przyzwyczajzeń, potem mógłby się już nie pozbierać.

Nagle uniosła głowę, przyłapując go na tym, że się w nią wpatrywał.

- Co? Ubrudziłam się gdzieś? - Niepewnie zakryła ręką usta.

- Nie.

- Jesteś pewien? Błagam, powiedz mi, bo inaczej spalę się ze wstydu, jeśli później spojrzę w lustro i zobaczę jeżyny na zębach.

- Tak, jestem pewien.

- Okay. - Odsunęła gwałtownie krzesło i odchyliła się na nim do tyłu.

- Ale się objadłam. Nie przełknę już ani kęsa.

Zjadł ostatnią łyżeczkę deseru.

Patrzyła na niego z pełnym współczucia półuśmiechem.

- Babcia oczekuje, że od dziś będziesz jadał z nami.

- Nie mogę.

- Naprawdę nie możesz? Nie odpowiedział.

Przez kilka chwil przyglądała mu się uważnie, tylko zegar kuchenny swoim głośnym tykaniem przerywał ciszę. Potem Kate wstała i zaczęła składać talerze i sztućce.

- Mówiłeś wcześniej, że na kolację zazwyczaj jesz mrożonki i kanapki.

- Tak.

- Ja też. Macie w mieście Potbelly Sandwich Shop? Kiwnął głową.

- W południowej części, blisko Fourth i Riverbend.

- To dobrze. Jadłeś ich włoską kanapkę na białym chlebie z piklami i chili?

- Nie.

- Powinieneś, jest niesamowita. - Zniosła ich naczynia do zlewu. — A płatki? Też je masz w kolacyjnym menu?

- Jakoś raz w tygodniu.
- Ja też. A jarzynową z puszki?
- Też.
- To tak jak ja. Chińszczyzna na wynos?
- Czasami.

To było kłamstwo. Nie chciał, by wiedziała, że kiedy zatrzymywał się w restauracji, by zamówić coś na wynos, zwracał na siebie zbyt dużą uwagę; a nie tego poszukiwał.

Zaczęła szorować talerze szczotką na długiej rączce.

- U mnie, w Dallas, zamawiam czasem chińszczyznę, ale zwykle wybieram coś meksykańskiego. Dallas to niemal stolica genialnego meksykańskiego jedzenia. W Redbud chyba nie ma żadnej meksykańskiej knajpy, zgadza się?

- Zgadza się.

Matt upił łyk kawy. Był rozdarty. Miał ochotę uciec, ale niegrzeczne byłoby zostawiać Kate samą z całym tym bałaganem. Objął wzrokiem stertę naczyń i usłyszał w głowie głos matki przypominający mu podstawy savoir-vivre'u. Byłaby zdruzgotana, gdyby dowiedziała się, że wyszedł nie zaoferowawszy choćby pomocy przy zmywaniu.

Zrezygnowany podszedł do zlewu i wskazał na brudne naczynia, które Kate właśnie szorowała.

- Ja to umyję.
- Nie trzeba, naprawdę. Nie musisz mi pomagać.
- Ale ja nie mam nic przeciwko.

Kolejne kłamstwo. I kolejna rzecz, od której zdążył się odzwyczaić: mówienie o swoich prawdziwych uczuciach.

- Na pewno?
- Jasne.
- No to dziękuję.

Podwinął rękawy i zaczął wkładać naczynia do zmywarki, podczas gdy Kate kręciła się po kuchni, odkładając niektóre

rzeczy na swoje miejsce. Pracowali w kojącej ciszy, póki kuchnia nie lśniła czystością.

Jadąc samochodem do domu, Matt wracał myślami do wieczoru. Gotowanie. Smak jedzenia. Tematy rozmów. Pani Donovan. Kate. Wyszedł z tego cało. Ale instynkt podpowiadał mu, że byłoby bezpieczniej, znacznie bezpieczniej, gdyby od teraz odrzucał ich zaproszenia.

Niech sobie urządzają we dwie nocne kolacyjki, ale bez niego.

Dobrymi chęciami jest piekło wybrukowane.

Mimo szczerych chęci Matt przyszedł na kolację następnego wieczoru. I jeszcze następnego.

Pani Donovan, dama, którą uważał za uroczą i delikatną osobę, kategorycznie odmówiła zaakceptowania faktu, że Matt rezygnuje z lekcji gotowania. Próbował, nie mógł jednak wybić jej tego z głowy.

W sobotę z ulgą powrócił do swojej samotności. Nie musiał jechać do Chapel Bluff przez całe kolejne dwa dni, nie musiał gotować, nie musiał rozmawiać, nie musiał kryć się przed spojrzeniem orzechowych oczu Kate.

Nic tak dobrze jak dziarski spacer w towarzystwie siedemdziesięciolatek nie daje do zrozumienia, że człowiek jest zwyczajnym obibokiem z kiepską kondycją.

Była niedziela i Kate wracała z porannego nabożeństwa. Babcia, Velma i Peg chodziły do różnych kościołów, bo, *oczywiście*, każda z nich musiała pójść do tego, do którego uczęszczała od dziecka. Następnie robiły to, co każdy pełna rozumu chrześcijanin chciał jak najszybciej zrobić po nabożeństwie: zrzucały odświętne ciuchy. Potem wszyscy spotykali się na lunchu u Peg, a po nim, bo na niebie nie było ani jednej chmurki (a starsi ludzie, jak gderali, muszą - zwłaszcza po dużym posiłku - się „wychodzić”), wyruszyli na spacer do lasu za domem Peg. Spotykali się w swoim stałym gronie: Kate, trzy „dziewczęta”, mąż Peg, William, i Morty, który nadal nie wiadomo według jakiego klucza był częścią tej grupy.

Pogoda była przepiękna, słoneczna i jasna, a rześki wiatr szeleścił w trawie i odgarniał włosy z twarzy Kate. Las, którym szli, pachniał jak wspomnienie obozów harcerskich — miał wilgotny, drzewny zapach, który poprawiał samopoczucie.

Jesień. Kate ją uwielbiała. Uwielbiała wakacje. Uwielbiała chodzić w dzinsach i pikowanym płaszczyku, na który bardzo długo odkładała pieniądze. Uwielbiała taką temperaturę.

Jak można się było spodziewać, Velma wyrwała się na przód grupy. William, w swojej dobroduszości, próbował dotrzymać jej kroku, zarówno w marszu, jak i w rozmowie. Za nimi dreptała babcia, pod rękę z Peg. Szły z głowami pochylonymi ku sobie, a Kate, sapiąc i dysząc, obstawiała tyły z Mortym.

- To gdzie mieszkasz w Dallas? Masz dom? - zapytał Morty.
- Właściwie to mam. Połowa bliźniaka, kupiłam go cztery lata temu.
- Ach tak? A kto mieszka po sąsiedzku?
- Bardzo miła pani, bibliotekarka na Southern Methodist University. - Jej sąsiadka mieszkała w prawej części bliźniaka od ponad trzydziestu lat, więc Kate odziedziczyła ją po prostu wraz

z kupnem domu. Judy była cicha, miała iście inteligencki wygląd, dwa koty i mnóstwo roślin doniczkowych. Nigdy nie wyszła za mąż. Choć Kate ją lubiła, nie mogła czasami oprzeć się wrażeniu, że dwie części jej bliźniaka były jak zdjęcie „przed” i „po”. Kate była „przed”, ale często czuła się tak, jakby nieubłagane zmierzała ku temu samemu losowi, co Judy. Ku kotom i roślinom doniczkowym.

- Ale chyba nie produkuje amfy, co? Kate spojrzała zaskoczona na Morty'ego.

- Amfy?

- Tak, amfy. Odszedłem już z policji, ale jestem całkiem na bieżąco. W dzisiejszych czasach różni ludzie robią amfę, nawet we własnej kuchni. Sprzedają ją bezpośrednio w swoim domu.

- Aha...

- A może do twojej sąsiadki przychodzą i wychodzą od niej o późnych godzinach jacyś nieznajomi?

- Nie.

- Podejrzani ludzie parkują przed domem?

- Nie bardzo. Moja sąsiadka nie produkuje amfetaminy. Jestem tego na sto procent pewna.

Morty głośno odchrząknął.

- No cóż, to dobrze.

Wyglądał tak, jak mógłby wyglądać Elvis w wieku siedemdziesięciu siedmiu lat. Pofarbowane na czarno włosy, mokre od żelu. Biała koszulka na szerokim torsie i na całkiem przyzwoitych rozmiarów brzuszku. Wyprasowane džinsy. Białe skarpetki. Czarne mokasyny. Kiedy wychodzili z domu, narzucił na siebie szarą wiatrówkę.

- Czy w Dallas często grasz w kręgle?

- Obawiam się, że nie.

- To teraz masz okazję. Weź ze sobą Beverly. Jestem na torach w każdy wtorek i czwartek o dziesiątej. Z przyjemnością dam wam kilka wskazówek.

- Dzięki, Morty.

Szli i szli, a gałązki i liście trzaskały pod ich stopami.

- Grasz w pokera? - zagadnął.

- Teraz rzadko.

- A my... - Skinął w kierunku grupy z przodu. - Spotykamy się w piątki wieczorem na partyjce.

- Czyżby to była twoja zasługa? - Tylko Morty mógł wpaść na taki pomysł, tak przynajmniej pomyślała Kate.

- Tak. Ale pozostali grają coraz lepiej. Kiwnęła głową.

- Wspomniałem o tym Beverly podczas lunchu. Zaproponowałem, żeby przyszła i wzięła ciebie ze sobą, ale powiedziała, że Matt Jarreau je z wami w piątki kolację i że nie chce go zostawiać. - Wsunął ręce głęboko w kieszenie kurtki. - Więc pomyślałem, że jeśli ty i twoja babcia mimo wszystko chciałybyście pograć, moglibyśmy wtedy spotykać się u was, w Chapel Bluff.

- Jasne, byłoby miło.

Życie towarzyskie Kate musiało być naprawdę w opłakanym stanie, skoro ta propozycja tak ją podekscytowała.

- Na co gracie? - zapytała.

- Na pieniądze. Ale stawka wejściowa to tylko pięć dolarów od głowy. - Kiwnął lekceważąco w kierunku innych. - Ci tutaj nie mają parcia na większą kasę.

- Rozumiem.

Szli w milczeniu błotnistą ścieżką. W oddali Kate usłyszała szemranie strumyka.

- Więc, Kate...

- Tak, Morty?

- Jest coś, o czym chciałem z tobą porozmawiać.

Nie miała pojęcia, o czym jeszcze mogliby gadać, zwłaszcza, że dokładnie omówili już temat amfy, kręgli i pokera.

- Okay.

- Jesteś młoda. I pewnie wiesz wszystko o romansach i takich tam.

Zastanawiała się, kogo Morty zaraz jej zareklamuje. Wnuka, który boi się zaangażować? Kujonowatego sąsiada? Zapatrzonego w siebie siostrzeńca?

- Niestety, nie jestem pewien, czy ja wiem aż tyle na ten temat.

- No cóż, ja...

Zmarszczył brwi. Ich oczom ukazał się strumyk, tuż przy ścieżce, przejrzysty i zimny, na jego powierzchni unosiło się kilka liści.

- Młode dziewczęta w twoim wieku... lubią chodzić do, jak to nazywacie? Spa? Żeby zrobić sobie manicure?

Spojrzała na niego, zszokowana.

- Staram się powiedzieć... Chodzi mi o to, że... - Na jego czole malowała się frustracja. Zatrzymał się i obrócił twarz do Kate. - Kocham Velmę.

- Aha.

Jego jasnozielone oczy wypełnił szczerzy smutek.

- Ale ona mnie nie chce. Nie chce się nawet umówić na randkę - dodał rozżalony.

Kate spojrzała na niego ze współczuciem.

- Przykro mi.

- A ja mam już dość czekania na tę kobietę. - Gestykulował coraz gwałtowniej, z rosnącą ekscytacją. - Moja żona zmarła dwadzieścia lat temu, a mężczyzna ma swoje potrzeby...

Jeśli dokończy tę myśl, Kate rzuci się do strumienia.

- Velma jest ognistą kobietą - kontynuował Morty. - Wiem to. Do licha, lubię takie. Ale zapraszałem ją już chyba z pięćdziesiąt razy i ciągle nic. Nic!

- Rozumiem.

- Mam swoją godność.

- Tak, oczywiście.

- Już mam tego prawie potąd. - Przejechał dłonią na wysokości czoła.

- Jasne.

Morty zapatrzył się markotnie na strumień, wyłamując kościste palce.

- Choć mam jeszcze kilka asów w rękawie - dodał.

Kate czekała, podkulając i rozprostowując palce w tenisówkach. Wskazał na ścieżkę przed nimi.

- Idziemy?

- Jasne.

Ruszyli do przodu.

- Chciałbym zaproponować ci układ - powiedział. - Chciałbym, żebyś pomogła mi zdobyć Velmę. Tak, żeby poszła ze mną na jakąś porządną randkę.

- Morty, nie wiem, czy mam na nią jakikolwiek, a co dopiero duży wpływ.

- Och, wydaje mi się, że masz. Wiem, że ona bardzo cię ceni. A to dopiero. Najwidoczniej w przypadku Velmy nie można było odróżnić szczerzej sympatii od ponurej akceptacji.

- Wiesz, ona ma tylko synów i wnuki. Większość z nich to pasożyty. W porównaniu do nich jesteś skarbem — kontynuował.

- Och.

- No więc. Namów ją na spotkanie ze mną, a ja w zamian będę ci dawał takie bony, podarunkowe... wiesz... do spa.

Wreszcie mówił językiem, który rozumiała.

- A ile tych bonów?
- Jeden za każdą randkę.
- Ile każdy z tych bonów będzie wart?

Spojrzał na nią, marszcząc brwi. Uśmiechnęła się do niego, wzruszyła ramionami.

- Velmy nie będzie łatwo przekonać.
- Pięćdziesiąt dolarów i ani centa więcej.
- Dobra. - Wyciągnęła rękę. Odpowiedział mocnym uściskiem dłoni.

Babcia najwyraźniej uważała, że Kate nie potrafi sama włożyć klucza do zamka. Albo może martwiła się, że w stodole roi się od pajaków, i nie chciała, żeby Kate została pokąszona w samotności. Albo może - ze ściśniętym sercem Kate stwierdziła, że jest to najbardziej prawdopodobna opcja - babcia próbowała ją subtelnie swatać. Nalegała bowiem, by Matt towarzyszył Kate w odkrywaniu wyższej kondygnacji stodoły i „pomógł” jej sprawdzić, co takiego zostało tam zmagazynowane.

Matt, ubrany w dżinsy, bejsbolówkę i kolejną przytulnie wyglądającą flanelową koszulę zarzuconą na koszulkę z długim rękawem, przystał na prośbę babci. Ale zgodził się z miną pełną milczącego cierpienia i rezygnacji, stąd trudno było to potraktować jak pochlebstwo.

Matt tolerował Kate. Bóg widział, że próbowała się z nim zaprzyjaźnić, rozluźnić go, sprawić, by się uśmiechnął. W zamian on w najlepszym razie ją *tolerował*.

Na niższą kondygnację stodoły można było się łatwo przedostać przez ogromne drzwi garażowe. Ale droga na pierwsze piętro

wiodła jedynie przez drzwi ulokowane na szczycie rozchwianych drewnianych schodów, które trzymały się kurczowo najdalszej zewnętrznej ściany stodoły. Po otwarciu zasuw Matt popchnął drzwi i przytrzymał, by Kate mogła wejść do środka.

Kate wzięła ze sobą latarkę. Teraz ją włączyła i weszła do olbrzymiego pomieszczenia, które służyło za przechowalnię. Pełne kurzu, ciężkie powietrze zakłębiło się wokół, otaczając Kate niczym mgła. Zmarszczyła nos i ruszyła w głąb. Zapach przypominał jej wnętrza kościołów, które zwiedzała podczas wycieczki do Anglii, kilka lat temu. Zapach zamknięcia, wilgoci i starości.

- I co sądzisz? — zapytał Matt.

- Nie jestem jeszcze pewna.

Rozpoznała kilka skrzyń posażnych, stojących prawie na środku pomieszczenia. Pozostałe rzeczy ukryto pod płachtami materiału i zabezpieczono linami. Może to meble? Tak wyglądały na pierwszy rzut oka. Podeszła do czegoś o średnich rozmiarach, co kształtem przypominało krzesło.

Za sobą słyszała kroki Matta.

Kate położyła latarkę na podłodze i oświetliła przedmiot. Rozwiązanie pierwszego węzła zajęło jej minutę. Z wdzięcznością zobaczyła, jak Matt klęka tuż obok i zaczyna rozsupływać drugi, u podstawy. Klęczeli bardzo blisko siebie, tak blisko, że słyszała jego oddech. Jej zmysły zaczęły szaleć.

To tylko przyjaciel, skarciła się w myślach stanowczo, próbując zapanować nad odruchami ciała.

Kiedy rozplątali wszystkie węzły, Kate pociągnęła za brudną płachtę i jednym ruchem odrzuciła ją na bok.

Przepłynęła przez nią fala gorąca. Poznała, co to za przedmiot. Zakryła ręką usta.

- Och - wymamrotała, wpatrując się z niedowierzaniem w krzesło.

Po kilku uderzeniach ciszy Matt zapytał:

- Czy to znaczy, że jest dobrze? Pokiwała głową w osłupieniu.

Patrzyli na drewniane krzesło, oświetlane światłem latarki i delikatną poświatą promieni słonecznych, którym udało się przedrzeć przez brudne okno. Mebel stał w wirujących drobinkach kurzu niczym w świętej aureoli. Bił od niego blask. Jakby mówił: *Już najwyższy czas, żeby ktoś mnie znalazł.*

Kate przełknęła ślinę. Zwilżyła wargi.

- To jest... - Spojrzała na Matta. Patrzył na nią dziwnie, w oczekiwaniu. — To jest krzesło windsorskie. — Odruchowo zaczęła gestykulować. - O oparciu szczebelkowym, z podłokietnikami... i... - Dotknęła drewnianego oparcia na szczycie. - I wijącą się ramą.

- Jest bardzo stare?

- Ma prawdopodobnie około dwustu lat. Matt uniósł brwi.

- Zrobiono je w Ameryce?

- Tak. W Nowej Anglii. To jest - oświadczyła Kate - *bajeczne* krzesło.

Stali tak razem przez minutę, nie odzywając się do siebie, tylko patrząc. Był to piękny przykład rzemiosła wysokiej klasy. Z historią. Używany, ale nadal idealny jak na swój wiek. Niezwykle znalezisko.

- Skąd wiesz, że to nie jest podróbka? - zapytał w końcu Matt.

Musiała otrząsnąć się z szoku, żeby przechylić krzesło i zajrzeć pod oparcie, by sprawdzić, w jaki sposób wbudowano drewniane szczeble.

- Musimy wezwać eksperta, żeby wiedzieć na pewno. Ale myślę, że to autentyk.

- Wiesz dużo o antykach.

- No tak, uwielbiam antyki.

Przejechała palcami po zwężających się ku podłodze nóżkach.

- Nie mogę *uwierzyć*, że właśnie odkryliśmy to krzesło, tu, na górze! -
Posłała mu uśmiech.

Ich oczy spotkały się. Matt nie uśmiechał się, ale też się nie skrzywił. Wyciągnął do niej rękę, którą przyjęła, i pomógł jej wstać.

- Myślisz, że może tu być więcej takich mebli? - Kate objęła wzrokiem pozostałe zwaliste przedmioty zagracające strych.

- Sprawdźmy.

Odkryli jeszcze co najmniej dwadzieścia mebli przykrytych materiałem. Do tego skrzynie posażne, drewniane kufry w różnych rozmiarach. Coś, co jeszcze kilka minut temu wydawało się nieznośnym obowiązkiem, teraz było prawdziwą, ekscytującą wyprawą w nieznane.

Kate podeszła do najbliższego mebla, wysokiego na około metr osiemdziesiąt i szerokiego na metr dwadzieścia, i zabrała się za rozsypywanie jednego z czterech węzłów.

Matt znów do niej dołączył. Jego duże dłonie pewnie i z gracją rozwiązywały kolejne pętle przypieczętowane czasem. Kate znów starała się oprzeć wpływowi, jaki wywierała na niej jego bliskość. Nie do końca to się udawało. Nie zawsze potrafiła całkowicie się opanować.

- Chcesz czynić honory? - zapytała, kiedy skończyli. Wskazała na materiał.

- Nie, jest całe twoje.

Kate zerwała pokrowiec. Tym razem odgrzebali narożny kredens. Dolna połowa była wyposażona w parę drewnianych drzwiczek, z dwoma szufladami u góry. Górna część została podzielona

na trzy półki, schowane za drzwiczkami z podwójną szybą, otwierającymi się na zewnątrz.

Kate dotknęła gałki przy skrzydle górnych drzwiczek, a potem delikatnie przejechała opuszkami palców po szkłe.

- I co? - zapytał Matt.

- Myślę, że jest jeszcze starszy od krzesła windsorskiego. - Zaśmiała się, nie mogąc uwierzyć w ten niewyobrażalny łut szczęścia. Otworzyła drzwiczki i zajrzała do środka. — Może druga połowa osiemnastego wieku.

- Czy ta farba powinna tak wyglądać?

- Tak.

Coś, co najwyraźniej było niegdyś farbą w kolorze kremowym, teraz stało się wyblakłe i odrapane.

- Gdybym wiedziała, że są tu takie meble, to przyszedłabym tu natychmiast, jeszcze pierwszego dnia w Chapel Bluff. Od razu! — ciągnęła podekscytowana Kate. — Babcia myślała, że to głównie śmieci. A tu proszę... niesamowite. Będziemy potrzebowali rzeczoznawcy. I kogoś, kto się tym odpowiednio zajmie i odrestauruje. I koniecznie musimy zainstalować więcej czujników dymu.

- Czujników dymu?

- Tak, i to w całym domu, kiedy tylko przeniesiemy tam te rzeczy. Pomyśl, co by to było, gdyby nagle to wszystko zostało zniszczone.

- Wyobrażam sobie.

- Możesz załatwić kogoś, żeby przenieść te meble do domu?

- Znam parę osób.

- Świetnie, bo zaraz po sobotniej wyprzedaży garażowej, kiedy tylko wyniesiemy wszystkie sfatygowane sprzęty z domu, możemy wnosić te rzeczy.

- Pewnie najpierw chciałabyś dokończyć malowanie.

- No tak, dobrze.

- I wycyklinować podłogi.
- Pewnie tak.
- I wtedy prawdopodobnie możesz przenieść meble. Oparła ręce na biodrach i zdmuchnęła z oczu kosmyk rudych włosów.
- Chyba lepiej pójde po babcię.

Jeśli chodzi o meble, jej przodkowie mieli świetny gust. Prawie połowa rzeczy schowanych i zapomnianych na dziesięciolecia w stodole okazała się mieć wielką wartość. Tak wielką, że każda z nich mogłaby wystąpić w programie *Antyki na wyjeździe*. Mieszanka eklektyczna: mahoniowy kredens w stylu federalnym, biurko Chippendale (Chippendale!), orzechowy zestaw mebli do jadalni w stylu królowej Anny, meble w stylu Shaker i stół, który według podejrzeń Kate mógł być autorstwa samego Gustava Stickleya.

Matt spędził w Chapel Bluff cały dzień, niewiele się odzywając pośród pisków i okrzyków babci i Kate, odwalając za to najcięższą robotę. Operował łomem, dźwigał skrzynki, przesuwiał ciężkie przedmioty na bok, by utorować drogę do kontenera i móc swobodnie wynosić góry śmieci.

W pokieroszowanych drewnianych kufrach odkryli narzuty, gazety, wiekowe egzemplarze Biblii, trzy wspaniałe obrazy szkoły malarstwa Hudson River School, trochę ceramiki i sporą kolekcję szkła z czasu Wielkiego Kryzysu.

Tego wieczoru po kolacji Kate skuliła się w sypialni z filiżanką herbaty, zbyt podekscytowana, żeby od razu iść spać. Gdy gapiała się w pusty kominek, przed oczami przesuwwały się jej lśniące drewniane szuflady, idealnie gładki blat biurka, piękno zakrzywionych

linii oparcia krzesła. Znalazła dziś rzeczy, które zaparły jej dech w piersiach. W ciągu całego swego życia nie śniła nawet, że odkryje tyle, co dziś. Było to tym przyjemniejsze, że meble wpisały się w historię jej rodziny, a teraz znów znajdą dla siebie dom, tu, w ścianach Chapel Bluff, gdzie było ich miejsce.

Pociągnęła długi łyk herbaty, delektując się miętowym aromatem. To wszystko wydawało się zdecydowanie zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

W koszyku przy nogach wersalki znalazła Pismo Święte babci. Z niewielką pomocą indeksu udało jej się odnaleźć odpowiedni werset. *Każde dobro, jakie otrzymujemy, i wszelki dar doskonały zstępują z góry, od Ojca światel, u którego nie ma przemiany ani cienia zmienności.*

Dziękuję, modliła się. Dziękuję Ci, Boże.

Tego wieczoru, patrząc w gwiazdy widoczne z okien jej pokoju, Kate czuła niepowstrzymany przypływ nadziei. Nadziei związanej z tym starym domem, z jej przyszłością, pracą, z samotnym budowlańcem ze złamanym sercem.

Geriatryczny gang zjawił się wcześniej na piątkowy pokerowy wieczór.

Choć kolacja miała być gotowa dopiero na wpół do siódmej, Kate zauważyła Peg i Williama już o siedemnastej czterdzieści osiem. Czarny Pontiac Trans Am Velmy ze złotym ptakiem na masce, rodem z filmu *Mistrz kierownicy ucieka*, zaparkował przed domem za pięć szósta.

Kate, parując jeszcze po piętze w szlafroku frotte, i z mokrymi włosami, wzięła się w pośpiechu za suszenie.

Przez ostatni tydzień, mimo przeciwności losu, ona, Matt i babcia kontynuowali swoją małą wieczorną tradycję. Każdego wieczora w dzień powszedni Matt wychodził z pracy, jechał do domu wziąć prysznic i wracał na lekcje gotowania. Jeśli potrawa wymagała dłuższej chwili w piekarniku, siedzieli wówczas przy stole, podjadając ser i krakersy albo hummus i pittę. Podczas kolacji gawędzili o nadchodzących wydarzeniach w miasteczku, wspomnieniach z dzieciństwa babci, filmach, książkach. O wszystkim oprócz historii życia Matta. Czasem wspólnie z Kate sprzątał po kolacji, ale zawsze kwadrans po ósmej był już przy drzwiach, żeby pójść do domu i... robić... No właśnie, ciekawe, co on tam robił.

Kate czuła, że te obiady nie należały do najłatwiejszych doświadczeń Matta. Zwykle pojawienie się wśród ludzi było okupione większym wysiłkiem, niż by tego chciał. Kate nie wspomniała mu zatem o wieczorku pokerowym, wiedząc, że wtedy na pewno by nie przyszedł. Ale teraz nie była wcale pewna co do słuszności swojej decyzji i żałowała, że go jednak nie ostrzegła. Trudno było przewidzieć reakcję Matta na przyjaciół babci, a ostatnią rzeczą, jakiej teraz chciała, było wywarcie na nim zbyt dużego nacisku i wystraszenie go.

Gdy zeszła w końcu na dół, w kuchni zastała obrazek przedstawiający tradycyjny już podział ról w przygotowywaniu posiłków. Znała ten schemat od dziecka. To niesamowite, jak niezmienny pozostawał niezależnie od miejsca, czasu czy wykonawców.

William i Morty siedzieli beczynnie przy kuchennym stole. Kate była pewna, że gdyby na parterze był jakikolwiek telewizor, natychmiast usadowiliby się przed nim i włączyli kanał sportowy. Ale telewizora nie było, więc zamiast tego po prostu siedzieli i wyglądali niezręcznie.

Kobiety poruszały się za to ze zdwojoną prędkością. Mieszały sałatkę z fasolki szparagowej, nakładały mięso duszone

z warzywami na półmisek, rozmrażały masło wyjęte z lodówki i robiły jeszcze siedemnaście innych rzeczy na raz.

Ta odmienność ról zawsze wprawiała Kate w zakłopotanie. Czuła się dziwnie, może nawet nieco urażona, że oczekuje się od niej, by rzuciła się do przygotowywania posiłków, ponieważ została obdarowana przez naturę biustem, podczas gdy po tych, którzy byli go pozbawieni, najwyraźniej nie spodziewano się niczego ponad wrastanie w wygodne fotele.

Oczywiście, tak do końca nie miała prawa krytykować Morty'ego i Williama. Ci, którzy dostali za zadanie wrzucać lód do szklanek, nie powinni się wymądrzać.

Po przywitaniu się ze wszystkimi Kate posłusznie skierowała się do serwantki po szklanki. Gdy wyciskała kostki lodu z tacek, usłyszała na zewnątrz samochód Matta. Zamarła w oczekiwaniu na odgłos gaszonego silnika.

Ale samochód wciąż był na chodzie.

Matt nadal nie wysiadł.

No tak. Zobaczył inne samochody i nawet nie wejdzie, tylko odjedzie do domu. Kate podniosła głowę i napotkała utkwiony w nią wzrok babci. Wybałuszyła oczy w milczącym porozumieniu.

- Przepraszam was na sekundkę.

Babcia wytarła ręce w fartuch i pospieszyła ku kuchennym drzwiom. Ta kobieta miała taki dar przekonywania, że nawet kwiaty za jej namową zakwitłyby w styczniu. Kate nie traciła nadziei.

I rzeczywiście, chwilę później babcia stanęła w drzwiach, a za nią pojawił się Matt. Wszyscy obecni zamilkli, przyglądając mu się z fascynacją.

Matt stał bez ruchu, ale dało się wyczuć, że tłamsi w sobie wciąż narastającą energię, jakby zaraz miał się odwrócić i ruszyć w kierunku pick-upa. I kiedy tak stał, z zapobiegawczo kamienną

twarzą, pomimo całego swojego fizycznego piękna i siły, w oczach Kate był bezbronny.

Serce jej się ścisnęło. *Do licha!* Czuł się nieszczęśliwy wśród tylu nieznajomych. Wiedziała, że tak będzie, i dlatego powinna go była ostrzec przed dzisiejszym wieczorem.

- Kochani - powiedziała babcia, poufale chwytając Matta pod ramię. - To Matt Jarreau. Oczywiście wiecie, że jest naszym wspaniałym wykonawcą.

Matt miał na sobie obcisły granatowy sweter i proste spodnie khaki bez kantów. Kate mogłaby iść o zakład, że jest jednym z tych facetów, którzy praktycznie nie przywiązują wagi do swojego stroju. Prawdopodobnie wkładał to, co akurat było czyste. A jednak ten luźny, nieco pomięty styl powodował, że Matt wyglądał jak model.

- Matt - ciągnęła babcia - to są William, Morty, Peg i Velma. Moi przyjaciele.

Matt skinął lekko głową.

- Miło mi.

Velma podeszła do niego, wciąż trzymając dwie wystrzępione łapki kuchenne. Akurat gdy Matt parkował, wносиła do jadalni marchew w glazurze.

- Mój Boże, jesteś wyższy niż myślałam. Ile masz wzrostu?

- Metr dziewięćdziesiąt.

- Hmm.

Zmierzyła go zza swoich olbrzymich okularów, jakby decydowała, czy łaskawie pozwoli mu zostać.

Kate była zdecydowanie nadopiekuńcza w stosunku do Matta, czego pewnie by sobie nie życzył. A jednak. Jeśli Velma zacznie mu dokuczać, Kate zainterweniuje.

- Wysoki i przystojny - ogłosiła Velma. - Dobrze jest mieć takiego przystojniaka na kolacji, prawda, dziewczęta?

Katastrofa. Kate czekała tylko, aż Matt rzuci się do ucieczki. On jednak pozostał niewzruszony, najwyraźniej odjęło mu tylko mowę.

Peg zarumieniła się i kiwnęła lekko głową.

- Oczywiście! - Babcia uśmiechnęła się do Matta, a jej niebieskie oczy błysnęły. Zawsze miło jest gościć fajnych facetów.

Uwaga Velmy, jak sokoła, który spostrzegł kanarka, przeniosła się na Kate.

- Prawda, że miło, Kate?

- Tak - odparła Kate nieprzekonywująco. - Oczywiście.

I tak właśnie Matt Jarreau został zaprowadzony do kuchni, zgarnięty do stołu w jadalni i stanowczo zatrzymany na pokerowym wieczorze.

Po kolacji Morty - który traktował grę w pokera bardzo serio

- wyjął olbrzymią skrzynkę z żetonami i małą karteczkę z instrukcją o wartości każdego koloru. Kiedy rozstawiał wszystko na stole w jadalni, Velma poszła do łazienki. Kate po chwili dyskretnie podążyła za nią i poczekała w korytarzu.

Wreszcie Velma pojawiła się w drzwiach toalety. Na widok Kate zatrzymała się.

- Na twoim miejscu poczekalabym kilka minut - ostrzegła.

- Fiołkami tam nie pachnie.

— Aha... — Wszystkie ułożone wcześniej w głowie zdania uleciały teraz Kate z pamięci. Gorączkowo próbowała je sobie przypomnieć. — Nie szkodzi. I tak chciałam cię o coś zapytać.

Jedna z namalowanych ołówkiem brwi uniosła się. Velma miała na sobie czarną kowbojską koszulę i džinsy rurki, wciśnięte

w płaskie botki do kostek z frędzlami po bokach. Najwyraźniej dała się skusić na telezakupy i wyłożyła niecałe dwadzieścia dolarów na maszynkę do wbijania ćwieków w materiał, bo miała ich na koszuli dziesiątki. Świeciła się. Chyba nawet jaśniej niż Blaszyński z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*.

Kate oczami wyobraźni zobaczyła, jak Velma próbuje przejść w tym stroju przez bramkę na lotnisku, a wykrywacze metalu w całym terminalu zaczynają wyć.

- Morty cię lubi - zaczęła Kate. - I zastanawiałam się, czy nie przemyślałabyś raz jeszcze opcji wybrania się z nim na randkę.

Velma skwaszona zacisnęła usta.

- Nie. Morty'emu i mnie jest dobrze tak, jak jest. Nie interesują mnie romanse.

- Ale dlaczego nie? Morty wydaje się dobrym człowiekiem. Velma spojrzała na nią sceptycznie.

- Jest atrakcyjnym mężczyzną - powiedziała Kate. *Jeśli lubi się mocno podstarzałych Efaisów*.

- Atrakcyjnym? - odburknęła Velma. - W jakim sensie?

- No... - Kate wcisnęła ręce w kieszenie i szukała gorączkowo odpowiedzi. - Jest męski, dobrze zbudowany, ale nie gruby. I ma interesującą twarz. Silną. I - dodała w przypływie triumfu - ma sporo włosów.

- I w tym tkwi problem. We włosach.

- Jak to?

- Ich kolor. Przypominają mi dobrze nasmarowaną oponę. Wiesz, o czym mówię? Kiedy się ją czyści za dopłatą.

- Tak, wiem. — Kate musiała przyznać, że Morty faktycznie miał *kiepską* fryzurę. — A co, jeśli by coś zrobił ze swoimi włosami? Rozważyłabyś jeszcze raz jego propozycję?

Oczy o mocno wytuszowanych rzęsach studiowały ją, bez jednego mrugnięcia.

- Czyżbyś mianowała się jego menedżerem?
- Nie! Po prostu staram się pomóc.
- Dlaczego?
- Mam swoje powody. A wracając do włosów: gdyby coś z nimi zrobił, umówiłabyś się na randkę?
- Pewnie nie.
- A może jednak? - Kate naciskała. - Nie wmówisz mi, że nie schlebiają ci jego zaloty.

Velma wcisnęła okulary na nos, westchnęła zniecierpliwiona i, obróciwszy się na pięcie, niespiesznie odeszła w głąb korytarza. Diamenciki na jej klamrze do włosów połyskiwały w przyćmionym świetle.

- Zastanowię się.
- Podbijam.

Matt leniwie przejechał kciukiem po krawędziach dwóch kart i rzucił na środek kilka żetonów.

William spasował. Kate znów spojrzała na instrukcję, którą dał jej Morty. Lista obrazków i nazw wszystkich układów kart w pokerze, od najsilniejszego do najsłabszego.

— Ja... znów podbiję? — Spojrzała na Morty'ego i podniosła brew, szukając potwierdzenia, że użyła prawidłowego terminu.

Morty kiwnął głową.

Kate przesunęła stertę żetonów na środek stołu.

Matt wykrzywił się. Miał dwie pary, ale nie wiedział, czy poradzą sobie ze szczęściem początkującego. Kate nie miała zielonego pojęcia o pokerze, ale, co było wręcz absurdalne, udawało jej się górować nad innymi z liczbą żetonów niemal od początku gry.

Nigdy nie brał pokera na serio. Ale jak wszyscy szanujący się mężczyźni wiedział wystarczająco dużo, żeby umieć coś ugrać. I jak wszyscy ambitni sportowcy nie lubił przegrywać. Zwłaszcza z nie-opierzonym żółtodziobem, który ciągle gapił się w ściągę i rzucał karty, krzycząc: „Nic nie mam!” za każdym razem, gdy miał słaby zestaw. Kiedy podbijała, jak teraz, wiedział już na sto procent, że Kate ma dobre karty.

Podejrzewał jednak, że tym razem to on ma lepsze. Przesunął wystarczająco dużo żetonów, by dorównać Kate.

Pozostali gracze spasowali. Morty odwrócił piątą kartę.

Matt czekał. Kate spojrzała na swoje karty i uśmiechnęła się, wyraźnie podekscytowana. Przesunęła kolejną wieżę żetonów na środek.

- Podbijam.

Musiała mieć królewskiego pokera. Jeśli Matt przegra tę partię, to będzie totalna porażka. Spojrzał na stół, podrapał się po skroni. Pewnie powinien spasować. Albo chociaż zabezpieczyć żetony, które mu zostały. A jednak... upór i pewność w swoje karty ciągnęły go w drugą stronę.

A co mi tam. Dorzucił do jej zakładu i trochę od siebie.

Znów podbiła.

Teraz dorównanie pozbawiłoby go wszystkich żetonów, a ją zaledwie połowy. Wypadłby z gry i musiałby spędzić czas w kuchni, z dotychczasowymi przegranymi - Beverly i Velmą.

Ale czy był mięczakiem?

Przesunął resztę swoich żetonów na środek.

- Sprawdzam.

Kate niemal niezauważalnie zacisnęła zęby.

- Zobaczmy, co tam masz.

Zmarszczyła nos i odkryła karty. On też odkrył swoje.

Nie miała... zupełnie nic. Zmarszczył brwi, starając się pojąć jej tok myślenia.

Morty pochylił się do Kate.

- Nie powinnaś stawiać na takie karty. Nic tu nie masz. Nawet pary, widzisz?

Gdy Morty z przesadną cierpliwością kontynuował edukacyjną tyradę, wzrok Kate padł na Matta. Uniosła jeden kącik ust i mrugnęła porozumiewawczo.

Szok powalił Matta na łopatki.

Równie szybko Kate wróciła wzrokiem do swoich kart, poważnie kiwając głową w odpowiedzi na instrukcje Morty'ego.

Zaskoczony Matt zrozumiał, że Kate dokładnie wiedziała, co robi. Doskonale zdawała sobie sprawę, że nic nie ma. Blefowała. Matt myślał o swoich poprzednich kartach, kiedy pasował, kiedy wszyscy pasowali, a ona swoimi delikatnymi rączkami zgarniała ich żetony, nie musząc nawet odkrywać swojego zestawu.

Miłośniczka antyków umiała grać w pokera? Miłośniczka antyków? To było nieprawdopodobne. Zdecydowanie nie wyglądała na wytrawnego gracza, wręcz przeciwnie. Dziś Kate zczesła włosy na bok, z przedziałkiem, i założyła za uszy. Szykowny czarny golf. Szykowna popielata spódnica. Dziwaczne czarne baletki.

Powoli, czując ciężar porażki, zagarnął wszystkie żetony do siebie.

Kate była mistrzem w teksańskim kłinczu. Naprawdę świetnie udawała. Zagubiony wyraz twarzy, pytania, wieczne poleganie na ściadze - to wszystko było oszustwem. Czuł się jak krety, bo dał się nabrać. Ale jeden rzut oka na stół wystarczył, by Matt zrozumiał, że nie tylko on. Kate zaraz puści z torbami całą resztę.

Przyznał sam przed sobą, że budziła w nim podziw. Była doskonała. Wiedziała, że musi działać szybko, nim poznają się na jej farsie. I perfekcyjnie wykorzystywała swoją szansę.

Teraz miał rozdawać William. Potasował talię i zaczął rzucać karty kolejno każdemu z graczy. Kiedy Kate przyjęła pierwszą, podniosła wzrok na Matta i ich spojrzenia spotkały się. Uniosła brew; jej orzechowe oczy błyszczały z rozbawieniem. *I co?* — zdawała się pytać.

Przejrzałem cię — wypowiedział bezgłośnie.

Skinęła głową z uśmiechem. Nie wydawała się ani trochę zmartwiona.

A niech to. Teraz, kiedy się na niej poznał, Kate wytoczy przeciw niemu najcięższe działa! Jeszcze cię dopadnę. Przegra z kretesem.

No cóż, błędzić jest rzeczą ludzką. Wygrała. Zgodnie z tradycją zakończyli grę, gdy w grze pozostało jedynie troje graczy, a potem podzielili wygraną pomiędzy siebie na podstawie liczby i wartości zbieranych żetonów. Kate miała ich dwa razy więcej niż pozostali, drugie miejsce zajął Morty, a trzecie Peg, co było już jawnie żenujące. Nawet z nią przegrał. Matt dotrwał do finałowej czwórki, by bezdyskusyjnie ponieść klęskę.

Postanowił sobie, że jeśli w kolejnym tygodniu nie będzie miał za dużo roboty, to podszkoli się z pokera. Nie bez przyczyny jego imię wygrawerowano na największej nagrodzie w hokeju - na Pucharze Stanleya.

Po katuszach, jakie przeszedł podczas obowiązkowej kurtuazyjnej pogawędki, Matt pożegnał się i wyszedł kuchennymi drzwiami.

Kate wymknęła się tuż za nim, z gracją zarzucając na siebie płaszcz.

- Odprowadzę cię.

Szli w ciemności, ramię w ramię, z rękoma w kieszeniach. Żwir zgrzytał pod stopami.

- Nabrałaś mnie — wyrzucił w końcu Matt.

- No co ty!

- Nie udawaj, wiesz, że tak. Roześmiała się, delikatnie i lekko.
- No, wiem. To było okropne. Okropne! Nie powinnam tego robić, ale Morty od samego początku jakoś założył, że nic nie wiem o pokerze, a ty ciągle posyłałeś mi te zniecierpliwione i pogardliwe spojrzenia...
- Nieprawda!
- Były *zdecydowanie* pogardliwe. - Spojrzała na niego przekornie - I nie mogłam się powstrzymać.
- Prychnął.
- Gdzie nauczyłaś się grać?
- Mój tata uwielbia pokera. - Pochyliła nieco głowę, osłaniając się przed gwałtownym wiatrem. - Większość rodzin na wakacjach grała w Scrabble, kalambury albo uno. My graliśmy w pokera.
- Zamierzam dopracować swoją technikę jeszcze przed kolejną partią.
- Och, serio?
- Tak. Muszę się odegrać. - Doszli do jego samochodu i stanęli naprzeciwko siebie.
- Cieszę się, że przyjdiesz — powiedziała Kate. - Z przyjemnością odbiorę ci jeszcze więcej pieniędzy. Mam na oku taką torebkę, marki Coach...
- Kąciki jej ust unosiły się powoli, układając się w końcu w szeroki uśmiech. Kate rzucała mu jawne wyzwanie.
- Lepiej zacznij oszczędzać, bo za tę torebkę będziesz musiała zapłacić z własnej kieszeni.
- Wolę wydać z twojej. Spiorunował ją wzrokiem.
- I co? Pękasz? — prowokowała go żartobliwie.
- Nie ma mowy.
- Jak zobaczę, to uwierzę.

Pokręcił głową z niedowierzaniem. Miłośniczka antyków była karcianym rekinem i do tego lubiła rozmawiać jak faceci? Odwrócił się, by wsiąść do swojego pick-upa, lecz zamarł z ręką na klamce.

- Czy masz jeszcze jakieś ukryte talenty, o których powinienem wiedzieć, zanim znów zrobię z siebie idiotę? — zapytał.

- Umiem grać w golfa.

- Naprawdę?

Wzruszyła ramionami, jakby dając mu znak: *Spróbuj, a się przekonasz*. Nie wyglądała na wystarczająco silną, żeby wybić piłeczkę dalej niż pół kilometra. Ale po dzisiejszym wieczorze... no cóż, podejrzewał, że to może być możliwe.

Wsiadł do auta.

- Dobranoc.

- Dobranoc, Matt.

Zapalił silnik, włączył światła i powoli wycofał się z podjazdu. W lusterku wstecznym widział przygarbioną od zimna Kate, w miejscu, gdzie stali przed chwilą. Dziwna kobieta. Zaskakiwała go, a to wytrącało go z równowagi. To tak jakby ciągle brodziła po kolana w jego sprawach, zawsze, kiedy nie widział. Sposób, w jaki na niego patrzyła: nie wydawała się przestraszona i nic nie wskazywało na to, że kiedyś się odczepi i zostawi go w spokoju.

Chciał, żeby weszła do domu i nie stała dłużej na zimnie. Była drobna, zatem chłodne podmuchy musiały przeszywać ją na wskroś. Wciąż gapił się na nią w lusterku, a ona nadal tam stała. Po prostu stała, w ciemności, z długimi włosami rozwiewanymi na wietrze, dopóki krzywizna drogi nie skradła jej Mattowi z widoku.

Tamtej nocy Kate próbowała zasnąć, ale bezskutecznie. Najpierw szczerze opatulila się kołdrą i podkuliła nogi niemal do pozycji embrionalnej. Potem próbowała kolejno wszystkich znanych jej technik oddychania, jakich nauczyła się podczas ćwiczeń. Zmusiła większe grupy mięśni do rozluźnienia. Kiedy nie pomagało, zrobiła to, co każdy przedstawiciel pokolenia X robi z pytaniami bez odpowiedzi, które dręczą go w nocy. Wpisała je w wyszukiwarke Google.

Włączyła nocną lampkę i położyła laptopa na przykryte pikowaną kołdrą kolana. Komputer przy włączaniu przywitał ją zielonym światłem ekranu.

Im dłużej mieszkała w Chapel Bluff, tym rzadziej korzystała z komputera. Sprawdzanie e-maili i innych wiadomości online, a nawet jej aukcji na eBayu traciło na ważności i nie wydawało się już tak pilne.

Na stronie startowej Google wystukała *zmywanie farby z włosów* i kliknęła Enter. Pojawiło się kilkanaście stron wyników.

Pierwszy nagłówek, jaki przyciągnął jej uwagę, brzmiał: *Nieudana koloryzacja?* W przypadku Morty'ego odpowiedź była zdecydowanie twierdząca. Niżej zobaczyła podtytuł *Popraw albo usuń. Najlepsze domowe sposoby.*

No dobrze. Choć w rzeczywistości uważała, że *takich* włosów uratować się nie da i Morty'emu może pomóc jedynie golarka elektryczna.

Sprawdziła wszystkie linki, przestudiowała opisy różnych produktów i przeczytała ich recenzje. Wyglądało na to, że trzeba będzie kupić butelkę z chemikaliami, specjalną szczotkę i gumowe rękawiczki.

Wzdrygnęła się, wyobrażając sobie, jak używa ich na Mortym. Ledwo знаła tego faceta. Ale skoro dała się przekupić na sam dźwięk słowa *spa*, bez wątpienia to ona będzie drugą osobą, z wymaganych dwóch, potrzebną do usunięcia farby z włosów.

Miała tylko nadzieję, że uda jej się dyplomatycznie poinformować Morty'ego, iż Velma nie znosi jego fryzury, i przeprowadzić konieczny zabieg upiększający tak, aby nie zdeptać jego męskiego ego.

Kate wróciła do głównej strony Google. Zamarła na chwilę nad klawiaturą. Wspomnienie Matta, tego, jak wyglądał, kiedy odprowadzała go do auta, nagle pojawiło się w jej głowie i zaczęło przybierać monstrualne kształty, do momentu, w którym widziała każdy szczegół jasno i wyraźnie... Silny kontur kości policzkowych. Światło księżyca, które odbijało się w jego ciemnych, pełnych rezerwy oczach. Kosmyki brązowych włosów czesane wiatrem.

Jej palce drgnęły. Wiedziała, że nie powinna tego robić. Ale naprawdę, naprawdę chciała. Czy będzie to aż takie okropne? Tylko troszeczkę zerknie, tylko się rozejrzy. Nie powinna, a jednak...

Jej palce przebiegły po klawiaturze, wystukując hasło *Matt Jarreau* i klikając Enter.

Pojawiła się strona Google z wynikami od jednego do dziesięciu z... półtora miliona. Serce Kate zamarło. Wolno przewinęła stronę w dół. Pierwszy wynik - hasło z encyklopedii. Figurował... figurował w encyklopedii? Potem biografia Matta jako jednego z legendarnych hokeistów. Kolejne biografie. Cytaty. Artykuł o sławnym голу, który Matt zdobył w decydującym meczu o Puchar Stanleya. Statystyki. Wzmianki o NHL. Kolejny artykuł na ESPN.com. Galeria zdjęć.

To była dopiero pierwsza strona. A na kolejnych milion innych wyników.

Odchyliła się do tyłu, uderzając głową o mosiężne wezglowie. Przez długie chwile po prostu leżała i gapiła się na dwuspadowy sufit.

Słowa przeczytane przed chwilą - *encyklopedia*, *legenda*, na litość Boską, *Puchar Stanleya* - były jak wiadro lodowatej wody zwanej rzeczywistością, którą ktoś chlusnął jej w twarz.

Od pierwszego spotkania z Mattem Kate *wiedziała*, że romantyczne uczucie między nimi nigdy nie będzie możliwe. Po co więc jeszcze bardziej się w tym upewniać?

Dlaczego? Bo jej ciało było uparte i szalało z radości i podkcytowania za każdym razem, kiedy Matt wchodził do pokoju. Dlatego.

Czuła się jak klasyczny przypadek z poradnika dla pań pod tytułem „Dziesięć naprawdę głupich rzeczy, które robią kobiety”. Mogłoby się w nim znaleźć jej fatalne zdjęcie z prawa jazdy z podpisem „Nie świruj! Nie podjeżdżaj pod dom swojego byłego. Nie czytaj listów od jego byłych. Nie oglądaj ślubnych kiecek, jeśli nie jesteś zaręczona. I *zdecydowanie nie fantazuj o swoim boskim budowlańcu, bo i tak nie masz szans*. To bez sensu! Będziesz cierpieć! Ogarnij się!”.

Powinna natychmiast wyłączyć komputer. Ale — co było głupie - nie mogła przestać czytać. Może jeszcze jedną biografię. Zanim jej zdradzieckie palce zdążyły dokończyć dzieła, Kate podniosła ręce do góry, poza strefę niebezpieczeństwa.

Matt, jakiego znała - ich budowlaniec, mężczyzna, który gotował kolacje w jej kuchni, samotnik - był już wystarczająco przerażający i onieśmielający. Nie musiała oglądać tych wszystkich stron i dowiadywać się coraz to nowych informacji. Lepiej, by on sam opowiedział jej własną wersję swojej biografii. O ile kiedykolwiek zechce.

Zdecydowanym ruchem zamknęła laptop i wsunęła pod łóżko, poza zasięg swoich rąk. Zgasiła światło i zakopała się w pościeli. Przez długie minuty leżała po prostu w ciszy, obserwując czarne drzewa kołyszące się za oknem na tle nocnego nieba. No dobrze. Czyli w przeszłości był niewyobrażalnie sławnym hokeistą. Teraz był zręczliwym pustelnikiem. Może dzięki temu znalazł się znów w grupie mężczyzn, którzy od supermodelek wolą zwykłe śmiertelniczki.

Prychnęła z pogardą, karcąc się za tak niemądre myśli. Gniewnie poprawiła poduszkę i obróciła się na drugi bok.

Może i jest beznadziejną romantyczką, ale na pewno nie jest głupia. Matt Jarreau i Kate Donovan krążyli po dwóch różnych orbitach. On był *o wiele bardziej* utalentowany i oczywiście bogaty, i sławny. Dodajmy do tego jeszcze zabójczy wygląd, a Kate przecież obiecała sobie, że nie umówi się już z facetem, który wygląda jak on. Ze słabościami trzeba walczyć.

Byli tylko przyjaciółmi!

Postanowiła każdego dnia dbać o to, by jej uczucie do Matta pozostało czysto platoniczne. Ale im częściej przebywali razem i im lepiej go poznawała, tym stawało się to coraz trudniejsze.

Nazajutrz był dzień Wielkiej Wyprzedaży Garażowej; dzień, w którym rupiecie jednych stawały się rupieciami drugich.

Kate wraz z babcią segregowały przedmioty przez wiele dni. Pożyczyły stoliki, na których zamierzały rozłożyć swój towar. Miały kasetkę z pieniędzmi do wydawania reszty. Kolorowe metki z cenami. Dały ogłoszenia. Przygotowały się na ten dzień jak wszystkie ambitne gospodynie wyprzedaży garażowej od zarania dziejów.

Gratulując sobie przezorności, wyznaczyły początek sprzedaży na ósmą, choć wiedziały, że zapalonych poszukiwaczy skarbów powinny spodziewać się już od siódmej.

Przyjechali o szóstej. Poczynając od tej chwili, perfekcyjnie zaplanowana wyprzedaż przerodziła się w zlot anarchistów.

Jedna wyczerpująca godzina pędziła za drugą na łeb, na szyję, a tymczasem Kate i „dziewczęta” powoli zaczęły się organizować. Babcia witała przybyłych, posyłając uśmiechy i z radością odpowiadając na pytania o towar. Kate i Velma były od targowania się, Peg zarządzała kasą.

Najlepsze rzeczy poszły szybko. Najgorsze też. Para starych, wysłużonych butów na obcasie. Brudny otwieracz do puszek, zdecydowanie odpychający. Przepychacz do toalety z lat sześćdziesiątych. Był to całkiem dobry i przyzwoity przedmiot, który jednak przekazywano sobie z rąk do rąk, jakby miał wszy. Kate mężnie starała się nie patrzeć na to dziwne zjawisko jak na metaforę swojego randkowego życia.

Planowały zamknąć cały kram o czwartej, ale wskazówki na zegarku Kate dotarły aż do piątej, kiedy to odpłynęli ostatni maruderzy.

Ona, babcia, Velma i Peg pozostały na polu minowym rupieci. Większe graty opierały się niebezpiecznie o ściany stodoły, inne leżały porozrzucane na stolikach lub zaśmiecały trawnik niczym żołnierze wycięci w pień podczas walki.

Gdy zobaczyła cały ten bałagan, Kate ramiona opadły z wycieńczenia. Czy udało jej się dziś choć na chwilę usiąść? Nie, żeby o tym pamiętała. A jedzenie? Jak przez mgłę przypomniała sobie kilka kaw w styropianowych kubkach, dwa pączki i butelkę wody.

- Myślę, że zorganizowałyśmy fantastyczną wyprzedaż - oznajmiła babcia.

- Poszło naprawdę dobrze - przytaknęła Kate.

- Niektórzy ludzie to cholerne *sknerusy* - Velma wyglądała na głęboko urażoną. - Już miałam powiedzieć kilku, gdzie mogą sobie wsadzić tego ich dolara dziewięćdziesiąt dziewięć!

- Ale zebrałyśmy całkiem sporo. - Peg przeliczyła ostatnie banknoty i zapisała sumę w swoim notesiku.

W jakiś sposób jej siwe, równo obcięte włosy nadal opadały lśniąca i uporządkowaną falą, a blado-brzoskwiniowa szminka wciąż w nienaruszonym stanie błyszczała na wargach. Był to w pewnym sensie cud, ponieważ Kate wiedziała, że ona z kolei wyglądała, jakby ktoś przeciągnął ją za osiemnastokołowcem.

- Trzy tysiące czterysta sześćdziesiąt dwa dolary — ogłosiła Peg.

- Wspaniale! - Babcia klasnęła w dłonie, wielkie bransolety zadźwięczały. - Dziękuję wam.

Z oczami mokrymi od łez wyściskała je wszystkie, powtarzając, że bez nich nie dałaby rady, i mamrocząc o wszystkich dodatkowych wydatkach remontowych, na które teraz będzie ją stać. Z oddali Kate usłyszała zbliżający się samochód. Ktokolwiek to był, powie mu, że wyprzedaż się skończyła. Wszystkie były wypompowane i nie mogły już...

Samochód skręcił na podjazd i Kate zobaczyła, że nie był to wcale jakiś tam samochód, lecz biały Ford, pick-up.

Jej serce szarpnęło jak wariat i podskoczyło. *Matt*. Była sobota; do tej pory nigdy nie zjawiał się u nich w weekend.

- Matt przyjechał - zakomunikowała babcia.

- No cóż, dzięki Bogu - powiedziała Velma. - Patrzenie na tego chłopaka zawsze działa na mnie nieco orzeźwiająco, a z pewnością teraz mi się to przyda.

Patrzyły, jak Matt wycofuje samochód i parkuje tyłem, tak by znaleźć się z platformą jak najbliżej bałaganu. Z niewymuszoną gracją wyskoczył z szoferki. Miał na sobie czarną sportową koszulkę z długim rękawem, dzinsy i grafitowe buty do biegania.

- Matt! - Babcia przywitała go krótkim uściskiem. - Jak miło cię widzieć.

- Witaj. — Skinął głową w kierunku reszty. - Jak poszło?

- Doskonale! - odpowiedziała babcia. - Ostatni kupujący odjechali kilka minut temu, więc dopiero co podliczyliśmy nasz zarobek. I okazało się, że poszło nam bardzo dobrze. Lepiej niż się spodziewałam.

- To dobrze. Cieszę się. - Matt rzucił resztkom po wyprzedazy długie, krytyczne spojrzenie. - Planujesz oddać to wszystko?

- Właśnie, Kate, co miałyśmy z tym zrobić? - zapytała babcia.

- Myślałyśmy, że oddamy to Armii Zbawienia - odparła Kate. — Mają własną ciężarówkę i można zamówić u nich odbiór.

- Zawiozę im - zaproponował Matt. - Przynajmniej nie będzie wam zawadzać.

- Naprawdę mógłbyś? - zapytała babcia. - Nie chciałabym ci sprawiać kłopotu.

- Nie ma żadnego problemu.

- Ty i tak już ciężko dla nas pracujesz w tygodniu. Nie mogę od ciebie wymagać, żebyś pracował jeszcze w weekend.

Wzruszył ramionami.

- Wiem o tym.

- Wysoki, przystojny *i w dodatku* chętny do pomocy! - Velma piała z zachwytem.

Matt zmarszczył brwi i rzucił jej spojrzenie pełne konsternacji i niesmaku, jakby właśnie ogłosiła coś w stylu *Jestem transwestytą* albo *Pocałuj mnie w zadek*.

Kiedy rozchichotane starsze panie nie przestawały go hołubić, Kate obserwowała, jak narasta w nim zakłopotanie. Przeszł się z nogi na nogę. Spoglądał na zegarek. Wbijał wzrok w ziemię. Wreszcie, na długo przed tym, zanim kobiety skończyły się nad nim rozplęwać, odwrócił się i po prostu zabrał się do pracy, zdejmując z platformy pick-upa rozłożone kartonowe pudła.

- Dobrze, już dobrze — mrucał. — Może pójdziecie odpocząć? Ja się tym zajmę.

- Jeszcze raz ci dziękuję - powiedziała babcia.

- Nie ma sprawy.

- Może mogłybyśmy pomóc ci zapakować...

- *Nie trzeba*.

- Ale...

Podniósł głowę, oczy płonęły mu wściekłością.

- Idźcie do środka - warknął - zróbcie sobie przerwę. I pozwólcie mi w spokoju zapakować ciężarówkę.

Czmychnęły natychmiast, wszystkie, oprócz Kate.

Przyglądała się, jak składa kolejne pudła. Czy dlatego, że była tak zmęczona, tak głodna i spragniona jedynie gorącej kąpieli, widok Matta wyciągającego do nich pomocną dłoń wypełnił ją ogromną falą wdzięczności?

- Ty też. — Matt, nie patrząc na nią, kiwnął głową w stronę domu.

- Taa, na pewno. — Chwyliła najbliższe stojące puste pudło i zaczęła wrzucać do niego drobiazgi. - Sądziłam, że już trochę mnie znasz.

Wyprostował się na chwilę i spojrzał na nią z marsową miną.

- Wyglądasz na porządnie zmęczoną.

Uniosła brwi, wybuchając niemal histerycznym śmiechem.

- A to szkoda, bo przecież cały dzień przepuszczałam kasę w spa.

Jego twarz nawet nie drgnęła.

- Może powinnam poprosić o zwrot pieniędzy.

- Daj spokój, Kate. Wiesz, że lubię pracować sam. Idź. — Znów ten wymowny ruch głową w stronę domu, jakby przeganiał nieznośnego psa.

Czasami bycie uparciuchem wydawało się żalosne, ale nie mogła tak po prostu potulnie potruchtać do domu i pozwolić, by sprzątał ten bałagan w pojedynkę. Po prostu *nie mogła* i koniec.

- Nie, pomogę ci. Może i wyglądam okropnie, ale nic mi nie jest. - Zanim zdążył otworzyć usta, by zaprotestować, wróciła do pracy, podnosząc szybko rzeczy i wpychając je do kartonu. - Widzisz, idzie mi błyskawicznie. Jesteś na mnie skazany.

- I to mnie zawsze zastanawia.

Kate siedziała obok Matta w jego pick-upie. Robili właśnie drugą i ostatnią rundkę z Chapel Bluff do miejsca zwózki rzeczy dla Armii Zbawienia.

Kiedy Matt nie zareagował, podsunęła mu:

- Co takiego, Kate?

- Co takiego, Kate? - powtórzył.

- Wszyscy organizują wyprzedaże garażowe w weekendy. I zaraz potem robią to, co my, czyli targają pozostałości, których nikt nie kupił, do jakichś organizacji charytatywnych albo ofiarowują Armii Zbawienia, prawda?

- Prawda.

- Więc zastanawiam się, co ludzie z Armii Zbawienia sobie naprawdę myślą, kiedy widzą tyle napływających rzeczy.

- To znaczy?

- Pewnie patrzą na te wszystkie busiki załadowane resztkami z wyprzedaży i myślą sobie: „Wiecie co, dzięki, ale wcale nie potrzebujemy tych waszych bubli”.

Zapadła cisza, po czym Matt spojrzał na nią i się uśmiechnął.

Uśmiechnął się. Nie był to wymuszony uśmiech, ale taki prawdziwy, z rozbawienia. Szybko pojawił się i równie szybko zniknął, a jednak olśnił ją całkowicie. Po raz pierwszy Kate widziała, żeby Matt posłał komuś uśmiech.

- To znaczy... - Próbowała znaleźć wątek. - To znaczy, te przedmioty są naprawdę... *tak okropne*, że nikt nie chciał dać za nie nawet dolara.

- W niektórych przypadkach nikt nie chciałby zapłacić nawet dwudziestu pięciu centów — uściślił Matt.

- O właśnie.

- Daje do myślenia.

- No - wymamrotała.

- W pewnym sensie zabija poczucie, że robi się coś dobrego. A było to nawet przyjemne uczucie.

Kate zaśmiała się.

Znów się uśmiechnął, tym razem patrząc przed siebie, na drogę.

Zapadła cisza i Kate mogła przez chwilę pozachwycać się tymi dwoma uśmiechami. Sprawiała, że się uśmiechnął. I to dwa razy!

Co dziwne, choć rozpierała ją z tego powodu duma, Kate nagle poczuła, że Bóg daje jej kuksańca: **Powiedz coś o jego żonie.**

Kiepski pomysł, skwitowała w myślach. Dopiero co się uśmiechnął!

No dalej, zdawało się, że mówi do niej Bóg. **Wspomnij o tym.**

Ostatnio rozmowa z Mattem i jednocześnie udawanie, że Kate nie wie nic o jego tragedii, stawały się coraz trudniejsze. Przypomniał jej się żart o słoniu, który opowiadali sobie wspólnie z tatą, kiedy Kate była mała...

Skąd wiadomo, że w lodówce jest słoń?

Przez odciski nóg w galaretkę.

Przeszłość Matta była dla niej niczym przysłowiowy słoń, stawała między nimi za każdym razem, gdy rozmawiali. Była wielka i nie dało się jej zignorować.

Za bardzo się bała, żeby próbować z nim o tym rozmawiać twarzą w twarz. Ale teraz jechali razem samochodem, rozdzieleni przestrzenią wypełnioną odgłosami silnika, patrząc przed siebie. Może to był dobry moment. Delikatne poszturchiwanie przerodziło się w pragnienie. Kilka kolejnych kilometrów pozostawiło swój ślad na oponach, a pragnienie Kate stało się już niemal fizycznie odczuwalną koniecznością, która próbuje wydostać się przez gardło.

Powiedz to, nalegał Bóg.

- Słyszałam o tym, co przydarzyło się twojej żonie. - Nie wyrzuciła z siebie tych słów gwałtownie. A mimo to, wypowiedziane bez żadnego wstępu czy zmiękczenia, zabrzmiały niezwykle szorstko. Spadły między nich jak ostry metalowy przedmiot, brutalnie i ciężko.

Matt wysunął szczękę, a jego palce jeszcze mocniej zacisnęły się na kierownicy.

Czekała, ale nic nie powiedział.

- Chciałam, żebyś wiedział, że mi przykro.

Nie odzywał się przez minutę. Z każdą boleśnie niezręczną sekundą Kate czuła coraz większy i większy ucisk w piersi. Kusiło ją,

żeby rzucić się w tę pustkę i wypełnić ją słowami. Chciała jednak, by to Matt wykonał pierwszy ruch.

- Kto ci to powiedział? - zapytał w końcu.

- Velma i Peg powiedziały babci i mnie. Podejrzewała, że bardzo nie lubił być tematem rozmów.

- Nie lubisz, kiedy się o tobie mówi - stwierdziła.

- Nie. Nie lubię.

- Wiem, przepraszam cię. To nie była złośliwość. Zapytały nas, czy znamy twoją przeszłość. A my nie miałyśmy o niczym pojęcia, więc nam powiedziały.

Posłał jej oszczędne skinienie głową.

Równie dobrze mogła teraz oderwać plaster do końca.

- Powiedziały nam też o twojej karierze hokejowej.

- No tak.

Czekała, ale najwyraźniej nie chciał o tym rozmawiać.

- Cóż... nie umiem sobie nawet wyobrazić, przez co musiałeś przejść i jak musiało ci być ciężko. Gdybyś kiedykolwiek chciał o tym porozmawiać, jestem.

Odwrócił głowę w drugą stronę, włączył migacz i wykonał kilka ostatnich skrętów w kierunku miejsca zwózki.

Pewność siebie Kate wypaliła się i zgasła.

Zobaczyli budynek Armii Zbawienia. Za otwartymi podwójnymi drzwiami czekał już na nich pracownik.

- No cóż - powiedział cicho Matt, tak, żeby tylko Kate usłyszała. - Przykro mi, kolego, ale mamy tu drugą ciężarówkę pełną śmieci.

Kate wybuchnęła śmiechem.

Matt spojrział na nią z błyskiem w oku, zdradzającym subtelne poczucie humoru.

- Widzisz? - oznajmiła Kate. - Dzięki mnie możesz spojrzeć na pewne rzeczy w zupełnie nowy sposób. Nie cieszysz się, że pozwoliłeś mi ze sobą pojechać?

- Szaleję z radości - odparł sarkastycznie.

Ulga przeskoczyła przez nią jak rozwinięte jo-jo. Było dobrze. Co prawda, nie spodobało mu się to, co powiedziała o jego żonie i hokeju. Ale przetrwał. I ona przetrwała.

Wysiedli z pick-upa i zaczęli wyładowywać rzeczy.

Powiedziała to, co musiała powiedzieć. Już wiedział, że ona wie. Dzięki temu teraz mogli iść dalej, bez stada słońi.

Chapel Bluff dobrze znosiła swoją przemianę. Niczym dostojna, poważna dama przychylnie traktowała wszelkie zabiegi, jakim ją poddawano. Jakby rozpoznawała, kim są jej lokatorki. Jakby, według Kate, je tolerowała, ponieważ, w końcu, były *rodziną*.

Teraz, kiedy pozbyły się już wszystkich starych rupieci, wewnątrz Chapel Bluff wyglądało jak niezapisana, biała karta. W pokojach stało niewiele mebli, a niektóre pomieszczenia były zupełnie puste. Stare dywany zniknęły. W ich miejscu, czekając na cyklinowanie, świeciła teraz stara, surowa, drewniana podłoga. Odarte z tapety, ale starannie zagipsowane ściany błagały o farbę.

Kate z babcią wybrały ciepły żółty kolor do kuchni i kremowy na ściany w pozostałej części domu. Kiedy nie robiły powolnych postępów w malowaniu wałkami i pędzlami jadalni, salonu, biblioteki i pokoju dziennego, zajmowały się wykończeniówką. Kate chciała przetrzeć papierem ściernym listwy okienne i podłogowe oraz futryny, by wytarta drewniana powierzchnia znów była widoczna. Oznaczało to wyczerpującą pracę przy usuwaniu kolejnych warstw farby, brudu i czasu.

Ale wszystko to, każda godzina, którą Kate poświęciła temu domowi, były warte jej wysiłku, ponieważ dostojna dama, przez niemal dwieście lat traktowana przez rodzinę jak skarb, znów zaczynała jaśnieć swoim blaskiem.

- Słuchaj. - Kate chwyciła za telefon i zmusiła się, by przekazać Morty'emu nowinę. - Velma powiedziała mi, że może rozważy randkę z tobą, jeśli zrobisz coś ze swoimi włosami.

Cisza zawisła na łączach telefonicznych bez ani jednego trzasku.

- Moimi włosami? - zapytał w końcu Morty, wyraźnie zdezorientowany.

- Tak.

- A co mam niby z nimi zrobić?

- Zmienić kolor. Chciałaby, żebyś zmył farbę. - Kate wzdrygnęła się.

- Farbę?

- Obawiam się, że tak.

Kolejna przedłużająca się cisza i nagle...

- A niech diabli wezmą tę kobietę! Co ona wie o dobrym stylu?

Trafiony, zatopiony. Velma kompletnie nie potrafiła się ubrać i, co śmieszniejsze, zdecydowanie lubiła farbować włosy.

- Ta baba wpędzi mnie do grobu! — wrzeszczał Morty. — Rozkazuje mi! Rządzi się na prawo i lewo. Że niby mam zmyć farbę? Za kogo ona się uważa? Od pięćdziesięciu lat mam takie włosy!

Kate mruknęła empatycznie.

- Moja żona uwielbiała mnie w tej fryzurze... - kontynuował.

- No cóż, Morty... - Nie na darmo Morty mianował Kate swoim Doradcą do spraw Randek. - Może lepiej nie porównuj Velmy do swojej poprzedniej żony. To chyba nienajlepsze rozwiązanie.

Odchrząknął głośno. Niemal słyszała, jak ze złością wykrzywia twarz.

- Ale to jest chyba niemożliwe, prawda? Żeby tak po prostu usunąć farbę? - zapytał. - W końcu mówi się na to „trwała”.

- Poczytałam o tym trochę i okazuje się, że farbę można usunąć za pomocą odpowiednich preparatów. Jeśli chcesz, bardzo chętnie je dla ciebie załatwię.

Usłyszała stłumione odgłosy kroków. Morty chodził po pokoju.

- Morty?

- Zastanawiam się.

Czekała. Poruszył ją dźwięk jego kroków; Morty dreptał tam i z powrotem. Ten szorstki emerytowany policjant naprawdę to rozważał. Rozważał poświęcenie swojej dumy i fryzury, którą polubił, by dać szansę miłości.

- Zrobię to - odezwał się w końcu. - Niech ma.

Wow. Po raz kolejny Kate zaskoczyła niesamowita moc zmian, jaką ma w sobie miłość.

- Pasuje ci czwartek po południu? - zapytała. - Wpadnę do ciebie i pomogę.

- Nie potrzebuję pomocy.

- Przykro mi, ale cały proces usuwania koloru wymaga obecności dwóch osób. Ale jeśli wolisz, żeby zrobił to ktoś inny...

- Nie, nie. Możesz być ty.

Usłyszała jeszcze wyraźne zgrzytnięcie zębów, zanim Morty się rozłączył. Z litości ścisnęło jej się serce. Związek z Velmą gwarantował Morty'emu na przyszłość wiele okazji do zgrzytania zębami. Po śmierci zostaną mu gołe dziąsła.

Kate weszła tego wieczoru do kuchni i zastała w niej babcię i Matta kłócących się ostro o fartuch. Stojąc w drzwiach, obserwowała, jak babcia wymachuje kuchennym okryciem, ściskając je mocno w palcach z milionem pierścionków. Był to klasyczny fartuch z białego płótna, taki, którego jeden pasek przerzucasz przez głowę, a dwa wiążesz na plecach.

- Matt, nalegam. Musisz to założyć.

- Nie ma mowy.

- Zaraz będziesz musiał użyć miksera. - Babcia wskazała na leżące na blacie, podłączone już do prądu urządzenie. - I narobisz bałaganu.

Mina Matta, dotąd surowa, teraz była wręcz buntownicza:

- Beverly, mogę gotować, ale nie zamierzam zakładać *fartucha*.

- Masz kaszmirowy sweter! Wzruszył ramionami.

- Kaszmirowy! — powtórzyła.

- Wolę go potem wyrzucić, niż założyć to coś - powiedział, wskazując na fartuch.

Babcia spojrzała tak, jakby ją obraził.

Matt odpowiedział równie nieustępliwym spojrzeniem.

- Matthew Jarreau! Jeśli znałabym twoje drugie imię, to bym go teraz użyła, żeby cię zbesztać!

Nadal nic. Zaciśnął usta w wyjątkowo ujmującą, cienką linię.

Odwrócili się do siebie plecami na kilka pełnych napięcia sekund, po czym babcia westchnęła ciężko, pokręciła głową i poszła do spiżarni, by odwiesić fartuch.

- Mężczyźni! - Dobiegł ich jej komentarz. Matt spojrzał na Kate.

- To nie fair, że zaczęliście zabawę beze mnie - powiedziała Kate.

Odchrząknął, zakasał rękawy beżowego swetra i zaczął myć ręce. Babcia zajęła swoje stanowisko przy blacie z niezadowoloną miną.

- Nie myślałam, że można tak łatwo zagrozić twojemu poczuciu męskości — gderała.

- I źle myślałaś. - Matt wytarł ręce w ścierkę do naczyń. - David.

- Jaki David? Uniósł jedną brew.

- To moje drugie imię.

- Matthew David Jarreau? - zapytała.

- Tak.

- Dobrze. - Prychnęła wyniośle. - Następnym razem, jeśli będę musiała, to go użyję.

Kącik jego warg lekko drgnął; animozje szybko zniknęły, a w kuchni zapanował sielski nastrój, gdy ich dwójka rozpoczęła lekcję gotowania.

Kate założyła tradycyjny strój do przedzierania się przez pobjowisko po wybuchu bomby nuklearnej i naciągnęła silikonowe

rękawiczki. Mieszając chemikalia, czuła się jak naukowiec. Nałożyła właśnie odpowiednią ilość czegoś, co nazywało się *dekolorizatorem*, na drugie coś, co określono *pędzlem do farbowania*.

Operację „Poprawa kolorystycznej gafy Morty'ego” czas zacząć.

Obiekt jej pełnych miłosierdzia starań siedział na plastikowym krześle pośrodku swojej kuchni, przyglądając się Kate z pochmurną miną.

Zastanawiała się, czy obraziłby się na nią, gdyby założyła jeszcze parę gogli i maskę gazową.

- Już gotowe? - zapytał.

- Tak. - Kate stanęła tuż za nim i pacnęła pierwszą porcję mazi na czubek jego głowy.

Istniejące do tej pory wszystkie niewidzialne granice „przestrzeni osobistej” między nimi właśnie wyparowały. Kate nagle poczuła się skrępowana całą sytuacją i momentalnie zamarła, odczuwając silną pokusę, by roztrzaskać tylne drzwi i wybiec stąd na złamanie karku. *Masaże*, powtarzała sobie, *masaże*. Peeling na twarz. Manicure. Pedicure! Z determinacją zanurzyła silikonowe dłonie w jego włosach i skrupulatnie zaczęła wcierać maź.

- A więc - zaczął Morty - co tam z Dallas Cowboys? Kate roześmiała się. Napięcie zaczęło ustępować.

- A co ma być? - zapytała.

- Wygrali wszystkie mecze przedsezonowe. Ale w niedzielę będą grać przeciwko Eagles...

Morty dalej mówił o amerykańskim futbolu, a Kate nie przerywała swojej roboty z mazią i pędzlem. To była jedna z tych sytuacji w życiu, które sprawiają, że na początku jest się boleśnie skrępowanym, jak przy założeniu stroju kąpielowego w pierwszy dzień lata, ale potem czas i praktyka robią swoje.

Kiedy skończyła nakładać roztwór, Morty wyglądał jak podstarzała gwiazda rocka z obsesją na punkcie brylantyny. Kilka

czarnych pasm sterczało prosto w górę, inne skapitulowały i posłusznie układały się w zmierzwioną czuprynę.

Kate skonsultowała się z instrukcją po raz setny i naciągnęła na głowę Morty'ego czepek prysznicowy.

- Co teraz? - zapytał Morty.

- Teraz wszystko musi się trawić przez dwadzieścia minut.

- Co to znaczy?

- Że zostawiamy twoje włosy w spokoju na dwadzieścia minut.

Napisali też, że można podsuszyć głowę suszarką, podobno to trochę pomaga.

Zmarszczył sceptycznie brwi.

Kate uśmiechnęła się na jego widok. Przysadzisty, zachmurzony dziadek w czepku i z lśniącymi włosami.

- Czy możemy się chociaż przenieść do pokoju, żeby móc pooglądać telewizję?

- Jasne. Ale i tak będziemy musieli tu wrócić, żeby spłukać roztwór, umyć włosy i nałożyć... - Rzuciła okiem na instrukcję. - ... trawiącą odżywkę.

- Dobra.

Ruszyła za nim do salonu. Morty zasiadł w starym, obitym materiałem fotelu z wysuwającym podnóżkiem i wgłębieniami wklęsłymi od siedzenia i opierania głowy. Fotel stał na wprost telewizora, co znaczyło, że jego właściciel nie wykazał się jakąś szczególną inwencją w ustawianiu mebli. Najwyraźniej wciąż jeszcze produkowano telewizory, które miały być meblem samym w sobie, i taki właśnie był odbiornik w domu Morty'ego. Drewniane pudło z górą jak bufetowy stół.

Kate pomyślała o uroczym, gustownie urządzonym domu Peg i Williama, idealnym na rozkładówkę w czasopiśmie wnętrzarskim. Pomyślała o przytulnym domu babci w Dallas, który miał w sobie coś z rancza. Pomyślała o niechlujnym domu Velmy,

z przedścionkiem po sufit wypełnionym rupieciami, z odchodzącą ze ścian farbą, postawionym na sześciu akrach ziemi. Każde z nich miało dom, który do niego pasował. Ale w jakiś sposób to mieszkanie z dwoma sypialniami na skraju miasta nie do końca współgrało z osobą jego właściciela.

Choć Morty dbał o czystość, wewnątrz było nieco zniszczone, surowe, pełne przestarzałych mebli. Morty przepracował całe życie w tym mieście jako policjant, wychował dzieci, miał już całkiem duże prawniki, i Kate uważała, że należy mu się od życia coś więcej. Jakieś mniej samotne miejsce.

Podłączyła do kontaktu swoją suszarkę i rozwinęła kabel na tyle, by ciepłe powietrze dosięgło Morty'ego. Morty na hałas odpowiedział podkręceniem dźwięku w telewizorze, Kate suszyła więc jego czepek przy akompaniamencie popołudniowych wiadomości zgłoszonych na cały regulator.

Rzadko kiedy dwadzieścia minut mija tak wolno.

Kiedy nadszedł czas, wrócili do kuchni i Morty pochylił się nad zlewem. Kate stanęła nad nim na stołku i splukała, a potem umyła jego włosy.

Kolor, owszem, wyblakł. Z atramentowej czerni na... splowiałą czerń. Kate straciła nadzieję.

- I jak to wygląda? - Morty zapytał odpływu w zlewie.

- No cóż... niewiele się zmieniło. - Chwyciła ręcznik i opatuliła nim głowę Morty'ego.

- Słucham? - Wyprostował się przy wtórze trzaskających stawów, energicznie potarł głowę ręcznikiem, a potem udrapował go na ramionach. Spojrzał na nią pytająco. - Niewiele się zmieniło?

- Nie, ale według instrukcji możemy jeszcze dziś powtórzyć cały proces dwa albo trzy razy.

- Pozwól mi spojrzeć w lustro.

Zniknął za rogiem w łazience na korytarzu. Po chwili krzyknął:

- A co, jeśli nadal się nic nie zmieni po dwóch albo trzech razach?

- Będziemy musieli odczekać kilka dni i spróbować jeszcze raz.

Mamy tego wystarczająco dużo. - Głos i odwaga Kate słabły. - Na dziesięć aplikacji - dokończyła bez życia.

Wrócił i ponownie usiadł na plastikowym krześle.

- Za jakie grzechy... - wymamrotał.

Kate poniekąd spodziewała się, że Morty lada moment wyrzuci z siebie wiązkę przekleństw, ale zamiast tego mężczyzna zaśmiał się gardłowo i pokręcił głową:

- No dobra, spróbujmy jeszcze raz.

O siódmej wieczorem Kate stała przy brązowym fotelu i kierowała strumień ciepła z suszarki na czepek Morty'ego czwarty raz tego dnia. Przynajmniej zmieniał kanały w telewizji. Tym razem oglądał na cały regulator serial na kablówce, *The Rockford Files*.

Jej myśli krążyły leniwie. Właśnie kiedy zastanawiała się nad tym, jakie to szczęście, że nie zrobiła tego dyplomu z kosmetologii, coś przykuło jej uwagę. Wyprostowała się i wysiliła wzrok.

Garstka włosów Morty'ego była... siwa.

Siwa!

Spojrzała na zegarek. Czas na szampon. Przenieśli się więc do kuchni. Morty pochylił się nad zlewem bez proszenia, teraz już dobrze zaznajomiony z procedurą, a ona zaczęła myć mu włosy.

Tak. Naprawdę były siwe. Miały piękny, stalowoszary kolor, nieco ciemniejszy przy skroniach, nieco jaśniejszy na pasemkach nad prawym okiem.

- Morty! - Spłukała pianę, prawie podskakując na stołku z podniecenia. — Zadziałało!

- Serio?

- Serio!

Sądziła, że rzuci się na oślep w stronę łazienki, by przejrzeć się w lustrze. Ale Morty najpierw zapytał:

- Myślisz, że spodoba się Velmie?

- Och, Morty - odpowiedziała poważnie Kate. - Lepiej dla niej, żeby jej się spodobało.

Niech tylko spróbuje pomyśleć inaczej.

Czując się jak tajny agent CIA, Kate niepostrzeżenie wykradła się za Velmą do toalety. Znow był piątek. Wieczór pokera. I znow czekała na Velmę w zacienionym korytarzu.

Kilka minut później Velma wyszła z łazienki. Na widok Kate wykrzywiła twarz.

- To już będzie tak zawsze? Ja wychodzę z łazienki i znajduję cię tutaj? Bo nie bardzo podoba mi się myśl, że ktoś podsłuchuje, jak siusiam.

- Doskonale to rozumiem.

- Umówmy się, że od tej chwili, jak chcesz ze mną porozmawiać, to po prostu mi to powiedz.

- Zrozumiano.

- Dobrze. — Velma pociągnęła nosem i skrzyżowała ręce na piersi. Założyła dziś pomarańczowy golf i czarną kamizelkę z motywem Halloween. Duchy, dynie, czarownice i czarne koty spoglądały na Kate zaskoczonymi oczami. — Chcesz porozmawiać ze mną o Mortym?

- Tak. - Kate uśmiechnęła się z nadzieją. - Czyż jego włosy nie wyglądają świetnie?

- Jego włosy wyglądają... ładnie. - Velma skinęła głową niczym łaskawa królowa przyznająca chłopu ziemię.

- Więc jak? Pójdiesz z nim na randkę?

- Nie.

Kate zmarszczyła brwi. *Nie? jak to nie?*

- Jego włosy wyglądają lepiej — powiedziała Velma — ale jest jeszcze inny problem. Ciuchy.

Kate wpatrywała się w nią jak zahipnotyzowana.

- Sama rozumiesz, te białe T-shirty i dzinsy, i tanie mokasyny. Wyszłam za mojego męża, mając dwadzieścia lat i właśnie on tak się wtedy ubierał. Tylko Bóg wie, ile ja się nacierpiałam. - Zmarszczyła nos. - Nie przekonam się do Morty'ego, jeśli będzie mi przypominał dwudziestoparoletniego Herba za każdym razem, kiedy wejdzie do pokoju.

- Okaaaay - odpowiedziała wolno Kate.

Chciało jej się krzyżeć. *Kobieto, wiesz, ile godzin zajęto usunięcie tego koloru?* Szybko jednak pozbierała myśli i zapytała spokojnie:

- A więc jak, według ciebie, powinien się ubierać?

- Lubię, kiedy mężczyzna wygląda gustownie. Może coś we włoskim stylu?

W głowie Kate pojawił się obraz mafiosów z *Rodziny Soprano*. Skrzywiła się.

- Aha...

- Lubię też takie koszule, te... no... - Velma żywo gestykulowała, wymachując Kate przed nosem pomalowanymi na perłowo paznokciami. - Firmy Tommy Bermuda, takie hawajskie.

- Tommy Bahama?

- Tak. Tommy Bahama. Wiem, że sprzedają je w Filadelfii.

Świetnie. W Filadelfii. Tylko dwie godziny jazdy samochodem stąd.

- Podobają mi się spodnie z szerokimi nogawkami — kontynuowała Velma. - I buty na porządnym obcasie. I przydałaby mu się ładna, bordowa, skórzana kurtka.

Kate zauważyła, że Velma wszystko już sobie dobrze przemyślała. Starą się to wziąć za dobrą monetę.

- Czyli... jeśli Morty kupi nowe ubrania, zgodzisz się pójść z nim na randkę? - zapytała.

- Zastanowię się.

- Będę potrzebowała bardziej przekonującego zapewnienia - odpowiedziała Kate. - Jeśli Morty ma wydać pieniądze na nowe ubrania tylko po to, żeby cię zadowolić, to musisz obiecać, że się z nim umówisz.

Velma posłała jej stalowe spojrzenie.

W tle Kate słyszała szmer rozmowy innych i stukot żetonów, z których Morty formował stosy.

Velma wzruszyła lekceważąco ramionami.

- No cóż, nie będzie żadnej obietnicy. Żyję sama od czterdziestu lat, i mówiąc szczerze, przyzwyczaiałam się całkiem do takiego stanu rzeczy.

Kate westchnęła, pokonana.

- Jedyne, co ci mogę powiedzieć - dodała Velma - to że może, *może* będzie mi łatwiej pójść na randkę z mężczyzną, który założy koszulę od Tommy'ego Bermuda.

- Ci starszycy wiedzą, jak dobrze zjeść.

Matt wziął drugą garść karmelowego popcornu Beverly. Grali w pokera już od godziny i właśnie robili sobie przerwę przed

kolejną turą. Matt i Kate stali teraz ramię w ramię w kuchni, przy stole.

- Zgadzam się w stu procentach — przytaknęła Kate, wrzucając do ust trochę prażonej kukurydzy.

To jest genialne, pomyślał Matt. Lepkie i maślane, z mnóstwem orzechów. Nieustannie doceniał kuchnię Beverly. Wręcz nie mógł przestać o niej myśleć. Przez lata, odkąd przeprowadził się do Red-bud, jadał nie dość, że kiepsko, to albo nad zlewem, albo przed telewizorem. A teraz, od ponad dwóch tygodni, wciągał dania kuchni Beverly, każdego dnia poza weekendami, siedząc przy kuchennym stole w Chapel Bluff.

- Będę musiał więcej ćwiczyć - skomentował.

- Trzy godzinny dziennie zamiast dwóch? Spojrzał na Kate, unosząc brew.

Roześmiała się i sięgnęła po kolejną garść karmelowej kukurydzy.

- A tak z innej beczki... - zaczęła i nagle urwała.

- Tak?

- Tak sobie myślałam, że może mniej bolesne będzie dla ciebie, jeśli po prostu pójdziesz do sklepu i kupisz mi tę torebkę Coach, o której mówiłam ostatnio.

- Żartujesz sobie? - zapytał oschle.

- Nie, mówię poważnie. Przynajmniej nie będę zmuszona ogrywać cię co piątek.

Przez cały tydzień zwracała się do niego w tym tonie. Bawiła go. Bawiły go cięte uwagi w ustach modnie ubranej, drobnej osóbki, którą mógłby zgnieść jednym palcem. Odkrył, że nawet czekał z niecierpliwością, czym jeszcze będzie chciała mu dogryźć.

- Dzięki - odparł - ale wolę drogę cierpienia. Wzruszyła ramionami.

- Twój wybór.

- Wiesz - zwrócił się do niej, napełniając na nowo szklankę wodą z kranu. - Głupio ci będzie, kiedy cię pokonam.

- Ty mnie *pokonasz?*. — zapytała z celowym niedowierzaniem. — W pokerze?

- Pycha prowadzi do zguby.

- Teraz mi cytujesz Biblię?

- Najwyraźniej.

- Doskonale! Jak wiesz, jestem bardzo pro-biblijna - spojrzała na niego figlarnie, zachwycona. - A wiesz, co jeszcze jest tam napisane?

- Oświeć mnie.

- Powiadam wam, bardziej doświadczeni w pokerze pokonają tych mniej doświadczonych, nieważne, czy to mężczyzna, czy niewiasta.

Rozłożyła go na łopatki. Znowu.

Kiedy zostało ich już tylko troje i stwierdzili, że czas kończyć, Kate była w posiadaniu strzelistej wieży żetonów, Morty miał dość przyzwoitą kupkę, a Mattowi udało się utrzymać na trzecim miejscu z żenującą garstką. To by było na tyle, jeśli chodzi o transmisje ze światowych turniejów pokera, które obejrzał, i wszystkie strategie pokerowe, jakie udało mu się zgłębić przez Internet. Nie pomogło.

Studiował Kate z równym podziwem, co irytacją, podczas gdy Morty liczył jej wygraną.

Była dobra. Perfekcyjna strategia, podejmowanie ryzyka i obrona we właściwym czasie. Wspaniały blef - nie wiedział, kiedy, ale był pewien, że blefowała. Zaskakująco uprzejma. I mimo

że się tak z nim przekomarzała, nie pastwiła się po wygranym rozdaniu, a swoje żetony zgarniała z jedynie lekkim półśmiechem.

Morty wymienił wygraną Matta na pięć dolarów i trzydzieści pięć centów.

Spojrzenie młodego mężczyzny spoczęło na profilu Kate.

Dawno temu, jeszcze przed Beth, Matt spotykał wiele kobiet, które z początku wydawały mu się piękne, ale z czasem traciły w jego oczach, im lepiej je poznawał i im bliżej się przyglądał.

Ale z Kate było inaczej. Jej figura, płomienne włosy i delikatne rysy na początku wydawały mu się pospolite. Jednak z czasem, tak wolno, że nie był pewien nawet, kiedy zmienił się sposób, w jaki na nią patrzył, a twarz Kate stawała się coraz bardziej... interesująca. Lubił jej ekspresję. Kiedy unosiła brwi. Kiedy śmiała się, odrzucając głowę do tyłu. Kiedy patrzyła na niego z ukosa.

Matt, kołyszając szklanką, gapił się na wirujące kostki lodu. To dzięki Kate był w stanie przetrwać piątkowe wieczorki towarzyskie - podczas których, powiedzmy sobie szczerze, nie był duszą towarzystwa — a które dzięki niej stawały się znośne. Unikał uwagi i rozmów przez lata i w efekcie zapomniał, jak nawiązuje się kontakt z ludźmi. Kate umiała utorować mu drogę i sprawić, że wszystko było w porządku.

- Martwisz się czymś? — zapytała lekko.

Spojrzał w górę. Stała obok, patrząc na niego z żartobliwym błyskiem w oku, przerwawszy zbieranie serwetek i pustych filiżanek.

- Nie. Nie, kiedy mam... - Pstryknął palcami w kierunku swojej mizernej kupki dolarów i centów. - ... taką furę pieniędzy na pocieszenie.

- Fakt. Na co zamierzasz je przepuścić?

- Może kanapka, chipsy i napój w Subwayu?

- Marzenie! Chyba tylko chipsy i napój.

— A niech to.

Kate ruszyła z brudnymi naczyniami do kuchni.

Nie było mu łatwo tu przychodzić, być częścią tej grupy. *Jej* grupy. Ale jednocześnie nie mógł się powstrzymać, by nie czerpać z tego odrobiny...

Radości.

Kate przystanęła w drzwiach łazienki na piętrze, w której właśnie pracował Matt.

- Mam newsa.

Matt spojrzał na nią znad wiadra z czymś, co przypominało białą fugę.

- Wayne Gretzky właśnie do nas jedzie na podwieczorek! — wykrzyknęła.

Spojrzał na nią sceptycznie, z rozbawieniem.

- No dobra - powiedziała. - Żartowałam.

- A to szkoda. Wayne i ja uwielbiamy podwieczorki. Uśmiechnęła się.

- No cóż, nowina tak naprawdę jest mniej ekscytująca, ale tylko trochę. Właśnie skończyłyśmy z babcią malowanie. Każdego pokoju. Całego domu. Koniec!

- Gratuluję.

- Dziękuję bardzo.

Chwyciła puste pomarańczowe plastikowe wiadro z Home Depot, obróciła je do góry dnem i usiadła. Patrzyła, jak Matt

kończy mieszać fugę, a potem nakłada ją na ścianę nad wanną trójkątną metalową szpachlą i rozprowadza. Na końcu szpachli były ząbki do wykończenia ściany przed położeniem płytek. Wybrały z babcią białe kafelki, które wyglądały jak cegielki i pasowały do jasnej wanny z hydromasażem, którą Matt już zainstalował.

- Marzę o kąpeli w wannie - powiedziała Kate.

- O czym przypominasz mi codziennie.

- To niegrzeczne.

- Co?

- Wypominanie mi, że się powtarzam. Matt nieznacznie uniósł kąciki ust.

- A co mam zrobić? Słuchać, jak w kółko gędzisz o tym samym dzień w dzień?

- Oczywiście.

- W takim razie musimy pogadać o podwyżce.

Kate zachichotała. Zamilkli na jakiś czas i Matt wrócił do pracy. Kate patrzyła na ruchy jego rąk. Dużych, silnych, umięśnionych rąk. Naznaczonych niewielkimi bliznami. Pełnych gracji i pewnych swojego fachu.

Kiedy Matt nałożył w końcu fugę, zadowolony z efektu sięgnął po pierwszą płytkę. Kate wystrzeliła ze swojego siedziska, by znaleźć się blisko sterty kafelków. Podniosła jeden i podała Mattowi.

- Skoro skończyliśmy z babcią malowanie, to chyba czas najwyższy na podłogi.

Kiwnął głową.

- Zadzwończyliśmy do faceta od podłóg, którego nam poleciłeś, powiedział, że jego ekipa może przyjść pod koniec tygodnia. Potrzebują trzech dni i lepiej by było, gdybyśmy przez ten czas nie kręcili się w pobliżu ze względu na pył. Pasuje ci? Jeśli chodzi o twój plan pracy?

- Pasuje.

- Myślisz, że możemy przenieść antyki ze stodoły do domu w następny poniedziałek?

- Jasne.

- Mam wynająć ludzi od przeprowadzki? Do dźwigania?

- Nie, zadzwonię do kilku gości, którzy czasem ze mną pracują, żeby pomogli.

- Idealnie.

Zapadła cisza. Pierwsza odezwała się Kate:

- Chciałybyśmy z babcią wybrać się na wycieczkę do Filadelfii, kiedy będą wykańczać podłogę. Żeby zobaczyć to i owo. Dzwon Wolności. Independence Hall i takie tam. Wyjeżdżamy jutro.

Przyglądała mu się uważnie, szukając jakiegokolwiek reakcji, jakichkolwiek wątych oznak, że obchodzi go, czy zostaną, czy wyjadą, że będzie za nimi tęsknił. Ale Matt zachował kamienną twarz. Po prostu dalej kładł płytki, całkowicie obojętny.

Czego się spodziewała?

Nie wiedziała, co dalej.

Zaczęła zdrapywać plamki farby z paznokci, obmyślając taktykę. W końcu palnęła bez ogródek:

- Morty kocha Velmę.

Matt podniósł głowę i spojrzał na nią przepastnymi czekoladowymi oczami. Ależ on miał długie rzęsy!

- Możesz powtórzyć? - zapytał.

- Morty kocha Velmę.

- Poważnie?

- Tak. Mówię ci o tym, bo potrzebuję twojej pomocy - wyznała Kate.

- Mojej pomocy?

- Tak.

Wyciągnął dłoń:

- Płytką.

Podawała Mattowi kolejny kafelek. Przyłożył go w odpowiednim miejscu.

- Moją pomoc... A w czym? - dopytał.

- Żeby namówić Velmę na randkę z Mortym.

Zamarł momentalnie. Szybko jednak się ocknął i po chwili umieścił obok płytki mały krzyżak.

- Ciekawość mnie zżera, żeby usłyszeć, jak niby mógłbym mu pomóc.

- Velma powiedziała, że rozważy randkę z Mortym, jeśli zmieni kolor włosów. Zmieniliśmy więc. Ale teraz Velma chce, żeby zmienił ciuchy

- wyjaśniła Kate.

- Mam pomysł.

- Czyli?

- Morty powinien powiedzieć Velmie, żeby spadała na drzewo.

- Nie może, bo, jak już wcześniej powiedziałam, kocha ją. Matt odburknął lekceważąco.

- Velma powiedziała mi, że lubi mężczyzn w hawajskich koszulkach Tommy Bahama - dokończyła Kate.

Matt przewrócił oczami.

- Jest październik. A to nie są czasem koszule - wykonał chaotyczny gest - na jakieś tam karaibskie lipcowe wypady?

- Owszem. Ale taki postawiła warunek, więc Morty pozwolił mi kupić dla niego koszulę Tommy Bahama, kiedy będę w Filadelfii. I zastanawiałam się, czy może jest jakaś szansa... jakakolwiek nawet najdrobniejsza szansa... że wybierzesz się z Mortym na zakupy, kiedy mnie nie będzie... żeby znaleźć kilka innych fajnych ciuchów.

Gapił się na nią z niedowierzaniem.

- Tylko kilka par spodni. Jakies buty. Skórzaną kurtkę. I może jakieś dodatkowe koszule - dodała szybko.

- Kate.

- Myślę, że Morty za bardzo się wstydzi o tym mówić, nawet Williamowi. A dla mnie byłoby jakoś niezręcznie iść z nim na zakupy.

- Spojrzała na niego błagalnie. - Wiesz więcej o męskich ubraniach, a dodatkowo Morty jest w ciebie zapatrzony, oczywiście ze względu na twoje sportowe supermoce... więc myślę, że przyjmie twoją pomoc.

- Zapatrzony? - mruknął Matt.

Kate zaśmiała się i ukryła twarz w dłoniach.

- No wiesz. Trochę jak w idola.

Dlaczego dała się wciągnąć w tę telenowelę? Czekala tylko, aż Matt ją zastrzeli.

- Nie mam w zwyczaju chodzić na zakupy z innymi mężczyznami - odparł.

Podniosła wzrok.

- Wiem.

Nie powinna go pytać. To była loteria, ale miała irracjonalną nadzieję, że...

- No dobrze - westchnął.

- Naprawdę?

- Tak.

Wpatrywała się w niego z nieopisaną wdzięcznością.

- Dziękuję. Wzruszył ramionami.

- Naprawdę, Matt. Dziękuję ci. Doceniam to - wyznała. Matt spojrzał na płytki.

- To jakie jeszcze masz plany co do Filadelfii, emerytko? Autokarowa rundka po mieście? Kolacja o wpół do piątej? - zapytał.

- Bardzo śmieszne.

- Ile ty w ogóle masz lat?
- Pytasz, bo wyglądam na siedemdziesiątkę?
- Pytam, bo się z takimi kumplujesz.
- A jak myślisz?

Gdy tylko to powiedziała, natychmiast pożałowała, że nie może wepchnąć swoich słów z powrotem do gardła. *A jak myślisz? Ile mam lat?* Każda kobieta - także ona - wiedziała, żeby unikać tego pytania jak zarazy. Wymknęło się jej przez przypadek. Sama sobie strzeliła w kolano.

- Nie urodziłem się wczoraj, Kate. Wybij sobie z głowy, że będę zgadywał.

Mądry facet!

- Mam trzydzieści jeden lat. Posłał jej powątpiewającą minę.
- Naprawdę — zapewniła go.
- Wyglądasz na młodszą.

Ludzie często jej to mówili, sugerując się filigranową figurą.

- A ty? - zapytała.
- Trzydzieści dwa.

Co za ulga. *Naprawdę* nie chciała być starsza od niego.

- A więc jeśli masz trzydzieści jeden lat... - Spojrzał na nią przez ramię, unosząc brew. - ... nie powinnaś już mieć męża?

Spiorunowała go wzrokiem.

- A ty nie powinieneś już mieć żony?

Jego usta drgnęły i po nagłym błysku w jego oczach odkryła, że się z nią droczył. Niesamowite!

- Kafelek - powiedział. Podała mu.
- Gdzie chodziłaś do szkoły? - zapytał. - Pewnie skończyłaś jakiś czteroletni chrześcijański uniwersytet.

- Baylor.
 - Uuu. I oczywiście należałaś do żeńskiego bractwa studenckiego.
 - To takie oczywiste?
 - Mam rację?
 - Tak — odparta.
 - I miałaś pewnie powodzenie u facetów z innych bractw. Posłała mu nieco udawane, rozzłoszczone spojrzenie.
 - I co niedzielę chodzisz do kościoła - bardziej stwierdził, niż zapytał.
 - Tak - odpowiedziała.
 - Więc w czym problem? Zwykle kobiety, które idą tą drogą, wychodzą za mąż po dwudziestce.
 - Ale nie ta kobieta.
 - Czy jest ktoś, o kim nie wiem? Chłopak? Narzeczony?
 - Nie.
 - Jak to możliwe?
- Odczekała chwilę, zanim odpowiedziała:
- Wolisz dowcipnie czy szczerze?
- Dopasowywał płytkę, póki nie leżała idealnie równo, po czym odsunął się od ściany. Nagle spojrzał na Kate spokojnie, poważnie.
- Szczerze.
 - No cóż... - Zastanawiała się, jak to powiedzieć, by nie zabrzmiało żałośnie. - Szczerze to byłam w kilku krótszych i dłuższych związkach, ale nigdy jakoś nie wyszło.
 - Ponieważ...
 - Na przykład ostatni facet, z którym się spotykałam, był lekomyślny... hmm... samolubny i ogólnie niemiły. Krótka to trwało.
 - To wszystko?
 - Niestety, to dopiero początek listy.

Spodziewała się, że zobaczy uśmiech, ale zamiast tego Matt tylko zmarszczył brwi.

Kate spróbowała beztrząsco wzruszyć ramionami.

- Moje życie miłosne to zwykła, nudna historyjka. Miła dziewczyna, która nie spotkała właściwego faceta - powiedziała.

Nadal mierzył ją wzrokiem.

- Jeśli w ogóle gdzieś tam *jest* dla mnie jakiś właściwy facet

- dodała.

- Oczywiście, że jest.

Powiedział to ktoś całkowicie oderwany od randkowej rzeczywistości. Był bogatym i sławnym hokeistą, chyba już od... liceum? Kate właściwie uważała, że Matt stał się legendą już w chwili narodzin. Zdobywanie kobiet musiało być dla niego chyba najprostszą rzeczą pod słońcem.

Wyciągnął rękę.

- Kafelek.

Podawała mu to, o co prosił. Nagle przed oczami stanął jej budynek, w którym mieścił się portal randkowy Match.com w Dallas. Olbrzymia, szara, lustrzana konstrukcja, szeroka na przecznicy i co najmniej trzypiętrowa. Wszyscy pracownicy, cała ta powierzchnia, poświęcali się pracy na rzecz osób poszukujących drugiej połówki. Za każdym razem, mijając ten budynek, wpadała w depresję. Jego widok przypominał jej, jak trudne i uciążliwe mogą być takie poszukiwania. Jak trudne *było* to w jej przypadku.

Gdzie się podziała torebka miętowych ciągutek? Nagle Kate pilnie ich potrzebowała. Wstała, otrzepała dzinsy.

- Wiem, jak lubisz pracować w ciszy, więc nie będę ci przeszkadzać.

Zmarszczył brwi.

- A od kiedy to szanujesz moje pragnienie pracy w ciszy?

- zapytał.

Uśmiechnęła się.

- Kiedyś musi być ten pierwszy raz. Matt popatrzył na Kate z ukosa. Co z nią było nie tak? Na pewno coś. Bo nawet jego gniewne spojrzenia zwałały ją z nóg i wydawały się urocze.

Na całe szczęście jest coś takiego jak strona z wypożyczaniem filmów online. Matt prędzej by umarł niż poszedł po te filmy do publicznej wypożyczalni.

Przejrzał listę wyników z filmografią Audrey Hepburn. Taaa, było *Śniadanie u Tiffanyego*, o którym coś tam słyszał. Zamówił je, a potem przestudiował pozostałe tytuły. Nic mu nie mówiły.

Po chwili przewijania strony i klikania tu i ówdzie wybrał jeszcze *Szaradę* i *My Fair Lady*. Kompletnie ich nie kojarzył, ale użytkownicy portalu przyznali im największą liczbę gwiazdek.

Matt złożył zamówienie i odchylił się na krzesło. Przez ostatnie kilka dni coraz częściej zastanawiał się, czy Kate wygląda jak Audrey Hepburn. Teraz będzie mógł się przekonać na własne oczy.

Spojrzał na zegarek. Było późno. Bez wątpienia Kate i Beverly, zgodnie z rozkładem dnia dla emerytów, dawno już spały. Zapakowały explorera i ruszyły do Filadelfii wczoraj, we wtorek, koło południa.

Cieszył się tą samotnością. Miło było mieć trochę wolnego od Chapel Bluff, od tego gadania, od ciągłych, badawczych, kobiecych spojrzeń. Tu mógł być sobą, zabunkrowany we własnym domu, zupełnie sam. Tak było najlepiej. Wolał być sam.

Przynajmniej kiedyś tak było. Ale czas mijał, a z Mattem zaczęło się dziać coś złego. Im bardziej wydłużała się nieobecność Kate i Beverly, tym wolniej mijały mu godziny. Czwartek dłużył się straszliwie, zanim w końcu dowlóknął się do piątku.

W piątek Matt trochę poćwiczył, pozałatwiał zaległe sprawy i naprawił kilka usterek w domu. Papierkową robotę dla firmy też już miał z głowy. Odebrał telefon od Peg z zaproszeniem do niej na wieczór pokera. Nie byłoby tam Kate, więc wymyślił jakąś wymówkę i podziękował za propozycję. Zrobił pranie, a potem obejrzał babski film z Audrey Hepburn. Tej nocy nie mógł zasnąć. Leżał tylko, gapiąc się na sufit. Piątek wreszcie doczłapał się do soboty.

W sobotę Matt zabrał Morty'ego na zakupy. Czując się jak totalny idiota, siedział przed przebieralnią i komentował kolejne ciuchy, które Morty wytrwale przymierzał. Kiedy głowił się, żeby przypomnieć sobie, dlaczego w ogóle zgodził się mu pomóc, jedyne, co pamiętał, to spojrzenie Kate. Błagalny wyraz orzechowych oczu. Po powrocie do domu obejrzał kolejny superbabski film z Audrey i spędził kolejną noc na gapieniu się w sufit. Sobotę odmierzał już w sekundach.

W niedzielę zajmował się trawnikiem, póki każdy liść nie został zagrabiony, każdy chwast wyrwany, każdy krzak przystrzyżony, a każde wystające źdźbło trawy skoszone. Surfował po Internecie i nadrobił zaległości w e-mailach. Potem rozłożył się na kanapie i spędził długie godziny przed wielkim ekranem telewizora, oglądając sport. Kiedy nie mógł już wytrzymać ani minuty dłużej, a dźwięki z telewizora stawały się nie do zniesienia, wyłączył go i podreptał do kuchni. Wykorzystał kilka rad, które dała mu

Beverly, i przyrządził sobie kolację. Grillowany kurczak, sałatka i brokuły na parze? Odwalił kawał dobrej roboty, tyle że jedzenie nie smakowało już. tak dobrze, kiedy jadło się w pojedynkę. Pozmywał i spojrzął na zegarek. Była dopiero siódma i Matt poczuł, jak ogarnia go fala czegoś na kształt rozpacz.

Wziął kolejny prysznic, mimo że wcale go nie potrzebował, po czym ubrał spodnie od piżamy i T-shirt. Leżał na łóżku, z głową na poduszkach, zakładając nogę na nogę, w przytłumionym świetle. Próbował czytać. Próbował. I próbował. Spojrzął na zegarek. Siódma trzydzieści cztery.

Jeden zwinny ruch i był znów na nogach. Zaczął spacerować po domu, niespokojny i niezadowolony.

Co się z nim dzieje?

Od kiedy Beth... raczej nie opuszczał mieszkania. Pracował, ćwiczył i oglądał sport. Pozostałe miejsca - spożywczy, stacja benzynowa, market budowlany - to były wyjścia powodowane koniecznością.

Takie życie wybrał. Przez kolejne lata po śmierci Beth nie miał siły na jakiegokolwiek znajomości. Nie miał serca ani mocy, żeby oddzwaniać, spotykać się z przyjaciółmi w barach i restauracjach czy nawet w domowym zaciszu.

Krążył po kuchni, jadalni, pokoju. I znów po kuchni, jadalni, pokoju.

Próbował sobie przypomnieć, dlaczego właściwie aż tak się zamknął. Ale nie mógł. Zawsze był skryty. Skoncentrowany. Wolał grać niż mówić. W towarzystwie nigdy nie bryłował, nie żartował, nie był duszą towarzystwa. Ale przecież zanim umarła Beth, uwielbiał z nią wychodzić. Miał przyjaciół. Potrafił rozmawiać z ludźmi.

Żałował, że teraz nie może nigdzie iść - gdziekolwiek.

Nic dziwnego - był w końcu dziwakiem. Wśród ludzi czuł się nieswojo, z wzajemnością. Był rym facetem, któremu nagle zmarła

żona i który porzucił sportową karierę. Jak się rozmawia z *takim* facetem? Nie mógł ich winić. W końcu ledwo co umiał rozmawiać sam ze sobą.

Przezcesał włosy palcami. Żeby do końca nie oszaleć po pogrzebie Beth, odepchnął wszystkich. Ale samotność, do której zdążył przywyknąć przez ostatnie trzy lata - którą *przyjął z otwartymi ramionami* - teraz mu doskwierała. Ciężka mu.

Zatrzymał się przy frontowym oknie, skrzyżował ręce na piersi i zapatrzył się na czarny las, dobrze widoczny na tle szarego nieba. Więc co się zmieniło?

Znał odpowiedź.

Kate.

Zgodził się na tę pierwszą kolację z nią i z Beverly w Chapel Bluff. Być może to był błąd. Ale nie tak straszny, gdyby Matt dopilnował, aby to się więcej nie powtórzyło. Powinien był tak zrobić. A tymczasem, naiwniak, wpadł po uszy. Na tyle głęboko, że teraz przychodził na wspólne kolacje i wieczorki pokerowe, zawoził meble dla Armii Zbawienia własnym samochodem, oglądał filmy z Audrey i pomagał jakiemuś dziadkowi wybierać spodnie. Wpadł do tego stopnia, że teraz nie potrafił spędzić pięciu dni sam.

Do tego stopnia, że bez niej czuł się samotny.

Spanikował. Nie może się tak czuć. Jak długo się znają? Policzył w myślach. Znał Kate dokładnie od miesiąca. Jeden marny miesiąc! Prychnął szyderczo, z pogardą.

Z premedytacją podszedł do zdjęcia Beth. Oprawił je w srebrną ramkę i postawił na wyspie z granitowym blatem, który łączył kuchnię z pokojem.

W ich mieszkaniu na Manhattanie było tak wiele fotografii. Oprawionych. Powieszonych na ścianach. Albumy pękały w szwach. Kiedy *to* się stało, nie mógł ich oglądać. Po przeprowadzce do

Redbud wszystkie rzeczy z tamtego mieszkania zamknął w wynajętym magazynie. Oprócz tego jednego zdjęcia.

Było to jego fizyczne, namacalne wspomnienie Beth... Tekstura jej włosów, zapach perfum, dźwięk głosu... w jego pamięci się zamazały. Ale każdy centymetr tej jednowymiarowej fotografii znał na pamięć.

Zrobiono ją na ich ślubie. Choć Beth stała bokiem, twarzą była zwrócona do obiektywu i patrzyła prosto na fotografa. Szczęśliwa, śmiała się, a długie blond włosy opadały jej na plecy.

Była piękna. Kompilacja wszystkiego, co najlepsze w typie urody Amerykanek. Oczy w kształcie migdałów. Szczupły, smukły, lekko zadarty nos. Była wysoka, miała krągłości i nogi do szyi. Ludzie mówili, że przypomina Barbie. Wtedy go to irytowało, ale teraz, patrząc wstecz, rozumiał, dlaczego mogli ją tak określać. Była tak ładna, tak delikatna, tak... idealna.

I urocza. Dziewczyna z Georgii, mówiąca z południowym akcentem, o czułym sercu, która naprawdę interesowała się każdym napotkanym człowiekiem. Odkąd ją znał, pracowała dla Towarzystwa na rzecz Chorych na Białaczkę i Chłoniaka. Wzruszała się, oglądając reklamy na Hallmarku, wynosiła na zewnątrz owady, które przypadkiem wleciały do domu, biorąc je ostrożnie na kawałku papieru zamiast rozdeptać. I niczego nie pragnęła bardziej niż być matką.

I ta dziewczyna, *jego dziewczyna*, zmarła na raka mózgu w wieku dwudziestu siedmiu lat. Jej twarz na fotografii zamazała się, gdy Matt zapłakał. Tak długo i tak bardzo za nią tęsknił. Jak mógł jej to robić? Jak mógł ją zdradzać, tęskniąc za kimś innym?

Zawiódł ją, kiedy żyła, i zawodzi ją teraz.

W jego głowie pojawiły się dawne znajome koszmary. Widział siebie i Beth, siedzących blisko w gabinecie lekarskim, tuż po usłyszeniu diagnozy. Potem Beth płaczącą w jego ramionach do późna

w nocy, przerażoną i zrozpaczoną. Leżącą w prześcieradłach i kocach. Umierającą.

Dreszcz wściekłości przebiegł mu po karku, ramionach, rękach. Wszedł do sypialni. Zrzucił z siebie spodnie od piżamy i wbił się w dżinsy. Wskoczył w adidas i sięgnął do szafy po sportową kurtkę. Przechodząc przez kuchnię, chwycił kluczyki i pilota do garażu i z hukiem popchnął tylne drzwi. Pięć kroków i był już przy aucie.

Nie robił tego od miesiący. Zawsze jeździł pick-upem. Nacisnął drugi guzik na pilocie i stanął szeroko w zimnie nocy, obserwując, jak drzwi garażowe unoszą się i jak z mroku wyłania się jego Lamborghini Murciélago.

Wślizgnął się do niskiego samochodu, przekręcił kluczyk i wsłuchał się z satysfakcją w ryk budzącego się do życia silnika. Wnętrze wozu, podobnie jak lakier, było całkowicie czarne. Do tego sześciobiegowa manualna skrzynia biegów. Był to bezwzględny, piękny tyran, samochód, który idealnie odzwierciedlał nastrój Matta.

Matt na początku jechał wolno i ostrożnie, sunąc po wąskich uliczkach wyprowadzających z miasta. Kiedy dotarł do autostrady, natychmiast zmienił pas na ten szybkiego ruchu, wrzucił bieg, a potem pomknął przed siebie wzdłuż niekończącej się cementowej drogi w świetliste prążki. Szybko. Szybciej. Tylony spoiler uniósł się, a elektryczne boczne lusterka przywarły do boków auta. Warkot silnika ogłuszył Matta.

Nie mógł sobie pozwolić na przywiązanie się do Kate i Beverly. Z wielu powodów. Choćby dlatego, że były w Redbud tylko tymczasowo. Maksymalnie jeszcze dwa miesiące. Jeśli zacznie mu na nich zależeć, to co się z nim stanie, gdy wyjadą? Może być jeszcze gorzej niż teraz.

Nie mógł do tego dopuścić. Nie, kiedy jego kondycja i tak pozostawiała wiele do życzenia... ledwo co funkcjonował.

W Chapel Bluff miał do skończenia robotę. Nic więcej. Tylko tyle. To tylko praca. Dla dobra własnego zdrowia psychicznego musiał zrobić jeden krok w tył.

Matt patrzył z dziką satysfakcją, jak czerwona igła prędkościomierza pnie się ku górze. Latarnie uciekały ze swoim światłem. Ledwo co rozpoznawał przydrożne drzewa. Przerywana żółta linia na asfalcie pędziła pod Mattem w nieskończoność.

Prawda życiowa numer jeden - nigdy nie nakładaj makijażu po ciemku. Bo kiedy już spojrzysz na siebie w świetle dnia, możesz się przerazić. Potargane brwi. Smugi podkładu. Za dużo różu. Niestety, druga prawda życiowa mówi, że robienie makijażu przy mocnym świetle może równie skutecznie zniszczyć twoje ego.

Wreszcie był poniedziałek. Kate wróciła już z Filadelfii do Chapel Bluff i była wręcz spragniona spotkania z Mattem. Nerozsądnie spragniona.

- To głupie - wyszeptała do siebie.

Jednak mimo wysiłków wciąż była podekscytowana. Niczym czternastolatka szykująca się na szkolną dyskotekę, nakładała właśnie makijaż — wyjątkowo starannie i szczegółowo.

Kate odsunęła się od lusterka i zmrużonymi oczami oceniła efekt, po czym nałożyła jeszcze jedną warstwę cieni do powiek.

Myślała o Macie przez cały czas pobytu w Filadelfii. Co robił, kiedy ich nie było? Czy poznał jakąś boską bywalczynię kręgów towarzyskich, zabrał ją na randkę i natychmiast się w niej

zakochał? Czy miał co jeść? Czy wyprawa na zakupy z Mortym była udana?

Nawet kilka razy spojrzała na telefon hotelowy, rozważając możliwość zadzwonienia do niego. Pragnęła do niego zadzwonić. *Pragnęła*. Ale od kiedy się poznali, ani razu nie rozmawiała z nim przez telefon. Ich system porozumiewania się istniał wyłącznie wewnątrz Chapel Bluff. Telefon byłby zbyt dziwaczny, Matt mógłby się zirytować.

Jednak dzięki temu, że babcia nie wytrzymała bez rozmowy telefonicznej z Velmą i Peg, Kate dowiedziała się, że Matt nie zjawił się na pokerowym wieczorze w piątek. To wywołało kolejną lawinę pytań. Czy oprócz nich Matt miał kogokolwiek, z kim mógłby porozmawiać? Czy kogoś obchodziło, jak się miewa? Czy siedział w domu sam?

To wariactwo! Przecież miał rodzinę. Rodziców na Florydzie i starszego brata, ale Kate nie wiedziała, gdzie mieszka. Na pewno miał wieloletnich przyjaciół. Różnych ludzi, którym na nim zależało. Prawdopodobnie.

Schowała kosmetyki do szuflady. Przejrzała się w lustrze ostatni raz. Twarzy i włosom i tak już nic nie pomoże. Tego dnia założyła nowy, szarzielony obcisły sweter z dekoltem w serek i dopasowane džinsy. Planowali dziś przenieść antyki ze stodoły do domu i nie chciała dać po sobie poznać, że aż tak zależało jej na tym, aby zyskać uznanie mężczyzny, który miał być tylko przyjacielem. Tak jak to sobie postanowiła jakieś tysiąc razy.

Usiłowała być odważna, próbując przybrać zwyczajną minę, i poszła go poszukać. Łazienka, którą Matt wykładał kafelkami w zeszłym tygodniu, była pusta, podobnie jak pokoje na parterze. Kiedy jednak z kuchni dobiegło ją radosne trajkotanie babci, Kate zrozumiała, że starsza pani ma już Matta w swoich szponach i jest zadowolona niczym niedźwiedź, który złapał pstrąga.

Weszła do kuchni i, jak się spodziewała, zastała tam Matta. Siedział przy stole suto zastawionym jedzeniem. Babcia krzątała się to tu, to tam, opowiadając i żywo gestykulując.

Spojrzenia Matta i Kate spotkały się.

- Hej. - Uśmiechnęła się. - Miło cię widzieć.

- Ciebie też - odpowiedział bez entuzjazmu, chyba tylko przez grzeczność.

Gdyby wstał, uściskałaby go po przyjacielsku. Ale Matt nie ruszył się z miejsca, jakby wrósł w krzesło, na którym siedział. Czapkę bejsbolową wcisnął głęboko na czoło i miał poważną minę.

Coś było nie tak.

- Dzień dobry, kochanie - powitała Kate babcia. - Siadaj, siadaj. Zapytałam Matta, czy jadł śniadanie. Nie jadł, więc, rzecz jasna, nie mogłam go puścić do pracy z pustym żołądkiem. Przynajmniej mam wymówkę, żeby coś upichcić.

Kate spojrzała na ucztę na stole.

- Faktycznie.

- Bekon. Kiełbaski. Jajka. Naleśniki. - Babcia celowała palcem w kolejne dania.

Kate zauważyła, że babcia ubrała dziś pierścionki i bransoletki z jadeitem. Lubiła je zestawiać z zielonymi płaskimi butami, do których pasowały szeroka dżinsowa spódnica i czarna koszulowa tunika. Kolorowe sznury koralu od okularów kołysały się rytmicznie, gdy babcia uwijała się przy garnkach.

- Wygląda super - stwierdziła Kate.

- Kawy? - zapytała babcia.

- Poproszę.

Babcia zakrzątnęła się w drugiej części kuchni, a Kate ponownie skupiła uwagę na Macie.

Patrzył na nią. Miał skupioną, ale powściągliwą twarz, bez śladu koleżeńskiej swobody.

Poczuła ucisk w piersi. Jakieś przeczucie.

- I co? Podszkoliłeś się w pokerze, kiedy nas nie było? - zapytała, z nadzieją na ocieplenie atmosfery.

- Nie.

- To dobrze. Czyli moja upatrzona torebka nabiera realnych kształtów. - Uśmiechnęła się.

Nie odwzajemnił uśmiechu. Zamiast tego jeszcze przez parę chwil patrzył na nią, a potem spuścił wzrok na talerz, jak gdyby nie był pewien, co tam robiło na wpół już zjedzone śniadanie.

Kate rzuciła spojrzenie babci.

Babcia odpowiedziała zatroskanym zmarszczeniem brwi, uniosła ręce w geście dezorientacji i bezgłośnie wypowiedziała: *Nie wiem.*

Serce Kate zaczęło głucho łomotać. Zmusiła się do zjedzenia śniadania. Ręce lekko jej się trzęsły, a żołądek zaczął się kurczyć. W głowie miała płataninę myśli.

Pozbieraj się do kupy!- nakazała sobie. *Może ma tylko zty dzień.*

- Podłogi wyglądają świetnie, prawda? - Spróbowała go zainteresować.

- Taaa - odparł.

Po pojedynczej sylabie nastąpiła niezręczna cisza.

- Też tak myślę - wtrąciła się babcia. - Miałam nosa do tej miodowej bejcy. Świetnie się komponuje z kolorem ścian.

Pocziwa babcia potrafiła doskonale wypełniać ciszę. Jej głos szemrał niczym radosny strumyk, tworząc dziwne tło dla smutku, który jak imadło ścisnął właśnie gardło Kate. Kate przestała udawać, że je, i po prostu patrzyła na Matta, który tkwił bez ruchu na krześle, gapiąc się przez okno.

Znała takie zachowanie z pracy - tak robiły zniszczone psychicznie dzieci. Łamało jej to serce.

Wycofał się. Przez te pięć dni, gdy one były w Filadelfii, Matt schował się w miejscu, które uważał za bezpieczne. Zsunął się z powrotem do podnóża góry, po której się wspinał. Góry, pod którą Kate pchała go od dnia, w którym się spotkali.

Poczuła piekące łzy.

Nie chciał jej pomocy i nie prosił o nią. Nie była za niego odpowiedzialna. Pracowała w opiece społecznej, zajmowała się maltretowanymi dziećmi. Nie знаła się na zranionych mężczyznach, którzy nadal kochali swoje zmarłe żony. A mimo to cieszyła ją ta przyjaźń i kolejne kroki naprzód. Miesiąc starań - żeby z nią porozmawiał, poprzekomarzał się, a od czasu do czasu - uśmiechnął. Była zdruzgotana, widząc, że wrócił do punktu wyjścia, oddalił się i zamknął w sobie.

Nie wiedziała... zamrugła kilka razy, żeby osuszyć oczy... czy ma jeszcze siłę, by popchnąć go znów pod górę. By zacząć od nowa. Nie, kiedy w każdej chwili mógł podjąć decyzję, że chce spaść w dół. Nie, kiedy tak bardzo bolał widok jego upadku.

Nie powinna była jechać do Filadelfii...

Chwila. O nie. Nie będzie się pławić w poczuciu winy, skoro to nie była jej wina. Faceci, którzy odnawiali podłogę, powiedzieli im, że mają się wynieść, więc tak zrobili. Owszem, ich nieobecność mogła jakoś wpłynąć na myśli Matta, mogła, albo i nie. Kate była pewna tylko jednego, że Matt sam podjął decyzję, by się wycofać.

Boże. Taka strata. Pomyślała o rozmowach, które odbywali podczas ostatnich kolacji. O tym, jak uśmiechał się do niej w pick-upie, wtedy kiedy jechali z gratami do biura Armii Zbawienia. O siedzeniu na odwróconym wiadrze z Home Depot i przyglądaniu się, jak Matt pracuje.

Matt sprawiał, że nie czuła się już tak samotna.

Kiedy teraz Kate patrzyła na jego napięty profil, ta chroniczna samotność, która zawsze krążyła nad nią niczym sęp, znów szykowała się do ataku. Kate nie chciała przez kolejne dwa miesiące snuć się po domu, nie zamieniając z Mattem ani słowa.

Co robić?

Jedyne, co mogła w tej sytuacji, to udawać obojętną i skupić się na przenoszeniu antyków.

Trzeba przyznać, że Bóg jest nieoceniony w swej dobroci.

Kiedy tego ranka po śniadaniu Kate zjawiała się w stodole, zastała tam Matta i dwóch nieznanym jej facetów. A jeden z nich był bezspornie, beczelnie *przystojny*.

Gdy weszła, przerwali na chwilę pracę, a Matt wyprostował się.

- Kate. - Wskazał w jej kierunku. - To Tyler, a to Ryan -przedstawił ich sobie.

Ryan był ogromnym, misiowatym mężczyzną z zakolami i błyszczącymi oczami.

- Miło mi cię poznać. - Wyciągnął rękę do Kate.

- Mi również.

Ryan i Matt wrócili do pracy. Tyler podszedł do niej, uśmiechając się szeroko.

- A niech mnie, ta robota stała się właśnie o niebo lepsza. Wyciągnął rękę i kiedy Kate podała mu swoją, zamknął ją

w zdecydowanym uścisku. Po bardzo długiej chwili odsunął się i gwizdnął nisko.

- Jesteś olśniewająca, młoda damo.

- Dzięki. Ty też jesteś niczego sobie.

Mało powiedziane. Był bardzo przystojny. Dołeczki w policzkach. Zarysowana, szeroka szczęka. Błękitne oczy. Włosy niczym surfer, ciemny blond. Skórzany pas na narzędzia, jeden z tych, które noszą cieśle w programach wnętrzarskich. Tyler miał na sobie workowate dżinsy z obniżonym krokiem, buty trekkingowe i brązowo-beżową koszulkę polo. Ostatni raz Kate widziała taką w piątej klasie. Wciąż je szyją?

- A niech mnie. Gdybym wiedział, że tu mieszkasz... Kate, zgadza się? - zapytał Tyler.

- Tak.

- Gdybym wiedział, to zgłosiłbym się tu do pracy już kilka tygodni temu, i do tego za darmo. Ale oczywiście mój najlepszy kumpel Matt nie pisał o tobie ani słowa. Pewnie chciał cię zatrzymać wyłącznie dla siebie. - Mrugnął do niej rozbawiony i oboje spojrzeli na Matta.

Matt gapił się na nich z miną, jakby połknął żabę. Oszołomiony i niezadowolony.

Ha! Kate poczuła przyływ satysfakcji. Z jednej strony chyba nie powinna być taka zadowolona. Ale... Co tam!Może wcale nie warto sobie zawracać głowy wciąganiem cię po raz kolejny pod górę, ty wielki, głupkowaty osie!

- Matt już taki jest — dodał Tyler. - Małomówny.

- O tak - przytaknęła Kate.

- Mam nadzieję, że ty jesteś gadułą — powiedział Tyler. — Ryan i ja lubimy sobie pogadać przy robocie.

- Jestem.

- To jeszcze lepiej. — W jego policzkach pojawiły się dołeczki. - Skąd jesteś? Nie kojarzę akcentu.

- Z Dallas.

- Mogłem się domyślić. Byłeś kiedyś w Dallas, Ryan? - zawołał do kumpla.

- Nie. — Ryan wystawił głowę zza szafy.
- Stary, koniecznie musisz tam jechać. Osiemdziesiąt procent kobiet to piękności. Oblęd! Wszystkie wyglądają jak cheerleaderki Dallas Cowboys.
- Nieźle - skomentował Ryan. - Ale nic z tego... wolę swoją żonę.
- Niech ci będzie. Jak chcesz. Jeszcze byś się zdołował. - Tyler spojrzął z góry na Kate z zaciętą miną. - Ale wiesz... ja mogę jechać.
- Nie masz żony?
- Nie. A ty? Jesteś wolna?
- Tak.
- To doskonale. Czyli mam cały dzień, żeby przyprzeć cię do muru i namówić na randkę.
- Matt wydobył z siebie zniesmaczony jęk. Tyler spojrzął na niego:
- Stary, nie rób mi wstydu przed panią. Całkiem nieźle mi szło.
- Jasne - wymamrotał Matt. - Prawie mi zaimponowałeś. Tyler posłał Kate zabawne spojrzenie, udając, że cierpi niewypowiedziane męki.
- Widzisz, co muszę znosić?
- Tak, to straszne - powiedziała.
- Straszne. A więc, młoda damo, co możemy dla ciebie zrobić? - Szerokim gestem wskazał na wnętrze stodoły.
- No cóż, wiem, gdzie chciałybyśmy wstawić te meble, jeśli to coś pomoże.
- A mogłabyś załatwić kilka takich małych... jak one się nazywają? Karteczki samoprzylepne? ... i nakleić je na meble. Mogłabyś zapisać na nich, gdzie one mają stać w domu.
- Okay, nie ma sprawy.

- I jeszcze musisz mi obiecać, że nie będziesz próbowała sama podnosić niczego ciężkiego.

Uniosła brwi.

- Nawet o tym nie myśl, księżniczko. Żadnego dźwigania. Nie chciałbym, żebyś nadwyrężyła sobie jakiś ładniutki mięsień - dodał.

Matt jęknął głośno.

Mimo całego dobra, jakiego doświadczała teraz Kate - obecności babci, pracy przy odnawianiu Chapel Bluff, flirtu z Tylerem, przerwy od pracy w Dallas - tego wieczoru leżała w łóżku i gapiała się w sufit, a łzy wymykały się z kącików oczu i sunęły bezgłośnie w dół, po skroniach. Matt.

Doprowadzał ją do szału!

Teraz, gdy brutalnie zerwał to, co było między nimi, czuła się... w beczelny sposób okradziona.

To było okropne. Przebywanie dziś z nim w tym samym domu, próby zachowywania się tak jak zwykle, walka z samą sobą, żeby nie pokazać, jak bardzo bolesny jest dla niej jego chłód.

Starła się nie zwracać na niego uwagi, ale ignorowanie Matta było jak ignorowanie reflektora. Światło może być bezgłośnie, ale poraża bielą i niesamowitym gorącem. Kate w ten sam absurdalny sposób zawsze była świadoma obecności Matta. Absurdalnie świadoma i, w każdym razie dzisiaj, w środku wrogo do niego nastawiona. Bo tak naprawdę strasznie, *strasznie* ją irytował.

Jego żona umarła, a Matt kochał ją tak bardzo, że ta śmierć zniszczyła go i złamała. Kate to rozumiała. Ale nie było w porządku,

że był niegrzeczny w stosunku do innych. Zwłaszcza do nich! Ona i babcia: a) technicznie były jego pracodawczyniami, b) troszczyły się o niego.

Westchnęła głęboko i otarła łzy.

Ogromna część Kate chciała skreślić Matta. Byłoby to łatwiejsze i o wiele mniej bolesne. Mogłaby przestać tak mocno się starać. Mogłaby przestać go męczyć. Mogłaby pozwolić mu odejść.

Ale gdy tylko nawiedzała ją ta myśl, przed oczami stawał obraz, jak idzie po trawniku pierwszego dnia, kiedy ona i Matt się poznali. Patrzyła wtedy na jego twarz i widziała w oczach tragedię. Doskonale pamiętała, jak spojrział wówczas na nią spod daszku czapki, poważnie, smutno.

Był zraniony i potrzebował jej pomocy. Może i miała o sobie zbyt wysokie mniemanie, ale nie potrafiła się uwolnić od tej myśli. Tak długo, jak będzie czuć, że Matt jej potrzebuje, ona go nie skreśli. Niezależnie od tego, jak bardzo okaże się nieznośny.

Kaloryfer zastukał, a potem zawarkotał, budząc się do życia. Gałęzie drzew uderzyły o dach. Zapłakana Kate patrzyła na księżyc, którego światło wdzierało się do jej pokoju.

Jestem zmęczona, Boże. Ześlij mi swój pokój.

Oddech był teraz jej modlitwą. Kate nie czuła się dziś na siłach, by układać długie i pięknie brzmiące zdania. Po prostu nabierała powietrza w płuca, zatrzymywała je tam na kilka uderzeń serca i szeptała: „Jestem zmęczona, Boże.” „Ześlij mi swój pokój”. Wydech.

Wdech. Ciche łzy Wydech.

Jestem zmęczona, Boże. Ześlij mi swój pokój.

Następnego dnia Kate trafiła do nieba.

Niebo na ziemi objawiło się jej w postaci sklepu z antykami

O wdzięcznej nazwie *Antyki w szkocką kratę*. Nie było to jednak tak nieskazitelnie czyste niebo, jak sklepy z antykami na głównej ulicy Redbud, w których Kate bała się obrócić, by przypadkiem nie stracić torebką jakiegoś super drogiego bibelotu. Wręcz przeciwnie, *Antyki w szkocką kratę* były niebem może i zagraconym, ale dzięki temu przytulnym i przyjaznym dla gości.

Na zewnątrz październikowy dzień raczył przechodniów chłodem, natomiast sklep powitał Kate ciepłem. Zdjęła szalik

1 przedarła się alejką między meblami w głąb sklepu. W powietrzu unosił się aromat parzonej kawy, cytrusowej świecy i znajomy zapach drewna i kurzu, który zawsze oznaczał precudowne *starocie*.

- Za sekundkę przyjdę. - Z zaplecza dobiegł Kate kobiecy głos.

— Nie ma pośpiechu! — odkrzyknęła.

Meble na wystawie nie świeciły pustkami, ale nie były też zagracone. Na rustykalnym regale wyeksponowano niebieski kamionkowy serwis. Na szczycie mahoniowego kredensu, w ceramicznym dzbanie odpoczywały białe tulipany, a obok nich wciąż jeszcze leżały nożyczki i celofan. Pięknie oprawione szkice podpierały się o orzechową komodę. Z jednej z jej szuflad wystawała figurka Spidermana.

Kate z pewnym podziwem zauważyła, że właścicielce sklepu naprawdę udało się pomalować ściany w szkocką kratę. Bładoniebieski, biały i zielony wzór poprzetykany był różowymi liniami. Motyw zaczerpnięto niewątpliwie z długiego, prostokątnego dywanika w niebiesko-fioletową i szarozieloną kratę.

Z tyłu sklepu wyłoniła się kobieta w jasnoróżowym polarze, džinsach i różowych chodakach z tworzywa.

- Próbowałam zrobić porządek na zapleczu. Jakby miało mi się to kiedykolwiek udać. - Przewróciła oczami i uśmiechnęła się do Kate. — Mogę w czymś pomóc?

- Tak. Nazywam się Kate Donovan.

- Theresa Kickenbach. Miło mi poznać.

- Mnie również.

Theresa na głowie miała całą masę jasnych loczków, sterczących w górę i na boki i opadających sprężynkami tuż nad ramiona. Choć fryzura Theresy była ogromnej objętości, prezentowała się całkiem dobrze. Gdyby chciało się związać wszystkie jej włosy w kucyk, trzeba by było użyć gumki ortodontycznej. Kate zauważyła, że Theresa próbowała poskromić niewielką grzywkę malutką

- nie większą niż cukierek M&M's - żółtą spineczką.

- Pewien pan w jednym ze sklepów z antykami powiedział mi, gdzie mogę panią znaleźć - Kate przeszła do sedna. *Antyki w szkocką kratę* mieściły się w cichym zakątku miasta, dwie przecznice od głównej ulicy. — Wiem, że zajmuje się pani wyceną antyków.

- Tak, jestem rzeczoznawcą... To znaczy byłam... A właściwie nadal *jestem*, tylko że robię to już coraz rzadziej. Proszę, niech pani wejdzie.

Kate ruszyła za Theresą na zaplecze.

- Tutaj... - Theresa uprzątnęła stertę czasopism, pocztę i jakieś teczki z fotela przy stole roboczym, który służył za biurko.

— Proszę usiąść.

- Dzięki.

Kate patrzyła, jak Theresa krząta się teraz po drugiej stronie stołu i w końcu siada na krześle. Za jej plecami dostrzegła olbrzymią tablicę korkową, wypełnioną zdjęciami, karteczkami samoprzylepnymi i dziecięcymi rysunkami.

- Jest pani stąd? - zapytała Theresa.

- Tak naprawdę to z Dallas. Przyjechałam tu z babcią na trzy miesiące, żeby odnowić Chapel Bluff.

- No tak! - Szare oczy Theresy błysnęły. - Byłam na waszej wyprzedaży garażowej.

- Tak?

- Tak i kupiłam parę rzeczy dla kilku moich klientów, do ich kolekcji. Skoro szuka pani rzeczoznawcy, to rozumiem, że chciałaby pani, abym to ja wyceniła antyki w Chapel Bluff? Przynajmniej mam taką nadzieję.

- Dokładnie. Theresa zatarła ręce.

- Więc co tam macie? Meble? Sztukę? Artykuły kolekcjonerskie?

- Wszystko.

- Mmm. *Bardzo chętnie* rzuciłabym na to okiem. Właśnie wtedy dzwonek nad drzwiami zadzwonił radośnie, obwieszczając przybycie dwóch klientek.

- Przepraszam na minutę. - Theresa wstała.

- Jasne.

Kate rozparła się wygodnie w fotelu i westchnęła. Tego ranka Matt był tak samo oziębły, jak wczoraj, zatem ucieczka od niego i od Chapel Bluff na kilka godzin była dla Kate niczym wakacje. Jeśli mogłaby wypić to miejsce jak parującą filiżankę gorącej czekolady z bitą śmietaną i czekoladową posypką, zrobiłaby to.

Odwróciła się w stronę drzwi i zobaczyła, jak jedna z klientek wskazuje na figurkę Spidermana, wystającą z szuflady komody.

- Ma pani dzieci? - Kate usłyszała jej głos.

- Tak - odpowiedziała Theresa. - Siedmioletnią córeczkę i czteroletniego synka.

Zrobiła grymas, wyszarpnęła Spidermana z szuflady i zamknęła ją kolanem. Rozmawiały jeszcze kilka minut, a gdy kobieta

wyszła, Theresa wróciła na zaplecze i usiadła na swoim skrzypiącym krześle.

- Jack szukał tego wszędzie. - Pokazała Kate Spidermana, po czym cisnęła zabawką do wielkiej torebki, już załadowanej po brzegi drobiazgami. - Pani nie ma dzieci?

- Nie.

- Dzięki Bogu!

Kate przechyliła głowę.

- Dzięki Bogu? - zapytała zdziwiona.

- Ma pani świetną figurę. Jeśli miałyby pani taka figurę *i* byłaby matką, to bym się zastrzeliła.

Kate zaśmiała się.

- Mówię poważnie - rzuciła Theresa. - Nie uwierzy pani, ile kobiet zachodzi w ciążę, rodzi i przechodzi przez to wszystko z figurą cheerleaderki z ogólniaka. To jakiś dramat!

- Dramat.

- Próbowałam schudnąć. - Theresa wskazała na swój okazały biust i biodra. - Ale moje ciało jest nieugięte. A propos... - Sięgnęła pod jakieś papiery i wyjęła dwie pralinki. Wyciągnęła rękę w kierunku Kate. - Może czekoladkę?

- Chętnie. — Kate uśmiechnęła się i wzięła jedną.

- Tak czy inaczej, wygląda pani zbyt młodo na matkę - skomentowała Theresa. - Ja mam czterdzieści lat. *Czterdzieści!* To takie przygnębiające. Proszę. Jeszcze jedną? - Przesunęła kolejne dwie czekoladki w stronę Kate.

- Dzięki.

- Więc proszę mi opowiedzieć nieco o Chapel Bluff. Właściwie dlaczego szuka pani rzeczoznawcy?

- No cóż... Podczas sprząwania stodoły odkryliśmy na piętrze wspaniałe antyki. Moja babcia uważa, że są tam od przeszło pół wieku.

Theresa skinęła głową.

- Potrzebujemy kogoś, kto przyjdzie i wyceni wszystkie. Chciałybyśmy je ubezpieczyć - dodała Kate.

- Rozumiem. Czy te rzeczy nadal znajdują się w stodole?

- Nie, wczoraj zaczęłyśmy przenosić je do domu.

- I sądzi pani, że te rzeczy są cenne na tyle, by je ubezpieczać?

- No cóż, nie jestem pewna, ale myślę, że jedna z nich to krzesło windsorskie... Poza tym jeszcze federalny kredens, biurko Chippendale, kilka obrazów Hudson River School i stół, który może, ale tylko *może*, być Stickleyem.

Theresa patrzyła na nią wielkimi oczami przez pięć długich sekund.

- Wow - wydusiła wreszcie.

- Wiem.

- Przystudiowała pani temat - skomentowała.

- Mam słabość do antyków. Jestem jedynie amatorką, ale antyki od lat są moim hobby - przyznała Kate.

- A zatem ustalone: zostaniemy przyjaciółkami. Do kiedy zostajesz w Redbud? - Theresa gładko zmieniła formę.

- Do połowy grudnia.

- Doskonale. Wystarczy, żebyś mnie w sobie rozkochała i porzuciła ze złamanym sercem, kiedy wyjedziesz.

Posłała Kate zabawny grymas, wyjęła jakąś teczkę i zaczęła ją przeglądać.

- Kiedyś pracowałam dla domu aukcyjnego Sothesbys w Nowym Jorku. Dasz wiarę? To było sto lat temu, jeszcze przed narodzinami mojej córki, zanim przeprowadziliśmy się do Redbud. Jestem akredytowanym starszym rzeczoznawcą. Zaskoczona? Gdzieś tutaj mam dokumenty. Hmm. - Theresa spojrziała na plik kartek.

- Nie szukaj. Wierzę ci.

- Możesz zweryfikować moje kwalifikacje w Internecie. - Theresa zamknęła teczkę i odłożyła ją na bok. - Pracuję, kiedy mój syn jest w przedszkolu. Ale naprawdę bardzo lubię ten sklep i pracę rzeczoznawcy i, jak mówię Dougowi - to mój mąż - choć nie pracuję przez wiele godzin ani nie zarabiam dużo pieniędzy, to ta praca jest warta uszczerbku na moim zdrowiu psychicznym. A sama pewnie wiesz, że zdrowia psychicznego nigdy za wiele, kiedy masz małe dzieci.

- Zdecydowanie temu kibicuję - przytaknęła Kate. Theresa westchnęła.

- Obawiam się więc, że ze względu na godziny pracy będę bardzo powolnym rzeczoznawcą - wyznała.

- A czy w Redbud są jacyś inni akredytowani starsi rzeczoznawcy?

- Nie.

- Więc będę musiała jakoś z tobą wytrzymać.

- Dobrze. - Theresa z zadowoleniem odchyliła się na krześle. - Mam nadzieję, że uda mi się naciągnąć dziadków na opiekę nad wnukami; mam też znajomą nianię, która wpada od czasu do czasu na kilka godzin.

- Świetnie.

- Świetnie!

- Kiedy możesz zacząć?

Kto by się spodziewał, że Tyler okaże się głupawym, wkurzającym Don Juanem?

Na pewno nie Matt. Pracował z Tylerem od roku, z przerwami. Tyler był dobrym elektrykiem i Matt niejednokrotnie prosił

go o pomoc przy swoich zleceniach. Zawsze punktualny, spokojny i pracowity. Ale Matt nigdy by mu nie zaproponował współpracy, gdyby wiedział, że Tyler jest tak żalonym, pożał się Boże, bawidamkiem.

Przeniesienie mebli ze stodoły do domu zajęło Mattowi, Tylerowi i Ryanowi dwa i pół dnia. Przez cały ten czas, w każdej sekundzie, Tyler paplał w kółko o Kate. Ciągłe żarty, ciągłe komplementy, nieustająca bezmyślna gadanina. Kompletna płycizna. Ale, ku zdziwieniu Matta, Kate zdawała się na to nabierać. Mądra, błyskotliwa Kate — o której myślał, że ma głowę na karku — naprawdę łykała numery Tylera. I nie tylko łykała. Wypijała je duszkiem, do dna.

Przez ostatnie lata Matt stał się mistrzem w ignorowaniu paplaniny. Nie ruszało go to. Ale *ich* gadania, Tylera i Kate, jakoś zignorować nie mógł.

W tej sytuacji Matt byłby szczęśliwy - wręcz zachwycony - gdyby mógł wsiąść do swojego auta i opuścić to miejsce, jechać przez kilka dni bez przerwy, byle tylko uciec i nie słyszeć już ani jednego ich słowa. Próbując puszczać trajkot Tylera i Kate mimo uszu, zaczął tworzyć w głowie listę sposobów ucieczki z Chapel Bluff.

Mógł uciec pociągiem. Samolotem. Motocyklem.

Wczoraj wieczorem Kate zaprosiła całą ich trójkę — jego, Ryana i Tylera - na kolację. Matt odmówił. Ryan też, ponieważ zamierzał zjeść kolację w domu, z żoną. Tyler skwapliwie skorzystał ze swojej szansy.

Matt sam podjął decyzję, że odsunie się od Kate i Beverly. A jednak bolało go, że Tyler od razu wślizgnął się na puste miejsce przy stole; że Kate znalazła sobie o wiele bardziej czarującego rozmówcę i że wydawała się cieszyć tym, że może odwrócić się do niego plecami.

Mógł uciec czterokołowcem. Rowerem górskim. Na deskorolce.
- Masz genialne wyczucie przestrzeni, młoda damo. - Dobiegł go głos
Tylera. - To idealne miejsce na kredens.
- Och, dziękuję - odpowiedziała Kate.
Matt zazgrzytał zębami i wyobraził sobie, jak odjeżdża autobusem.
A nawet konno. Odlatuje balonem.
Znika na wózku ciągniętym przez osła.

Nigdy nie należy lekceważyć wpływu, jaki komplementy mają na nasze ego. Ich działanie jest, naprawdę, nieocenione.

Wszystkie *rzeczy*, które Tyler mówił Kate! Gdyby usłyszała je od jakiegoś nieprzyjemnego typka, wzdrygnęłaby się z obrzydzeniem. Ale ponieważ wypowiadał je Tyler, który miał zawsze dobry humor i roziskrzone niebieskie oczy, wsiąkały w nią jak balsam nawilżający w szorstką skórę. Były zdecydowanie mile widziane.

W czwartek koło południa Velma weszła zamaszystym krokiem do Chapel Bluff, ubrana w dziergany sweter do kolan w różowe, fioletowe i czarne zygzaki, czarne legginsy z podpiętką i tradycyjne, nieskazitelne białe Reeboki. Stała w pokoju z widokiem na ganek i obserwowała zza okularów, jak Matt i Tyler wymijają ją, dźwigając palisandrowe biurko.

— No, teraz macie dwóch przystojniaków! - ogłosiła. Spojrzała na Kate. - Od kiedy?

— Tyler pracuje od poniedziałku — odparła Kate.

— Mój Boże, Kate, mam nadzieję, że planujesz jakoś wykorzystać tę sytuację.

- Ja...

- Halo, chłopcze, podejdź no! Coś ty za jeden? - Velma donośnym głosem zażądała odpowiedzi od Tylera.

- Tyler Vanzandt. Miło mi panią poznać.

Matt szarpnął drugi koniec biurka w głąb korytarza, ściągając Tylera z widoku.

Velma wypatrywała za nimi przez kilka chwil, a potem obróciła się i ruszyła w ślad za Kate do kuchni.

- Kate, to dla ciebie świetna okazja.

- Niby jaka?

- Nie udawaj głupiej. Żeby znaleźć sobie męża, oczywiście.

- Oczywiście.

- Więcej okazji może nie być.

Wesoła wizja na nadchodzący dzień. Kate żałowała, że nie może sobie tej sentencji wyryć na pamiątkę.

- Dzięki, jakoś sobie radzę.

Na progu kuchni Velma przystanęła.

- Gdzie jest Beverly? - zapytała.

- W spożywczym.

Usta Velmy drgnęły, skrzywiła się.

- Myślałam, że przygotuje coś pysznego na lunch. I że się załapię.

- Przykro mi, ale mogę ci jedynie zaproponować kanapkę. - Kate spojrzała na nią.

Velma rozważała swój ograniczony wybór. W końcu posłała Kate jedno ze swoich królewskich, przyzwalających kiwnięć głową.

- Chętnie.

Kate wyjęła wszystkie składniki potrzebne do przygotowania kanapki z indykiem. Velma tymczasem poczęstowała się schłodzoną dietetyczną colą marki Tab, kupioną przez babcię specjalnie dla

niej. Zanim Kate przyjechała do Chapel Bluff, wydawało się jej, że nie produkują już tego napoju od 1984 roku. Zaczęła szykować kanapki.

- Cieszę się, że tu jesteś'. - Co było mocno przesadzonym stwierdzeniem. - Chciałam porozmawiać z tobą o Mortym.

- Co z nim? - zapytała Velma.

- Nie widziałam go, odkąd wróciłam do miasta, ale wiem, że był na zakupach z Mattem. A ty? Widziałas go już w jego nowych ubraniach?

- Widziałam.

- I?

- Jeśli mam być szczerą...

Kate przygotowała się na odpowiedź.

- Podobają mi się jego nowe ubrania. Wygląda lepiej. Kate poczuła falę autentycznej ulgi.

- Chociaż - ciągnęła dalej Velma - nie widziałam jeszcze koszuli Tommy Bermuda.

- To prawda, kupiłam mu jedną w Filadelfii, ale nie miałam jeszcze okazji, by mu ją zawieźć. Więc... A propos randki z Mortym...

- Nie podejmę decyzji, póki nie zobaczę go w tej koszuli. Kate zagryzła wargi, by powstrzymać się przed powiedzeniem

czegoś, czego potem by żałowała. Dorzuciła na talerze kilka kawałków pity i zaniósła jedzenie na stół. Wyjęła z lodówki pojemnik z hummusem i postawiła go na środku.

- Co to jest? - zapytała Velma.

- Hummus.

- Czyli...? — Wzięła do ręki kawałek pity, obejrzała krytycznie, a potem nabrała nim porcję pasty.

- Ciecierzycyca.

- Ciecierzycyca!

- Dokładnie.

Velma zmarszczyła nos, ale ugryzła. Chlebek głośno chrupnął w jej ustach. Wyglądała na nieco zde gustowaną. Połknęła, a następnie wydała z siebie oszczędne „hmm”.

Jadły w ciszy przez kilka minut.

- Wiesz - odezwała się w końcu Velma, mrużąc oczy. - Myślę, że powinnaś sobie robić mocniejszy makijaż. Jeśli chcesz złapać męża.

Kate powoli odjęła kanapkę od ust, zacisnęła pięść na serwetce i spojrzała Velmie prosto w oczy.

- Sama, przez wszystkie te lata, nie chciałaś mieć drugiego męża. Dlaczego tak ci zależy, żeby znaleźć go *mnie*? - zapytała.

- A dlaczego *tobie* zależy, żeby znaleźć go *mnie*? — odpaliła Velma.

- Ja tylko chcę, żebyś poszła na randkę z Mortym!

- A więc ja też byłabym zadowolona, gdyby udało mi się namówić cię na randkę. Albo z Mattem Jarreau albo tym Van... jak mu tam było. Mój Boże, Kate! Jeśli nie wykonasz jakiegoś ruchu, może będę musiała wziąć sprawy w swoje ręce.

- Wziąć sprawy w swoje ręce?

- No cóż, jeśli nadal będziesz taka uparta i nic nie zrobisz, to sama ci zorganizuję randkę, z jednym albo z obydwoma.

Kate prawie zemdląła na samą myśl.

- Nie. Velmo, wyjaśnijmy sobie coś: ja *nie* chcę, żebyś mnie swatała z którymkolwiek z nich.

Mogła znieść wiele upokorzeń, ale wiedziała, że nie przeżyje Velmy Armstrong jako jej Adwokata do spraw Miłości.

- Powinnaś to przemyśleć. Jestem dobrą swatką. Jak mówią na takie Żydzi? Jenta? No, to ja właśnie jestem taka jenta.

Kate zaczęła powątpiewać, czy Velma знаła właściwe znaczenie tego słowa. Czy *jenta* nie oznaczało przypadkiem wścibskiej plotkary?

- Nie dziękuję. Nie chcę swatki - odpowiedziała twardo. Velma nie spuszczała wzroku z Kate.

- Przyjmij zatem darmową radę: zrób sobie mocniejszy makijaż. I musisz też nosić więcej biżuterii. - Wskazała na pierścionki na palcach wskazujących i kciukach. - Mężczyźni lubią trochę błyskotek.

Kate gapiła się na nią tępo.

- I jeszcze jedna rzecz - dodała Velma. Kate skrzywiła się, czekając.

- W Victoria Secret mają takie biustonosze, push-up - poinformowała ją starsza pani. - Dobrze dopasowany, wysoki stanik może zrobić wiele dobrego.

Na szczęście drugi gość Kate nie zjawił się po to, by promować staniki typu push-up. Theresa kierowała się jedynie czystą miłością do antyków.

Kate przez niemal godzinę rozglądała się, podziwiała i rozstawiała meble i dzieła sztuki. Od wielu dni w swojej głowie planowała, gdzie ustawi je w domu. Była podekscytowana, bo okazało się, że w większości przypadków dokonała znakomitego wyboru. Co prawda, wciąż potrzebowały z babcią kanap, foteli, dywaników, lamp i kilku stolików do kawy. Ale dzięki świeżo odmalowanym ścianom, lśniącym podłogom i wspaniałym starym meblom trzymającym straż w każdym pokoju - dom zdecydowanie odzyskał dawną świetność. Stawał się tym, czym był od zawsze

- pełną gracji, gustowną, perfekcyjnie odnowioną i uwielbianą przez wszystkich wiejską rezydencją.

Kate i Theresa skończyły właśnie wycieczkę po jadalni, zatrzymując się z zachwytem przy stole i krzesłach w stylu Królowej Anny.

- Tylko spójrz - wymamrotała Theresa - na te wygięte nóżki i krzywe stopki. Można dla nich umrzeć!

- Wiem!

Theresa pogładziła ręką oparcie najbliższego krzesła.

- Popatrz na ten łuk. — Dotknęła rzeźbionego kawałka drewna, który ciągnął się z tyłu, od siedziska w górę. - Wiesz, jak to się nazywa?

Kiedy tak chodziły, Theresa przepytowała Kate, wyraźnie zadowolona z wiedzy swojej klientki.

- Nie mam pojęcia.

- To, moja droga, jest deska oparciowa w kształcie wazy.

Z pokoju od frontu doszedł je odgłos zbliżających się kroków. Obie podniosły wzrok i w drzwiach ujrzały Matta. Wyglądał jak gotowy przepis na zawód miłośny: barczysta sylwetka, przetarte dzinsy, jasnoniebieska, przylegająca do ciała, elastyczna koszula z długim rękawem, a na głowę głęboko wciśnięta czapka bejsbolówka.

Zatrzymał się na ich widok.

- Przepraszam. - Pochylił nieco głowę i ruszył dalej swoją drogą do kuchni.

- Matt - zastopowała go Kate. - To jest Theresa. Wyceni dla nas antyki. Thereso, to jest Matt Jarreau. Zajmuje się renowacją Chapel Bluff.

Na policzkach Theresy pojawił się palący rumieniec i powoli zaczął rozlewać się na resztę twarzy. Theresa uniosła rękę i próbowała pomachać lekko, co nie wyszło za dobrze.

- Cześć - wybąkała.
 - Miło mi poznać - odparł Matt.
 - Nawzajem - odpowiedziała Theresa. Niezręczna cisza.
 - Zostaniesz dziś na kolację? - zapytała Kate.
 - Nie, dziś nie mogę. - Wycofał się w kierunku kuchni. Kate nienawidziła tego sztucznego sposobu, w jaki teraz z nią rozmawiał, czuła się tak, jak gdyby każde słowo musiała wydłubywać z niego nożem. Matt wymknął się z pokoju.
- Obie słyszały, jak żegna się z babcią, która w kuchni dzwoniła garnkami, przygotowując podwieczorek, a potem jak trzaskają tylne drzwi.
- Kate! - Theresa syknęła. - Nie mówiłaś mi, że tu pracuje Matt Jarreau.
 - A powinnam?
 - Oczywiście! To przecież *Matt Jarreau*. - Wskazała wymownie na drzwi, przez które wyszedł Matt.
- Kate pokiwała głową, uśmiechając się.
- Wiem.
 - O mój Boże, Matt Jarreau. - Szare oczy Theresy zrobiły się jeszcze większe. - Jestem w nim zabujana na amen. Doug i ja oczywiście żartujemy sobie z tego. Ja mówię, że jeśli Matt Jarreau poprosiłby mnie, żebym z nim uciekła, to już by mnie tu nie było. A Doug zawsze się zgadza i mówi, że jeśli Matt Jarreau kiedykolwiek będzie chciał ze mną uciec, to mam jego błogosławieństwo.
 - Aha.
 - Zdecydowanie powinnaś mnie ostrzec!
 - Przepraszam!
 - Po prostu mnie zatkało! I pewnie jestem czerwona jak burak?
 - Tylko trochę.

Theresa jęknęła.

- To się dzieje zawsze, kiedy sytuacja mnie peszy.

- Już prawie całkiem zeszło - pocieszyła ją Kate.

- Masz pojęcie, jaką jesteś szczęściarą? W tym mieście bardzo trudno jest wpaść na Matta Jarreau. Odkąd wrócił do Redbud, nie widywałam go często. Dwa razy miałam superszczęście i dojrzałam go w spożywczy... O nie! Patrz, co ja mam na sobie.

Theresa włożyła tego dnia szary dres, lawendową koszulę z rozciągniętym dekoltem i buty do biegania, już nie pierwszej młodości. Jedna z nogawek spodni była wyraźnie okłaczona czarną psią sierścią. Loki Theresy wystrzeliwały w siedemnaście różnych kierunków.

- Co za żenada.

- Wyglądasz uroczo - powiedziała szczerze Kate.

Nagle do pokoju wpadła babcia, dzierżąc ciasto maślane z polewą.

- Beverly, na następną wizytę zamierzam się wystroić - oznajmiła jej Theresa.

Babcia postawiła talerz na stole i mrugając z zakłopotaniem, zapytała:

- Ale że co? Dla mnie?

- Kiedy dostałam telefon od Kate, że antyki są już w domu, nie mogłam się powstrzymać. Musiałam tu być jak najszybciej. Ale następnym razem, kiedy przyjdę do was wyceniać meble, zamierzam wyglądać *tres* profesjonalnie.

- Mój Boże - jęknęła babcia — może po prostu załóż coś wygodnego?

- No cóż... - Theresa rzuciła spojrzenie Kate. - Może w takim razie postawię na nieformalny styl kobiety sukcesu, jeśli Matt Jarreau będzie w pobliżu, tak, żebym wyglądała choć minimalnie

imponująco. Może uda mi się nadrobić to pierwsze niechlubne wrażenie?

- Taa — burknęła Kate. — Będzie w pobliżu.

A czy będzie wart tego, żeby z nim rozmawiać, to już inna sprawa.

- Jest wspaniały. - Theresa patrzyła to na jedną, to na drugą. - Jest, prawda?

- Tak — zapewniła ją babcia. — Kochany, bardzo kochany chłopak. Taki mądry i przystojny, i dobry.

Przystojny, taa. Mądry? Niech będzie. Ale dobry? Ten wspaniały, kochany chłopak teraz nie potrafi być nawet uprzejmy.

- Chyba nie mówi za wiele i nie przepada za ludźmi, prawda? Tak słyszałam. - Theresa westchnęła rozmarzona. - Fascynują mnie takie mroczne, głębokie, zamyślane osobowości.

Ta rozmowa zaczynała Kate irytować. Dlaczego wszyscy tak chętnie adorowali Matta bez względu na słońce czy niepogodę, dobre zachowanie czy nie, dobry humor czy zły?

- Napijesz się z nami herbaty, Thereso? - zapytała babcia.

- Chciałabym — jęknęła Theresa. — Uwielbiam opychać się przed kolacją.

Babcia roześmiała się.

- Takie dziewczyny lubię.

- Ale teraz muszę uciekać - odpowiedziała Theresa. - Zostawiłam maluchy pod opieką sąsiadki, co oznacza, że kiedy wrócę, w zamian będę musiała się zająć jej dwójką hiperaktywnych dzieci. Ta wizyta i tak już mnie drogo kosztuje.

Jakby na potwierdzenie poklepała się po kieszeniach i rozejrzała za torebką.

- Następnym razem na pewno zostanę na herbacie, a potem będziecie musiały dać mi szansę odwdziaczyć się za gościnność.

- Zlokalizowała torebkę, zarzuciła na ramię i wyprostowała się. - Za niecały tydzień Halloween. Jakies plany? Kate pokręciła przecząco głową.

- A więc zapraszam do nas. W domu będzie bałagan i jestem pewna, że cały wieczór okaże się jednym wielkim chaosem, ale mogę wam obiecać Candy Corn.

- Candy Corn? Te cukiereczki w kształcie kukurydzy? — Zachwyciła się babcia.

- Właśnie te - potwierdziła Theresa.

- Będziemy - odparła Kate.

Pełen Wdzięku Tyler o Uroczych Włosach Surfera z Kalifornii, choć zakończył już swoją robotę w Chapel Bluff, wpadł jeszcze w piątek rano, tylko po to, by zaprosić Kate na randkę.

Znalazł ją na piętrze, gdzie skrupulatnie czyściła wnętrze starego kufra. Kiedy wycierała skrzynię, a on opierając się o kolumnkę baldachimu, prowadził odpowiednio długą i niezobowiązującą pogawędkę, Kate wiedziała doskonale, do czego zmierzał. I... wcale jej to nie przeszkadzało.

Tyler był naprawdę czarujący. Ale z jakiegoś powodu Kate nie czuła w sercu tego dziwnego, tajemniczego „czegoś”. Tego, co sprawiało, że dostajesz gęziej skórki, że serce ci łomocze na dźwięk telefonu, że gapisz się ciągle na usta tej drugiej osoby. Kate lubiła pieszczotliwie określać to coś *hormonami*. A niech to, dla Tylera jej hormony nie szalały.

Jeszcze.

Szalejące hormony pojawiały się albo od samego początku, albo w ogóle ich nie było. Ale czasami - *czasami* - przychodziły

stopniowo. Dlatego samotna dziewczyna, niezależnie od wieku i doświadczenia, powinna wiedzieć lepiej i nie odtrącać propozycji randki z atrakcyjnym facetem tylko dlatego, że jej hormony nie działają już tak dobrze, jak kiedyś.

Ją i Tylera łączyło jedno — byli bardzo otwarci. Na pewno mogliby rozmawiać godzinami. Czyż nie od tego zaczynały się wszystkie legendarne romanse jej przyjaciół, które w efekcie prowadziły do małżeństwa? *Mogliśmy rozmawiać godzinami.*

- A więc Kate... - Tayler uśmiechnął się, pokazując dołeczki. - Bardzo chciałbym pójść z tobą na kolację. Jest jakaś szansa, że przekonam cię, abys się ze mną wybrała?

Atrakcyjność + Dobry kontakt = Odpowiedź Twierdząca.

- Jasne, chętnie.

Wyglądał na zaskoczonego i zadowolonego, choć Kate była pewna, że niemal sto procent kobiet, które zapraszał, zgadzały się.

- Świetnie - powiedział. - Jutro wyjeżdżam za miasto na biwak z przyjaciółmi. Wracam w poniedziałek. Co powiesz na wtorek wieczór?

- Pasuje.

Matt zamarł, słysząc rozmowę Tylera i Kate. Szedł akurat korytarzem w kierunku schodów, kiedy dobiegły go ich głosy. A więc Tyler zaprosił ją na randkę, a ona się zgodziła.

Oparł się cicho o ścianę. Fala zaborczości, najbardziej gwałtownego uczucia od lat, przeszła go na wskroś. *Moja*, pomyślał, zszokowany swoją reakcją. Kate była jego. *Jego*.

Nieprawda. A jednak instynkt głośno nakazywał mu, żeby interweniował, żeby coś zrobił. Matt chciał Kate dla siebie. Chciał, żeby była... kim?

Tym, kim była dla niego wcześniej. Przyjaciółką. *Właśnie, Matt. Więc dlaczego tak cię to obchodzi, z kim ona się umawia?*

Zamarł, próbując się uspokoić. Z trudem łapał powietrze.

Już od poniedziałku rana wiedział, że to się stanie. Był na to przygotowany. Potem Tyler skończył swoją robotę w Chapel Bluff i wyjechał. Wówczas Matt przez moment poczuł żenującą ulgę, myśląc, że może jednak się mylił. Że może Tyler nie planował pójść krok dalej.

Matt zmusił się, by oderwać ciało od ściany, i ruszył wzdłuż korytarza z powrotem, tak, żeby go nie widzieli. Chyba zaczyna wariować, pomyślał ze strachem, ponieważ jedyne, o czym myślał, to o tym, że Kate była *jego*.

Jego!

- Wybacz, Beverly. Nie mogę zostać.

- Musisz! Jest piątek. Gramy w pokera! I do tego zrobiłam twoje ulubione dania.

Kate w samą porę zjawiała się w kuchni, by zobaczyć, jak Matt gotuje się do ucieczki tylnymi drzwiami, a babcia wymachuje palcem w kierunku bulgoczących garnków.

- Lasagna - wydusiła babcia. - Całe popołudnie gotowałam sos boloński. Zrobiłam wielką miche sałatki, i jeszcze chleb, chrupiący, taki jaki lubisz. I gwóźdź programu: sernik z kremem ganache.

Uśmiechnęła się ujmująco do Matta. Wyglądała uroczo w kuchennym fartuchu i z drewnianą łyżką w dłoni. Siwe krótkie włosy dodawały jej nieco zadziorności.

Matt zasznurował usta i przestąpił z nogi na nogę, zażenowany. Miał na sobie starą beżową bejsbolówkę z postrzępionym daszkiem i ulubioną flanelową zieloną koszulę w kratę. Choć Kate bardzo dobrze знаła ten strój, sam Matt, jakiego widywała w tym tygodniu, stał się dla niej kimś obcym. Dziś był wyjątkowo

opryskliwy, gorszy niż w poprzednie dni. Babcia już trzykrotnie brała Kate na bok, żeby wspólnie z nią pomartwić się, podenerwować i pobiadolić o Macie.

- Musisz zostać - oznajmiła babcia, ale jej stanowczość powoli zaczęła ulatywać. - Organizujemy pokerowe wieczorki w Chapel Bluff tylko dlatego, żebyś ty mógł przyjść.

Kate zeszywniała, czekając na odpowiedź Matta. W tym tygodniu nie jadł z nimi kolacji ani razu, ale na pewno dziś ustąpi. Nie mógł zawieść babci, skoro tak się dwoiła i troiła dla niego. Prawda?

- Nie mogę dłużej przychodzić na kolacje — powiedział Matt beznamiętnie. - Posłuchaj, ja... ja nie chcę wam się narzucać.

Sięgnął po swój brązowy skórzany płaszcz i zaczął się ubierać. Babcia patrzyła na niego zawiedziona i skonsternowana. Serce Kate zabiło mocno i smutno. On zaraz odejdzie.

- Ale my uwielbiamy cię gościć - zapewniła babcia. - Nie narzucasz się.

Staął nieruchomo, z ręką na gałce od drzwi i ze wzrokiem wbitym w ziemię.

- Przepraszam - powiedział.

Babcia błagalnie przechyliła głowę na bok.

- Matt.

- Wy... wy byłyście wspaniałe. To nie ma nic wspólnego z wami. To...
- Potrząsnął głową. Wydawał się być sfrustrowany, że nie może znaleźć odpowiednich słów. - Nie martwcie się o mnie. I proszę, nie wliczajcie mnie, przygotowując kolację. Po prostu nie mogę.

Pchnął drzwi ramieniem i wyszedł, zamykając je za sobą.

W złowieszczej ciszy, jaka zapadła w kuchni, Kate słyszała jedynie bulgoczący sos i tykanie ściennego zegara. Nagle wpadła w niewyobrażalną furję. W przyływie frustracji ruszyła do drzwi.

- Zamierzasz z nim porozmawiać? — zapytała babcia z niepokojem.

- Między innymi.

- Bądź delikatna, on przecież...

Ale Kate była już na zewnątrz i kroczyła ciężko w ślad za Mattem. Delikatna? *Delikatna?* Miała ochotę go zabić.

Był już prawie przy swojej ciężarówce. Jego sylwetka odznaczała się na tle złotej poświaty zwiastującej zachód słońca.

- Co to miało znaczyć? - krzyknęła za nim Kate. Nie zatrzymał się.

Była już całkiem blisko. Szybko oddychała, krew pulsowała jej w żyłach jakby z trudem.

- Co to miało być?

Matt chwycił za klamkę od samochodu. Obrócił się, żeby na nią spojrzeć.

- Babcia przygotowała dla ciebie całą kolację, a ty nie raczysz nawet zostać i zjeść? Czy to naprawdę aż tak wiele? - wydyszała Kate.

- Już powiedziałem. Nie mogę przychodzić na kolacje.

- Dlaczego?

Zacisnęła pięści i oparła je na biodrach. Wytrzymał jej spojrzenie w długiej, pełnej napięcia ciszy.

- Po prostu nie mogę.

- I co? Tylko tyle? Żadnego innego wyjaśnienia?

- Zostaw mnie w spokoju, Kate.

Jego ciemne oczy ciskały błyskawicami, jakby w ostrzeżeniu, żeby porzuciła temat. Ale Kate była coraz bardziej zła i miała w nosie jego groźby.

- Wiesz co? Przez cały tydzień starałam się dać ci spokój i jakoś nie widzę efektów. Wręcz przeciwnie, mam wrażenie, że jest jeszcze gorzej.

W lodowatej ciszy Matt otworzył drzwi i drgnął, by wsiąść do auta.

- Nawet się nie waży wejść do tego samochodu - warknęła Kate. - Ani mi się waży.

Opuścił głowę, pozostając w nienaturalnym bezruchu, jakby starał się opanować złość. Kate patrzyła, jak jego tors unosi się i opada pod wpływem głębokich oddechów.

Chciała nim wstrząsnąć, zranić go, nakrzyczeć na niego. *No dalej, myślała. No dalej! Staw mi czoła. Walcz!*

Nawet na nią nie spojrzął, zatrzasnął jedynie drzwiczki pick-upa i ruszył przed siebie, łąką w kierunku lasu.

Kate ruszyła za nim, starając się dotrzymać mu kroku.

- Czy możesz mi po prostu powiedzieć, co się dzieje? - zażądała. - Możesz mi wyświadczyć choćby tę przysługę?

Parł do przodu, jakby nie słyszał jej pytania. Wyrósł między nimi mur, którego nie szło przebić. Kate jakoś wytrzymała ostatnie pięć dni, kiedy Matt całkowicie się od niej odciął. I może wytrzymałaby także to okropne zachowanie, gdyby było wymierzone jedynie w nią. Ale samo wspomnienie twarzy babci, ze złamanym sercem w kuchni sprawiało, że Kate miała ochotę rzucić się na Matta i go udusić.

- Matt, czy ty myślisz, że to najlepsze, co możesz zrobić po śmierci żony? Odepchnąć wszystkich, żeby chronić siebie?

Zatrzymała się, zmęczona szybkim marszem. On jednak nie zwolnił, jęknęła więc i ruszyła za nim.

- Czy ten twój plan w ogóle działa? - krzyknęła głośno.

- Nie twoja sprawa.

Czuła, że jest wściekły, i w jakiś dziwny sposób cieszyło ją to. Kiedy dotarli do skraju lasu, Matt wreszcie zwolnił. Wszedł pod najdalej wyciągnięte gałęzie rozłożystego wiązku i zatrzymał się,

pod osłoną ich cienia. Stał do niej tyłem, pełen złości, gapiąc się w ciemność lasu.

Kate stanęła obok, by mu się przyjrzeć. Zmierzyła wzrokiem profil Matta, napięte mięśnie szczęki, sztywną linię ramion.

Spojrzała w dół, na swoje baletki i przestąpiła z nogi na nogę. Kobierzec z trawy i kamyków zaskrzypiał pod jej stopami. Czekwała na ruch Matta.

Nic. Wciąż milczał.

Wiatr szumiał wśród drzew. Teraz mogła złapać oddech, powiedzieć to, co należało. Ale *co* to było? Nie miała pojęcia. Czuła wyraźnie, że Matt osłania się tarczą, która odgradza go od niej i od całego świata. Frustrowała ją ciągła walka z tym murem, tak bardzo, że chciało jej się krzyczeć!

- Czy naprawdę jest ci lepiej, kiedy trzymasz ludzi na dystans? - zapytała w końcu.

- Kate, po prostu zostaw mnie w spokoju. - Wyciągnął rękę i złapał pobliską gałąź tak mocno, że aż zbieleły mu palce. - Proszę cię, po prostu idź sobie.

Żachnęła się i buntowniczo skrzyżowała ręce na piersi w geście samoobrony. Nie mógł znieść jej obecności. Nie chciał kontaktu z nią. Resztką dumy, jaka jej jeszcze pozostała, nakazywała obrócić się na pięcie i wrócić do domu. A jednak...

- *Odejdź* — powtórzył.

- Nie. - Kate zmarszczyła brwi. No tak, w tej sprawie na pewno będzie nieustępliwa. — Czy twoja rodzina i przyjaciele chętnie zostawili cię w takim stanie? Czy posłusznie uciekli, kiedy kazałeś im odejść?

Jego milczący profil był odpowiedzią.

- Powinni się wstydzić - wyszeptała.

- Dlaczego? Bo uszanowali moją prywatność? - zapytał z niedowierzaniem, spoglądając na nią. Czuła, jak jego wzrok pali ją żywcem.

- Może chcieli uszanować ją *za bardzo*. Ale ja nie jestem nimi. Puścił gałąź, odwrócił się i spojrzął jej prosto w twarz.

- Dlaczego w ogóle się mną przejmujesz, Kate?

- Ponieważ aż do poniedziałku rano myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi. Lubiłam naszą przyjaźń. Lubiłam ciebie.

- Mówisz o tym w czasie przeszłym.

- Bo teraz już nic nie wiem. Nadal staram się zdecydować. Zdjął czapkę i przeczesał palcami ciemne włosy, najpierw raz, potem drugi, aż całkiem się zmierzwiły.

- Słuchaj, chodzi mi o to - powiedziała Kate - że mi i babci było bardzo ciężko, kiedy tak się zachowywałeś. Nie mogę pozwolić, żebyś nas tak traktował. Nie zasłużyliśmy na to.

Zmarszczył czoło.

- Powiesz mi, co takiego się stało, kiedy byliśmy w Filadelfii? Co spowodowało, że się od nas oddaliłeś?

- Nie.

- Mhm. Co prawda, nie jestem wróżką, ale skoro nie chcesz mówić, sama spróbuję zgadnąć.

Na środku czoła Matta pojawiła się pionowa linia.

- A zatem wyjechałyśmy - powiedziała Kate. - I kiedy nas nie było, stało się coś, co sprawiło, że zacząłeś się zastanawiać, dlaczego marnujesz czas na przyjaźń z jakąś staruszką i jej irytującą wnuczką z Dallas. W końcu przyjechałyśmy tu tylko na chwilę. Może będzie z nami więcej problemów, niż jesteśmy tego warte? A po tym, co stało się z twoją żoną, pomyślałeś, że lepiej już nigdy do nikogo się nie przywiązywać... I co, jak mi idzie?

Patrzył na nią w milczeniu.

- Wiesz, babcia też straciła kogoś bliskiego. — Kate przygryzła dolną wargę. Nagle cały ciężar uczuć do jej dziadka ścisnął ją za gardło. - Mój dziadek był wspaniałym, cudownym człowiekiem. Pracował jako pediatra. Babcia wspominała ci o nim?

Przytaknął.

- Był taki miły i odcytany. Zawsze nosił te... - Wskazała na klatkę piersiową. - Kamizelki na guziki i tweedowe marynarki z takimi podłużnymi łątami na łokciach. Ubóstwiali się z babcią. Mieli wspaniałe życie. W roku, w którym umarł, obchodzili pięćdziesiątą piątą rocznicę ślubu.

Słuchał jej, czekając, aż skończy.

- Mówię ci o tym, żebyś wiedział, że nie jesteś sam. Że inni ludzie też stracili małżonka. Niektórzy z nich, na przykład moja babcia, mimo to potrafili znaleźć w swoim życiu powód do radości.

- Beverly jest lepszym człowiekiem ode mnie.

- Nie, nie jest. Jest tak samo wspaniała, jak ty. Nie odpowiedział.

- Myślę... - zaczęła i urwała. Poczowała, że traci zimną krew, więc spróbowała jeszcze raz. - Myślę, że Bóg ma dla ciebie plan. Chce ci dać swoje błogosławieństwo, ale nie może tego zrobić, dopóki Mu nie pozwolisz.

- Nie mam ochoty o tym rozmawiać. Nie będę rozmawiał o *Bogu*.

- Okay.

Miał w palcach brzeg czapki, prostując i wyginając daszek. W końcu na powrót założył ją na głowę, tyłem na przód.

- Więc *o czym* możesz ze mną porozmawiać? — zapytała.

- Dziś wieczorem? O niczym więcej. I mówię serio, więc przestań naciskać.

Już otwierała usta, żeby zaprotestować... ale szybko to przemyślała.

- Wrócę do waszego domu - powiedział - i zjem kolację.

- Dobrze. Dziękuję ci.

- Ale nie obiecuję nic więcej. - Spojrzał jej prosto w oczy. — Musisz zostawić mnie w spokoju.

- Aleja...

Nieporuszony czekał na jej zgodę, a ona, po raz pierwszy odkąd go poznała, nie wiedziała, co powiedzieć. Ręce i nogi miała zimne i ciężkie jak z ołowiu. Chłodne powietrze przeszło ją do szpiku kości.

Matt westchnął, wyraźnie sfrustrowany, a potem skinął dłonią, by Kate poszła przed nim w kierunku domu. Odwróciła się i ruszyła naprzód, a on w milczeniu kroczył za nią.

Teraz, kiedy uszła z niej cała złość, Kate poczuła się nieco zażenowana swoim zachowaniem. Dlaczego musiała być tak strasznie uparta? Jej mama często kręciła głową, widząc takie zachowanie córki, i mamrotała:

- Uparta jak osioł.

Najwyraźniej w ten sam sposób myślał o niej Matt, zresztą dlaczego miałoby być inaczej? Każdy, kto ma choć odrobinę godności, zostawiłby Matta w spokoju, kiedy o to prosił. Ale ona po prostu nie mogła sobie odpuścić. Kate zależało na Macie, a instynkt podpowiadał jej, że musi na niego naciskać. Jeśli nie ona, to kto? A jeśli nie znalazłby się nikt inny, to w jaki sposób Matt miałby znów się otworzyć?

Szli dalej w stronę domu. Słońce schowało się już za linię horyzontu, rzucając blad różowe światło na brzuchy chmur. Po samochodach zaparkowanych na podjeździe w oddali Kate poznała, że zjawili się wszyscy oprócz Morty'ego.

Kiedy weszli do kuchni, seniorzy powitali ich tym, czego Kate i Matt potrzebowali teraz najmniej: wzmożoną ciekawością.

- Okazało się, że Matt może zostać na kolacji - obwieściła Kate babci.

- Wspaniale!

Wzięli naczynia i poszli nakryć do stołu. W głowie Kate huczały niedawno co usłyszane słowa. Dopiero po kilku sekundach

od przyjazdu Morty'ego zauważyła, że emerytowany policjant ma na sobie koszulę Tommy Bahama.

Liście palmowe - beżowe, brzoskwiniowe i w kolorze kości słoniowej - biegly w dół wzdłuż boków. Krój koszuli podkreślał ramiona Morty'ego, a brzoskwiniowy kolor świetnie pasował do jego błyszczących, siwych włosów. Kołnierzyk i krótkie rękawy nadawały mu pewny siebie, nieco luzacki wygląd. Mógł być wzięty za czyjś zamożnego, dystyngowanego wujka, zakochanego w Hawajach.

Koszula kosztowała sto dwadzieścia dolarów, co dla Morty'ego musiało być niebotyczną sumą, choć oddał Kate pieniądze bez mrugnięcia okiem.

Gdy tylko wszedł, natychmiast został zasypany komplementami. Kate spojrzała na Velmę, która uważnie mierzyła Morty'ego wzrokiem. Początkowo trudno było wyczuć, co myśli, ale stopniowo na jej twarzy ujawniało się zadowolenie.

Całkiem możliwe, że Kate i Morty zaczęli wygrywać w grze o serce Velmy.

Podczas kolacji rozmowa i mrożona herbata krążyły beztrąsko wokół stołu w stylu Królowej Anny. Matt siedział po przekątnej od Kate. Był przygaszony, ale udawało mu się grzecznie odpowiadać na pytania. Po tym, jak pomógł załadować zmywarkę i wymówił się od partyjki pokera, nikt go już nie męczył, tym bardziej Kate.

Kate stanęła w kuchennym oknie i obserwowała, jak Matt idzie przez ciemny ogród do swojego pick-upa. Patrząc na jego sylwetkę i szybki krok, pomyślała, że przypomina jej skazańca, któremu udaje się uciec z więzienia.

Gdyby w pomieszczeniu nie było tylu par spostrzegawczych oczu, Kate zapewne uległaby pokusie zjedzenia miętowych ciągutek i uroniła kilku łez. Na zewnątrz, pod wielkim drzewem,

powiedziała Mattowi wszystko, co leżało jej na sercu. Owszem, zgodził się, choć niechętnie, zjeść dziś z nimi kolację. Ale mimo to nie mogła oprzeć się wrażeniu, że we wszystkich sprawach, które miały znaczenie, zawiodła.

Matt tego wieczora zamierzał porządnie się upić.

Długo przeszukiwał spiżarnię, polując na butelkę Jacka Daniel-sa i kilka puszek coli - a żadnego z tych napojów nigdy jeszcze nie pił. Po strąceniu paczki chrupek kukurydzianych, rozsypaniu mąki i przewróceniu całego rzędu słoiczków z przyprawami znalazł w końcu to, czego szukał.

Wrócił do kuchni, wrzucił do wysokiej szklanki kilka kostek lodu i tak zasiedli we trójkę - on, Jack i cola - przy kuchennym stole. Mattowi nie przyszło do głowy włączenie światła, zatem prócz lampy kuchennej reszta domu pogrążona była w ciemnościach.

To był *bardzo* zły pomysł.

Matt nalał do szklanki nieco coli i bardzo dużo whiskey.

Alkohol i sportowa rywalizacja na najwyższych obrotach nie szły ze sobą w parze. Trenował... Od kiedy? Odkąd skończył osiem lat? Wypił więc w swoim życiu naprawdę niewiele.

Dziś miał zrobić wyjątek. W głębi duszy wiedział, że to zły pomysł, ale teraz, w tej chwili, nic lepszego nie przychodziło mu do głowy. Chciał zrobić coś autodestrukcyjnego, a był więcej niż pewien, że nie może upić się w jednym z barów w miasteczku. Do następnego południa wiedziałyby już o tym cała populacja Redbud.

Matt nie czekał nawet, aż lód schłodzi napój. Wychylił szklankę do dna. Potem rozparł się na krześle, oparł łokcie o stół i zapatrzył się pustym wzrokiem w ścianę, czekając, aż trunek zacznie działać.

„Matt, czy ty myślisz, że to najlepsze, co możesz zrobić po śmierci żony? Odepchnąć wszystkich, żeby chronić siebie?”.

Gwałtownie odwrócił wzrok od ściany, jakby w ten sposób mógł uciszyć słowa Kate.

Zazwyczaj po powrocie z siłowni, po wysiłku fizycznym, skupiał całą swoją uwagę na telewizji lub komputerze, a potem szedł spać, wszystko po to, by nie musieć myśleć. Obcowanie z myślami było bardzo uciążliwe. Nienawidził ich. A jednak dziś wieczorem nie miał ochoty ani na mecz, ani na komputer. Próbował się zmusić do własnego smutnego towarzystwa.

„Może chcieli uszanować twoją prywatność za bardzo. Ale ja nie jestem nimi”.

Upił kolejne kilka łyków. Po śmierci Beth wszyscy jego przyjaciele i rodzina dwoili się i troili, by okazać mu sympatię, próbując przy tym nie być uciążliwymi i nie przygnębiać go. Chcieli go ochronić. Nawet przed Beth. Matt był zawodowym hokeistą. Zawsze otaczali go ludzie, którzy mu kibicowali, sprzyjali. Właściwie nie pamiętał, kiedy ostatni raz ktoś się z nim nie zgadzał.

Oprócz Kate. Dziś zdecydowanie mu się sprzeciwiła.

Sądził, że szczerze nie znosił tego, jak wszyscy obchodzili się z nim jak z jajkiem. Ale wystarczyło spojrzeć na niego teraz. Jedna kobieta na niego nakrzyczała i już leżał na ringu. Co gorsza, czuł, że zasłużył sobie na to. Na samo wspomnienie jej gniewnych słów był spięty. Serce zaczęło mu bić głośno i boleśnie. To był strach. Wystraszyła go.

Bał się, że za bardzo się odsłonił i że teraz ona nie przestanie go atakować, żądając od niego więcej niż mógł jej dać. Bał się, że Kate zakocha się w Tylerze. Bał się, że będzie nieszczęśliwy bez niej, kiedy wyjedzie.

Nie wiedział, co robić. Choć czy miał w ogóle jakiś wybór? Czuł się jak w potrzasku, jak zwierzę przywiązane do słupa w biały dzień.

Zmarszczył brwi na widok pustej szklanki. Pomijając lód, nalał kolejną porcję Jacka i coli. Gdyby mógł, zapłaciłby Beverly dwa razy tyle, ile sam dostawał za tę robotę, byle tylko pozwoliła mu zrezygnować. Niech jakiś inny biedny frajer kończy dom.

Ale nigdy tak nie robił - przez całe życie tylko raz nie wywiązał się z danego słowa — kiedy zerwał kontrakt z Baronami i opuścił drużynę po śmierci Beth. Obiecał sobie wówczas, że już nigdy nie złamie raz danej obietnicy.

Jak długo jeszcze będzie pracował w Chapel Bluff? Półtora miesiąca? Ta perspektywa dodatkowo go nakręcała, panikował. Po pierwsze, jeszcze przez długi czas będzie musiał uciekać przed Kate. A po drugie, zostało mu tak mało czasu, zanim Kate wyjedzie na dobre i znów zostanie całkiem sam.

„Po tym, co stało się z twoją żoną, pomyślałeś, że lepiej już nigdy do nikogo się nie przywiązywać...”.

No cóż, za późno, stary. Matt był przerażony i bardzo tego nie chciał, ale... tak czy siak, przywiązał się do Kate.

Była jak promienie słońca. W jej obecności lód, który tkwił w Macie, topniał. Kate sprawiała, że było mu cieplej na sercu, przyjemniej, czuł się prawie zdrow. Nawet przez te kilka ostatnich dni, kiedy nie rozmawiali ze sobą, Matt wciąż to odczuwał. I to go do niej przyciągało.

Ale co się stanie po jej wyjeździe? Chyba nie ma siły na dźwiganie kolejnych rozczarowań.

Naprawdę? Zapytał sam siebie zniesmaczony. Po śmierci żony, która zmarła na raka mózgu, wydawałoby się, że takie drobiazgi cię nie ruszą.

Ale on czuł się słaby. Zupełnie jakby zaraz miał rozsypać się na kawałki, jeśli wykona ten jeden niewłaściwy krok.

A może mogliby zostać przyjaciółmi. Może mógłby się postarać, by nie zaprzętała już jego myśli. Może ją to zadowoli. A on

może zdoła powstrzymać odruch wymiotny, kiedy Tyler przyjdzie z nią poflirtować. Tak. *Tak.*

Opróżnił szklanekę do połowy.

„Myślę, że Bóg ma dla ciebie plan. Chce ci dać swoje błogosławieństwo, ale nie może tego zrobić, dopóki Mu nie pozwolisz”.

Często opowiadała o swojej wspólnocie w Dallas lub wspominała o Bogu w rozmowie, zupełnie jakby był jej przyjacielem. Ale ta sugestia, że Bóg ma w zanadrzu błogosławieństwo dla niego, którego on nie przyjmuje? Niedoczekanie. Posunęła się za daleko. Kiedyś wierzył w Boga i gorzko się rozczarował. Bóg nie miał mu do zaoferowania nic poza cierpieniem, a Matt nie pozostawał Mu dłużny, czując niechęć i urazę. Teraz stali po dwóch przeciwnych stronach barykady i tak miało zostać do końca.

Wyczerpany, zatopił twarz w dłoniach. Co robić?

Przecież nie mógł zadurzyć się w tej rudej dziewczynie o wielkim sercu? Chyba nie. Ale nie mógł też przestać o niej myśleć.

Przez ostatnie lata święta w Dallas przypominały Kate fabułę filmu *Dzień świstaka*. Na Halloween stawiała na trawniku przed domem tę samą czarownicę, tego samego drewnianego kota, pomarańczową wiklinową dynię i wieniec, z którego zwisały małe, zabawne szkielety. Na Święto Dziękczynienia wyciągała te same figurki pielgrzymów, jadła kukurydzę na jasnobrązowym talerzu, który kolorem przypominał jesienne liście, i wieszała wieniec z brzoźowych gałązek. Na święta Bożego Narodzenia pojawiały się ta sama stajenka, te same ozdoby choinkowe i białe lampki na żywopłocie.

Lauren, siostra Kate, wyszła za mąż trzy lata temu i miała już własne świąteczne tradycje ze swoim mężem, natomiast Kate - która nadal była pod świątecznym kloszem rodziców — co roku spędzała Halloween, Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie z mamą i tatą, zawsze w tym samym miejscu i dokładnie w ten sam sposób.

Tak jak wszyscy, Kate uwielbiała świąteczne tradycje, ale rutyna sprawiała, że nie czerpała z nich już takiej radości, co kiedyś.

Dlatego odetchnęła z ulgą na myśl, że w tym roku spędzi Halloween i Święto Dziękczynienia w Chapel Bluff. Nie przywiozły z sobą żadnych dekoracji, więc po południu, w Halloween, zainspirowana Martha Stewart i będąc w świątecznym nastroju, Kate powlokła się do lasu w poszukiwaniu orzechów, gałązek jagód i liści, które mogłyby posłużyć za dekoracje. Nie znalazła jednak ani orzechów, ani jagód. Na szczęście innych rzeczy było pod dostatkiem, więc ze swojej wyprawy Kate wróciła z torbą pełną liści i różnych szyszek.

Babcia, która miała artystyczną duszę, ułożyła kompozycję z szyszek w dużym szklanym lampionie, który wraz z Kate postawiły później na stole w jadalni. Potem stwierdziła, że z liści można by zrobić girlandy, więc kolejne dwie godziny spędziły radośnie w salonie, sącząc gorącą czekoladę i nawlekając jesienne liście na sznurek, w czasie gdy po niebie koziołkowały szare chmury. Kiedy girlandy były gotowe, Kate i babcia rozwiesiły je w oknach od frontu, w jadalni i kuchni.

Wreszcie stanęły obok siebie zadowolone, podziwiając swoje dzieło. Kate była szczęśliwa. Z całą pewnością dzisiejszy dzień nie był *Dniem Świstaka*]

Obietnice Theresy związane z obchodami Halloween w jej domu nie okazały się bez pokrycia.

Były cukierki w kształcie kukurydzy.

Był chaos.

Kiedy każdy z domowników i gości pożarł już swoją chińszczyznę na wynos, dzieci pognały na tył domu, żeby przebrać się w kostiumy. Babcia i Kate pomogły Theresie posprzątać talerze

i kubki ze wzorkiem z czarnych i pomarańczowych duchów. Mąż Theresy, Doug, wysoki mężczyzna o długich kończynach i łagodnym usposobieniu, złapał za worek ze śmieciami i wyszedł tylnymi drzwiami.

- Naprawdę nie musicie tego robić. - Theresa spojrzała na talerze, które Kate wraz z babcią opłukały i właśnie wkładały do zmywarki.

- Nonsens! - odpowiedziała babcia. - Masz dziś wystarczająco dużo roboty. Pozwól nam sobie pomóc.

- Skoro tak nalegacie, to nie zamierzam niczego wam zabraniać. - Gospodyni posłała im pełen wdzięczności uśmiech. Ze względu na świąteczny charakter spotkania Theresa miała na sobie dżinsy, czarną bluzkę z czarownicą i opaskę z parą czarnych kocich uszu.

- Dzięki za kolację - odezwała się Kate.

- Nie ma za co. Mam nadzieję, że nie jesteście złe, że sama nic nie ugotowałam. Robię wszystko, co w mojej mocy, żeby tylko nie gotować.

- Nie mów tego przy babci - ostrzegła ją Kate. - Zmusi cię do lekcji gotowania w Chapel Bluff, czy tego chcesz, czy nie.

- Prawda! - ucieszyła się babcia. - Musiałabyś zobaczyć postępy Matta.

- Hola, hola. Jeśli Matt Jarreau będzie na tych lekcjach, to może to rozważyć.

- Co tam moja żona wygaduje o Macie Jarreau? - zapytał Doug, wchodząc do domu.

- Beverly udziela mu lekcji gotowania - odpowiedziała Theresa - i mówiłam właśnie, że jeśli Matt jest w to zamieszany, to może jednak chciałabym nauczyć się gotować.

Babcia zdębiała przerażona, ale Doug tylko potrząsnął głową, uśmiechając się lekko. Widać było, że nie jest urażony.

- No cóż — kontynuowała Theresa filozoficznie — jeśli Jarreau będzie chciał ze mną uciec, to jednak wolałabym wiedzieć, jak ugotować mu kolację.

- Maaaamo!

Kate i babcia drgnęły na dźwięk piskliwego zawodzenia dochodzącego z głębi domu, ale Theresa i Doug wydawali się na nie uodpornieni.

- Emma bawi się moimi nunchaku od Power Rangera! -wrzeszczał Jack.

- Tylko na nie patrzę — nadeszła obronna odpowiedź. Pisk, warknięcie, krzyk.

- Nie chcę, żeby się nimi bawiła! - wrzeszczał Jack. - Zepsuje je!

- Ale przecież może sobie popatrzeć - zawołała Theresa znużonym głosem.

- Nie! — krzyknął Jack. — Macha nimi! Nie! Oddawaj je! Emma odpowiedziała coś stłumionym głosem, po czym rozległo się wycie Jacka.

- Boże - mruknęła Theresa i ruszyła w stronę źródła wrzasku. - Przepraszam was na moment, ale muszę pójść udusić moje dzieci.

Usłyszeli dzwonek do drzwi. Doug ani drgnął.

- Czy mogę otworzyć? - zapytała babcia.

- Proszę - odpowiedział. - Miska z cukierkami jest przy drzwiach.

Kiedy babcia poszła otworzyć dzieciakom, Kate skończyła sprzątać kuchnię i ruszyła na pomoc Theresie w przygotowaniu Jacka i Emmy.

Gdy ubrały już dzieci w kostiumy, pomalowały im twarze, uczesały włosy Emmy i po nieplanowanych szalonych poszukiwaniach znalazły torbę na słodycze Jacka, Kate była zlana potem,

a kocie uszy Theresy i jej cierpliwość były mocno nadszarpnięte. Wróciły do pokoju z czerwonym Power Rangerem i księżniczką Leią, która nalegała, by założyć pięć plastikowych różowych bransoletek i wiszące klipsy.

Theresa napstrykała mnóstwo zdjęć i zniknęła w poszukiwaniu latarek. Doug, wciąż rozluźniony i pozornie nieświadomy ogólnego szaleństwa wokół niego, szedł już z dziećmi do drzwi wyjściowych.

- Chcę iść pierwsza - powiedziała Emma.

- Nie! - zaprotestował Jack. - W zeszłym roku też szła pierwsza i potem ja ciągle byłem ostatni.

- Pójdziemy wszyscy razem. — Theresa wyłoniła się z głębi domu.

- To kto będzie dzwonił do drzwi? - zapytała Emma bliska płaczu.

- Możecie dzwonić na zmianę. - Theresie w końcu udało się zlokalizować dwie latarki, nie od kompletu. Tylko jedna miała dobre baterie.

- Oczywiście - skomentowała zrzędliwie Theresa.

Poszła do kuchni, by wpuścić z ogrodu ich czarnego labradora, a następnie przywiązała go na smyczy w holu. Pies usiadł obok nich i uderzał rytmicznie ogonem kolana Kate i babci.

Wreszcie, z latarką w jednej ręce i psem na smyczy w drugiej, Theresa zdmuchnęła lok z czoła i zatrzymała się, żeby spojrzeć na Kate i babcie.

- Drogie panie, wolicie pójść z nami czy zostać tutaj i bronić twierdzy?

- Ja chętnie będę bronić twierdzy - odparła Kate, próbując ukryć radość z wizji kilku minut ciszy.

- Ja też - dodała babcia.

- Okay, zatem widzimy się niebawem. — Theresa wypadła przez drzwi i zbiegła w dół po schodkach werandy. — Poczęstujcie się cukierkami!

Kate i babcia stały w otwartych drzwiach, patrząc, jak cała czwórka skręca w prawo na chodnik.

- Ach - westchnęła babcia. - Przypominają mi się czasy, kiedy moi chłopcy byli mali. To był szalony dzień. Ile z tym było roboty.

Kate patrzyła, jak Power Ranger i Leia, popychając jedno drugiego, rzucają się do sprintu w kierunku drzwi sąsiada. Jack potknął się o własne nogi i wywrócił jak długi. Kate przez moment pomyślała, że Emma w tym pośpiechu zaraz podepcze brata, byle tylko dobiec jak najszybciej do pierwszego domu, ale ona podniosła Jacka, otrzepała go i wręczyła upuszczoną torbę na cukierki.

- Pewnie sporo, ale za to jakiej fajnej - odpowiedziała.

- Tak, to prawda - przytaknęła babcia.

Ta rodzina prowadziła życie głośne, męczące, szalone i...

Wspaniałe. Właśnie takie, jakie Kate uważała za cenne i o jakim sama marzyła.

Może gdybym nie była taka koścista, pomyślała z żalem. Może wtedy byłoby nieco łatwiej?

Kate usiadła na kanapie w salonie z garścią cukierków. Przytulny i zagracony dom Theresy był bezładną mieszanką olśniewających antyków i mebli zniszczonych przez dziecięce rączki.

Babcia opadła obok na skórzany fotel i westchnęła głęboko.

- Zastanawiam się, co robi dziś Matt - rzuciła.

- Nie wiem.

Kate dowiedziała się, że Matt negocjował z babcią w kwestii jego wizyt i że osiągnęli kompromis. Zgodził się na dalsze lekcje gotowania, będzie jadł z nimi w środy, a w piątek wpadnie na pokera. Resztę wieczorów spędza po swojemu. Kate trudno było

sobie wyobrazić, jak Matt otwiera dziś drzwi i daje dzieciom cukierki. Przypuszczała, że spędzał ten wieczór z kolegami albo ukrywał się w ciemnym domu.

- Mam nadzieję, że wyszedł się rozerwać - powiedziała babcia.

Kate nie była tego taka pewna. Miała jedynie nadzieję, że Matt nie jest jedną z tych osób, które gaszą światło na werandzie, żeby nikt im nie przeszkadzał. A co, jeśli tak właśnie jest? A co, jeśli zgasi wszystkie światła - na stałe?

- A tamci? - Tyler i Kate ulokowali się wygodnie na siedziskach w restauracji i przyciszonymi głosami komentowali pozostałych gości.

- Tych dwoje? - Kate niezauważalnie kiwnęła głową w kierunku pary pięćdziesięciolatków.

- Mhm.

- W ogóle na siebie nie patrzą, nie mówiąc już o rozmowie.

- No właśnie.

- Myślę, że to małżeństwo z syndromem pustego gniazda. Od kiedy ich dzieci wyprowadziły się z domu, nie mają o czym rozmawiać.

- Kiepsko. - Spojrzał na nią, unosząc lekko kąciki ust.

- Kiepsko - zgodziła się.

Miło było patrzeć na Tylera. Modna fryzura. Dobre, sportowe ciuchy. Niebieskie oczy.

- A co myślisz o tych? — zapytał, wskazując na młodą parę, która kilka stolików dalej pożerała się wzrokiem.

Kate obserwowała, jak kobieta ściska mężczyznę za ramię. Miała bardzo długie paznokcie. On coś do niej powiedział. Ona odpowiedziała niespotykaną wesołością. Po chwili mężczyzna zaczął coś opowiadać, gestykulując nadmiernie.

- Hmm. Zdecydowanie nie są małżeństwem - oceniła Kate po dłuższej obserwacji.

- Zdecydowanie nie. Jak myślisz, jak długo są razem?

- Nie wiem. A ty ile byś im dał?

- Dwa tygodnie? Kate uśmiechnęła się.

- Będę bardziej hojna. Dwa miesiące. Tyler leniwie przechylił piwo.

- Myślisz, że im się uda?

- Niestety nie. Przez cały czas mówi tylko on. Ale w którymś momencie ich związku ona też będzie chciała *coś* powiedzieć, prawda?

- Tak mi się wydaje.

- Strzelam, że wytrwają pół roku, no, może osiem miesięcy, aż ona zorientuje się, że on cały czas gada. A on zauważy, że ona za mocno się maluje.

Tyler miał sceptyczną minę.

- Nie znam nikogo, kto zerwałby z dziewczyną z powodu jej makijażu.

- Racja. Wymyślmy jakiś bardziej wiarygodny powód. - Kate spojrzała raz jeszcze. Kobieta wciąż siedziała uczepiona jego ramienia, a on nadal mówił. - Facet zerwie z nią, bo ona za bardzo się od niego uzależni. Albo nagle sobie uświadomi, że ona chce go zrobić w poważny związek.

- Nieźle, młoda damo. - W policzkach Tylera pojawiły się dołeczki, kiedy uniósł swoją szklankę w kierunku Kate. — *To* jest zdecydowanie bardziej prawdopodobne.

Kate parsknęła lekceważąco.

- Mężczyźni.

- Dobra, zostali jeszcze tamci - powiedział.

- Najlepsze na koniec - wymamrotała Kate.

Zmierzyła wzrokiem modnie ubraną parę czterdziestolatków. Byli atrakcyjni i wysportowani. Rozmawiali, słuchając się uważnie nawzajem, śmiali się ze swoich żartów i delektowali chwilami niekrępującej ciszy. W pewnym momencie ona położyła dłoń na stole, a Kate zobaczyła, jak mężczyzna przykrywa ją swoją dłonią i nie puszcza przez długie minuty.

- Oni są z tych, co żyją długo i szczęśliwie - powiedziała Kate.

- Małżeństwo? — zapytał Tyler.

- Tak. Mają obrączki.

- Może to nie jest *jego* żona. Lub to nie jest *jej* mąż.

- Niemożliwe! Są małżeństwem, na moje oko od dwudziestu lat.

- Tak długo?

- Pary z krótkim stażem zazwyczaj nie czują się tak...

- Znudzeni sobą?

- Tyler!

- No co?

- Jesteś okropny.

Tyler wyglądał na zadowolonego z siebie.

- Chodziło mi o to - kontynuowała Kate - że para nie czuje się tak *swobodnie* w swoim towarzystwie, jeśli nie mają co najmniej kilkuletniego stażu.

- Aha, masz na myśli nieskrępowanie.

- Tak.

- Czy to najlepsza rzecz, na jaką można liczyć w długim związku?

- Na pewno jedna z nich. Oczywiście, jest jeszcze taka drobnostka jak dozgonna miłość.

- Ach, to.

- Tak. - Musiała się uśmiechnąć. - To. Tyler spojrzał na coś za plecami Kate.

- A oto nasze jedzenie - zawyrokował.

Patrzył, jak przyjmująca ich zamówienie kelnerka nadchodzi z okrągłą tacą przystawek. Wyglądała na studentkę; z wyćwiczoną łatwością postawiła przed nimi talerze.

- Tak zręcznie pani to robi - zwrócił się do niej Tyler. - Są szkoły, w których tego uczą?

Uśmiechnął się do dziewczyny, a ona odpowiedziała mu tym samym.

- Proszę wierzyć lub nie - odparła - ale to przychodzi naturalnie.

- Dziękuję pani bardzo - powiedział Tyler.

- Nie ma za co. Czy mogę jeszcze w czymś służyć?

- Kate? - zapytał Tyler.

- Nie, dziękuję.

- Na razie dziękujemy - zwrócił się do kelnerki.

Zanim odeszła w stronę kuchni, zmierzyła go jeszcze zachwyconym wzrokiem.

Jak dotąd, w ciągu jednego wieczoru Tyler sprawdził tę samą kombinację pochlebstw i przekomarzania się, której użył wobec Kate, na: babci, swoich dwóch koleżankach, gdy trzymał im drzwi przy wejściu do restauracji, hostessie i kelnerce. Wszystkie te kobiety - niezależnie od wieku czy sytuacji - reagowały przewidywalnie, rozkwitając przy Tylerze niczym kwiat przy pszczole.

Tyler, Mistrz Pierwszej Randki. Od momentu, w którym przyjechał po nią tego wieczoru, Kate nie doświadczyła ani jednej niezręcznej sytuacji. Tyler nie rzucał się, by otworzyć drzwi

w chwili, kiedy ona wyciągała rękę. Nie próbował zamawiać za nią jedzenia. Nie dopuszczał do tego, by zapadła między nimi krępująca cisza. Nawet restauracja, którą wybrał, była idealnym miejscem na pierwszą randkę. Perfekcyjne zestawienie elegancji i kameralnej atmosfery.

I do tego wszystkiego był niesamowicie czarujący. Właściwie był to najbardziej czarujący facet, z jakim Kate kiedykolwiek była na randce. Tylko czemu w takim razie wciąż nie czuła tego „czegoś”? Bardzo chciałyby poznać odpowiedź.

- A co z nami? - zapytał nagle Tyler.

Znieruchomiał nad swoją sałatką Cezara, a ona nad francuską zupą cebulową.

- Z nami? — powtórzyła.

- Tak. Gdybyś miała ocenić nas, to co być powiedziała?

- No cóż, uśmiechamy się, rozmawiamy. Dwie rzeczy na plus.

- I mam nadzieję, że zostało zauważone, iż pozwalam ci udzielać się w rozmowie.

- Zostało zauważone.

- Zatem?

- Zatem powiem tylko tyle, że nie mówię nie. Wszystko jest możliwe. Spojrzał jej prosto w twarz i przytrzymał spojrzenie.

- Lubię cię, Kate - wyznał.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Nabrała więc na łyżkę porcję zupy z kawałkiem delikatnego chleba i roztopionym serem.

- Jeśli obiecuję, że nie będę naciskał, to umówisz się jeszcze ze mną? Lubię z tobą przebywać.

Ooo, był *aż tak* dobry. Ujął to w taki sposób, że gdyby się zgodziła, to na pewno nie czując presji. Natomiast odmawiając, wyszłaby na wiedźmę.

Kate spojrzała na jego idealną twarz w tej idealnej scenerii restauracji i zastanawiała się, jakim cudem chciał się umówić akurat z nią, skoro mógł mieć każdą wolną kobietą w tym kraju.

— Jasne — odpowiedziała.

- Będzie mi bardzo miło.

Velma pojawiła się na pokerowym wieczorku nieco wcześniej. Musiała wraz z pozostałymi dziewczynami odprawić cały poprzedzający kolację rytuał, kiedy to kobiety robią wszystko, a mężczyźni siedzą i nie robią nic.

Kiedy weszła do kuchni wraz z zapachem zapiekanki makaronowej z kurczakiem, zastała tam samotną Kate podjadającą chrupki kukurydziane. Na widok Velmy Kate natychmiast rzuciła się do pomocy i wspólnie wstawiły do piekarnika dwa spore, przykryte folią naczynia żaroodporne.

Velma rozpięła kurtkę, odsłaniając kolejną koszulę ze swej ćwiekowej kolekcji. Na prawej piersi srebrne napy układały się we wzór, który do złudzenia przypominał kowbojski but. Velma założyła do tego czarne wycierane džinsy rurki z wysokim stanem. Ich nogawki znikwały w botkach obszytych frędzlami wokół kostek.

- I jak? - zagadnęła Kate, zastanawiając się, czy nie wypadło jej przypadkiem z głowy, że organizują dziś wieczorek rodeo. — Morty w hawajskiej koszuli wyglądał świetnie.

— Rzeczywiście.

- Czyli pójdiesz z nim na randkę?
- Velma sięgnęła po paczkę chipsów i wepchnęła do ust kilka chrupek.
- Co ty na to, gdybym powiedziała Morty'emu, że się zgadzasz — perswazyjnie ciągnęła Kate. — Wtedy on do ciebie zadzwoni i sami się już dogadacie.
- Jest jeszcze jedna, ostatnia rzecz, która mi w nim przeszkadza. Kate nie dała tego po sobie poznać, ale w środku jej cierpliwość już się skończyła.
- To znaczy?
- Jego samochód. *Jego samochód?*
- A czym on jeździ? 01dsmobile'em?
- Tak, a ja nie znoszę tych samochodów dla emerytów. Kate wpatrywała się w nią z niedowierzaniem.
- Rozumiałabym, gdyby miał tylko ten samochód - kontynuowała Velma. - Ale Morty chowa jeszcze cadillaca z opuszczanym dachem, 57' rocznik. Boskie auto. Czarny ze srebrnymi wykończeniami. Kupił go na początku lat sześćdziesiątych. Zaraz, zaraz, to ile go już będzie miał?
- Czterdzieści pięć lat? Pięćdziesiąt?
- No widzisz! Ma cadillaca z rozkładanym dachem od *pięćdziesięciu lat* i w ogóle nim nie jeździ!
- Gdzie jest ten samochód?
- Morty specjalnie wynajął garaż. Myje to auto, woskuje, sprawdza, czy nie ma usterek, ale nigdy nim nie jeździ. Możesz sobie to wyobrazić? - Namalowane kredką brwi Velmy zmarszczyły się z irytacją.
- Dobrze. Porozmawiam z nim.
- Możesz mu powiedzieć, że Velma Armstrong pójdzie z nim na randkę, tylko jeśli przyjedzie po nią tym cadillakiem. Niech mu

nawet nie przyjdzie do głowy, żeby *spróbować* zgarnąć mnie tym tandetnym 01dsmobile'em. Niech nie liczy wówczas, że się zgodzę.

- Okay. Zrozumiałam.

- Dobrze.

Czy to możliwe, że Velma - *Velma*? - mogła być aż tak wybredna? Może tabuny świetnych facetów waliły do niej drzwiami i oknami?

Kate próbowała sobie wyobrazić siebie w tej sytuacji. *Nie umówię się z tobą, póki nie zmienisz fryzury. Te ciuchy też są kiepskie. Stać cię na lepszy samochód, nie przyjeżdżaj po mnie tym gratem.* Przecież żaden facet po czymś takim już nigdy by się z nią nie umówił! Zatem jakim cudem ta zręczliwa kobieta po siedemdziesiątce mogła sobie na to pozwolić?

- Wiem doskonale, co sobie myślisz. - Velma wcisnęła okulary na nos i spojrzała na Kate, mrużąc oczy. - A teraz posłuchaj mnie. Tylko słuchaj uważnie. Gotowa?

- Tak.

- Kobiety, które pogodziły się z tym, że są same... - mówiła, wyliczając na palcach kolejne zdania - i które są pewne siebie, ale w taki zdrowy sposób... *Nadażasz?* - Przekrzywiła głowę, patrząc na Kate.

Kate przytaknęła.

- Kobiety, które pogodziły się z tym, że są same i które są pewne siebie... - odpowiedziała.

- Mogą zawsze, *ale to zawsze*, być wybredne.

Żeby wygrać w pokera, trzeba nie tylko kombinować, ale i mieć szczęście. Kate całkiem nieźle dziś kombinowała, ale brakowało

jej szczęścia. Matt pokonał ją kolorem i zgarnął całą pulę. Później swoimi dwoma asami pobił ją William. Musiała sporo się nagimnastykować, żeby zamienić swoją marną stertę żetonów na całkiem przyzwoitą kupkę. A teraz, w końcu, miała strita w kolorze i chciała wreszcie dopiec Morty'emu, Williamowi i Mattowi.

„Dziewczeta”, które już wypadły z gry, gawędziły wesoło na siedziskach przy oknie; poważni gracze wciąż walczyli.

Była kolej Morty'ego, ale wyglądał na nieobecnego, kontemplując z pełnym mściwości wyrazem twarzy swoją szklanę z mrożoną herbatą.

- Morty? - zagadnęła delikatnie Kate.

Podskoczył, wyrwany z zamyślenia, a potem z roztargnieniem dorzucił na środek kilka żetonów.

Kate zmarszczyła brwi. Z jakiegoś powodu warunek Velmy, żeby Morty wypuścił cadillaca na wolność, żądanie, które Kate wydawało się najprostszym do spełnienia ze wszystkich, skołował go najbardziej. Kiedy chwilę wcześniej wzięła go na stronę i powiedziała o cadillacu, zareagował jak wojownik i natychmiast buntowniczo skrzyżował ramiona. Od tamtej chwili na przemian albo milczał złowieszczo, albo patrzył z nienawiścią na Velmę.

Atmosfera stała się ciężka. Podobnie jak przyjaźń Kate i Matta.

Kate raz jeszcze sprawdziła karty, a potem udała, że nie wie, czy pasować, czy nie. Wreszcie, jakby od niechcienia, rzuciła na stół kilka żetonów.

Od czasu ich kłótni Matt zmienił się w stosunku do niej. Nie był już niegrzeczny i chłodny. Teraz, dla odmiany, był uprzejmy... i chłodny. Ona pytała, on odpowiadał.

Powściągliwy. Ostrożny. Okazywał jej szacunek.

Przez to wszystko Kate doszła do wniosku, że jednak woląla czasy, kiedy Matt był niemiły. Przynajmniej wydawał się wówczas bardziej... autentyczny. Teraz, nieważne jak mocno starała się

o konfrontację, Matt nigdy nie patrzył jej w oczy. Kiedy kończyli rozmowę, spoglądała na niego zmartwiona, próbując dociec, co, u licha, dzieje się w jego głowie. Bez skutku. Nie rozumiała, o co chodzi, a ściana, jaka wyrosła między nimi, dodatkowo pogarszała sytuację.

Powtarzała sobie, że powinna być zadowolona. Przecież Matt dawał im z siebie tyle, ile mógł. Dlaczego więc czuła ucisk w piersi za każdym razem, kiedy patrzyła na niego?

Spojrzała przez stół i przyłapała Matta na wpatrywaniu się w nią. Natychmiast odwrócił wzrok.

Dziwne. Kate przekrzywiła głowę, bacznie go obserwując.

Zacisnęła dłoń w pięść tak mocno, że pojawiły się na niej żyły.

Była kolej Williama. Potem Matt. Kate wciąż uporczywie mu się przyglądała, starała się zrozumieć.

Unióśł głowę i spojrzał na nią płomiennym wzrokiem, rozgrzanym od emocji.

Kate poczuła iskrę, która zjeżyła jej włosy na rękach i sprawiła, że jej serce podskoczyło. Zerwała połączenie, spuszczając oczy, wytracona z równowagi. Co tu się właśnie stało? Co to było?

Znała to uczucie. Przyciąganie. Jednak chwilę później, kiedy już wyeliminowała Morty'ego z gry i wygrała rozdanie, i kiedy dzielili się wygraną i żegnali się, Matt traktował ją dokładnie tak samo, jak przez cały poprzedni tydzień. Z obojętną grzecznością.

Kate zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem jej się nie przywidziało. A może w ciągu tych kilku gorących sekund między nimi tak naprawdę nic nie zaszło. Czego ona się spodziewała? Że Matt się w niej zakocha?

Prędzej kaktus mi na ręce wyrośnie.

Kolejny dzień objawił się najpiękniejszym sobotnim, wczesno-listopadowym porankiem w historii Pensylwanii. Dwadzieścia dwa stopnie, słońce, lekki wiatr. Jak dobrze, że Kate postanowiła zrezygnować z porannej gimnastyki na rzecz energicznego spaceru po okolicy. Maszerowała już od dwudziestu minut asfaltową ulicą, prowadzącą na szczyt wzgórza, kiedy nagle go zobaczyła.

Matt biegł w jej kierunku z pochyloną głową i z iPodem przypiętym specjalną opaską do ramienia. Miał na sobie długie granatowe szorty do koszykówki i buty do joggingu, ale gdzieś po drodze zdążył już zdjąć koszulkę i teraz biegł, trzymając ją w ręce. Jego tors błyszczał od potu.

Kate zamarła. Przez chwilę nie mogła uczynić kroku. W końcu zmusiła nogi, by ruszyły się z miejsca, w panicznym lęku, że Matt wreszcie ją dostrzeże i przyłapie na tym, jak pożera go wzrokiem.

Kiedy w końcu rzeczywiście podniósł głowę i ją zobaczył, gwałtownie się zatrzymał. Przez chwilę Kate wydawało się, że Matt zaraz odwróci się na pięcie i pobiegnie w przeciwnym kierunku. On jednak stał bez ruchu, oddychając ciężko. Czekał, aż Kate do niego podejdzie. Kiedy szła ku niemu, jej własny iPod, który zaczepiła o brzeg koszulki, postanowił poczęstować jej uszy piosenką AB BY „Take a chance on me”.

Do tej pory jakoś nie wpadali na siebie w weekend. Była zaskoczona, że spotkała go poza Chapel Bluff / — niech Bóg ma ją w swojej opiece - że był bez koszulki.

Zatrzymała się tuż przed nim. Matt wyjął słuchawki z uszu, ona zrobiła to samo. Piosenka ABBY urwała się w połowie; stali otoczeni jedynie szumem drzew i kroplami słońca.

— Cześć — powiedziała Kate. Musiała przyznać się przed sobą, że trudno było jej utrzymać wzrok na twarzy Matta.

— Cześć.

— Wygląda na to, że myślimy podobnie.

- Coś w tym jest. - Nadal ciężko oddychał. I miał kompletnie mokre włosy.

- Choć ty wyglądasz, jakbyś ćwiczył o wiele ciężiej niż ja. Ile już przebiegłeś? Trzydzieści, czterdzieści kilometrów?

Jego usta lekko drgnęły.

- Tylko cztery.

- Myślę, że moim dotychczasowym rekordem był prawie kilometr spacer.

I znów to samo. Nie patrzył jej prosto w oczy. Ale tym razem przynajmniej jej nie ignorował. Jego wzrok powędrował w dół szyi i wzdłuż ramienia Kate.

- Co to? - Wskazał na niewielki przedmiot w dłoni Kate.

- Ach to. - Kate uniosła dłoń. - To mój inhalator. Mam astmę, więc kiedy ćwiczę albo idę na spacer, mam go przy sobie, tak na wszelki wypadek.

Przestąpiła z nogi na nogę i jęknęła w duchu, zastanawiając się, co by tu powiedzieć. Trudno było jej się skupić.

- Czego słuchasz?

- Eee... - Wykręcił lekko ramię i spojrzał nieprzytomnie na iPod. - Teraz chyba leciało „Wanted Dead Or Alive”. A ty?

- ABBY. W Dallas byłam na takim objazdowym przedstawieniu, *Mamma Mia*, i zaraz potem kupiłam sobie ścieżkę dźwiękową.

Ugryź się w język, Kate, bredzisz!

Obok nich przejechał jakiś samochód i oboje odetchnęli z ulgą, wdzięczni, że na moment coś innego przykuło ich uwagę. Okay, a więc to ciężkie spojrzenie, które posłał jej wczoraj podczas pokera, nie było tylko wymysłem. Coś *było* na rzeczy, jakaś nowość. Świadomość czegoś. Napięcie. Być może były to tylko jej odczucia. Ale coś się zmieniło. Na sto procent.

- Mieszkasz niedaleko? - zapytała.

- Tak. Szosą w dół, a potem na lewo. - Odwrócił się, by wskazać kierunek. Kate wykorzystała sytuację i rzuciła ukradkowe spojrzenie na jego ramię i klatkę piersiową. Tors Matta znaczyło kilka delikatnych, białych blizn. Bez wątpienia pamiątki po meczach.

Sprawiąły, że podobał jej się jeszcze bardziej.

Odwrócił się, a ona w ułamku sekundy skupiła uwagę na jego twarzy, udając, że cały czas słuchała uważnie.

Dała mu chwilę, żeby miał szansę zaprosić ją do siebie na minutę wytchnienia, szklankę wody, przytulenia i pocałunki. Ale Mattowi jakoś nie było spieszno.

- No cóż, nie chcę cię zatrzymywać - powiedziała po krótkiej chwili ciszy. - Miłego biegania.

- Dzięki. Tobie też.

- Cieszę się, że na ciebie wpadłam.

To była prawda. Spotkanie podziałało na Kate jak zastrzyk adrenaliny. Czowała, że ma w sobie całe mnóstwo energii i że mogłaby pokonać jeszcze wiele kilometrów.

Uśmiechnęła się do niego i na sekundę jego wzrok zatrzymał się na jej ustach.

- Do zobaczenia w poniedziałek - dodała.

- Okay - odpowiedział, skinął głową na pożegnanie, a potem wyminął ją i pobiegł pod górę z imponującą prędkością.

Kate powoli odwróciła się, by na niego spojrzeć.

If you change your mind, Im the first in lin...

Dopiero, gdy zniknął jej z oczu, zrozumiała, że refren „Take a chance on me” śpiewało jej własne serce. Słuchawki, przewieszzone na szyi, luźno zwisały na plecach.

* Jeśli zmienisz zdanie, jestem pierwsza w kolejce - fragment piosenki „Take a chance on me” zespołu ABBA.

Powtórzyła sobie po raz tysięczny, że Matt jest wyłącznie jej przyjacielem. Nie mogła sobie pozwolić na uzalanie się nad sobą. Absolutnie nie mogła sobie na to pozwolić. Takie rozczulanie się przynosiło jedynie bezsensowny ból, który ranił serce, i tak już bezbronne i poturbowane przez poprzednich, niewłaściwych mężczyzn. Postanowiła sobie, że teraz zakocha się w przeciętnym, ale dobrym chłopaku z chrześcijańskiego domu. A już na pewno, na pewno nie zakocha się w Macie Jarreau.

— Zamężna czy singielka? — Kobieta w średnim wieku z biura parafialnego spojrzała na Kate pytająco.

- Singielka.

- Dobrze więc. - Przerzuciła kilka stron w segregatorze.

- Spotkania dla singli odbywają się w sali B5. Proszę pojechać windą — wychyliła się przez biurko i pokazała Kate drzwi na korytarz. - Piętro niżej, sala będzie po lewej stronie.

Oczywiście! Oczywiście. Piwnica. Kate była już na kilku takich spotkaniach w kościele i zawsze odbywały się one w piwnicy. Podziękowała kobiecie i ruszyła do windy. Że też dała się namówić! To babcia nalegała, by Kate poszła dziś na spotkanie szkółki niedzielnej. Odkąd przyjechały do Redbud, chodziły jedynie na nabożeństwa uwielbienia. Kate bardzo je lubiła. Ale dzisiaj „Złota Grupa” babci organizowała wieczorek autorski dla gościa, który napisał książkę o tym, jak mówić o Chrystusie swoim wnukom, i babcia za żadne skarby nie chciała tego przegapić. A że miały tylko jeden samochód, nie wypadało jedynie podrzucić babci, a samej wcale nie pójść do kościoła.

Teraz jednak zdążyła już pożałować swojej fałszywej brawury.

O co chodziło z tą izolacją singli? We wszystkich sferach życia — zawodowej, społecznej, akademickiej - ludzie samotni miesza­li się z ludźmi żyjącymi w małżeństwie. Tylko nie w kościele.

A tak w ogóle - ciekawe, o czym rozmawiali na takich spotkaniach małżonkowie? Zdradzali jakieś małżeńskie tajemnice? Dawali wskazówki dotyczące alkowy? Po co dzielić ludzi na dwie różne grupy w dwóch oddzielnych częściach budynku? Czy to się w ogóle opłaca­ło? Kate miała wrażenie, jakby ktoś na jej czole wypisywał markerem wielkie „S” za każdym razem, gdy przekraczała próg kościoła.

Dotarła do sali B5. Przywitał ją schludnie ubrany, łysawy facet i poprosił, by wypełniła formularz, a on tymczasem przygotowuje dla niej plakietkę z imieniem.

— Wchodź śmiało, przedstawię cię kilku osobom - powiedział zachęcająco, prowadząc ją do niezbyt zatłoczonego pokoju. Uśmiechnął się entuzjastycznie. - Mamy naprawdę świetną grupę.

Doprawdy, jak można mówić, że w takiej grupie jest świetnie, pomyślała Kate ponuro, skoro nikomu z uczestników nie widzi się, by pozostać w niej jak najdłużej? Przecież tu wszyscy marzą o awansie. Ścisnęła mocniej Biblię i z poważną miną ruszyła do przodu.

Mogło być gorzej, pocieszała się w myślach. Redbud było to nie-wielkie miasteczko z jednym kościołem, zatem wszyscy samotni spo-tykali się w tej samej grupie. Nie wyglądało to tak, jak w wielkich miastach, gdzie grupy tworzone ze względu na wiek uczestników i gdzie oddzielano dwudziestolatków od grupy „30+”. Kate należała teraz do drugiej kategorii wiekowej i nie była to dla niej najmilsza myśl. Nie mogło być nic gorszego i bardziej godnego pożałowania niż przydział do kościelnej grupy dla singli po trzydziestce. Nawet grupa wsparcia dla osób, którzy stracili kogoś bliskiego, była lepsza. Nie mówiąc już o zajęciach dla znerwicowanych rozwodników!

Na litość boską, nawet spotkania dla kościelnych i pań sprzątających były o niebo atrakcyjniejsze.

Podczas niedzielnego lunchu u Peg i Williama Kate bacznie obserwowała Morty'ego. Najwyraźniej jeszcze nie doszedł do siebie po piątkowym spotkaniu i nadal miał mroczny nastrój. Wciąż zły i ponury, wyraźnie pałał głęboką niechęcią do Velmy.

Po posiłku Kate postanowiła porozmawiać z Mortym. Zaprowadziła go zatem do oszklonej werandy Peg. Stali teraz obok siebie, z rękami w kieszeniach, gapiąc się przez ogromne okna, biegnące od podłogi aż po sufit. Za szybą roztaczał się widok cudownie kolorowego, pomarańczowego, czerwonego i żółtego listowia. Niektóre liście tańczyły jeszcze na gałęziach, inne wirowały już w kierunku ziemi jak samolociki z papieru.

- Nie mogę nim przyjechać - odezwał się w końcu Morty.

- Dlaczego nie? Spojrzał na nią.

- Wiesz coś na temat samochodów? - zapytał.

- Nie za wiele.

- No to możesz tego nie zrozumieć. - Przeczesał dłonią srebrzyste włosy i spojrzał na las. - Mój cadillac to klasyk. Kupiłem go w 63 roku. Pracowałem w policji, ale jeszcze nie jako detektyw. Miałem żonę i dwójkę dzieci. Już wtedy samochód liczył sześć lat, ale pierwszą właścicielką była starsza pani, więc miał niewiele na liczniku.

Kate skinęła głową. Czekala.

- Zawsze próbowałem być praktyczny. Oszczędny. Nie zarabiałem kokosów, a moja żona zajmowała się domem i wychowywała nasze dzieci, więc musieliśmy uważać na domowy budżet. Ale kiedy przeczytałem w gazecie ogłoszenie o cadillacu na sprzedaż, po prostu musiałem pojechać i go zobaczyć. A gdy tylko go

zobaczyłem, musiałem go mieć. Właściwie nie umiem ci tego wyjaśnić.

- Nie musisz. Czasem tak bywa. Miłość od pierwszego wejrzenia. - Wbrew jej woli w głowie Kate pojawił się obraz Matta spoglądającego na nią spod daszka bejsbolówki.

- Otóż to — potwierdził Morty. — Ten samochód to moja jedyna... yyy... jak wy, kobiety, to nazywacie? Słabość? To moja jedyna, wielka słabość w życiu. Zona się wtedy wściekła, nie chciała ze mną gadać. - Potrzęsnał głową z żalem. - Była zła przez kilka *miesięcy* o to, że kupiłem ten samochód. Zwłaszcza że ja wcale nie chciałem za dużo nim jeździć i musieliśmy dzielić się jej autem.

Kate próbowała zrozumieć sytuację Morty'ego i to, dlaczego jego zakup skończył się niewypałem.

- Potem dzieci dorosły i założyły swoje rodziny, żona zmarła, Panie, świeć nad jej duszą. Ale nadal mam swój samochód.

- Chciałabym kiedyś go zobaczyć.

- Jasne. Jest w idealnym stanie. Naprawdę, w idealnym. - Popatrzył na nią z poważną miną.

- Wierzę ci.

- Cały jest idealny. Sam się nim zajmuję, sam zamawiam nowe części. Kilka razy do roku ładuję go na ciężarówkę z platformą i jeżdżę z nim na wystawy samochodowe. Nie uwierzyłybyś, jakie oferty kupna już mi składano. Jest wart fortunę.

- Na pewno.

- Ale ja go nie sprzedam.

- Nie.

Westchnął i przez chwilę w milczeniu patrzyli na liście.

- Więc rozumiesz, że nie mogę go tak po prostu wyprowadzić z garażu i zacząć nim jeździć. — Przerwał ciszę Morty. — To okaz kolekcjonerski. A co, jeśli ktoś mi go ukradnie? Albo gdzie zaparkuję, kiedy będziemy z Velmą chcieli zjeść kolację? A jeśli będzie

burza? Lub, broń Boże, grad? Nie wspominając już o normalnych śladach użytkowania... Tych wszystkich kilometrach, które będę nabijał.

- I tu cię mam - podsumowała go Kate.

- Czy mogłabyś poprosić Velmę, żeby jeszcze raz to przemyślała?

- To nic nie da, Morty. Ona była nieugięta. Przecież ją znasz. Jęknął i zaczął stukać czubkiem buta w podłogę.

- Nie wiem, czy mogę mówić w jej imieniu - zaczęła Kate ostrożnie - ale sądzę, że ona tego chce, bo wydaje jej się, że *jazda* tym autem sprawi ci ogromną radość. Rozumiesz? Ze wówczas poczujesz, że żyjesz naprawdę.

- Sprawia mi już wystarczająco dużo radości - odpowiedział Morty obronnym tonem. — Dlaczego ona stawia kolejne wymagania? Czy kiedyś będę wystarczająco dobry?

- Podkreśliła, że to jest jej ostatnie żądanie. Nachmurzył się.

- Ciekawe, co by było, gdyby to ona była na moim miejscu? Gdybym to ja stawiał wymagania-?

Zwalczyłaby to szybciej niż grzybicę.

- Hmm... Może mógłbyś spróbować.

- Tylko że ja nie chcę w niej nic zmieniać. Lubię ją taką, jaka jest.

Kate spojrzała na krzepkiego, a teraz smutnego mężczyznę w nowej fryzurze i nowych ubraniach. Tak bardzo się starał.

- Może nie ma znaczenia to, co powiem, ale myślę, że Velma będzie głupia, jeśli się z tobą nie umówi.

- A ja myślę, że ten cały Matt Jarreau jest głupi, skoro nie chce umówić się z tobą.

- Słucham? — To stwierdzenie oszołomiło Kate. — Nie, nie, my się tylko przyjaźnimy.

Spojrzał na nią z politowaniem, jakby była niespełna rozumu. Zamrugła nerwowo. Ciekawe, o czym ci staruszkowie ze sobą rozmawiają, kiedy nie ma jej w pobliżu?

- Więc rozumiem, że skoro chcę pójść na randkę z Velmą, to muszę wybierać: albo z samochodem, albo wcale? - upewnił się.

- Obawiam się, że tak.

- Chyba nie dam rady tego zrobić, Kate. Po prostu nie dam rady.

Ech, najlepsza ze wszystkich prac domowych. Wynoszenie śmieci. Zdumiewająca i niewyobrażalna prędkość, z jaką gromadziły się w koszu, wpędzała Kate w depresję. Wynosiła je rano, a one, jakby za sprawą czarodziejskiej różdżki, już koło południa znów wysypywały się z worka. Wywlekała je z domu tuż po dwunastej, by przed pójściem spać kłaść pudełko po serowych krakersach na sam czubek wieży z odpadków.

No dobra, nie chodziło wyłącznie o nieustannie rosnącą górę śmieci. Kate najbardziej gryzło to, że w jej rodzinie wyrzucanie śmieci było zadaniem dla mężczyzny. I czasem wydawało jej się, że brak męża, poza innymi mało przyjemnymi rzeczami, degraduje ją do życia wypełnionego śmieciami.

W poniedziałek Kate obudziła się bardzo wcześnie. Próbowала zasnąć, ale po głowie zaczęły jej krążyć myśli o Macie.

W ciepłych kapciach i bawełnianej piżamie podreptała do kuchni w poszukiwaniu kawy. Babcia jeszcze hałasowała na górze, więc Kate włączyła ekspres, wyciągnęła worek wypchany śmieciami i z westchnieniem narzuciła na siebie pikowany trencz.

Mgła zasnuła poranek ciszą, bielą i chłodem. Kate była już w połowie drogi do pojemników ulokowanych na tyłach stodoły, kiedy go zobaczyła.

Wydała stłumiony okrzyk i przystanęła. Worek na śmieci w jej ręku zakołysał się.

Matt, przygarbiony, w skórzanym płaszczu, stał oparty o pick-upa i patrzył na nią roziskrzonymi oczami. Nie wyglądał na zbyt szczęśliwego.

Na jego widok serce Kate zaczęło mocno bić.

- Hej.

- Hej.

Oderwał się od samochodu i podszedł do niej.

- Daj. - Wyjął jej z ręki ciężki worek. - Ja to zrobię.

I dokładnie, tak jak Bóg najpewniej przykazał mężczyźnie już na początku świata, Matt zniknął we mgle, by wyrzucić śmieci. Mimo okoliczności Kate wydało się to bardzo romantyczne.

Wrócił po chwili, wyłaniając się z mgły równie niespodziewanie, jak zniknął.

- Przyjechałeś wcześniej, żeby wynieść moje śmieci? - Uśmiechnęła się Kate.

- Niezupełnie.

Pomyślała, że Matt chce jej powiedzieć coś jeszcze, ale jak to zwykle z Mattem, nie był rozmowny. Akurat tego poranka, kiedy czapka bardzo by mu się przydała, nie miał jej ze sobą. Kate przyjrzała mu się baczniej i dostrzegła, że w ogóle jest jakiś nieswój. Miał zaczerwienione oczy, był nieogolony, a włosy wyglądały tak, jakby przeczesał je chińskimi pałeczkami. Jednak mimo tego, a może dzięki temu, zazwyczaj wyraziste rysy twarzy dziś były jeszcze bardziej wyraźne i boleśnie piękne.

- Ciężka noc? - zapytała.

- Tak.

- Wejdiesz na kawę?

- Nie... ja... - Próbował znaleźć odpowiednie słowa, ale ostatecznie tylko potrząsnął głową. Podeszedł do bagażnika, po czym rozsunął klapę platformy i obniżył ją.

- Posiedzisz ze mną chwilkę? — zapytał.

- Jasne.

Kiedy szła, jej kapcie chłupotały na pokrytej rosą trawie. Musiała lekko podskoczyć, by usiąść na skraju platformy. Jej włosy były w nieładzie i nie miała na sobie ani grama makijażu. Na całe szczęście zdążyła umyć twarz i zęby.

Wsparł się na ramionach i usiadł obok niej. Minuty mijały. Odgłosy Chapel Bluff jakby ucichły. Siedzieli tak razem, w nieruchomej, bladej mgle, z wrazeniem, jakby byli sami na świecie.

I właśnie wtedy, kiedy Kate myślała, że Matt już już miał coś powiedzieć, on zacisnął zęby, mruknął i milczał dalej.

Czekała cierpliwie, starając się domyślić, o czym chciał z nią porozmawiać. Powoli lodowaciały jej uszy, a pośladki przymarzały do zimnego metalu.

- Powiedziałaś coś tamtej nocy.

W końcu się odezwał. Mówił niskim, spokojnym głosem, patrząc na swoje dłonie.

- Tej nocy, kiedy się pokłóciliśmy - sprostował. Spojrzała na niego.

- Powiedziałaś, że Bóg chce mi ofiarować swoje błogosławieństwo. I że mu na to nie pozwalam.

Zamarła, jej myśli dryfowały.

- Pamiętam - przyznała.

Na ułamek sekundy ich oczy spotkały się, potem Matt znów spuścił wzrok. Widziała jego przygnębienie. Musiało mu być bardzo ciężko.

- Ja po prostu... To mi nie daje spokoju.

- Nie wiedziałam.

- Kiedyś byłem szczęśliwy w małżeństwie — wyznał. — Potem Bóg zabrał Beth do siebie. Więc chciałem, żebyś wiedziała, że jeśli chodzi o Boga i mnie, to nie jest tak, że to ja czegoś Mu odmawiam. To On odmawia mnie.

Skinęła głową, próbując zrozumieć te słowa. Była siódma rano, siedzieli na podjeździe Chapel Bluff w zimnie, a on po tych wszystkich tygodniach ich znajomości wreszcie był gotów z nią porozmawiać. Chciała wyglądać na opanowaną, spokojną, choć czuła, jak krew zaczyna płynąć w jej żyłach coraz szybciej. Nie mogła zmarnować tej szansy, przedstawiając jakiś fałszywy obraz Boga, i niechcący zerwać tę cienką nitkę, jaka jeszcze łączyła Matta z Bogiem. Nie chciała tego.

Od czego zacząć? Może najlepiej od czegoś łatwego, co będzie dobrym gruntem do dalszych, trudniejszych tematów.

- Chodziłeś do kościoła, kiedy byłeś mały?

- Tak. W dzieciństwie. Mama nas zabierała.

- I? Opowiedz coś więcej.

- Hmm... Modliłem się nauczonymi na pamięć formułkami, ochrzcili mnie... i w zasadzie to wszystko. A kiedy zacząłem grać w hokeja, nie miałem czasu, żeby chodzić do kościoła. Dużo podróżowałem.

- A co z Beth? Jak było z nią?

- Jej cała rodzina, wszyscy bliscy, byli prawdziwymi chrześcijanami. Bardzo lubiła chodzić na nabożeństwa. Zawsze gdy wpadałem na weekend do domu, kazała mi zakładać garnitur i krawat i zmuszała, żebym z nią poszedł. Trochę się droczyliśmy, ale mówiąc szczerze - powiedział, unosząc wzrok na poziomą linię lasu, jakby za nią miał zobaczyć swoją przeszłość - nie miałem nic przeciwko temu i ona o tym wiedziała. A skoro to ją uszczęśliwiało, dlaczego miałbym tego nie robić.

Kate poczuła w piersi samolubne ukłucie zazdrości. Kochał Beth. Przecież wiedziała o tym. A jednak kiedy powiedział to na głos, zaboląło, i to mocno.

- Kiedy wykryto u niej nowotwór... modliłem się za nią

- mówił dalej Matt. - Moja wiara jakoś nigdy nie była szczególnie wielka. Ale wtedy modliłem się najmocniej, jak potrafiłem, prosiłem Boga, żeby ją uratował. Dzień i noc. Naprawdę myślałem...

- Potrząsnął głową, jakby wściekły na siebie. - Naprawdę myślałem, że z pomocą Boga i lekarzy Beth wyjdzie z tego.

Kate wysłała w górę szybką, cichą prośbę o dar zrozumienia. Czowała, że nie ma w sobie wystarczająco dużo mądrości w obliczu śmierci pięknej, młodej kobiety.

Matt na przemian zaciskał i rozprostowywał palce.

- Miała w sobie tyle dobroci. Była naprawdę dobrym człowiekiem. Na wskroś przeniknięta dobrem. - Spojrzał na Kate.

- Wierzysz, że Bóg mógł ją uratować?

- Tak - odpowiedziała szczerze Kate.

- Więc czemu tego nie zrobił? Ze wszystkich ludzi na ziemi dlaczego nie ją? Ona tak Mu ufała.

- Nie wiem.

- Właśnie - zadrwił. - Ja też nie wiem. Kate przygryzła wargę.

- Żyjemy w okropnym świecie. - Te słowa wydały się Kate banalne, niesamowicie małe. — Nienawidzę tego, że istnieją choroby i bieda, i cierpienie. W wielu przypadkach zupełnie niesprawiedliwe.

Jego twarz stężała.

- Ale Bóg nigdy nam nie obiecywał, że będzie łatwo - kontynuowała Kate. - Jednak wierzę, że jest zbyt sprawiedliwy, żeby nas nie ocalić. Obiecuje nam przecież, że nas nie zostawi i przetrwa z nami najgorsze. I kocha ludzi.

Matt odchrząknął lekceważąco.

- Mógł uratować Beth i tego nie zrobił. Sądziś, że to była miłość? — zapytał. - Bo mi to wyglądało bardziej na obojętność. Nie rozumiem, dlaczego nie dał jej żyć. Nie chcę wierzyć w Boga, który pozwolił na cierpienie takiej osoby jak ona.

Kate otuliła się ciasniej płaszczem.

- Wiesz, to naturalne, że się z Nim kłócisz, że krzyczysz na Niego. Nie ma w tym nic złego. Bóg jest wystarczająco wielki i mocny, by to znieść. Dopóki będziesz z nim rozmawiał.

Matt wybuchnął niskim, gorzkim śmiechem.

- Nie, dzięki. Nie bardzo ze sobą rozmawiamy - wyznał.

- Nie?

- *Nie*. Skreśliłem go z listy znajomych, kiedy umarła Beth, i myślę, że nam obu pasuje ten układ.

Patrząc teraz na Matta, na jego ciemne, potargane wiatrem włosy, pochyloną, nieufną sylwetkę, cyniczny grymas ust, wzrok wyrażający rozpacz, Kate poczuła nagłą i absolutną pewność, tak silną, że dostała gęsiej skórki na szyi i ramionach.

- Tak naprawdę - powiedziała wolno - Jemu ten układ nie pasuje.

Matt spojrział na Kate.

Wszystko nagle ułożyło się w całość. Zaproszenie Kate do Chapel Bluff. Łatwość, z jaką Kate dostała urlop w pracy. To, że Matt przyjął propozycję renowacji domu. To, że jej serce rozpoznało go, w chwili, kiedy go zobaczyła po raz pierwszy.

Rozpoznała go, ponieważ to *dla niego* Bóg ją tu przyprowadził. Bogu nie zależało na remontowaniu starych domów. Zależało mu, ogromnie, na Jego zaginionych dzieciach.

- Myślę, że jestem tutaj z twojego powodu - powiedziała cicho, zdumiona swoim odkryciem. — Myślę, że to dlatego jesteśmy tu obie z babcią. Dla ciebie.

Zrozumiała, że ma rację. Przez cały ten czas Bóg chciał, żeby odnalazły Matta w jego martwej, trudno dostępnej jaskini, którą sobie zbudował. Żeby stały się rękami i głosem Boga dla człowieka, który inaczej by nie posłuchał.

Nie wiedzieć czemu, do oczu napłynęły jej łzy. Zamrugła, próbując je odgonić, nie chciała, by Matt je zauważył. Choć pewnie na próżno, bo bacznie się jej przyglądał.

- To nieprawda, Kate - powiedział. - Przyjechałyście po to, by odnowić Chapel Bluff.

- Mi też się tak wydawało. Ale właśnie zdałam sobie sprawę, że jesteśmy częścią większego planu.

- Nie, Kate.

- Ależ właśnie tak — powiedziała grzecznie, lecz stanowczo. — Niczego w swoim życiu nie byłam bardziej pewna.

Nachmurzył się.

- On o tobie nie zapomniał, Matt - dodała.

- Powinien był, Kate.

Siedzieli, wpatrując się w siebie przez dłuższą chwilę. I nagle, bez ostrzeżenia, Matt wyciągnął rękę i chwycił jedną z zimnych dłoni Kate. Trzymał kurczowo, splótłszy jej palce ze swoimi.

Kate zamurowało, znieruchomiała i nie mogła wydusić z siebie ani słowa.

Matt spuścił wzrok, zapatrzył się na swoją szorstką dłoń hokeisty, w której zamknął bladą kobiecą rączkę.

Serce zadudniło Kate w piersi i uszach. Zaskakująco przesadna reakcja jak na tak podstawowy kontakt fizyczny. Kiedy tak siedzieli razem przez może więcej niż kilka minut, jej myśli i puls gnały jak szalone.

Nagle Matt uściskał jej dłoń, mocno i raptownie, i puścił. Zeskoczył z ciężarówki i wsunął ręce w kieszenie płaszcza.

- Pewnie przemarzłaś - powiedział szorstko, nie patrząc jej w oczy. —
Może wejdiesz do środka i rozgrzejesz się?

Teraz była jej kolej, żeby *coś* powiedzieć albo zrobić.

— Eee... jasne. — Zeskoczyła z krawędzi pick-upa jak słoń, ale przynajmniej skutecznie. — Wejdiesz?

Potrząsnął głową.

- Pojadę do domu, żeby doprowadzić się do porządku przed pracą.

— Zatem do zobaczenia później. Pochylił podbródek z ponurą miną.

Matt wrócił do domu, by wziąć prysznic. Stał w mgiełce gorącej wody przez niekończące się minuty. Jego ciało było nieruchome, ale w głowie wrzało.

Nie spał najlepiej. Nie mógł jeść. Późno w nocy wybrał się na przejażdżkę swoim lamborghini, rozwijając absurdalne prędkości, ale i to nie pomogło. Nie potrafił uciec od tego, co się z nim działo. Nic nie mogło mu pomóc. Jego zbroja nie ochroni go już przed Kate.

Został pokonany. On, taki ambitny, który spędził większość swojego życia, doskonaląc sztukę wygrywania. Dostał w skórę od kobiety. Zabiła go jednym spojrzeniem swoich orzechowych oczu.

Może nawet zaczynał mieć obsesję na jej punkcie. Nie mógł myśleć o nikim innym, jak tylko o Kate i Beth, Beth i Kate. Ich postacie splatały się ze sobą w pełen cierpienia kłębek wspomnień, tych z dalekiej przeszłości i tych jeszcze świeżych. Jednej z nich już nie ma. Druga nadal jest. Obie dla niego niedostępne.

Przez ostatnie trzy lata Mattowi wydawało się, że doświadczył już najgorszego cierpienia, jakie życie może zaoferować. Ale teraz zrozumiał, że po prostu był odrętwiały. To tak jak wtedy, kiedy zdrętwieje ci noga. Matt czuł się martwy, czuł się źle. Lecz o wiele gorzej było teraz, kiedy wróciło uczucie.

A więc powoli zaczynał żyć na nowo i właśnie doświadczał bólu niemal nie do zniesienia. Wolał swój poprzedni stan i przez ostatnie kilka dni próbował do niego wrócić. Ale odrętwienie zniknęło i Matt był skazany na te wszystkie okropne emocje. Nie miał jak uciec.

Po kolejnej prawie bezsennej nocy *musiał* porozmawiać z Kate o Beth. Przyjechał do Chapel Bluff o szóstej rano, żeby tam, w ciemnościach, poczekać na nią. Potrafiła go wysłuchać i przyjęła wszystko tak, że nie czuł się jednak jak idiota. Nawet dobrze to znosił, póki nie spojrzała na niego tymi swoimi oczami. Pięknymi, czystymi, szeroko otwartymi oczami i powiedziała: „Myślę, że to dlatego jesteśmy tu obie z babcią. Dla ciebie”.

Nieprawda. Bóg zesłał Kate do Chapel Bluff z jego powodu? To jakieś szaleństwo. A jednak Matt czuł, że ogromna wyrwa, którą do tej pory nosił w sobie, teraz zapełniła się przytłaczającą czułością dla Kate. I sekundę później chwycił Kate za rękę, czego nie powinien był zrobić. *Nie powinien był.* Ale nie mógł się powstrzymać.

W teorii trzymanie czyjejś ręki wydaje się nieszkodliwe. Ale nie w tym przypadku. Ściana runęła i w Macie odezwała się potężna potrzeba czułości.

Już od jakiegoś czasu bardzo źle się czuł w obecności Kate. Zwyczajnie wariował. A teraz przez tę nową niezręczną sytuację nie wiedział, jak sobie poradzi.

Matt oparł się dłońmi o kafelki i pochylił głowę. Strumień wody biczował go po karku. Czuł się jak dzieciak, któremu

zabrano przytulankę. Może to było głupie, ale tak właśnie się czuł, kiedy myślał o Kate. Ze potrzebuje jej teraz. Ze chce się jej kurczowo ucześcić. Na myśl o tym przeszył go strach.

Żałował, że nie potrafi być silny, nieugięty i normalny. Był zły, zdezorientowany, obolały. Był wrakiem.

Nie miał nic, nic, co mógłby jej ofiarować.

Tego dnia Matt zjawił się w pracy dopiero przed południem. Kate usłyszała, jak wchodzi do domu. Zamarła, wstrzymując oddech, ale on od razu poszedł na górę. Nie szukał jej.

Czego się spodziewała? Właściwie niczego, a jednak czuła... co? Nawet kilka godzin po tym spotkaniu jej umysł, serce, nerwy nadal nie mogły się uspokoić. A wszystko z powodu tych kilku intensywnych chwil, kiedy trzymał ją za rękę. Przez ten krótki czas, kiedy siedzieli na platformie ciężarówki, miała wrażenie, że Matt może jednak widzi w niej coś nadzwyczajnego. Teraz, w świetle dnia, wydawało się to mało prawdopodobne. Pragmatyczna strona Kate podpowiadała jej, że było to wręcz niemożliwe. Ale intuicja i spojrzenie Matta, kiedy trzymał jej dłoń, mówiły coś zupełnie innego.

A może mu się podobam?

Nie.

... A może.

Przez kolejną godzinę Kate próbowała się skoncentrować na pakowaniu i adresowaniu rzeczy, które sprzedawała na internetowej aukcji. Gdy odkryła, że na paczce, której opakowanie zajęło jej kwadrans, napisała permanentnym markerem zły adres, postanowiła skrócić swoje męki i wyruszyła na poszukiwania Matta. Albo wyjaśni tę sytuację, albo oszaleje.

Znalazła go w łazience, gdzie przykręcał kinkiet nad lustrem. Stała w drzwiach. Obejrzał się i spojrzał na nią przez chwilę nie trwającą dłużej niż uderzenie serca, a potem wrócił do pracy. Nie miał już zarostu i przebrał się w beżową gładką koszulkę z guzikami przy szyi, znoszoną parę dżinsów i buty robocze. Brązowa bejsbolówka, sfatygowana, której rankiem zapomniał, wróciła na swoje miejsce.

- Łazienka wygląda świetnie - powiedziała z uznaniem Kate.

To była prawda. Trawertynowa posadzka, wanna i umywalka - obie nieskazitelne, klasyczne i białe. Biała boazeria, sięgająca wysokością jednej trzeciej ściany i zakończona gzymsem, nad którym zaczynała się ściana w kolorze kawy. Wybrały z babcią klasyczną, ale nie wymyślną armaturę, która pasowała do starego domu.

W porównaniu z drugą łazienką na piętrze, w kolorze awokado, z wyposażeniem z lat pięćdziesiątych, z której Kate korzystała od wielu tygodni, ta łazienka wyglądała niczym luksusowe spa.

- Kończysz już? — zapytała.

- Właśnie skończyłem. To ostatnia rzecz.

- I będę mogła odpalić wannę dziś wieczorem?

- Tak jak obiecałem.

- Super! — Z satysfakcją machnęła ręką. Matt wbił wzrok w śrubokręt.

Oboje czuli się skrepowani, ale dało się to znieść. Wszystko było lepsze od pełnego udręki czekania, które sobie zafundowała podczas pakowania paczek.

- Co następne? - zapytała. - Łazienka na końcu korytarza?

- Tak.

- Daj znać, jeśli będziesz potrzebował tam jakiejś pomocy. Ta tapeta potrafi być naprawdę wredna.

- Dzięki. Myślę, że sobie poradzę.

- Widzimy się później.

Zeszła na dół do sterty niezaadresowanych paczek. Najwyraźniej Matt znów przełączył ich relację na tryb „chłodny i uprzejmy”.

Choć chciała się na niego obrazić, nie mogła do końca się do tego zmusić. Tego ranka otworzył się przed nią, zwierzył się ze swoich myśli i to był wystarczający przełom jak na jeden dzień. Nawet jak na jeden tydzień.

Kiedy jednak wzięła do ręki szary papier do pakowania i przezroczystą taśmę klejącą, do głowy zaczęły napływać słowa, które mógłby powiedzieć teraz Matt.

Kate, kiedy chwyciłem cię za rękę, pewnie się domyśliłaś, że cię ubóstwiam. Ze wszystkich kobiet ty jesteś tą jedyną. Chcę, żebyś była tylko moja.

Kate, masz takie delikatne dłonie. Nie chcę niczego więcej, tylko do końca życia trzymać cię za rękę.

Kate, kiedy dotknąłem twojej ręki, wszystko zrozumiałem. Mojej idealnej żony już nie ma. Ale jesteś ty i kocham cię. Ciebie!

Zaśmiała się głośno, zdając sobie sprawę, jak kompletnie nierealne było to ostatnie wyznanie.

- To się nigdy nie stanie - wyszeptała do siebie. - Nigdy nie będziesz jego dziewczyną. Zapomniałaś?

Kate tego samego dnia miała pójść na randkę z Tylerem. Kiedy kilka dni temu uzgadniali termin, specjalnie wybrała poniedziałek, bo w poniedziałki Matt nie zostawał na kolacji i nie kręcił się w pobliżu, żeby nie ocierać się o Tylera. Wszystko powinno się odbyć bez komplikacji. Powinno.

Jednak Matt pracował do późna, zapewne dlatego, że późno zaczął. Po porannym spotkaniu przy pick-upie Kate nie mogła znieść myśli, że pójdzie na randkę z Tylerem tuż pod nosem Matta.

Jedyna nadzieja, że Matt może nie zauważy.

Kate właśnie zakładała buty w sypialni, kiedy babcia zawołała z dołu donośnym i dźwięcznym głosem:

- Kate! Jest już Tyler.

Odgłosy demolki w łazience pod jej pokojem nagle złowieszczo przycichły.

Kate zamknęła oczy. I to by było na tyle, jeśli chodzi o nadzieję, że Matt się nie dowie.

Czuła wstyd i miała poczucie winy, zupełnie jakby popełniła jakieś poważne randkowe faux-pas. Ale co miała w tej sytuacji zrobić? Może powinna była zadzwonić do Tylera i odmówić, bo „Matt chwycił mnie dziś rano za rękę?”. Tyler wyśmiałby ją. Matt był tylko jej przyjacielem!

Kiedy zeszła na dół, Tyler właśnie oczarowywał babcię. Kate próbowała wypłoszyć go przez drzwi raz, potem drugi, ale bez sukcesów. Przy trzecim podejściu, kiedy już stali na progu, na schodach pojawił się Matt.

Serce Kate zamarło.

Matt znieruchomiał na półpiętrze. Był ponury, biły od niego złe emocje.

Tyler zatrzymał się w otwartych drzwiach wejściowych i uśmiechnął na powitanie.

- Cześć, Matt.

- Tyler. - Ton Matta mógłby zmusić dzikie zwierzęta, by schowały się w swoich kryjówkach.

- Co tam u ciebie, stary?

- Nic nowego.

Po krótkiej chwili Tyler zachichotał.

- Człowieku, nie gadaj tyle, bo mnie uszy rozbolą! Matt jedynie wzruszył ramionami. Kate przeszył dreszcz.

- Dziś jest wyjątkowo rozgadany, co nie? - Tyler zwrócił się do Kate. Pociągnęła go za rękaw.

- Lepiej chodźmy - zaproponowała.

- Jasne.

Odchodząc, Kate spojrzała na Matta, który mierzył ją wzrokiem palącym jak rozżarzone żelazo.

Po chwili Matt zniknął jej z oczu, kiedy Tyler zamknął za nimi drzwi i poprowadził Kate przez trawnik do swojego samochodu.

Kate i Matta rozdzielał cały ocean słów, których nie mogli sobie powiedzieć. Tak było od dnia, w którym się poznali. Bezkresny ocean słów, których Kate starała się nigdy nie wypowiedzieć na głos.

Kiedy zaprzyjaźnili się, ocean stopniowo zaczął się zmniejszać. Gdy Matt się wycofał, wody znów przybyło. Potem, w wieczór, kiedy się pokłócili, znów jej ubyło. Później przybyło. Kiedy Matt otworzył się przed Kate w poniedziałek rano, opowiadając o Beth, ocean praktycznie znikł, aż do środy, kiedy to, po wpadce z Tyle-rem w poniedziałkowy wieczór, wydawał się równie szeroki, co na początku. A może nawet szerszy niż kiedykolwiek.

Wczoraj i dzisiaj rozmawiała z Mattem kilka razy, ale celowo poruszała wyłącznie lekkie tematy. Jednak przede wszystkim starała mu się nie narzucać, ponieważ czuła, że tego właśnie chciał.

W środę wieczorem nakryła do kolacji i napełniła szklanki mrożoną herbatą, podczas gdy babcia i Matt byli zajęci gotowaniem. Babcia przyrządziła dziś panierowaną tilapię z salsą z mango, młode ziemniaczki i sałatkę.

Kiedy Kate przycupnęła na swoim krześle obok Matta, ten od razu cały zeszywniał.

Jej nadzieja przysła. Kate potrzebowała miętowych ciągutek. I to sporo.

Kiedy babcia odmawiała modlitwę przed posiłkiem, Kate obserwowała Matta ukradkiem. Miał pochyloną głowę i napięty wyraz twarzy. *Jesteś zły z powodu Tylem? Czy naprawdę ci się podobam? Masz ochotę znów skulić się głęboko w siebie, tam, gdzie nie będę mogła cię odnaleźć? Bo ja ci na to nie pozwolę, nie mogę ci na to pozwolić.* Emocje ścisnęły jej gardło, a wszystkie pytania ginęły w oceanie, który ich rozdzielał. Nie były w stanie do niego dotrzeć.

Po modlitwie Kate starała się nawiązać lekką rozmowę, w której mogliby uczestniczyć we trójkę. Babcia paplała jak zawsze radośnie, a Mattowi udawało się odegrać swoją rolę, odpowiadając na pytania z charakterystyczną dla siebie rezerwą.

Podając mu młode ziemniaki, Kate musnęła przypadkiem jego palce. Poczowała mrowienie i falę energii rozchodzącą się w górę ramienia. On momentalnie zamarł, niezadowolony zmarszczył brwi i w ogromnym skupieniu nałożył sobie porcję warzyw.

Pomóż mi, Boże, modliła się Kate. *Nie wiem, co robić.*

Kiedy Kate udała się wreszcie do swego pokoju na poddaszu, natychmiast padła na kolana przy łóżku.

Co ja mam z nim zrobić, Boże? Wiedziała, że Bóg chce, aby pomogła Mattowi, ale nie miała pojęcia, jak to zrobić. Chciała działać. Była na to gotowa. Ale co miała robić? Jak?

Bóg nie powiedział jej tego wprost. Żadnego grzmiącego głosu. Żadnego olbrzymiego palca z pianki, podobnego do tych, które nosili kibice na meczach, a który wskazałby jej odpowiedni kierunek.

Wzięła do ręki Biblię. Tę samą, którą dostała od rodziców na zakończenie ogólniaka. Delikatna, czarna, skórzana okładka i pozłacane litery. Hołubiona i znajoma. Na marginesach mnóstwo notatek, zagięcia i podkreślenia we wszystkich możliwych kolorach.

Otworzyła ją na czytaniu z dnia i przebiegła wzrokiem po fragmencie Księgi Przysłów. Jeden z wersetów natychmiast chwycił ją za gardło.

Rozdział 16, werset 32. *Cierpliwy jest lepszy niż siłacz, opanowany - niż zdobywca grodu.* Kate powtarzała to w swojej głowie kilka razy, czytała i znów powtarzała. *Cierpliwy jest lepszy niż mocny, opanowany - od zdobywcy grodu.*

Dostała swoją odpowiedź. Bóg pragnął, aby była cierpliwa w stosunku do Marta.

To jednak nie przychodziło jej łatwo. Zwłaszcza teraz, kiedy instynkt ponaglał, nakłaniał do gwałtownych odruchów.

- Dam radę - wyszeptała - ale tylko z Twoją pomocą.

Co ludzie robili, zanim wymyślono kawiarnie, zastanawiała się Kate. Dokąd szli, gdy mieli ochotę uraczyć się malutkim, codziennym smakołykiem? Gdzie szukali kilku chwil ciszy, żeby się odprężyć? Czy istniało wówczas jakieś neutralne miejsce, do którego można było uciec od pracy albo w którym można było do niej zasiać?

Teściowa jej siostry, Lauren, mawiała, że kiedyś praktycznie nie było tego całego „dogadzania sobie”. Wtedy ludzie żyli w przeświadczeniu, jasnym jak słońce, że manicure u kosmetyczki, masaż czy filiżanka drogiej kawy nie są im potrzebne.

Kate patrząc na podejście otaczających ją ludzi stwierdzała, że lubią sobie dogadzać i schlebiać aż za bardzo. A jednak... sama *uwielbiała* od czasu do czasu wybrać się na pedicure, masaż gorącymi kamieniami i *caffè latte*. Niby czemu miałyby tego nie robić?

Kawiarnia „Main Street Coffee” mieściła się dokładnie na środku głównej ulicy Redbud i była wyjątkowo uroczym miejscem. Wewnątrz stały beczki wypełnione ziarnami kawy z wielkimi, srebrnymi miarkami wbitymi w środek kopczyka. Podłogi wyłożono naturalnym drewnem z widocznymi słojami, na ścianach wisiały wytwory lokalnej kultury i stare zdjęcia Redbud, a witrynka ze świeżymi wypiekami mogła doprowadzić do łez rozpaczy każdego, kto był na diecie.

Kate i Theresa przepuszczały właśnie pieniądze na maślane, żurawinowo-pomarańczowe babeczki, posypane ogromnymi kryształkami cukru. Przychodziły przed południem, specjalnie po to, by zająć miejsce przy swoim ulubionym, wysokim, okrągłym stoliku w oknie wykuszowym, z widokiem na główną ulicę.

- A zatem... - Theresa mieszała spienioną kawę drewnianym patyczkiem. - Czy znamy się już wystarczająco długo, żebyśmy mogła wetknąć nos w twoje życie prywatne?

- Chyba tak. Co chciałybyś wiedzieć?

- Chcę poznać historię twoich perypetii miłosnych. Kate zrobiła zabawną minę.

- A więc, z iloma to spotykałaś się na poważnie? - zapytała Theresa.

- Na poważnie? To znaczy...?

- Chodzi mi o związki kilkuletnie, takie, w których rozważa się małżeństwo.

Kate w kilku słowach opowiedziała o Pucku i Trevorze. Brak zaangażowania u pierwszego i niewierność w przypadku drugiego.

- Masz choć tyle szczęścia, że zostały ci jeszcze jakieś przyjaciółki, które są singielkami? - zapytała Theresa.

- Niewiele. Nawet moja młodsza siostra jest już mężatką.

- Ala. - Theresa spojrzała współczująco.

- Trzy lata temu wyszła za mąż.

- Ale my doskonale wiemy, jaka jest naturalna kolej rzeczy.

- No właśnie.

- Tak naprawdę prawo powinno zabraniać - ogłosiła Theresa, unosząc swoje mieszadełko - zamążpójścia młodszych sióstr przed starszymi.

- Otóż to. Lauren powinna poczekać ze ślubem, póki ja nie wyjdę za mąż. Chociażby przez grzeczność.

- Chociażby przez grzeczność! — powtórzyła Theresa, po czym nabrała powietrza i uśmiechnęła się krzywo. - Choć, prawdę mówiąc, ja wyszłam za mąż przed moją starszą siostrą.

- Theresa!

- A na co miałam czekać. Ona często bywa wredna. Nigdy nikogo nie znajdzie! - zaśmiała się nisko, a Kate dołączyła do niej.

Za oknem szarość przeplatała się z wiatrem. Drzewa były już nagie, a sterty mokrych liści leżały przy krawężnikach, zgniecione stopami ludzi, którzy przemykali opatuleni w spłowiałe kurtki i jasne szaliki.

- Kochana, ciężko jest znaleźć porządnego faceta - stwierdziła Theresa.

- Bardzo ciężko.

Theresa spojrzała przez okno, przymrużywszy oczy.

- A może właśnie jeden tu idzie.

Kate spojrzała na przystojnego mężczyznę w eleganckim garniturze i płaszczu, który właśnie szedł w kierunku sklepu tuż obok kawiarni. W ręce niósł aktówkę. Kiedy był już na ich wysokości, zatrzymał się i chuchnął w pięść, prezentując im swoją platynową obrączkę.

- Fiu, fiu - powiedziała z uznaniem Kate.

- Najwyraźniej to nie *ten*, ale na pewno *istnieje* ktoś dla ciebie. Jestem tego pewna - oznajmiła Theresa.

Ostatnio Matt powiedział jej to samo. Ale te słowa spłynęły po niej z nurtem zwątpienia.

- A co z Mattem? — zapytała Theresa.

- Z Mattem?

Theresa wzruszyła ramionami.

- Jest megaprzystojny. Jeśli ci się choć trochę nie podoba, to chyba nie masz serca.

Usta Kate drgnęły.

- Mam.

- No więc? Myślisz, że mu się podobasz?

- Są takie chwile, a właściwie nanosekundy, kiedy przychodzi mi do głowy taka myśl.

Theresa uniosła gwałtownie brwi:

- O kurczę! Wiesz, chyba umarłabym z zazdrości. Ale jakoś to zniosę.

- Sama nie wiem. Od początku starałam się być dla niego po prostu przyjaciółką. Jeśli uda mi się z nim zaprzyjaźnić, to uznam to za cud. Sama wiesz, jak on się zachowuje.

- Chyba trudno się z nim rozmawia, prawda? A nawet bardzo trudno. Przez ostatnie kilka tygodni, za każdym razem, kiedy go widziałam w Chapel Bluff, próbowałam zagaić. Ale mam przy rym niezłego pietra. Jak on potrafi spojrzeć!

- Wiem - odpowiedziała szczerze Kate.

- A jednak... - Theresa przechyliła głowę, przypatrując się jej. - Jeśli odrobinę byś się postarała, na pewno byłby tego wart.

- Mówiłam ci, że sama przyjaźń z nim to już byłby cud, a co dopiero coś więcej.

Tego wieczoru w Krainie Pokera panowało jakieś niezdrowe podniecenie.

Kiedy Kate zeszła na dół, by pójść do kuchni, w salonie zastała seniorów tłoczących się dookoła rzutnika. Wyglądał na zabytkowy.

- Kate, znasz się na tym? - zapytał Morty, wskazując palcem projektor.

- Przykro mi, ale nie.

- Nadal myślę, że przepaliła się żarówka - powiedziała Velma. Morty zmarszczył czoło, starając się nie patrzeć na Velmę,

co oznaczało, że sytuacja między nimi nadal tkwiła w martwym punkcie.

- To nie może być żarówka - stwierdził. - Sprawdziłem kilka godzin temu.

Skierowali oko rzutnika na pustą ścianę, podkładając pod niego książkę w twardej oprawie. Kate zauważyła, że podłączyli go już do prądu, a włącznik był wciśnięty.

- Ach, już wiem. - Podeszła do panelu włączników przy drzwiach. - Musicie jeszcze włączyć tutaj.

Nacisnęła guzik i maszyna zaterkotała głośno, budząc się do życia i wystrzeliwując jasny snop światła. Od strony kuchni dobiegł ich odgłos otwieranych i zamykanych drzwi.

- Matt! - zawołała babcia. - Jesteśmy w salonie.

Kilka chwil później Matt wszedł do pokoju. Najpierw odszukał wzrokiem Kate i przez ułamek sekundy zawiesił na niej wzrok. To wystarczyło, by doprowadzić nerwy Kate do wrzenia. Potem spojrzał na innych i skinął głową na powitanie. Miał jeszcze mokre, błyszczące od wilgoci włosy. Założył bojówki i supełkowy brązowy sweter, podkreślający jego linię ramion i klatkę piersiową. Przez kolor swetra jego oczy rzucały jeszcze wyrazistsze iskry.

- Dziś mamy inne plany na wieczór — wyjaśniła im obojgu babcia.

- Mamy dosyć tego, że co piątek nas ogrywacie. - Morty mrugnął łobuzersko w stronę Kate.

- Pomyśleliśmy, że będzie zabawnie, jeśli urządzimy sobie mały pokaz slajdów - powiedziała babcia. - Obejrzymy przezrocza, które Morty zrobił na zjeździe naszego liceum z okazji dwudziestolecia matury.

- A potem ja pokażę slajdy z mojej wyprawy do Kairu w 1986

- oświadczyła Velma. - Duuużo piasku.

Kate patrzyła na nich ze zdumieniem. Dlaczego nic jej nie powiedzieli? Przecież to będzie męka.

- Wydawało mi się, że ci o tym wspominałam. - Babcia zmarszczyła czoło.

- Nie - odparła Kate. - A co z kolacją?

- Robimy sobie przerwę od gotowania - odpowiedziała babcia.

- Odgrzejemy w piekarniku mrożoną pizzę i wypijemy piwo korzenne z gałką lodów. Czyż to nie szaleństwo? - klasnęła w dłonie, aż wielkie bransoletki z kamieniami zadźwięczały na jej nadgarstkach.

- A gdybyście nie mieli ochoty na oglądanie slajdów - dodała Peg - mam dla was film.

Wyjęła płytę DVD z torebki i podała Kate, by rzuciła okiem. *Notting Hill*.

- William i ja lubimy Julię Roberts - wyjaśniła Peg.

- Dziękuję - odpowiedziała Kate - ale nie mamy odtwarzacza DVD. Takie sprzęty nawet nie śniły się ich wynalazcy, kiedy ruszono z produkcją telewizora z jej pokoju.

- Och, nie wiedziałam — usprawiedliwiła się Peg.

- A ty, Matt? - zapytał William.

Spojrzenia seniorów przeniosły się teraz na Matta.

- Masz odtwarzacz DVD w domu? - dopytywał się William. Chwila zawahania.

- Mam - padła odpowiedź

- Idealnie - oznajmiła Peg. - Jeśli nie chcecie zostać na pokazie slajdów, to możecie obejrzeć film u Matta.

Kate nagle zdała sobie sprawę, że był to najzwyczajniej w świecie... bunt. Pułapka! Babcia i Velma obiecały jej, że nie będą próbowały jej swatać, a tu proszę! Teraz obie miały miny niewiniątek. Bardzo niewinnych niewiniątek.

- Hmm... - odpowiedziała zawstydzona.

- Okay - odezwał się Matt.

Brzmiał neutralnie, ostrożnie. Ani nie był urażony, ani zadowolony.

- Matt - zwróciła się do niego Kate. - Nie musimy. Możemy zrobić sobie wolny wieczór. Albo... zostać na pokazie.

- Nie mam nic przeciwko Julii Roberts.

- Świetnie! - wykrzyknęła babcia. - To ustalone. Zaprowadziła ich do kuchni, zapakowała do siatki zamrożoną

pizzę supreme, litr piwa korzennego i pudełko lodów waniliowych i zanim Kate zdołała zebrać myśli, szli już z Mattem opatuleni, w dżdżysty wieczór, w stronę jego pick-upa. Nagle Kate zatrzymała się.

- Słuchaj, nie chcę, żebyś czuł, że musisz mnie zaprosić do siebie.

- Wcale się tak nie czuję.
- Okay, tylko chcę, żebyś wiedział, że nie miałam z tym nic wspólnego.
- Wiem, Kate.
- To dobrze, bo to naprawdę nie w moim stylu, żeby cię niemile zaskakiwać przed grupą staruszków.
- Są przebiegli.
- Myślisz, że wszyscy maczali w tym palce, czy tylko Peg i William?
- Wszyscy. - Uniósł jako dowód torbę z jedzeniem.
- No tak, racja.

Wiatr dmuchał im w plecy i zagarniał włosy Kate prosto na jej twarz. Uniosła rękę, żeby odsunąć kosmyk z oczu.

- Potrzebujesz kwadransa, żeby, no wiesz, wejść do domu i włożyć brudne naczynia do zmywarki, pozbierać skarpetki i takie tam? - zapytała.

Kącik jego ust lekko drgnął.

- Nie, jest przyzwoicie - odparł.

- Okay. Pojadę swoim autem, żebyś nie musiał mnie później odwozić.

Ruszyła do stodoły, gdzie czekał zaparkowany explorer.

Zdecydowanie nie tak miała wyglądać jej pierwsza wizyta w domu Matta. Trudno było potraktować to zaproszenie jako pochlebstwo, skoro zostało mu narzucone wbrew jego woli przez grupę wścibskich staruszków po siedemdziesiątce.

Dom Matta był cudowny. Kate stwierdziła to od razu, mimo mało sprzyjających warunków atmosferycznych. Chapel Bluff

postawiono na otwartej łące; dom Matta został wciśnięty między drzewa na gęsto zalesionej działce, bez nawet metra trawnika, dzięki czemu wyglądał niemal jak leśniczówka.

Matt zaparkował pick-upa w jednej z części podwójnego garażu. Kate zostawiła swojego explorera na podjeździe, tuż za nim. Światło na werandzie i jedno wewnątrz domu ukazało jej oczom stylowy parterowy domek ze spadzistym dachem, obłożony drewnem w odcieniach oliwki, beżu i brązu.

Weszli na werandę z cegieł, po czym Matt otworzył drzwi. Skierowali się prosto do kuchni, włączając po drodze wszystkie światła. Matt postawił torbę z jedzeniem na nakrapianym, beżowym, granitowym blacie, a potem odebrał od Kate jej kurtkę i powiesił przy drzwiach w korytarzu.

- Wow - powiedziała Kate, chłonąc wszystko. - Przepiękny dom. Mogłabym się rozejrzeć?

- Nie krępuj się. - Matt przeczytał instrukcję na pudełku pizzy i ustawił temperaturę piekarnika.

Kate zauważyła, że musiał pozbyć się części ścianek działowych, ponieważ teraz korytarz, salon, jadalnia i kuchnia były wielką otwartą przestrzenią, przedzieloną jedynie kuchenną wyspą i dwoma drewnianymi słupami wspornikowymi, których surowy wygląd skojarzył się Kate z drzewami odartymi z kory. Przeszła z kuchni do jadalni. Już na pierwszy rzut oka było widać, że mieszka tu mężczyzna. Ściany pomalowano na blady, jasnobrązowy kolor. Drewniana podłoga, listwy przypodłogowe, ramy i futryny okien i drzwi zostały muśnięte bejcą, pod którą wyraźnie odznaczały się naturalne słoje.

W salonie królowały meble w stylu misyjnym. Skórzane kanapy i meble z ciemnego drewna. Znalazło się kilka antyków, ale przeważały meble nowe. Wszystkie bardzo męskie, o prostych liniach i doskonałej jakości. Żadnych bibelotów ani tym podobnych rzeczy - tylko na ścianach kilka czarno-białych fotografii natury.

Wnętrze można by uznać za nieco spartańskie, gdyby nie bluzy przerzucone przez oparcie krzesła, para adidasów na dywaniku, stos gazet w kuchni i wielka sarta poczty obok dwóch bejsbo-lówek na komodzie w korytarzu. Te drobiazgi dodawały mieszkaniu Matta przytulności.

Uniosła wzrok i zobaczyła, że Matt zamarł w bezruchu, w miejscu, w którym go zostawiła, bacznie ją obserwując.

- Sam remontowałeś? - zapytała.

- Tak.

- Ile czasu ci to zajęło?

- Rok.

- Bardzo mi się tu podoba.

- Dzięki.

Oprowadził ją po pozostałej części domu. Trzy sypialnie, w tym jego, były umeblowane skromnie. Łóżka w solidnych drewnianych ramach, stoliki nocne i telewizory z płaskim ekranem, umocowane na ścianie. Dwie luksusowe, eklektyczne łazienki. Kate nie miała wątpliwości, że w tym domu nie było ani jednego centymetra kwadratowego, nad którym Matt by nie pracował i go nie ulepszył.

- Kiedy zbudowano ten dom?

- W 1932.

- To twój dom rodzinny?

- Tak. Moi rodzice kupili go, kiedy urodził się mój starszy brat. A gdy zdecydowali się go sprzedać sześć lat temu, odkupiłem go od nich.

- Chciałeś, żeby został w rodzinie?

- Tak.

Wrócili do prostej, ale sprawiającej wrażenie drogiej kuchni. W oczekiwaniu na pizzę oparli się o przeciwległe blaty, zwróceni twarzami ku sobie.

- Babcia wspominała, że twoi rodzice przenieśli się na Florydę - zagała Kate.

Kiwnął głową.

- Jeździliśmy tam na wakacje co roku. Od dłuższego czasu mówili o przeprowadzce. A kiedy z bratem w końcu się wyprowadziliśmy, dopięli swego.

- Odwiedzają cię często?

- Raczej rzadko. Chcieliby wpadać częściej, ale... - wzruszył ramionami. Poczul się nieswojo.

Kate potrafiła go zrozumieć, czytać między wierszami.

- Ale pewnie martwią się o ciebie i gdy tu wpadają, znów stajesz się ich dzieckiem potrzebującym nieustannej opieki?

Przyglądał jej się przez chwilę.

- Coś w tym stylu.

- A w Święto Dziękczynienia? Przyjeżdżają, czy ty jeździsz do nich?

- Jak dotąd, żadna z opcji.

- Żadna?

- Żadna.

- Dlaczego?

- Sama przed chwilą podałaś powód. Nadopiekuńczość.

- Okay. - Kate skrzyżowała ręce na piersi i dodała rzeczowo: - Pozwól, że ci z tym pomogę.

Spojrzał na nią obojętnie.

- A więc co jest gorsze - zapytała - pojechać na Florydę czy zaprosić rodziców tutaj?

- Pojechać na Florydę.

- Zatem to proste. Organizujesz Święto Dziękczynienia tutaj. Łap za telefon i zapraszaj rodziców.

Matt posłał jej niemrawy uśmiech.

- Widzę że nie mam innego wyjścia?
 - *Nie masz*. A gdybyś miał nieco oleju w głowie, wiedziałbyś o tym od dawna. Kogo jeszcze powinieneś zaprosić?
 - Brata z rodziną.
 - Gdzie mieszka?
 - W Filadelfii.
 - Ktoś jeszcze?
 - Moja ciotka, samotnie wychowuje córkę. Moja mama na pewno chciałaby je zaprosić.
 - A więc powiedz mamie, że wszyscy będą. Skrzywił się.
 - Przecież nie każą ci gotować wszystkich dań, prawda?
 - Nie.
 - To ich zaproś.
 - Kate... - mruknął.
 - Słuchaj, możesz spławić rodzinę przez inne świąteczne dni w roku, ale nie w Święto Dziękczynienia i nie na Boże Narodzenie.
 - To jakaś złota reguła?
 - Tak. Zrobisz to dla nich. Choćby to było dla ciebie nie wiadomo jak trudne.
- Westchnął.
- Wybieraj: albo to, albo święta z nami u Velmy. Utkniesz z nią i jej synami w jednym pomieszczeniu na wiele godzin. Wierz mi, babcia ma dar przekonywania. Chcesz tego?
 - Zdecydowanie nie. Roześmiała się.
 - Tak też myślałam.
- Temperatura piekarnika była już odpowiednia. Matt odpakował pizzę, wsunął do pieca i nastawił czas.
- Wyglądasz na wprawionego w boju — skomentowała Kate.

- To nie jest mój pierwszy raz. - Wyprostował się i wsunął dłonie do kieszeni. Sprawiał wrażenie niepewnego. - Obejrzymy film?

- Jasne.

Kate podążyła za nim, kątem oka spostrzegając na kuchennej wyspie zdjęcie w srebrnej, prostokątnej ramie. Czarno-biała fotografia przedstawiała przecudnej urody blondynkę w eleganckiej sukni ślubnej, roześmianą i szczęśliwą.

Kate, nie mogąc się powstrzymać, podeszła do zdjęcia i wzięła je do ręki. Czowała, że jej serce powoli zamiera. Spojrzała na Matta. Znieruchomiał w półgęście obok odtwarzacza DVD, trzymając w ręce otwarte opakowanie od płyty.

Kate powróciła wzrokiem do zdjęcia.

- Była piękna - powiedziała. Mówiła szczerze.

Była wystarczająco mądra, żeby nie szukać zdjęć byłej miss w Internecie. Czowała, że doskonałość Beth będzie dla niej zbyt bolesna. Teraz patrzeć na jej zdjęcie *rzeczywiście* bolało. Żona Matta była wprost olśniewająca. Pięć razy bardziej niż Kate w swojej najlepszej formie.

Ale Kate dostrzegła też w tym zdjęciu kilka szczegółów, których się nie spodziewała. Do tej pory wyobrażała sobie Beth jako wyrafinowaną, chłodną celebrytkę. Tymczasem z fotografii spoglądała na nią młoda dziewczyna, pełna życia, o łagodnym spojrzeniu, nawet nieco bezbronna.

Serce Kate ścisnęło się na myśl, że ta pełna nadziei kobieta zmarła na raka zaledwie kilka lat po zrobieniu tego zdjęcia. Przyszłość, marzenia, życie - wszystko to wyrwano jej z rąk zbyt wcześnie. Straszna tragedia.

Kate była zazdrosna o Beth. Ale współczucie jej? To było coś nowego. Ostrożnie odstawiła zdjęcie na miejsce i usiadła na końcu skórzanej kanapy.

Matt, zanim do niej dołączył, bez słowa włożył płytę do odtwarzacza, wziął pilota i włączył telewizor. Na ekranie pojawił się mecz hokeja.

Zamarł i w tym momencie cała jego uwaga skupiła się na grze. Oglądał mecz przez nie więcej niż piętnaście sekund, ale to wystarczyło, by Kate wiele zrozumiała, wystarczyło, by zdążyła zajrzeć za wszystkie obwarowania, otaczające jego serce i umysł.

Nagle zachmurzył się i przełączył odbiór na tryb DVD.

Wow, pomyślała Kate. *Beth i hokej, taki duet w ciągu minuty.* Dwa duchy. Jeden odszedł. Drugi odszedł... ale nie do końca. Może Matt mógłby do niego powrócić, jeśli wystarczająco mocno by chciał.

A sądząc po jego reakcji - tak właśnie było. Nawet jeśli jeszcze o tym nie wiedział.

Minutnik w piekarniku zapiszczał i Matt zatrzymał film. Poszedł pokroić pizzę i nałożył ją na talerze. Kate zajęła się tym, co zwykle, czyli - napojami.

Wzięła do ręki dwie wysokie szklanki i zawahała się.

- Piwo korzenne z lodami pijemy do kolacji czy traktujemy jako deser?

Uniósł brwi.

- Mnie pytasz?

- To może zaszalejemy i wypijmy je do pizzy - zdecydowała. Podeszła do zamrażarki i znów się zawahała.

- Nie piłam piwa korzennego, od kiedy skończyłam osiem lat. Myślisz, że z lodem czy bez?

- Hmm... bez lodu? - zgadł.

- Zgoda.

Kiedy napoje były gotowe, przenieśli wszystko na stół przed kanapą. Potem bez słowa rzucili się na jedzenie i ponownie włączyli film.

Kate usilnie starała się, by panowała bez troska atmosfera. Ostatnimi czasy nie było to łatwe i dzisiejszy wieczór także nie stanowił wyjątku. Wisiała między nimi jakaś żywa, oddychająca siła. Jeśli już Matt spoglądał na Kate, to było to spojrzenie niemal drapieżne. Spinało ją i w środku zaczynała dygotać.

Jej plan na przetrwanie kolejnych dwóch godzin był prosty: skupić się na filmie i postarać się przymknąć oko na szorstkość Matta, który siedział tylko kilka centymetrów od niej.

Matt w ogóle nie mógł skupić się na filmie. Cała jego uwaga była skupiona na Kate. Skrzętnie notował każdy jej kęs i łyk, każdą zmianę pozycji, każdy cichy śmiech. Film mógł być równie dobrze po chińsku. Ledwo co zarejestrował, co jedli, choć zauważył, że napój okazał się naprawdę słodki i z dużą ilością piany, a pizza była pokryta przynajmniej kilkoma warstwami warzyw, których normalnie nie dodałby do pizzy.

W drodze z Chapel Bluff nie był pewien swoich uczuć odnośnie do wizyty Kate w jego domu. Właściwie nikogo tu nie zapraszał. Ale gdy obserwował, jak Kate zwiedza kolejne pomieszczenia, tak mu bliskie, poczuł, że sprawia mu to przyjemność. Silną, niebezpieczną przyjemność. Chciał więcej. Jakby miał zaraz zamknąć drzwi na klucz i nie pozwolić jej wyjść.

Beth nigdy nie była w tym domu. Rodzice sprzedali mu go, kiedy Matt i Beth dopiero zaczęli się spotykać. Przez kolejne lata Matt

trzymał dom pod kluczem. Zamierzał w końcu przywieźć tu Beth, by mogła obejrzeć wnętrze, i wyremontować je dla niej. Jednak zawsze znalazło się coś bardziej pilnego lub interesującego do zrobienia.

W tym domu nie miał żadnych wspomnień z Beth, ale po dzisiejszym wieczorze miał ich mnóstwo związanych z Kate. Zaznaczyła tu wyraźnie swą obecność i Matt zastanawiał się, czy po jej wyjściu będzie mógł jeszcze patrzeć na te pokoje bez niej.

Przeczesał palcami włosy. Naprawdę tracił rozum. Mieszkał tu już trzy lata, a Kate nie spędziła w nim nawet trzech godzin. Jak więc jej pobyt tutaj przez tak krótki czas mógł cokolwiek zmienić?

Nie mógł, a jednak zmienił. Do tej pory dom był Mattowi znany i cichy. Ale nigdy wcześniej nie miał w sobie ciepła, dopóki nie pojawiła się ona, przynosząc je ze sobą.

Film włókł się niemiłosiernie. Matt siedział obok Kate w ciemnym pokoju - i czuł, że jego ciało staje się więzieniem dla instynktu, który zaczynał się wyrywać niczym pies na smyczy. Minuty mijały, a zaczął narastać w nim coraz dotkliwszy ból. Niemal boleśnie pragnął dotknąć jej włosów, choćby tylko kosmyka. Sięgnąć po jej rękę, jak tamtego poranka. Powiedzieć jej, że uważa, że jest piękna. Przestraszył się? Co, jeśli nie będzie mógł się powstrzymać przed zrobieniem lub powiedzeniem którejś z tych rzeczy? Choć wiedział, *był pewien*, że będzie ich potem żałował.

Przez całe życie miał słabość do dziewczyn z reklamówek piwa Budweiser. Blondynek z krągłościami i nogami do szyi.

Kate była ich kompletnym przeciwieństwem. Nie należała do najniższych, ale zdecydowanie nie była też wysoka. Czubkiem głowy sięgała mu w okolice podbródka. Miała szczupłe i delikatne ciało, przypominała mu baletnicę. Długie proste włosy mieniły się mnóstwem ciemnorudawych odcieni. A oczy... W ostatnim czasie jedno spojrzenie tych oczu mogło sprawić, że albo serce Matta biło mu mocniej w piersi, albo duch w nim zamierał.

Wszystko, co było związane z Kate, budziło w nim najbardziej pierwotne, opiekuńcze instynkty. Sprawiała, że chętnie korzystał ze swoich warunków fizycznych, by o nią walczyć. Gdyby wiedziała, pewnie zmyłaby mu głowę. Ale nic nie mógł na to poradzić. Jeszcze nigdy nie był tak głupawo zaborczy w stosunku do kogoś. I dlatego właśnie *nie mógł znieść myśli*, że Kate spotyka się z Tylerem. Za każdym razem, kiedy o tym myślał, z trudem łapał oddech. A myślał o tym niemal cały czas.

Zadrżała z chłodu. Od razu to zauważył i wstał, żeby podkręcić termostat. Nie miał żadnych narzut ani koców, więc chwycił jedną ze swoich bluz z poręczy krzesła i podał jej.

Podziękowała uśmiechem, po czym ubrała bluzę, zapięła suwak i wróciła do oglądania filmu.

Zmusił się, żeby usiąść na swoim miejscu w przyzwoitej odległości od niej i udawać, że też ogląda film. O wiele bardziej wolałby obrócić się i patrzeć na nią. Ale gdyby go na tym przyłapała, zaczęłyby się pytania. Siedział więc sztywno, próbując kontrolować wszystkie wewnętrzne i zewnętrzne odruchy. Starał się minimalizować uczucia, by nie pokazać po sobie, jak bardzo Kate podobała mu się w jego bluzie, i by nie zrobić żadnej z rzeczy, których pragnął.

Nie mogła być jego.

Nie zasługiwał na nią.

Nie mogła tu zostać.

Jego rozum o tym wiedział, a jednak mimo to Matt czuł, że słabnie i traci kontrolę w chwilach, kiedy najbardziej jej potrzebował.

Po finałowej scenie *Notting Hill*, kiedy Hugh Grant i ciężarna Julia Roberts siedzą razem na ławce w parku, na ekranie pojawiły się napisy końcowe. Kate westchnęła z zadowoleniem. Film ją urzekł. Zresztą, czy mogło być inaczej? Romans zakończony happyendem - to lubiła najbardziej.

W przeciwieństwie do niej Matt nie wyglądał na super szczęśliwego. Podczas filmu nie drgnął nawet o milimetr i ani razu się nie zaśmiał. W pewien sposób Kate rozumiała go. Od śmierci Beth pewnie nikt go nie zmuszał do wysiedzenia na babskim filmie.

Poszli do kuchni. Matt patrzył w milczeniu, jak Kate opłukuje ich talerze. Potem, z ukłuciem żalu, zdjęła pożyczoną bluzę i narzuciła swoją kurtkę. Podążył za nią, gdy chwyciła torebkę i ruszyła do drzwi.

Zatrzymała się na werandzie i spojrzała mu prosto w twarz.

- Dzięki. Było miło — powiedziała. Pokiwał głową.

- No to do następnego razu, kiedy starsi państwo ci mnie wepchną - dodała, uśmiechając się z lekką ironią.

- Możesz wpadać, kiedy tylko chcesz.

- Możesz mnie zaprosić, kiedy tylko chcesz.

Chciała, by jej głos zabrzmiał zabawnie i swobodnie. Ale prawie uwiązał jej w gardle i stał się całkowicie poważny.

- Przyszłabyś? — zapytał.

- Oczywiście. Skinął głową.

- Dobranoc, Matt - dodała.

- Dobranoc.

W drodze do samochodu odwróciła się, by na niego spojrzeć. Zobaczyła zaledwie zarys jego postaci. Stał w poświacie wylewającej się przez drzwi. Wysoki, barczysty, silny... ale z bardzo kruchym sercem.

W poniedziałek, późnym popołudniem, Kate siedziała jak zwykle na wiadrze, odwróconym do góry dnem, i gawędziła z Mattem. Nagle jej telefon zapiszczał, oznajmiając przyjście sms-a. Kate wysunęła komórkę z kieszeni, nacisnęła klawisz i przeczytała wiadomość.

- Tyler? - zapytał Matt głosem pozbawionym emocji. Zauważył, że Tyler częściej pisze do Kate sms-y, aniżeli dzwoni.

- Tak. Przepraszam cię na minutkę.

Zeszła na dół i usiadła na kanapie w salonie, żeby odpowiedzieć na wiadomość. Odpisując Tylerowi, usłyszała, jak Matt zbiega po schodach i wychodzi przez kuchnię. Tylne drzwi zamknęły się ze stłumionym trzaskiem.

Skończył już na dziś? Zawsze się żegnał.

Wsunęła telefon do kieszeni i poszła w ślad za Mattem, na zewnątrz. Zobaczyła, jak ciska torbę z narzędziami na pakę ciężarówki.

- Na dziś koniec? - zawołała, idąc w jego stronę.

- Tak.

- Okay. No cóż...

Wyglądał na mocno wkurzonego, a ona chyba wiedziała, dlaczego. Jej znajomość z Tylerem doprowadzała Matta do szewskiej pasji. Sam nie zaprosił jej jeszcze na randkę i pewnie nie zamierzał tego robić. Więc co go, u licha, obchodzą inni faceci?

- Czy możesz...

Kiedy przechodził koło niej, by wsiąść do auta, wyciągnęła rękę i położyła mu ją na przedramieniu.

- Możesz zatrzymać się na chwilkę? — wydusiła wreszcie. Zamarł. Spojrzał na miejsce, gdzie spoczywała dłoń Kate. Wcale nie miała zamiaru go dotykać. Nie planowała tego. Ale

teraz, kiedy już go dotknęła, nie mogła się powstrzymać. Zacisnęła palce nieco mocniej.

Jego wzrok powędrował w górę, aż zatrzymał się w końcu na jej twarzy.

Ona także na niego patrzyła. Wszystko się w niej gotowało: uczucia, emocje - wszystko.

Matt nie ruszał się. Milczał. Stał tylko naprzeciwko niej na odległość oddechu.

W końcu zmarszczył brwi, podniósł rękę i dotknął jej policzka. Opuszki palców powędrowały do podbródka, a potem w dół, po szyi, i zatrzymały się na ramieniu, po czym Matt delikatnie chwycił kosmyk włosów Kate.

Jej podbrzusze ścisnęło się z tęsknoty.

Ale nie miała zbyt wiele czasu, by rozsmakować się tą chwilą, bo Matt nagle, bez ostrzeżenia, oderwał dłoń i odsunął się od Kate, przerywając wszelki kontakt między nimi.

Nie! Jej ciało jęknęło. Próbowwała być opanowana, ale tak naprawdę w środku dygotała. Miała ochotę rzucić się na niego i albo obsypać go pocałunkami, albo zacząć okładać pięściami - i nie wiedziała, na co się zdecydować.

- Co się dzieje? - zapytała imponująco opanowanym głosem. -
Dlaczego się tak spieszysz? Widzę, że się gniewasz.

Cofnął się na odległość kilku kroków, po czym spojrzał jej w twarz.

- Naprawdę chcesz wiedzieć? - zapytał.

- Myślę, że już wiem, ale chciałabym usłyszeć to od ciebie.

- Okay, skoro sama o to prosisz: nie chcę, żebyś się spotykała z
Tylerem.

W ciszy, która zapadła między nimi jak po wybuchu bomby
atomowej, Matt przybrał arogancki, wyzywający wyraz twarzy. Jakby
mówił jej: *Chciałaś wiedzieć? To masz. Taka jest prawda.*

- Co? Zdziwiona? - zapytał.

- Nie.

- Co jest między wami? - pytał dalej.

- To chyba nie jest twoja sprawa.

- Nie moja, ale i tak chcę wiedzieć. Zdecydowanie miała ochotę go
pobić.

- Byliśmy na kilku randkach i być może pójdziemy na jeszcze kilka.

Czekał na więcej szczegółów, ale Kate nie miała ochoty się zwierzać.

- Tyler to pozer - powiedział. - Chyba mi nie powiesz, że ci się
podoba.

- Może podoba. Może nie podoba.

Matt rzucił jej gniewne spojrzenie. Odpowiedziała tym samym.

- Nie bardzo rozumiem, czemu obchodzą cię moje spotkania z
Tylerem.

- Obchodzą, bo nie mogę znieść myśli o was razem.

- Dlaczego?

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale postanowił zamilknąć. Warknął tylko gniewnie, uderzył otwartą dłońią w bok samochodu i podszedł do drzwi kierowcy. Kate zeszła mu z drogi. Matt bez słowa włączył silnik i odjechał, ani razu nie spoglądając już na nią, aż w końcu zniknął jej z oczu.

Kate tkwiła tam jeszcze przez dobrą chwilę, osłupiała, aż zorientowała się, że stoi z szeroko otwartymi ustami. Zamknęła je, oszołomiona. Podobała mu się! Naprawdę podobała się Mattowi Jarreau. Przynajmniej trochę.

Jakoś nie mogła w to uwierzyć. O mój Boże. Podobała mu się.

To przekraczało ludzkie pojęcie, prawda? Wcale nie.

A może tak?

Przez wiele tygodni Kate wmawiała sobie, że nie myśli o Macie w *taki* sposób. Ale kiedy teraz znalazł się tak blisko niej, bawił kosmykiem jej włosów, myślała, że umrze, jeśli Matt jej nie pocałuje. Hipokrytka! I co teraz?

Buzujące w niej emocje - zawroty głowy, niepokój, podekscytowanie, zdziwienie, zamęt - nakazały jej natychmiast coś zrobić, więc ruszyła w stronę ulicy. Po chwili jednak zawróciła w kierunku domu, by potem jeszcze raz udać się w stronę ulicy. Miała w sobie tyle energii, ale nie wiedziała, dokąd pójść. Potarła twarz dłońmi i z bezsilnością opuściła ramiona.

Od kilku lat jej uparte serce nie chciało nawet spojrzeć na tych wszystkich praktycznych facetów, w których chciała się zakochać. A teraz, mimo jej wysiłków, zaczęło mu bardzo zależeć na jedynym facecie, w którym usilnie starała się *nie* zakochać.

O. Mój. Boże.

W którą stronę iść? Co robić?

Po pierwsze, mówiła sobie, Matt jedynie dotknął jej policzka i włosów i przyznał, że nie podobają mu się jej randki z Tylerem. Nie powiedział wprost, że Kate mu się podoba. Nie zaprosił jej

na randkę. I wciąż było wysoce prawdopodobne, że nigdy tego nie zrobi.

I może - na samą myśl upadła na duchu - może tak byłoby najlepiej.

Wspominała poprzednie związki i spustoszenie w jej sercu, jakie im towarzyszyło, gdy się rozpadały na kawałki. Przywiązując się do Matta z każdym dniem coraz bardziej, Kate po raz kolejny zmierzała w kierunku katastrofy.

Dotarła do miejsca, gdzie podjazd krzyżował się z ulicą. Czarny sportowy samochód zawył, przemykając tuż obok niej, głośny i błyszczący. Zostawił po sobie jedynie tumany listowia w powietrzu.

Jej myśli były jak te liście. Najpierw wirowały, a potem opadały w dół. Nie miała ochoty doświadczać kolejnego zawodu miłosnego, ale jakoś nie widziała dla siebie innej przyszłości. Nawet jeśli Matt nigdy nie miał jej zaprosić na randkę, po powrocie do Dallas będzie za nim okropnie tęskniła. A jeśli ją zaprosi do siebie, nie znajdzie w sobie tyle siły, żeby mu odmówić.

To niemożliwe, że mu się podobała! Jakoś nie mogła w to uwierzyć. Jeśli lubił ją, nawet tylko trochę, jak taka zwykła dziewczyna jak ona miała nie zakochać się w nim?

Bóg chciał, żebyś tu przyjechała, powtarzała sobie, żebyś mu pomogła, pamiętasz? Nie chodziło Mu o to, żebyście się spiknęli!

Gdyby była lepszym człowiekiem, miała większą wiarę, może umiałaby zapomnieć o sobie i potrafiła skupić się na pomocy Mattowi, by wyszedł z cierpienia i wrócił do Boga. Bała się jednak, że nie pomaga mu prawie wcale, a na dodatek, jeśli straci dla niego głowę, to zrani jeszcze samą siebie.

- Co ty sobie myślałeś? - wyszeptała do Boga, zamykając oczy. - Po co nas poznałeś ze sobą? To mnie będzie słono kosztować.

Nie chciała dopuścić do głosu myśli, że Bóg specjalnie postawił ją na drodze, która wiodła ku katastrofie. A jednocześnie całe

jej ciało wypełniała rozkosz, ponieważ wciąż dokładnie pamiętała spojrzenie Matta, jego oddech, dotyk palców delikatnie muskających jej policzek.

Wieczorem podczas mycia zębów Kate zastanawiała się, dlaczego nie używa elektrycznej szczoteczki tak jak należy. Czy *naprawdę* była aż tak leniwa, że nie może odgrzebać ładowarki, podłączyć jej do kontaktu i naładować baterii w szczoteczce? *Naprawdę? Aż tak leniwa?*

Z sypialni dobiegł ją cichy brzęk telefonu. Dziwne. Było po jedenastej. A ona jeszcze nie spała wyłącznie dlatego, że zbyt długo objadała się miętowymi ciągutkami i myślała o Macie.

Splunęła do zlewu, szybko wypłukała usta i pobiegła do sypialni. Na wyświetlaczu zobaczyła nieznany numer.

Kate nacisnęła na klawisz połączenia.

- Halo?

- Cześć. - Usłyszała głos Matta.

Jej puls najpierw zamarł, a po chwili ruszył do galopu. - Hej.

W słuchawce zapadła cisza. Kate przysiadła na skraju łóżka.

- Chciałem... — Matt sprawiał wrażenie podenerwowanego. - Chciałem cię przeprosić za dziś.

- W porządku.

- Nie, nie jest w porządku. Przecholowałem i nic mnie nie tłumaczy.

- Przyjmuję przeprosiny.

Znow cisza. Kate skubała nitkę wystającą z jej spodni od piżamy.

- Podobasz mi się - powiedział w końcu Matt.

Z trudem złapała oddech. Udało jej się wybąkać jedynie:

- Naprawdę?

- Tak. Ja sam chciałbym się z tobą umówić. Naprawdę. Ale po prostu... nie mogę.

- Rozumiem - powiedziała cicho.

I o dziwo, naprawdę tak się jej wydawało. Jego żona umarła, więc miał mętlik w głowie i nie był gotowy na nowy związek. Może nigdy nie będzie.

- Czy nadal jesteśmy przyjaciółmi? - zapytał. - Nie chcę tracić przyjaciółki.

- Nie stracisz.

- To dobrze. Dziękuję ci.

- Nie ma za co.

- Okay - dodał. - To... w takim razie widzimy się jutro.

- Do zobaczenia.

Rozłączył się. Kate odłożyła telefon i siedziała w ciszy, złożony ręce na kolanach i gapiąc się przed siebie.

Wszystko było jasne. Po gonitwie szalonych myśli i jeszcze bardziej szalonych uczuć, z którymi musiała się mierzyć przez całe popołudnie i wieczór, zadzwonił i postawił sprawę jasno w niecałą minutę.

Podobała mu się, nie mógł zaprosić jej na randkę i chciał, żeby pozostała jego przyjaciółką. Jasne jak słońce. I to wszystko dla ich wspólnego dobra. Więc dlaczego, dlaczego po jej policzkach toczyły się teraz łzy?

Matt siedział samotnie na jednym z drewnianych leżaków na patio z tyłu domu, w otoczeniu ciemnych drzew. Zimne powietrze

zaburzał jedynie obłok jego oddechu. Kiedy kilka godzin wcześniej zostawił Kate, wyruszył bez celu na przejażdżkę, potem poćwiczył na siłowni, chodził po domu i znów jeździł w kółko jeszcze przez kilka godzin, po czym wrócił do domu. Aż w końcu przełamał się i zadzwonił do niej.

Rzeczą, która martwiła go najbardziej od czasu rozmowy przy samochodzie, było to, że Kate nie będzie chciała już mieć z nim nic więcej do czynienia. Wydawało mu się, że może jakoś uda mu się powstrzymać od dotykania jej czy całowania. Natomiast był na sto procent pewien, że nie zniesie braku spotkań z nią lub rozmowy.

Przed chwilą zapewniła go, że nadal są przyjaciółmi. I tego powinien się trzymać. W końcu nie miała zamiaru go skreślić. Więc czemu wciąż czuł się źle?

Ponieważ chciał być kimś więcej niż tylko jej przyjacielem.

Warknął i zacisnął pięści.

Jakaś jego część nadal nie mogła uwierzyć w to, co zrobił i co powiedział Kate wcześniej. Jeden, mały, niewinny dotyk - dłoń na jego ramieniu - sprawił, że wszystko, co Matt zbudował w swoim wnętrzu, runęło z trzaskiem. Wszystkie zamiary i zabezpieczenia opadły z hukiem niczym ciężka teatralna kurtyna. Nie mógł się powstrzymać i zrobił to, o czym marzył od tygodni. Wyciągnął rękę i dorknął jej.

Gładka skóra na jej policzku była rozkoszna w dotyku. Jeszcze teraz, na samo wspomnienie, czuł rozlewające się w jego wnętrzu przyjemne uczucie.

I nareszcie powiedział jej, co myśli o Tylerze. Ulżyło mu.

Dziś, nareszcie, przez tę małą wyrwę w czasie, działał i mówił szczerze. Był sobą, dotykał jej, powiedział wprost o swoich uczuciach. Było to jak zjedzenie zakazanego owocu, o którym marzysz każdego dnia. A gdy wreszcie owoc trafia do twoich rąk, rzucasz się na niego łapczywie, chociaż wiesz, że to jest złe.

Bo jest. Matt zerwał się na równe nogi i ruszył przed siebie, prawie nie zauważając, że dotarł już do linii drzew wyznaczających granice jego ziemi.

Jeszcze nie skończyli się kłócić o Tylera, a jego już dopadło poczucie winy. Minęły trzy lata od śmierci Beth, ale jeszcze do niedawna Matt czuł, jakby nadal był jej mężem i nie miał prawa do innego życia. Nie mógł pozbyć się myśli, że pozwalając sobie na uczucia wobec Kate, zawodzi Beth. Co gorsze, sądził, że zawodzi też siebie. Wiedział, że musi oprzeć się Kate. Nie był jej godny i z pewnością nie nadawał się na bycie w związku.

Myśli płątały mu się w głowie. Poczucie winy, tęsknota. Pragnienie jej i zwalczanie go. Myśli pełne żalu i rozpacz.

Możliwość bycia sobą przez te kilka minut przyniosła mu olbrzymią ulgę. Jednak, mimo wszystko, taka naturalność wciąż wydawała się luksusem, na który Matt nie mógł sobie pozwolić.

Następnego ranka Beverly spotkała Matta w kuchni. Dopiero co przyszedł do pracy i nie zdążył zdjąć płaszcza.

- Chciałabym poprosić cię o przysługę - powiedziała.

- Jasne - odparł.

- Chciałabym wykorzystać kapliczkę za domem. Znalazłam w ciągu dnia trochę czasu, żeby się wyciszyć, poczytać, pomodlić się i takie tam. Wczoraj zdałam sobie sprawę, że może powinnam to robić w kaplicy. Poszłam zobaczyć, w jakim jest stanie, i w podłodze jest kilka obłuzowanych gwoździ, poza tym jedna z ław nie nadaje się do siedzenia. Przypuszczam, że to i tak kropla w morzu. - Przekrzywiła głowę. - Czy nie miałbyś nic przeciwko, żeby

odłożyć na jutro wszystkie prace w domu i zamiast tego uprzątnąć dla mnie kaplicę?

- Nie ma problemu.

Choć, mówiąc szczerze, dla Matta *był to* problem, bo nie mógł się już doczekać, kiedy zobaczy Kate.

Jesteś idiotą, powtarzał w myślach. *Byłoby o wiele rozsądniej, gdybyś kolejne kilka tygodni spędził w kaplicy, z dala od niej. Ale Matt nie chciał* tego, mimo że rozum podsuwał mu najlepsze rozwiązania. To była męczarnia.

Jeszcze kilka razy musiał zapewnić Beverly, że nie ma nic przeciwko zmianie planów, po czym, z narzędziami w ręku, ruszył przez łąkę w stronę kaplicy.

Niewielka drewniana konstrukcja znajdowała się na szczycie łagodnego wzniesienia. Matt podszedł bliżej i przyjrzał się jej bawczo. W przeciwieństwie do domu, który został zbudowany z kamienia, kaplicę wykonano z drewnianych desek, które powinny były zgnić i skruszeć już kilkadziesiąt lat temu. Niemal idealnie zachowane belki świadczyły o tym, że kolejne pokolenia właścicieli Chapel Bluff nie szczędziły czasu i wysiłku, aby utrzymać to miejsce w dobrej kondycji.

Wszedł do środka przez otwarte podwójne drzwi. Od progu przywitała go woń cytrynowego środka czyszczącego, co oznaczało, że Beverly trochę tu wczoraj posprzątała. Na niewielkiej przestrzeni w kształcie prostokąta stało pięć rzędów drewnianych ławek. Z przodu ktoś postawił prosty pulpit na Biblię z drzewa wiśniowego. Za nim znajdowało się witrażowe okno, duże i okrągłe, z wizerunkiem Jezusa w ogrórcu, wyciągającego dłoń w kierunku patrzącego. Światło słoneczne wpadało przez pastelowe szyby i rozlewało się w odcieniach żółci, zieleni, błękitu i różu na podłodze.

Mattowi wydawało się, że widział już to okno z zewnątrz, ale wówczas wyglądało na ciemne i pozbawione życia. Dopiero gdy patrzyło się na nie, stojąc w kaplicy, ukazywało swoje prawdziwe piękno. I zadziwiającą jasność.

Jeden rzut oka wystarczył, by Matt dostrzegł usterki, o których wspomniała mu Beverly. Z podłogi rzeczywiście sterczały zardzewiałe gwoździe, a podłokietnik jednej z ław odpadł i wisiał teraz krzywo. Sterta gruzu przy drzwiach czekała, by ją uprzątnąć.

Matt założył pas z narzędziami i zabrał się do pracy. Było dziwnie cicho, jedynie odgłosy jego stłumionych ruchów i echo metalowego młotka, uderzającego o drewniane deski podłogowe, co jakiś czas przecinały powietrze. Po wczorajszych zdarzeniach z Kate cisza i jego własne towarzystwo były ostatnimi rzeczami, jakich Matt teraz potrzebował. Tej nocy nie mógł zasnąć i sporo rozmyślał.

Spojrzał na postać Jezusa, który patrzył na niego spokojnie z witrażu. Nastrój panujący w kaplicy kojarzył mu się z tym w kościele — z atmosferą wyciszenia i świętości.

Próbował wyjąć uparty gwoździe, ale udało mu się jedynie boleśnie przyskrzypić sobie kciuk. Przeklął pod nosem i strzepnął dłoń. Jego wzrok znów powędrował na witraż. *Słuchaj, po prostu trzymaj się z daleka*, powiedział w myślach Matt. *Nie miałem najmniejszej ochoty już nigdy przekraczać progu kościoła. Jestem tu wyłącznie po to, żeby wykonać swoją pracę, więc odpuść sobie.*

Jezus na witrażu wydawał się cierpliwie czekać. Jakby zupełnie niezrażony. Po prostu czekał z wyciągniętą ręką.

Matt spojrzał na twarz wykonaną ze szkła.

Jestem na Ciebie wściekły. Słowa te, nieproszone, rozpanoszyły się w jego głowie, oczach, uszach, gardle. Tuż za nimi podążyła niszcząca fala uczuć. Nieopanowana, mroczna furia. Zgorzknienie. Potworny smutek. Żądza zemsty. Bezsilność.

Odłożył młotek i podźwignął się w kierunku najbliższej ławki. Jego palce drążyły tunele we włosach, kiedy objął się za głowę. Siedział, opierając łokcie na kolanach, twarz ukrył w dłoniach.

Miałem wszystko, a Ty mi to odebrałeś. Teraz nie mam nic. Jesteś z siebie zadowolony? Tego właśnie chciałeś? Przeszywały go dreszcze, oznaka walki, że ciało próbowało pomieścić w sobie nieznośny natłok myśli.

Chciałeś mnie ukarać, więc dlatego ją zabrałeś? Byłem aż tak złym człowiekiem? Co takiego Ci zrobiłem, że mi ją odebrałeś? Była taka młoda. Taka młoda.

Wspomnienie o niej rozdarło mu serce. Matt widział Beth, jak tańczy, śmieje się, flirtuje z nim, gotuje w ich wspólnej kuchni. Energiczna. Żywa. A potem zobaczył, jak gaśnie, zmęczona, blada, walcząca o oddech. I widział siebie, zdezorientowanego i przerażonego. Kompletnie bezradnego. Próbował wierzyć z całych sił, że się uda, że Beth może jeszcze pokonać chorobę. Nawet gdy lekarze nie pozostawiali już żadnych złudzeń. A potem już jej nie było. Nie żyła. Było zbyt późno na ratunek, przeprosiny, wyznania miłości.

Minęło już tyle czasu, a on nadal próbował pogodzić się z przeszłością. Z tym, jak teraz wyglądało jego życie. W jednej chwili miał Beth i miał swój hokej. W kolejnej mu ją zabrano, a hokej pogrzebał sam. Dwie najważniejsze rzeczy w jego życiu odeszły.

Młoda kobieta umierająca na raka mózgu? Jak mogłeś pozwolić, żeby komukolwiek się to przytrafiło? Jej?! To była moja żona.

Matt przeklął na głos, wściekły.

- Twój świat jest do kitu - wyszeptał. - Nienawidzę tego, jak go wymyśliłeś.

Postać na witrażu, mimo gniewu Matta, ani drgnęła. Ręka Jezusa wciąż była wyciągnięta w jego kierunku.

Kate powiedziała mu kiedyś, że Bóg o nim nie zapomniał. Teraz, po raz pierwszy od lat, Matt mógł przyznać, że *może* rzeczywiście tak jest. Nie wiedział tylko, co było gorsze: bycie zapomnianym czy przypartym do muru, bez możliwości ucieczki.

Musiał stąd wyjść. Serce zaczęło mu bić jak szalone. Nie mógł tu dłużej zostać.

Jego nogi pokonały dystans dzielący go od drzwi na tyłach kaplicy, jednak kiedy już miał z hukiem je otworzyć, zatrzymał się gwałtownie.

Co powie Beverly? Czy naprawdę miał ochotę się tłumaczyć, dlaczego nie może wykonać tych kilku prostych rzeczy, o które go poprosiła?

Oddychał za szybko. Spróbował uspokoić oddech, żeby się opanować.

Potrafił to zrobić. Musiał to zrobić. Może i był w rozsypce, ale nie był przecież tchórzem. Z niesłabnącym dudnieniem w piersi Matt zmusił się, żeby wrócić do pracy. Po prostu nie będzie więcej patrzył na witraż. Jednak w ciszy, jaka panowała w kaplicy, coraz wyraźniej słyszał słowa Kate.

„On nigdy cię nie zostawi”.

„Kocha cię”.

„Nie zapomniał o tobie”.

Chciał zadrwić z tych słów, zignorować je równie skutecznie, jak zignorował witraż.

Problem w tym, że ubóstwiał Kate. Zdążył już stracić zaufanie do wielu rzeczy w życiu, *ale jej* jakoś ufał. Ufał jej dobroci. Jej szczerości. Podczas pracy analizował wszystkie jej słowa, obracając każde zdanie niczym diament, na który patrzy się pod światło.

Jej słowa zaś nie tylko krążyły w jego głowie, ale, powoli, zaczęły również docierać do zakamarków pamięci, przebijając

się przez pancierz Marta. Przez jego zawziętość i niechęć do tego, by się ugiąć.

Gdy Kate późnym popołudniem wróciła z gimnastyki i małych zakupów spożywczych, usłyszała, jak Matt hałasuje na piętrze. To oznaczało, że ukończył prace w kaplicy.

Rozpakowała już połowę ekologicznych siatek, kiedy podniosła głowę i zobaczyła, że Matt stoi w drzwiach jadalni. Zaskoczona, zamarła. O tej porze i w tym miejscu zazwyczaj to ona szukała jego.

- Cześć.

Matt nie odpowiedział, tylko patrzył na nią przeciągle, tak, że zaczęła się zastanawiać, czy nie chce przypadkiem naprawić zlewu lub czegoś w tym stylu i po prostu czeka, aż ona sobie pójdzie.

- Przeszkadzam? — zapytała. Zaprzeczył ruchem głowy.

- Aha. No cóż, ja tylko... właśnie wróciłam ze sklepu i wypakowuję zakupy.

- Pomogę ci.

- Dzięki.

Wziął od niej mrożonki, a ona zajęła się resztą. Krzątali się w milczeniu. Wszystkie drobiny powietrza w kuchni wibrowały, jakby świadome tego, co Matt i Kate wczoraj sobie powiedzieli. Patrząc na Matta, Kate słyszała jedynie jego głos z ubiegłej nocy, mówiący: „Podobasz mi się. Sam chciałbym się z tobą umówić”. Matt nie chciał, żeby te wyznania cokolwiek zmieniły. I Kate na to przystała, choć w rzeczywistości, dla niej, zmieniło się wiele.

Świadomość, że mu się podoba, była wspaniała i powodowała w jej ciele mrowienie, nad którym Kate nie potrafiła zapanować.

Opróżniła torby na zakupy i ułożyła je jedno na drugim w schludną wieżyczkę. Oparła się biodrem o zlew i spojrzała badawczo na Matta. Stał z rękoma w kieszeniach, nie odrywając od niej wzroku.

- Jak poszło w kaplicy? - zapytała.

- Praca poszła dobrze, ale nie ukrywam, że ulżyło mi, kiedy stamtąd wyszedłem.

- Nie było się w kościele przez kilka lat, co?

- Nie, i nigdy tak naprawdę nie planowałem powrotu.

Aha, pomyślała. Czyli Bóg postanowił mu to i owo uświadomić. Matt miał teraz tak nieszczęśliwą minę, że Kate nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Co ci tak wesoło? - zapytał.

- Cieszę się. Początki zawsze są trudne.

Nie zapowiadało się, by Matt miał kontynuować temat, więc Kate opowiedziała mu o swoich zajęciach i postępach Teresy w przygotowywaniu wyceny antyków oraz przekazała najświeższe prognozy na temat zimy stulecia, jak wciąż hulała pomiędzy Velmą i Mortym. Nie wspomniała za to ani słowa o niesamowitych rzeczach, które wydarzyły się pomiędzy nimi wczoraj, podczas ich telefonicznej rozmowy.

Następnego dnia zdarzył się cud.

Babcia, Velma i Kate kończyły właśnie lunch, składający się z kanapek z sałatką z kurczaka i zupy jarzynowej, kiedy dało

się słyszeć głębokie, basowe dudnienie samochodu. Wyraźnie zbliżał się do podjazdu.

Wszystkie trzy uniosły głowy, nasłuchując. Były przyzwyczajone do odgłosów samochodów, należących do ich gości. Ale ten brzmiał zupełnie inaczej. Charakterystycznie.

- Kto to, u licha, może być? - wyszeptała babcia.

Rzuciła się zaaferowana w kierunku rylnych drzwi i wypadła na zewnątrz.

- A niech mnie. - Machnęła podekscytowana na Velmę i Kate. — Musicie to zobaczyć. Pospieszcie się!

Wybiegły z domu. Osłaniając dłońmi oczy, patrzyły, jak wspinały samochód nadjeżdża i po chwili zatrzymuje się tuż przed nimi.

Za kierownicą auta, które bez wątpienia było cadillakiem w wersji kabriolet, siedział Morty. Przywdział na tę okazję nową skórzaną kurtkę, kapelusz i triumfalny uśmiech. Samochód był niski i długi. Lśniaco czarny, z błyszczącymi srebrnymi wykończeniami. Bliźniacze płetwy ogonowe na tyle. Wypucowane koła ze srebrnymi obręczami. Tapicerka z białej skóry, wykończona czarną lamówką. Morty nie żartował, mówiąc, że utrzymał samochód w idealnym stanie. Od cadillaca bił taki blask, jakby dopiero co wyjechał z salonu.

- Morty! - Babcia roześmiała się ze zdumieniem i podziwem. - Jaki piękny samochód!

- Wow, jest *bajeczny* - przyznała Kate, uśmiechając się do Morty'ego. - Naprawdę bajeczny.

- Dziękuję, miłe panie. - Morty uchylił kapelusza, promieniejąc z dumy.

Kate spojrzała na Velmę. Jak do tej pory, jeszcze się nie zdarzyło, by Velmie odebrało mowę. Teraz jednak przyszedł ten moment.

Velma kilkakrotnie otworzyła i zamknęła usta niczym ryba, która próbuje łapać powietrze na suchym dnie kutra.

- No cóż, Velmo - powiedział Morty - wskakuj. Zabieram cię na randkę.

Velma natychmiast odzyskała fason.

- Morty Rittenbowerze, czy to musi być akurat teraz? Nie jestem odpowiednio ubrana.

- Dlatego najpierw wpadniemy do ciebie, żebyś mogła się przebrać.

- Kobieta lubi być informowana z wyprzedzeniem.

- Zapamiętam na przyszłość.

- Na przyszłość?

- Tak, na przyszłość - zapewnił ją.

Velma oparła ręce na biodrach, jakby za chwilę miała wszczać ostrą kłótnię. Linie samochodu błyszczały w słońcu. Minęło kilka pełnych napięcia sekund i Velma w końcu uśmiechnęła się.

- Nie mogę uwierzyć, że naprawdę wyciągnąłeś ten samochód ze swojego starego garażu.

- A jednak. - Skinął na nią ręką. - A teraz chodź. Dość już tych głupstw. Wskakuj.

Kate usłyszała dźwięk otwieranych tylnych drzwi. Spojrzała przez ramię i zobaczyła Matta, który właśnie wychodził na zewnątrz. Coś w jej wnętrzu podskoczyło z rozkoszy, jak zawsze na jego widok. Podszedł i stanął obok, podczas gdy Velma mościła się na miejscu pasażera.

- Och! Velmo, przyniosę ci twoje rzeczy. - Babcia pospieszyła do domu, by po chwili pojawić się z płaszczem i torebką.

- Miłego popołudnia, drogie panie, tobie również, Matt. — Morty zsalutował i wycofał wolno samochód, kilka razy serdecznie trąbiąc klaksonem.

Patrząc, jak odjeżdżają, Kate poczuła zadowolenie. Naprawdę udało jej się namówić Velmę Armstrong na randkę z Mortym! Czasem wydawało jej się, że prędzej wygra na loterii. A jednak stało się, Velma i Morty odjeżdżali razem.

Babcia zeszła na podjazd w ślad za nimi, klaszcząc i machając.

- Wcale nie wyglądał na zamartwionego - zauważył Matt.

- Nie - odpowiedziała Kate. - Nie wyglądał.

Morty był podekscytowany swoim nowym życiem. Ten stary wyga nauczył się kilku nowych sztuczek i z powodzeniem zmiękczył serce jednej z najbardziej zręczliwych kobiet na tym kontynencie.

- Wiesz, co to oznacza, prawda? - zapytała Matta.

- Nie. Co?

- Oczywiście poza prawdziwą miłością i bajkowym happy endem dla Morty'ego i Velmy.

- Oczywiście.

- To oznacza, że niebawem wpadną mi w ręce wejściówki do spa.

- Nie czujesz do mnie mięty, co? - zapytał Tyler.

Kate spojrzała na niego. Zmierzali właśnie korytarzem do wyjścia z klubu. Tego wieczoru całkiem dobrze się z nim bawiła. Jak zawsze. Najpierw pizzeria, a potem klub, w którym przyjaciel Tylera grał akurat koncert.

Czy jej hormony, dziś albo kiedykolwiek, wariowały na myśl o nim?
Nie.

Tyler patrzył na nią zrezygnowany, uśmiechając się lekko.

- No cóż - zaczęła Kate powoli - jesteś nieprzyzwoicie czarujący.
 - No fakt.
 - *I niesamowicie przystojny.*
 - Też prawda.
 - I właściwie powinnam być w tobie szaleńczo zadurzona.
 - Zgadza się. Ale nie jesteś, prawda?
- Zatrzymali się przy łazienkach, potrąceni przez mijających ich ludzi.
- Nie jestem - potwierdziła Kate. - Ale naprawdę cię lubię i cieszę się, że jesteśmy przyjaciółmi. - Wzdrygnęła się i posłała mu przeproszący uśmiech. - Czy to nie zabrzmiało zbyt protekcyjnie? To ostatnie zdanie?
 - Było nie tyle protekcyjne, co oklepane - zażartował Tyler. - Ale myślę, że moje ego jakoś sobie poradzi.
- Spojrzała na niego ze współczuciem.
- Nie zamartwiaj się. Wszystko jest w porządku - dodał.
 - Okay.
 - Podoba ci się Matt, tak?
 - Eee...
 - To ta jego mroczna, pełna cierpienia aura, którą roztacza wokół siebie. Kobiety to uwielbiają.
- Kate pomyślała o Theresie i innych paniach z miasteczka, które z całego serca poparłyby stwierdzenie Tylera.
- Ja i Matt zatrzymaliśmy się na etapie przyjaźni.
 - Serio? Po tym, jak mnie zmierzył tego wieczoru, kiedy przyjechałem po ciebie, sądziłem, że stoi za tym coś więcej.
 - Nie.
 - A niech to, Kate, chyba oboje nie mamy szczęścia. Uśmiechnęła się.
 - Chyba tak - zgodziła się.

- Proszę, włóż kurtkę.

Podał Kate okrycie, szalik i rękawiczki. Kiedy oboje byli już gotowi, złapał jej rękę i podał ramię, po czym wyszli z budynku, przez parking w kierunku jego samochodu.

- Nie zrozum mnie źle, księżniczko - wyjaśnił Tyler. - Chciałbym ci się podobać.

Kiwnęła głową.

- Ale jeśli tak nie jest, postaram się nie rozpaczać.

- Pewnie rzadko ci się zdarza być akurat tą osobą, której proponuje się przyjaźń, a nie na odwrót - skomentowała Kate.

- Fakt, niezwykle rzadko - zaśmiał się - ale rzecz w tym, że...

- Tak?

- Też się cieszę, że jesteśmy przyjaciółmi.

A więc znów poszła na randkę z Tylerem. Kiedy Matt wychodził z pracy, Beverly zdradziła mu plany Kate. Poczul się, jakby dostał obuchem w głowę.

Wrócił do domu, ale nie mógł nic zjeść. Nie włączył też światła ani telewizora. Jedyne, co robił — i co był w stanie robić — to chodził.

Dlaczego ona wciąż umawia się z tym gogusiem? A może jej na nim zależy? Pewnie tak, inaczej posłałaby go na drzewo. A Tylerowi z pewnością na niej zależało. Matt dałby sobie za to rękę uciąć.

Warknął, zatrzymał się gwałtownie, po czym porwał kluczyki do samochodu i ruszył... znowu... w kierunku lamborghini. Była to marna pociecha.

To naprawdę nie fair, że Matt był *tak* cudowny. Serio. To było po prostu nie w porządku. Dobrze wyglądać to jedno. Ale żeby do tego być tak niewyobrażalnie przystojnym?

Mniej więcej w połowie piątkowej partyjki pokera całe towarzystwo zrobiło sobie tradycyjną przerwę. Kate i Matt poszli w tym czasie do kuchni przekąsić coś na deser. On gryzł orzechowe ciasto. Ją gryzło niezadowolenie spowodowane jego aparycją.

Matt nie był typem mężczyzny, który przypominał rzeźbę greckiego bóstwa. Miał blizny w okolicy ust i brwi. I nos, który kiedyś był złamany. Jednak te drobne skazy w połączeniu z piękną oprawą oczu, poważnym wyrazem twarzy, ciemnymi włosami i wzrostem sprawiały, że Mattowi NIE MOŻNA BYŁO SIĘ OPRZEĆ. Nawet dziś, kiedy wydawał się szczególnie nieobecny i z jakiegoś powodu przygnębiony, Kate nie potrafiła oderwać od niego wzroku.

I *to* miał być facet, który rzucał jej gorące spojrzenia i który oznajmił jej, że nie może znieść, gdy Kate spotyka się z innymi mężczyznami. *To* był facet, na którego powinna się uodpornić.

To chyba jakiś żart! Proces uodparniania się zdecydowanie jej nie wychodził. Mimo najlepszych intencji Kate, jej uczucia do Matta zakorzeniały się w jej sercu coraz głębiej i pięły się coraz wyżej. Kate czuła się tak, jakby utknęła w czyścicu — wciąż próbowała wybić sobie z głowy słabość do niego, a jednocześnie miała gęsią skórę za każdym razem, gdy tylko na nią spojrzał. To było straszne. I zarazem cudowne.

- Słuchaj - powiedziała, kończąc swoje ciasto i odstawiając talerzyk. - Miałam jutro wybrać się z Theresą na targ antyków, ale jej córka jest chora i Theresa musi zostać w domu. Czy poszedłbyś ze mną zamiast niej?

Teraz gdy wspólnie postanowili, że pozostaną przyjaciółmi, Kate pomyślała, że może ma prawo poprosić go o taką przysługę. Trudność polegała jedynie na tym, żeby nie przejmować się, jeśli - kiedy - jej odmówi.

- Antyki? - zapytał Matt sceptycznie.

- Tak. Babcia potrzebuje kilku rzeczy, żeby wykończyć wnętrze domu. Wiesz, dywany, lampy, jakieś kanapy. Planuję skoczyć na pchli targ, wyprzedaż i może do jednego sklepu z antykami, albo dwóch, tak dla przyjemności.

- Jasne - powiedział wolno. - Tak dla przyjemności. Zaśmiała się.

- Czy nie tak przypadkiem faceci wyobrażają sobie okrutną i wyrafinowaną karę? Nie wiem, co sobie myślałam. Zapomnij o tej propozycji...

- Pojadę z tobą. Mrugnęła nerwowo.

- Pojedziesz?

- Tak. O której?

- O dziewiątej?

- Podjadę po ciebie pick-upem.

Powiedział te słowa spokojnie, ale kiedy spojrzał na nią, dostrzegła, że w jego oczach coś się kryło. Błysk szaleństwa, niebezpieczeństwa i niemal udręki, który sprawił, że Kate poczuła ból w piersi.

Przed swoim wyjazdem do Dallas rozpaczliwie pragnęła zobaczyć w jego twarzy choćby jeden wyraźny promień, jaśniejszy, lepszy. Ale przez ostatnie kilka dni, zamiast się poprawiać, pod pewnymi względami było chyba jeszcze gorzej. A czas uciekał.

Morty i Velma weszli do kuchni. Morty miał na sobie koszulę Tommy Bahama, mimo że na zewnątrz panował straszny ziąb. Velma włożyła żółto-zielony welurowy dres z białą tasiemką, naszytą na bluzie tak, że przypominała wykres EKG. Przenikliwe spojrzenie Velmy przeniosło się z Kate na Matta.

- Jak się masz, przystojniaczku?

- Eee... - wybąkał Matt.

- Nie masz nic przeciwko, że cię tak nazywam, prawda? - kontynuowała Velma.

- Właściwie...

- Och, daj spokój. - Machnęła na niego ręką. Morty zachichotał.

- Ostra z niej babka, co nie? - Spojrzał na Velmę z miłością i podziwem.

- No pewnie - odparła Velma. - I żebyś o tym nie zapominał.

- Jakże bym mógł - odpowiedział Morty - nawet na sekundę. Velma uniosła narysowane kredką brwi i spojrzała na niego zza okularów.

- I słusznie. - Nalała mrożonej herbaty do trzech szklanek, potem podniosła wzrok na Matta. - Pomógłbyś mi to zanieść do salonu?

- Ja to mogę zrobić - powiedział Morty.

- Gdybym chciała, żebyś ty to zrobił, to bym cię poprosiła. Ja chcę, żeby przystojniak mi pomógł.

Matt jęknął, ale wziął dwie szklanki i poszedł za Velmą.

- Cieszę się, że jesteśmy sami. - Morty zwrócił się do Kate. Sięgnął do kieszeni dzinsów i wyjął z niej kopertę. - Byłem już na oficjalnej randce z Velmą, a ty mnie jeszcze nie poprosiłaś o wejściówki do spa.

- Nie chciałam wyjść na pazerną. Uśmiechnął się i wręczył jej kopertę.

- Dobrze więc, że lubię dotrzymywać słowa. Kate przyjęła ją.

- Dziękuję. Wierz mi, to będzie dla mnie wielka przyjemność.

- Zasłużyłaś na to.

- Nie wiem, czy zrobiłam aż tak dużo...

- Zrobiłaś, dziecinko. Cholernie dużo mi pomogłaś.

- Skoro tak, to cieszę się. Masz ochotę na ciasto?

- Jasne.

Nałożyła mu trójkątny kawałek.

- Wiesz, zastanawiałam się nad czymś.

- Wal śmiało.

- Co cię skłoniło, żeby wystawić cadillaca?

Trzymał widelec w swoich guzowatych dłoniach i w zamyśleniu przeżuwał.

- Ty. Powiedziałaś, że twoim zdaniem Velmie zależy na tym, żebym czerpał większą radość z życia, i dlatego chce, abym przyjechał po nią rym autem. W zeszłym tygodniu byłem w garażu kilka razy. I wiesz co? Tam jest strasznie zimno. Wilgotno. Samotnie. Ani mnie, ani maszynie nie było tam dobrze. I pomyślałem sobie: na co ja czekam? Aż Bóg zawoła mnie do siebie? Ten samochód jest stary, tak jak ja, ale jeszcze da radę przejechać kilka kilometrów. I naprawdę zależało mi na tej randce z Velmą. *Naprawdę* mi zależało. Od lat.

Kate kiwnęła głową.

- Czyli będzie więcej randek?
- Zgodziła się na jedną w tygodniu. Co oznacza, że zanim wyjedziesz, dostaniesz jeszcze parę wejściówek do spa. I dobrze, że wyjeżdżasz, bo byś mnie puściła z torbami. - Puścił do niej oko.
- Jestem pewna, że Velma jest warta każdego centa - skłamała.
- Każdego - potwierdził szczerze Morty.
- Jeśli to nie kłopot, to sama chętnie wybiorę się na przejażdżkę takim autem.

- Chciałabyś?

- Koniecznie.

Wyciągnął rękę i uściśnił jej dłoń z sympatią. Kate potrząsnęła jego dłonią serdecznie.

- A więc gdy znów będzie ładna pogoda - powiedział - ty, ja i cadillac.

- Ty, ja i cadillac.

O dziwo, Matt okazał się być idealnym towarzyszem zakupów. Nie forsował swojego zdania, a gdy Kate pytała go o radę, udzielał przemyślanych odpowiedzi. Widziała, jak urządził swój dom, więc szanowała jego wyczucie smaku. Nigdy nie narzekał, nie poganiał jej, nie miał zbolalej miny. Nigdy nie zapytał (co pewnie w takiej sytuacji zrobiłaby przyjaciółka czy koleżanka), czy może skorzystać z toalety. Po prostu prowadził wóz i parkował. Nosił rzeczy.

I - *co najważniejsze* — można było na nim zawiesić oko.

Spędzili wspólnie bardzo udany poranek. Na pchlim targu znaleźli trzy lampy i kolekcję litografii. Na czyjejś wyprzedaży garażowej zdecydowali się na skórzany, czekoladowy fotel i dwa piękne, beżowo-brązowo-szarozielone orientalne dywany. Po krótkim

przystanku w barze kanapkowym zaparkowali blisko centrum, by Kate mogła jeszcze raz wstąpić do sklepów z antykami.

Gdziekolwiek by się nie ruszyli, wszędzie ludzie rozpoznawali Matta. Kilkoro znajomych pozdrowiło go po imieniu i uściśnęło mu dłoń. Ci, którzy nie znali go osobiście, szeptem wymieniali między sobą uwagi i obserwowali z ożywionym zainteresowaniem, sądząc, że tego nie widzi. Kate z łatwością odczytywała z ich twarzy domysły. Zastanawiali się, co u boku ich lokalnej gwiazdy robi ta przeciętna kobieta.

Kate, nim podała Mattowi kolejną dawkę oglądania antyków, uparła się, że zaprosi go na kawę. „Main Street Coffee” była zatłoczona, wzięli więc napoje na wynos, caffè latte z górą bitej śmietany i czekoladową posypką dla niej i zwykłą kawą z mlekiem o obniżonej zawartości tłuszczu dla niego, i zatrzymali się na jednej z czarnych żelaznych ławek, które stały wzdłuż ulicy.

Kate westchnęła z zadowoleniem. Gdy tak siedzieli obok siebie, było jej dobrze. A nawet lepiej. Było jej idealnie.

Mrużąc oczy, spojrzała na skrawek nieba zagładający przez ogołoczone z liści gałęzie drzew. Choć temperatura utrzymywała się w okolicach 12 stopni, dzień był słoneczny i bezwietrzny. Poza tym pikowany trencz i skórzane rękawiczki dawały Kate mnóstwo ciepła.

Spojrzała na Matta, który założył tego dnia wytartą parę dżinsów i czarną sportową kurtkę North Face. Złapał jej spojrzenie. Jego oczy były całkowicie nieruchome, a jednocześnie pełne świadomości tego, co zaszło między nim a Kate.

Kate upiła łyżeczek latte.

— Chcę cię o coś zapytać i już wiem, że nie będziesz chciał o tym rozmawiać. Matt uniósł brew.

- Ale ostatnio dużo o tym myślałam, więc przynajmniej spróbuję - dodała.

- Aha.

- Dlaczego nie grasz już w hokeja?

Skrzywił się, sznurując usta, z surowością i uporem.

- Powiesz mi? - zapytała. - Czy to dla ciebie temat tabu?

- Powiem. — Jednak zanim odezwał się ponownie, ulicą zdażyło przemknąć hałaśliwie kilka samochodów. - Beth umarła, kiedy trwał sezon. Wiedziałaś o tym?

- Nie.

- Po wszystkim trener i menadżer zaprosili mnie na spotkanie i powiedzieli, że mam sobie wziąć kilka tygodni wolnego. Więc tak zrobiłem. - Powoli opuścił swój kubek z kawą i oparł go na kolanie, po czym zaczął obracać to w jedną, to w drugą stronę. - To nie był dobry czas: pogrzeb, rodzina w żałobie, dziennikarze. Przez tamte dwa tygodnie, każdego dnia, chciałem wrócić do treningów. Żałowałem, że w ogóle wziąłem urlop. Myślałem, że kiedy wrócę na lód, przynajmniej coś w moim życiu znów się znajdzie na właściwym miejscu. — Zamilkł na dłuższą chwilę.

- Ale tak się nie stało? - zapytała Kate.

- Nie. Hokej przestał mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Sądziłem, że ciężka praca mi pomoże. Ale zamiast tego była tylko... pustka. — Zmarszczył czoło. - Beth wiedziała, co jest w życiu ważne. Stało się dla mnie jasne, że hokej nie należy do tych rzeczy.

- Przykro mi - odpowiedziała Kate.

- To smutne, kiedy nagle zaczyna się nienawidzić coś, co zawsze się kochało.

Kate skinęła głową.

- Kawa - przypomniała mu delikatnie.

- No tak. - Wziął łyżeczka. Napięcie w nim powoli zelzało.

- Więc odszedłeś z drużyny?

- Nie od razu. Zmusiłem się, żeby grać jeszcze przez kolejne sześć tygodni. Trzymała mnie wewnętrzna dyscyplina. A potem na jednym z treningów... Dobrze mi szło i wszystko wyglądało normalnie... ale tamtego dnia po prostu... po prostu nie mogłem się zmusić, żeby to dłużej robić. Zszedłem z lodowiska.

Kate patrzyła, jak coraz bardziej zaciska zęby.

- To był koniec - powiedział po chwili. - Koniec mojej kariery. Skończyłem z tym.

Spojrzał na nią, Kate odwzajemniła spojrzenie. Czy to, co dostrzegła w jego oczach, to był żal? Chyba tak. Poczucie czegoś zmarnowanego. Stratę.

- I potem przyjechałeś do Redbud.

- Tak. - Patrzył na grupkę nastolatków, która właśnie mijala ich ławkę. Ruchliwe otoczenie wyraźnie ułatwiało mu rozmowę. - Ze swojego mieszkania w Nowym Jorku zabrałem ze sobą tylko dwie rzeczy. I przeprowadziłem się.

- Jakie?

Przekrzywił głowę, nie rozumiejąc pytania.

- Jakie dwie rzeczy zabrałeś z mieszkania w Nowym Jorku? Milczał przez chwilę.

- Pamiętasz zdjęcie Beth, które widziałaś w moim domu?

- Tak.

- Wziąłem je i... no cóż. - zawahał się znów, wyraźnie zawstydzony. — Jej srebrną szczotkę do włosów.

Kate udawała, że jest niesłychanie zainteresowana zbliżającą się do nich matką z dzieckiem, byle tylko ukryć przed Mattem drżenie ust. W środku zalewała ją gwałtowna fala uczuć, zaś na zewnątrz robiła wszystko, byle tylko się nie rozpłakać. Może i był kiedyś sławnym hokeistą, ale wewnątrz zawsze pozostał cichym i wrażliwym człowiekiem. Takim, który na pamiątkę po żonie zatrzymuje jej szczotkę do włosów...

Skupiła uwagę na dziecku i odczekała chwilę, by jej głos zabrzmiał normalnie:

- A co zrobiłeś z resztą rzeczy z Nowego Jorku?
- Zostawiłem je.
- I potem przeprowadziłeś się do domu w Redbud.
- Tak.
- Który wtedy był w nienajlepszym stanie.
- Dokładnie. Choć mi to nie przeszkadzało. Remontowałem go, urządziłem i miałem jeszcze inną robotę, coś, o czym mogłem myśleć.

Kate zauważyła, że praca przy remontowaniu domów miała na niego dobry wpływ. Była jak terapia. I swoistego rodzaju metafora: Kate chciała, by Matt zrobił to samo ze swoim sercem - wyremontował je, odnowił.

- Jak to się stało, że zacząłeś w ten sposób zarabiać?
- Zanim jeszcze odnowiłem swój dom, złapałem już kilka podobnych zleceń od ludzi w Redbud. Więc z paru skorzystałem. - Wzruszył ramionami.

- Masz jeszcze w jakikolwiek sposób do czynienia z hokejem?
- Zupełnie nic.
- Dlaczego? Cisza.
- Kate - jęknął w końcu.
- Wiem, torturuję cię. Ale jeszcze trochę, miej to za sobą i powiedz mi.

- Jesteś strasznie uparta. - Nie wyglądał jednak na poirytowanego. Wręcz przeciwnie, patrzył na nią z czułością.

Między łopatkami Kate przebiegł niewielki dreszcz.

- Ano jestem, prawda? Przepraszam. To straszne! Bardzo żałuję, że nie jestem bardziej...

- Nie mam już nic do czynienia z hokejem, ponieważ wiążą się z nim bolesne wspomnienia. To chyba najkrótsza odpowiedź. — Przeczesał palcami włosy. — Jak inaczej mam to wytłumaczyć? Nawet nie bardzo lubię o tym myśleć.

Czekała.

- Kiedyś kochałem ten sport. To było moje życie. Teraz ciężko mi o tym rozmawiać, bo za każdym razem, kiedy widzę mecz w telewizji, albo słyszę o tym lub myślę, przypomina mi się, że skończyłem z tym na zawsze. A oni mimo to radzą sobie beze mnie.

Od chwili, kiedy Kate była świadkiem tego, jak zareagował, gdy pojawił się mecz hokeja w telewizji, często myślała o Macie i jego sportowej karierze. Niemal słyszała, jak Bóg szepcze do niej: **On musi do tego wrócić, Kate. Jeszcze z tym nie skończył.**

Po tej rozmowie myśl o Macie i sporcie nachodziła Kate jeszcze intensywniej. Matt Jarreau, legendarny hokeista, powinien odnowić kontakty, zacząć treningi, zagrać na początek w meczach niższej ligi, pójść na casting czy coś w tym stylu, po prostu zrobić wszystko, co jest konieczne, żeby dostać się z powrotem do NHL. Jeśli nie da sobie szansy, żeby zakończyć karierę na własnych warunkach, ten rozdział życia pozostanie niezamknięty i Matt nigdy nie zazna spokoju.

Kate zastanawiała się, czy uda mu się odnaleźć w sobie tę samą pasję, którą miał, kiedy jeszcze żyła Beth. Dałaby sobie rękę uciąć, że teraz Matt na nowo poczuł ją w sobie. W przeciwnym razie przypadkowe rzucenie okiem na rozgrywki hokeja w telewizji nie podziałałoby na niego z taką mocą, nie mogłoby go tak zranić. A zraniło.

- Dziękuję, że mi to powiedziałeś - wyznała Kate i umilkła. Nie był to czas i miejsce, żeby podzielić się z nim swoimi

odkryciami. Musiała to przemyśleć i przemodlić. I poukładać sobie w głowie.

- Zimno ci? - zapytał, a w jego głosie zabrzmiała nura troski.

- Nie, ani trochę.

- Na pewno?

- Na pewno. - Dokończyła latte i oblizała górną wargę. Matt śledził ten ruch.

- Czy mogę zadać ci pytanie? - zapytał.

- Oczywiście. Pytaj, o co chcesz.

- Opowiedz mi coś więcej o twojej pracy - powiedział.

- A co byś chciał wiedzieć?

- Co o niej myślisz.

- No cóż...

Przez ostatnie tygodnie często poruszali temat ptacy Kate, ale rozmawiali jedynie o jej codziennych obowiązkach, o funkcjonowaniu ośrodka i o jej współpracownikach. To pytanie sprawiło, że Kate zaczęła się zastanawiać, czy Matt przypadkiem nie potrafi czytać między wierszami, podobnie jak ona, gdy próbowała pojąć treść jego milczenia.

- Kiedyś bardzo wierzyłam w moją pracę. Lubiłam ją, dawała mi mnóstwo satysfakcji. Ale przede wszystkim... Hmm... Pewnie pomyślisz, że to dziwne.

- Założymy się?

- Czułam, że robię dokładnie to, czego chce ode mnie Bóg.

- Masz rację. To *jest* dziwne.

Zmięła serwetkę, przez którą trzymała kubek z kawą, i rzuciła w niego. Złapał ją bez wysiłku, jedną ręką. Wyszczерzył zęby.

- Bardzo śmieszne — powiedziała.

- Taki ze mnie dowcipniś. Zajmę się tym. - Wziął od niej kubek i wyrzucił razem ze swoim do pobliskiego śmietnika. — A co teraz czujesz, kiedy myślisz o swojej pracy?

- Że może za długo już w tym siedzę. - Starła się odpowiadać tak samo szczerze jak on. - Jedna z moich podopiecznych pół roku temu popełniła samobójstwo. Nie miała jeszcze piętnastu lat.

Matt syknął.

- I teraz, kiedy myślę o pracy, ogarnia mnie smutek i beznadzieja. Kiedyś byłam optymistką, byłam pewna o przyszłość tych dzieci, ale teraz już sama nie wiem. Przez ostatnich kilka miesięcy, zanim tu przyjechałam, trudno mi było czerpać radość z pracy.

- Chcesz to robić dalej, kiedy wrócisz do Dallas?

- Tak. Ale jeśli nic się nie zmieni, to pomyślę o innym zajęciu, i to mnie przeraża.

- Kiedy wyjeżdżasz z Redbud?

- Mniej więcej za miesiąc. Nachmurzył się.

- Nie wiedziałem, że tak szybko.

- W przyszłym tygodniu wypada Święto Dziękczynienia. Zostaniemy do połowy grudnia, ale nie dłużej. I babcia, i ja musimy wrócić do domu na Boże Narodzenie. Uda ci się do tego czasu skończyć Chapel Bluff?

- Tak.

Milczeli przez chwilę.

- Gotowy, żeby jeszcze rzucić okiem na parę antyków? - zapytała Kate.

Matt kiwnął głową i ruszyli ramię w ramię w dół ulicy.

- Słuchaj - odezwał się w końcu. - Co do Święta Dziękczynienia, to bardzo chciałbym, żebyście spędziły je w moim domu. Masz u mnie dług po tym, jak zmusiłaś mnie do zaproszenia całej rodziny.

Chciał, żeby były z nim w Święto Dziękczynienia - ta myśl sprawiała jej wielką przyjemność.

- Co prawda obiecałyśmy Velmie świętować u niej, ale myślę, że uda się nam do ciebie wpaść, jeśli chcesz.

- Chcę.

- A zatem jesteśmy umówieni. Co możemy przynieść?

- Nic. I tak będzie za dużo jedzenia.

- Babcia będzie nalegała. Poproś, żeby upiekła ciasto. Ucieszy się.

Doszli do pierwszego sklepu z antykami. Matt przytrzymał Kate drzwi i wszedł za nią do pomieszczenia pełnego eleganckich bibelotów i drogich angielskich mebli. W powietrzu unosił się zapach goździków. Kate prześlizgiwała się pomiędzy sprzętami, podziwiając niektóre z nich, póki nie dotarła do stołu. Zatrzymała się gwałtownie. Nie był duży. Właściwie był niewielki, z prostokątnym blatem z żółtodrzewu, rozkładany, z dwoma przystawkami po bokach. Pełne gracji wygięte nóżki stolarz zakończył przetartymi mosiężnymi kółkami. Na blacie i bokach umiejętnie namalowano upięcia z liści i wieńców z powiewającymi, białymi wstążkami.

- Podoba ci się - stwierdził Matt.

- Podoba. - Mebel chwycił ją za serce, niektóre antyki po prostu tak na nią działały. - To stół Pembroke. - Sprawdziła metkę z ceną. Pięć tysięcy dolarów.

Właściciel sklepu, starszy dżentelmen o rumianej twarzy, podszedł do nich z uśmiechem. Przyjrzał się uważnie swoim klientom i po chwili zrozumiał, kto przed nim stoi.

- Pan Matt Jarreau?

- Tak, to ja.

Wyciągnął rękę i przedstawił się.

- Henry Vernon. Widziałem wszystkie mecze z pana udziałem. Jestem fanem hokeja.

- Dziękuję.

- To prawdziwa przyjemność pana poznać. - Wreszcie spojrzał na Kate i na stół. Chrząknął. - Kupiłem go podczas mojej ostatniej podróży do Londynu. Dopiero co przyplłynął w kontenerze. Piękny, prawda?

- Bardzo - przytaknęła Kate.

- To stół Pembroke z czasów Jerzego Trzeciego. Wykonany około 1780 roku.

Rozmawiali chwilę o stole, potem o jeszcze kilku innych znaleziskach, które Vernon odkrył podczas swojej podróży, i o przyjemności poszukiwania antyków w Anglii. Kiedy pojawiło się trzech nowych klientów, właściciel przeprosił Kate i Matta i odszedł, by powitać przybyłych.

- Jest za drogi na budżet Beverly - zasugerował Matt.

- Tak, zdecydowanie. I nie potrzebujemy czegoś takiego. Ale *jest* ładny. - Kate podziwiała stół jeszcze przez kilka chwil, po czym z ociąganiem ruszyła dalej.

- Kate - odezwał się Matt. Obróciła się.

- Chciałem ci podziękować.

- Za co?

- Za dzisiaj. Miło spędziłem czas.

- Naprawdę? - Trudno jej było w to uwierzyć.

- Tak.

- To ja powinnam podziękować tobie. Bardzo mi pomogłeś i byłeś naprawdę cierpliwy, choć pewnie większość tych rzeczy musiała zanudzić cię na śmierć.

Patrzył na nią spokojnie.

- Nie nudziłem się.

- To dobrze. Cieszę się. - Kate skierowała się w stronę wyjścia. - Chodź, już prawie skończyliśmy. Potem jeszcze jeden sklep i dam ci święty spokój.

Matt ruszył w ślad za nią, a w jego głowie kotłowały się myśli. Kiedy powiedział Kate, że spędził miło czas, mówił całkowicie serio. Choć tak naprawdę chętnie ująłby to inaczej. Był to jego najlepszy dzień od lat, dzięki bliskości Kate.

W kapliczce Chapel Bluff pomstował na Boga. Wielokrotnie doświadczał parszywości świata. A dzisiejszy dzień przypomniał Mattowi, że mimo podłości było w świecie także dobro. Piękno, dobro i może... może nawet nadzieja.

Kate była w poważnych tarapatach. Wiedziała to niemal natychmiast. Żyła z astmą już wystarczająco długo, by odróżnić jej codzienne objawy od ostrego ataku. A to był zdecydowanie ostry atak. Pojawił się nagle, uderzając w nią z siłą rozpędzonego pociągu towarowego.

Musiała się zatrzymać i oprzeć o pień drzewa. Rozluźnienie się w takiej sytuacji było potwornie trudne. Tętno gwałtownie zaczęło przyśpieszać, w uszach głośno dudniło. *Uspokój się*, powiedziała do siebie. Ale drogi oddechowe tylko jeszcze bardziej się zwęziły, a świszczący oddech stawał się coraz głośniejszy i cięższy.

Oderwała się od drzewa i znów zaczęła wspinać się po podjeździe ku Chapel Bluff. Tego niedzielnego poranka obudziła się jakaś niespokojna... Spacer wydał się dobrym pomysłem. Ale... dopadł ją atak kaszlu... A więc był to zły pomysł. Bardzo zły pomysł. Nie powinno tak być. Przecież przed wyjściem sprawdziła pogodę w Internecie, wszystko wskazywało na to, że będzie okay. Jednak na zewnątrz było znacznie zimniej, niż się spodziewała.

A to w połączeniu z wysiłkiem czasami mogło wywołać atak. Ale rzadko - bardzo rzadko - było aż tak źle jak dziś.

Czuła, że ogarnia ją rozpacz. Próbowwała skupić wzrok na jakimś punkcie przed sobą i ucześcić się go; na przykład na tym, gdzie będzie dom, kiedy wreszcie minie ostatni zakręt. Ile jeszcze? Ile kroków musi przejść, by dostać się do środka? Tam była babcia. I inhalator.

Pomóż mi, Boże.

Teraz toczyła już walkę o jakikolwiek najmniejszy łyk powietrza, ale nieznośny ucisk w piersiach blokował jej oddech. *Nic ci nie będzie*, powtarzała sobie. *Nic ci nie będzie. Nic ci nie będzie.* Dom był jednak wciąż daleko, a narastające uczucie paniki zaczęło ją przytłaczać. Łapała i wypuszczała powietrze ze świstem, jak ryba wyrzucona na brzeg.

- Matt? - W słuchawce usłyszał głos Beverly. Jej ton sprawił, że natychmiast zamarł.

- Tak?

- Jesteśmy z Kate w szpitalu na... na oddziale ratunkowym. Przeszył go porażający strach, uderzając głęboko i śmiertelnie.

Nie mógł wykrztusić z siebie słowa. Ścisnął mocniej słuchawkę.

- Miała okropny atak astmy. Wezwałam karetkę. Wierzę, że nic jej nie będzie, ale i tak się martwię... Miała sine usta.

- Jesteś w szpitalu Redbud General?

- Tak. Muszę jeszcze zadzwonić do Peg i Velmy, ale pomyślałam... pomyślałam, że tobie pierwszemu powinnam powiedzieć.

- Już jadę.

- Wiesz, to pewnie nie jest konieczne...

- Już jadę.

Rozłączył się i cisnął telefonem w kuchenny blat. Jego ciało dawało mu sprzeczne sygnały, było jednocześnie gorące i zimne. Poczłł mdłości. *Kate jest na ostrym dyżurze. Kate. O Boże.* Wiedział, że teraz nie może się rozkleić, ale to było cholernie trudne.

Popędził do sypialni, założył adidas, chwycił kluczyki do samochodu, a potem wypadł przez tylne drzwi do garażu.

Otarcie się o śmierć potrafi wymęczyć dziewczynę.

Kiedy lekarze ustabilizowali stan Kate — drogi oddechowe były otwarte, a klatka piersiowa rozluźniona - poczuła ulgę, a jej ciało stało się ociężałe i zrelaksowane. Po wszystkim zawieziono ją do sali na wyższym piętrze, gdzie po prostu zapadła się w szpitalne łóżko i zasnęła.

Ze snu wyrwało ją głośne dudnienie, jakby uderzenia werbla. Na wpół świadoma i wciąż śpiąca mocniej zacisnęła powieki, usiłując przekręcić się na bok. Kroplówka przy jej nadgarstku naprężyła się nieprzyjemnie, więc Kate z westchnieniem wróciła do poprzedniej pozycji, na plecach.

Co właściwie się stało? Wróciła pamięcią do zdarzeń z dzisiejszego dnia, zaczynając od spaceru, ataku, a potem szaleńczej jazdy babci do szpitala, mglistego wspomnienia lekarzy, pielęgniarek, białych kitli, lekarstw i w końcu - dzięki Bogu - możliwości swobodnego oddychania. Wszystko wydarzyło się tak szybko. Dziwnie. Dzień rozpoczął się normalnie, jak niemal wszystkie dni w Chapel Bluff. Ale pomiędzy porankiem a przebudzeniem w szpitalu zdążyła się niemal udusić i trafić na ostry dyżur. Leżała teraz w jednym z tych mechanicznych szpitalnych łózek z regulowanym oparciem, podniesionym pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

Deszcz stukał o szyby. Zaspana, otworzyła oczy i spojrzała w stronę okna...

O które opierał się Matt. Stał w kącie łączącym je ze ścianą.

Matt? Na rękach poczuła gęsią skórę. Od jak dawna tu był? Próbowala za wszelką cenę pozbyć się ostatnich oznak osłabienia i dopiero co rodzącego się wstydu. Wolała, żeby nie widział jej w tym stanie.

Matt w milczeniu wpatrywał się w nią rozpalonymi brązowymi oczami. Ręce skrzyżował na piersi i miał ponurą minę. Był na nią zły?

Właściwie nie miał powodu - ale nagle Kate zrozumiała tę dziwną reakcję. Szpital. Po wszystkim tym, przez co Matt musiał przejść w związku z chorobą żony, miał prawo nienawidzić tego miejsca. Przypominał jej teraz lwa, wciśniętego w najdalszy kąt klatki, groźnego, ale mimo wszystko w niewoli.

Nie sądziła, że mógłby tu przyjść. Gdyby do końca zachowała świadomość, z pewnością zabroniłaby mu przyjeżdżać, chcąc oszczędzić mu powracających wspomnień.

Matt odkleił się od ściany i podszedł do łóżka. Miał na sobie dzinsy i nieco obszarpaną, szarą bluzę.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Całkiem dobrze.

Na pewno wygląda tragicznie. W nosie rurka z tlenem. Włosy pewnie są w nieładzie. A pod flanelowymi prześcieradłami była ubrana jedynie w jedną z tych biało-niebieskich szpitalnych koszul nocnych.

Może jednak powinna przestać się przejmować, ponieważ, ten jeden raz, Matt także wyglądał okropnie. Mizerny, blady, potargany.

- Która godzina? - zapytała.

- Trzecia.

- A gdzie babcia?
- Wszyscy czekają na korytarzu. Bali się ciebie obudzić.
- Aha.
- Obiecałem, że zawołam ich, jak tylko się obudzisz. - Spojrzał w kierunku drzwi. — Czy chcesz, żebym...?
- Nie. Daj mi najpierw kilka minut. Stał, przyglądając się jej uważnie.

Ziewnęła i wyciągnęła nogi pod kołdrę. Rozejrzała się po niewielkim pokoju, tak podobnym do wszystkich innych szpitalnych pomieszczeń, w których kiedykolwiek była. Na wielkim metalowym ramieniu przyśrubowanym do ściany umocowano telewizor. Naprzeciwko okien zlew i szafki, oprócz tego mała łazienka.

- Potrzebujesz czegoś? - zapytał Matt.

- Może trochę wody.

Pielęgniarka zostawiła kubek ze słomką i różowy dzbanek na tacce obok zlewu. Matt napełnił kubek wodą i podał Kate. Pociągnęła przez słomkę kilka sporych łyków. Okrągłe lodowe kulki cudownie chłodziły napój.

- Co ci podają? - Matt wskazał na stojak obok łóżka. Spojrzała na rurki łączące kroplówkę z jej nadgarstkiem.

- Jakies kortykosteroidy.

- I tlen. - Wzrok Matta powędrował do rurki pod jej nosem.

- Zgadza się.

- Co się właściwie stało?

Wzięła jeszcze jeden łyk i oddała Mattowi kubek. Odstawił go z powrotem na tackę.

- Wybrałam się dziś rano na spacer - powiedziała. - Kiedy poczułam, że zaczyna się odzywać astma, zawróciłam do domu. Ale kiedy dotarłam do babci, było już naprawdę źle.

Zmarszczył czoło.

- Beverly powiedziała, że miałaś prawie sine usta.

- Hmm. — Zrobiła minę. - To musiało wyglądać uroczo.

- Nie pierwszy raz trafiasz do szpitala z tego powodu — stwierdził. Pewnie kiedy spała, babcia wtajemniczyła Matta w historię choroby.

- To prawda. Miałam wcześniej takie ataki, ale ostatni przydarzył się pięć lat temu. Od tamtego czasu, naprawdę, miałam wszystko pod kontrolą.

- Aż do dzisiaj.

- Aż do dzisiaj — przyznała.

Z niewiadomych powodów był wściekły. Mogła wyczytać to z napiętej linii ciała i z oczu, które rzucały gniewne iskry. O matko. To by było na tyle, jeśli chodzi o ciepło i troskę. Podejścia do chorego to on nie miał.

- Matt - powiedziała delikatnie. - Rozumiem, że nie czujesz się tu najlepiej. Dziękuję, że przyjechałeś, żeby sprawdzić, jak się czuję, ale nie obrażę się, jeśli zechcesz pojechać. Przecież masz dzisiaj wolne. Jestem pewna, że wolałbyś być teraz w domu i odpoczywać.

- Nigdzie się stąd nie ruszę.

Naprawdę się nie ruszył. Został i był z nią. Przez kolejne godziny, podczas których seniorzy dotrzymywali jej towarzystwa. Był z nią podczas kolacji, którą sam zresztą przyniósł z jej ulubionego baru z sałatkami. Nie zraziły go nawet dwa naprawdę słabe reality show.

Kiedy już przez ani sekundę dłużej Kate nie mogła utrzymać otwartych oczu, poddała się i zapadła w sen. Nawet po kilku godzinach, kiedy pielęgniarka obudziła ją w środku nocy, żeby zmierzyć temperaturę i ciśnienie, Matt nadal tu był. Stał w swoim kącie między ścianą a oknem. Ze skrzyżowanymi rękoma i ponurą miną.

Uwięziony lew.

Tuż przed wschodem słońca Matt wracał ze szpitala swoim lam-borghini, niemal na oślep.

Z niewielu rzeczy, które zrozumiał, rozmawiając z lekarzem, zapamiętał, że Kate uniknęłaby ataku astmy, gdyby miała ze sobą inhalator lub unikała wysiłku na zimnie. Zwykła ostrożność. Proste. A jednak zignorowała zalecenia, doprowadzając do bardzo niebezpiecznej sytuacji. Samo myślenie o niej - samej, daleko od domu, walczącej o oddech - sprawiało, że Matta paraliżował strach.

Bał się o nią, choć nie wiedział, czemu, i to było wkurzające. A jeszcze bardziej wkurzało go, że Kate naraziła życie, bo była zwyczajnie nieostrożna.

Był tak zły, że miał ochotę porządnie przemówić jej do rozsądku.

Zaparkował w garażu i nacisnął guzik zamykający drzwi. Nie wysiadł jednak z auta. Po prostu siedział w ciemności, zaciskając ręce na kierownicy.

Kiedy przyjechał na oddział ratunkowy, lekarze i pielęgniarki kazali jemu i Beverly zostać w poczekalni. Pozostali z ich „paczki” zjeżdżali się powoli. Musieli czekać pośród pacjentów, grymaszących dzieci i zamartwiających się rodzin chorych. Matt tkwił pośród tego wszystkiego, z ciężkim sercem i uczuciem paniki.

Po niedługim czasie, który wydał mu się wiecznością, wyszedł do nich lekarz dyżurny i wyjaśnił, że atak Kate udało się opanować. Sanitariusz zaprowadził Beverly i Matta piętro wyżej, do jej pokoju. Kiedy wszedł, Kate głęboko już spała.

Spodziewał się okropnego widoku, ale w rzeczywistości wyglądała pięknie. Jej skóra była gładka i biała jak porcelana, a włosy

płonęły ciemnorudym blaskiem. Przypominała mu lalkę opatuloną kołdrą w dzieciennym łóżeczku - nie licząc błękitnawej szpitalnej koszuli, kropłówki i rurki z tlenem.

Nagle wróciły wspomnienia o Beth. Podczas choroby zdarzały się chwile, kiedy i ona, jakby na przekór okolicznościom, wyglądała pięknie. Chciał wtedy wierzyć, że nie jest tak chora, jak mówili wszyscy wokół. Ale rzeczywistość nie dawała o sobie zapomnieć. Niekończący się sznur lekarzy, pielęgniarek, szpitali, urzędów, lekarstw. Ostatecznie wygląd zewnętrzny Beth stał się odbiciem pożerającego ją od wewnątrz raka.

Nigdy więcej nie chciał już stać przy łóżku innej kobiety, w innym szpitalu, bezsilny i wystraszony, tak jak za pierwszym razem. A dokładnie w ten sposób spędził ostatnie szesnaście godzin.

Nie uspokajał go fakt, że z Kate było już dobrze i na następny dzień miała wyjść ze szpitala. Ludzie to kruche istoty. Nie ma co liczyć na to, że będą żyć wiecznie.

Kate poczuła się totalnie zrelaksowana, poddając się zabiegom w spa. Było jej rozkosznie.

Kosmetyczka, która robiła jej pedicure, właśnie kończyła peeling nóg Kate i opatuliła je od kolan w dół gorącymi ręcznikami. Kate, z zamkniętymi oczami, w pozycji pólężącej odpoczywała na fotelu, wsłuchując się w muzykę relaksacyjną. Brzmiała jak deszcz i łapacze wiatru, które wieszają się na werandzie, by brzęczały delikatnie pod wpływem podmuchów.

Musiała przyznać się sama przed sobą, że dręczyło ją niewielkie poczucie winy. Morty był przecież na emeryturze i na pewno nie stał za dobrze z finansami. Pewnie *powinna* wykazać się

szlachetnością i skromnością i odmówić zapłaty. Pewnie *powinna* powiedzieć, że pomoc miłości to dla niej wystarczająca nagroda.

Ale wówczas, z drastycznymi szczegółami, przypominała sobie, przez co przeszła podczas dekoloryzacji włosów Morty'ego. A niech tam. Ma to w nosie. Zasłużyła na to.

Westchnęła, rozluźniając wszystkie grupy mięśni, i zaczęła zastanawiać się, co takiego mógłby teraz porabiać Matt. Spodziewała się, że po wielogodzinnym czuwaniu przy jej łóżku, przyjedzie do szpitala także następnego dnia. Godziny mijały i Kate przyłapała się na rym, że czeka, aż zapuka do drzwi. Szukała go wzrokiem za każdym razem, słysząc kroki na korytarzu. Wypisali ją około południa, a babcia przywiozła ją do Chapel Bluff, gdzie Matt powinien być zajęty pracą. W domu jednak nikogo nie było i babcia oznajmiła Kate, że Matt tego dnia zjawił się z samego rana, ale potem wyszedł po jakieś zakupy do marketu budowlanego. Kate spędziła resztę popołudnia w oczekiwaniu na jego powrót, a resztę wieczoru w oczekiwaniu na telefon. Matt nie wrócił i nie zadzwonił.

Znów nie wiedziała, o co mu chodzi i co ma z nim począć. Nie wiedziała, czy powinna być wdzięczna za czas, który spędził z nią w szpitalu, czy obrażona, że od tamtej pory jej unikał. Może i jedno, i drugie. A może nie miała prawa do żadnego z tych uczuć.

Kiedy Matt nie zjawił się w Chapel Bluff także kolejnego ranka, mimo że dochodziła jedenasta, Kate zdecydowała, że w związku z jej atakiem astmy, pobytem w szpitalu i rozstrojeniem emocjonalnym spowodowanym nieobecnością Matta potrzebuje wycieczki do spa.

To był *bardzo* dobry pomysł. Jej myśli krążyły wolno, układając się w deliryczne zawijasy. Relaks totalny. Wychodząc, myślała o rym, jak doskonale wyglądają teraz jej stopy. Będzie miała jeszcze mnóstwo czasu, żeby drzeć o mężczyznę z rozdzierającymi serce brązowymi oczami.

Po pedicure Kate wybrała się ze swoją książką na niespieszny lunch. Gdy w końcu wróciła do Chapel Bluff, natychmiast zauważyła ciężarówkę Matta zaparkowaną przy stodole. Widok ten o mało co nie wywołał u niej kolejnego ataku astmy.

Przez kilka minut nie wysiadała z samochodu, powtarzając sobie, że ma być spokojna, że łączy ich przyjaźń, że jest dorosłą kobietą i że na pewno poradzi sobie z tą sytuacją.

Na kuchennym stole znalazła kartkę od babci, która napisała jej, że wraz z „dziewczętami” wybrały się na popołudniowy seans do kina.

Kate zamarła, nasłuchując. Z pierwszego piętra, na którym powinien pracować Matt, nie dobiegał żaden dźwięk. Ruszyła po schodach na górę.

Wspinała się na kolejne stopnie w delikatnych japonkach, w których była w spa. Buty uderzały lekko o jej pięty, wydając charakterystyczne plaśnięcia. Na paznokciach lśnił błyszczący cu-kierkowo-różowy lakier, pasujący do dzisiejszego jasnoróżowego golfu. Zorientowała się, że nadal ma podwinięte nogawki dżinsów.

Podeszła do drzwi łazienki. Zazwyczaj kiedy się zjawiała, by z nim porozmawiać, Matt nie przerywał pracy. Ale dzisiaj stał nieruchomo, wyprostowany, zupełnie jakby porzucił zajęcie, kiedy tylko Kate weszła do domu, i czekał, aż go znajdzie. Miał wzrok gladiatora, który spojrzeniem zamierza przestraszyć swojego śmiertelnego wroga - wzrok, który gwarantował, że Matt za moment rozerwie ją na strzępy, kończyzna po kończyźnie.

Przygotowane wcześniej powitanie teraz uleciało jej z głowy.

— Jesteś... na mnie zły? — zapytała.

- A wiesz co? Jestem — powiedział ze ściśniętym gardłem. — Chciałem, żeby mi przeszło, ale to chyba nie będzie takie łatwe.

- Dlaczego? - zapytała zdumiona. - Co ja takiego zrobiłam?

- Prawie się zabiłaś.

Miała mętlik w głowie, próbując zrozumieć, o co mu chodzi.

- Masz na myśli mój atak astmy?

- Dobrze wiesz, że nie wolno ci się przemęczać, kiedy jest tak zimno.

- Ale... ja przed wyjściem sprawdziłam pogodę w Internecie. Zapowiadali, że będzie 17 stopni.

- Wyszłaś na spacer z samego rana. A wtedy jest o wiele chłodniej.

Otworzyła usta, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- A inhalator? Kiedy spotkaliśmy się ostatnio na spacerze, miałaś go ze sobą.

- Po prostu o nim zapomniałam. To... to jedna z tych rzeczy, które zazwyczaj mam ze sobą, ale nie za każdym razem. Zwykle nic się nie dzieje.

- Ale tym razem najwyraźniej coś się wydarzyło. - Jego postura i sposób, w jaki z nią rozmawiał, upodabniały go do nacierającej chmury burzowej.

Powoli zaczynał ją irytować. A zatem podejmie wyzwanie i spróbuje odeprzeć atak.

- No cóż, może ty jesteś ideałem i nigdy niczego nie zapominasz, ale ja idealna nie jestem i miewam sklerozę. Dostałam za swoje. Zapłaciłam za błąd swoim zdrowiem i kiedy przyślą mi rachunek ze szpitala, to jestem pewna, że będę też musiała zapłacić z własnej kieszeni, więc mógłbyś nieco wyluzować i oszczędzić mi tego wykładu.

Oddychał wzburzony, gwałtownie unosząc pierś.

- Byłoby miło, gdybyś okazał mi odrobinę współczucia -dodała.
- Współczucia? - Matt wykrzywił się z niedowierzaniem. - Tego chcesz ode mnie? Odrobiny współczucia?

- Tak!

- Przykro mi, ale kiedy zobaczyłem cię w szpitalu z tą kroplówką, moje uczucia sięgnęły o wiele głębiej niż odrobina współczucia.

Próbowała myśleć trzeźwo, pomimo pulsu dudniącego jej w skroniach.

- To dlatego byłeś zły w szpitalu? Byłeś zły na mnie za to, co zrobiłam? Myślałam, że chodzi o szpital, po tym, co przeszedłeś ze swoją żoną. Sądziłam, że wróciły wspomnienia.

- Fakt, one też nie nastrajały mnie pozytywnie.

- Ale przede wszystkim chodziło o mnie?

- Tak. Przede wszystkim *nadal* chodzi o ciebie. To doprowadza mnie do szału. - Zaczął gwałtownie gestykulować. - Kiedy pomyślę, że byłaś... taka nieostrożna.

Kate zacisnęła pięści.

- Czego ode mnie oczekujesz, Matt? Mam cię przeprosić? Przepraszam. I co? Lepiej? - Obróciła się na pięcie i ruszyła korytarzem.

Słyszała za sobą odgłos jego ciężkich kroków. Przyspieszyła w stronę schodów, ale dogonił ją i chwycił za ramię. Jego silne palce ścisnęły Kate ostrożnie, przytrzymując ją, ale nie robiąc krzywdy.

Odwróciła się. Nagle znaleźli się bardzo blisko siebie.

- A tak w ogóle to jakim prawem jesteś na mnie zły? - zapytała.

- Żadnym prawem.

- Czy chodzi o twój strach? Jeśli tak, to przepraszam, że ty, babcia i inni musieliście przez to przejść.

Przysunął się bliżej.

- Ich uczucia do ciebie i moje uczucia to dwie różne sprawy.

Cofnęła się odrobinę. Była przecież na niego wściekła, prawda? Przynajmniej dwie sekundy temu. Ale nagle jej gniew uleciał w obliczu cudownej bliskości Matta.

Oddychali niemal w takim samym tempie. Szybki wdech, szybki wydech. Kate spojrzała Mattowi w oczy i nie zobaczyła w nich pancerza. Dostrzegła wrażliwość, frustrację, pragnienie.

- Obiecuj mi, że będziesz bardziej na siebie uważać - wyszeptał z naciskiem. Nagle dotknął jej czoła swoim. - Nie chcę, żeby coś ci się stało.

Jego słowa uderzyły Kate z czysto fizyczną siłą, trafiając prosto w serce.

Pochylił głowę tak, by znaleźć się jak najbliżej jej ust. A potem jeszcze bliżej. Musnął palcami jej szyję i wsunął ręce we włosy, jedną ręką obejmując kark Kate. Zbliżył się jeszcze bardziej, przycisnął wargi do jej warg i pocałował ją.

Kate odwzajemniła pocałunek, odchylając głowę lekko do tyłu. Musiała wspierać się na palce i wesprzeć się na nim. Objęła Matta za szyję, splatając dłonie na jego karku.

Ubóstwiała go w tym pocałunku. Upajała się tym dotykiem i bliskością, myśląc, jak nieprawdopodobne i ważne było to, co się działo.

Matt zamruczał i pogładził ją kciukami po linii szczęki. Nie przestawał jej całować, a ona odwzajemniała jego pocałunki, aż zabrakło jej tchu. Przerwała to połączenie, odchylając głowę. Matt ani drgnął. Obserwował ją, ujawszy jej twarz w dłonie.

Kate oddychała nierówno, patrząc mu w oczy.

Kochała go.

Kochała go miłością absolutną, pewną i nie było już odwrotu. Nie wiedziała, czy Bóg chciał, by pokochała Matta. Nie miała pewności, czy Matt odwzajemni jej miłość. Ale nie potrafiła nic z tym zrobić.

Kate puściła jego kołnierzyk, wygładziła materiał i położyła dłonie na jego piersi. Wszystko w niej krzyczało, by przyciągnąć go bliżej i błagać o kolejne pocałunki, aż do utraty tchu. Zmusiła się jednak, by delikatnie go odepchnąć.

Cofnął się o krok, opuścił ramiona.

- Ale mówiłeś przecież — zaczęła, odgarniając kosmyk włosów z twarzy — że jesteśmy tylko przyjaciółmi.

- Kate, chcę być dla ciebie kimś więcej niż tylko przyjacielem. Coś stuknęło znajomo i kaloryfer zamruczał, zaznaczając swoją obecność. Kate poczuła subtelny zapach męskiego mydła.

- A ty? - zapytał Matt. W jego wyrazie twarzy dostrzegła zwątpienie.

Rozbawiło ją to pytanie. Trudno byłoby zaprzeczyć, po tym, jak przed chwilą go pocałowała.

- Też. Ale...

- Ale co?

Ale dla mnie zapewne skończy się to katastrofą, bo cię kocham. Z bezsilności wzruszyła ramionami, nie wiedząc, co innego mogłaby powiedzieć. Wargi wciąż jeszcze miała rozgrzane od jego pocałunków, a w głowie panował mętlik.

Sięgnął po rękę Kate. Spojrzał na nią, po czym pocałował wewnętrzną stronę jej dłoni, a potem splótł swoje palce z jej palcami i przytrzymał stanowczo. Na powrót spojrzął w oczy dziewczyny.

A ona patrzyła na niego bez słowa.

Sekundy zamieniały się w minuty, a oni po prostu stali.

- Jest jeszcze coś, co muszę zrobić - odezwał się w końcu Mart.

Kate kiwnęła głową.

- Ale wrócę.

- Dobrze.

Posłał jej tak uwodzicielskie spojrzenie, że serce Kate znów zaczęło łomotać. Zanim jednak zdążyła całkowicie się rozpuścić i zamienić w kałużę, Matt odwrócił się i ruszył w dół po schodach. Usłyszała tylko, jak zamykają się za nim kuchenne drzwi, a potem odgłos zapalającego silnika. W końcu Matt odjechał.

Kate przycisnęła dłonie do policzków. Wielkie. Nieba.

Kochała go.

Nie mogła go kochać!

Ale kochała.

Matt musiał jeszcze stawić czoła duchom przeszłości. A dokładniej gigantycznemu magazynowi, w którym przechowywał rzeczy należące niegdyś do Beth. Pojechał tam natychmiast po spotkaniu z Kate.

Od czasu, kiedy schował tam elementy swojego poprzedniego życia, nigdy wcześniej tam nie był. Ani razu. Pomieszczenie wynajął przez telefon, a do spakowania i przetransportowania rzeczy z mieszkania na Manhattanie zamówił firmę przeprowadzkową. Ale mimo to przez ostatnie lata myśl o tych wszystkich zamkniętych w ciemnościach przedmiotach nie dawała mu spokoju. Jakby czekały na niego. Zawsze wiedział, że musi zrobić z nimi porządek. Jednak, aż do dziś, nie miał motywacji, żeby się z tym zmierzyć. Wolał tego unikać.

Ale po tym, jak pocałował Kate...

Pewnie nie powinien był tego robić. Tygodniami udawało mu się powstrzymać, a na pewno nie planował całować jej dzisiaj. Ale gdy już to zrobił...

W ogóle tego nie żałował.

Uderzenia gorąca przyprawiły go o zawrót głowy - czy to mogło być szczęście? A niech to, prawie zapomniał, czym ono jest. Na pewno dawało mu poczucie lekkości; to było coś nowego, uzależniającego i dobrego. Nie mogła go zakłócić nawet obietnica przyszłego bólu. Jak narkoman przyjmujący narkotyk, Matt wiedział, że jego uczucie do Kate nie było dla niego dobre. Ale nie mógł przestać. Jeśli Kate by mu pozwoliła, nie przestałby jej całować.

Włączył migacz i zjechał z autostrady. Do tej pory jeszcze żaden pocałunek nigdy tak nim nie zawładnął.

Lecz w milczeniu, które nastąpiło zaraz po nim, pojawiła się myśl o magazynie. A to była ostatnia rzecz, o której chciał myśleć, kiedy był z Kate. Dlatego postanowił tu dziś przyjechać.

Minął bramę i wjechał na teren magazynów. Szybko sprawdził numer na kluczu, po który cofnął się jeszcze do domu. Zlokalizował swój magazyn i wyłączył silnik. Budynek wyglądał dokładnie tak jak inne. Przemysłowo. Z jasnymi drzwiami.

Matt wysiadł z samochodu i, smagany wiatrem, zaczął otwierać kluczem zamek u drzwi. Chmury płynęły nisko, przysłaniając słońce, przez co dzień był zimny i szary. Matt słyszał jedynie stłumiony pomruk aut na pobliskiej autostradzie. W zasięgu wzroku nie było nikogo, kto by przyjechał dziś doglądać swoich rzeczy, i to mu bardzo odpowiadało.

Drzwi uniosły się z cichym jękiem. Tuż za nimi Matt ujrzał stosy kartonowych pudeł, wyglądających na nowe. Zajmowały całą przestrzeń. W głębi znajdowały się jeszcze większe pudła, a na szarym końcu Matt dostrzegł zarysy mebli okrytych jakimś grubym, sztucznym materiałem.

Trzeba przyznać, że firma przeprowadzkowa świetnie sobie poradziła z tym zleceniem. Między kartonami pozostawiono ścieżkę, która wiodła aż do tylnej ściany magazynu. Każde pudło

zostało zabezpieczone grubą taśmą do pakowania, a wielkie litery nakreślone permanentnym flamastrem wskazywały Mattowi, co znajduje się w poszczególnym kartonie.

Budziło to w nim ogromny sprzeciw. Matt nie chciał tego robić. Nie chciał otwierać żadnego z tych pudeł, zaglądać do środka i przywoływać wspomnień. Miał ochotę zamknąć drzwi, wsiaść do pick-upa i odjechać.

Dusząc w sobie chęć ucieczki, dotarł do końca magazynu i wrócił z powrotem, po drodze ogarniając wzrokiem całe pomieszczenie. Nie miał pojęcia, od czego zacząć. Było tu tak wiele pudeł. Zatrzymał się przy jednym z nich, blisko wyjścia, i kluczem przeciął taśmę. Rozchylił wieko. W środku zobaczył schludnie złożone ubrania Beth.

Znał te koszule. Pamiętał, jak je nosiła.

Uderzyła w niego fala cierpienia. Stał tak, w bezruchu, z opuszczoną głową, a wspomnienia o niej wirowały mu w głowie.

Nie pachną już nią, pomyślał. Myślał, że będzie inaczej. Ale wartość pudeł, jak i same kartony pachniały tak samo jak wszystko inne w magazynie - papierem i kurzem.

Nie dotykając żadnej z koszul, zmusił się, żeby przejść do kolejnego pudła. Inne rzeczy Beth. Szale, rękawiczki, czapki.

Kochał ją. Była cudowną, przecudowną dziewczyną.

Po raz tysięczny żałował, że w ostatnich miesiącach jej życia nie zajął się nią lepiej. Kiedy wykryto u niej nowotwór, wspólnie usiedli, by rozważyć możliwość jego rezygnacji z hokeja, aby mógł być z nią przez cały czas. Wiedział - był tego absolutnie pewien - że powinien był zakończyć karierę. Ale kiedy Beth nie zgodziła się, żeby zerwał ze sportem, kiedy nakłaniała go do dalszej gry, dał się przekonać. Mała cząstka, gdzieś głęboko w nim, odetchnęła wówczas z ulgą, czego Matt wstydził się aż po dziś dzień.

Przez następne miesiące jeszcze kilka razy wracał do tematu. Lecz podczas każdej kolejnej rozmowy Beth była coraz bardziej wzburzona, aż w końcu poprosiła go wprost, żeby przestał to sugerować.

Wolała zmierzyć się z rakiem, żyjąc tak, jakby nic się nie zmieniło. Wypierała ze świadomości chorobę i Matt też zaczął tak robić. Dopiero w ostatnim miesiącu jej życia dotarło do niego, że Beth może przegrać. Oteępały, każdego dnia żył pozorami i nagle - zanim zdołał ją do siebie wystarczająco mocno przywiązać, by już nie puścić - ona umarła.

Nie mógł sobie wybaczyć, że grał, kiedy ona walczyła z chorobą. Przez ostatnie trzy lata poczucie winy bezlitośnie uprzykrzało mu życie, zabraniało spać, sprawiało, że Matt nienawidził siebie za to, jak potraktował Beth. Żal był gorzką pigułką. Okropnie gorzką, ponieważ Matt nie mógł już zawrócić i zmienić ani jednej rzeczy, którą zrobił.

Otworzył pudło z jej biżuterią. Potem karton z dzinsami.

Był kiepskim mężem za jej życia i nie lepszym po śmierci, ponieważ właśnie zakochał się w kimś innym. Jego serce zaczynało nowy rozdział; Beth nie dostała takiej szansy.

Kiedyś, w środku nocy, gdy leżeli w łóżku, Beth powiedziała: „Chcę, żebyś dalej żył”. Zapaliła lampę, chwyciła jego dłoń i spojrzała na niego z niepokojem. „Chcę, żebyś kogoś sobie znalazł, kiedy mnie już nie będzie. Kogoś, kto cię będzie kochał”. Jej oczy zasły łzami. „Kogoś, kogo będziesz mógł kochać. Chcę, żebyś miał rodzinę i był szczęśliwy. Musisz mi to obiecać. Nie dam rady stawić temu czoła, jeśli będę musiała ciągle się martwić o ciebie”. Obiecał jej to wówczas, ale tylko dlatego, że chciała to usłyszeć. Nie wierzył, by kiedyś jeszcze mogło mu zależeć na innej kobiecie.

— Przepraszam cię, Beth — wyszeptał z całego serca w ciszę wypełniającą magazyn. - Przepraszam.

Jego rozpacz sięgnęła głębiej niż łzy. Nigdy nie potrafił płakać, choć często bardzo tego chciał. Beth nie zasłużyła na taki los. Matt spojrział w górę. *Nie zasłużyła na to!*

Jego jedyną pociechą była świadomość, że Beth nie odczuwa teraz żadnego bólu. Mimo całej swojej wrogości do Boga, Matt wierzył w niebo i nie miał żadnych wątpliwości, że Beth właśnie tam jest.

Prawda?

Tym razem nadeszła odpowiedź. Nagle Matt, gdzieś głęboko w sobie, usłyszał spokojny głos, który przemówił do niego po raz pierwszy od bardzo dawna. **Jest teraz ze mną**, zapewnił Matta. **Jest tutaj.**

Mattowi zebrało się na płacz i po chwili łzy zamglily mu obraz.

- Dobrze - zdołał wykrztusić zaskoczony. - To dobrze.

Zacisnął zęby i ruszył dalej. Otwierał jedno pudło po drugim, przebijając się przez wszystkie przedmioty jego dawnego życia, a które należały do jego zmarłej żony. Teraz już nie było ucieczki od wspomnień, nieważne jak szybki miałby samochód.

Będąc mniej więcej w jednej czwartej, Matt otworzył pudło, do którego schowano jego pamiątki związane z hokejem. Trofea, dyplomy, oprawione zdjęcia, koszulki. Czuł, że coś stracił, i nowy smutek położył się cieniem na wszystkich innych dotychczasowych smutkach wywołanych pobyt w tym miejscu.

Stając oko w oko ze wspomnieniem swojej sportowej kariery, Matt zrozumiał, że nie mógłby dalej w to brnąć. A może nie tyle nie mógł, ile zrozumiał, że to nie ma sensu. Nie zamierzał nic stąd zabierać. Nie chciał tych rzeczy w swoim nowym życiu. Ani jednej z nich.

Wyjął z kieszeni smartfona i zaczął szukać kontaktu do najbliższych organizacji charytatywnych. Skontaktuje się z jedną z instytucji, które wspierała Beth. Powie im, że mogą wziąć wszystko.

Ale gdy na ekranie jego telefonu pojawiły się pierwsze wyniki, zmienił zdanie. W niektórych pudłach znajdowały się albumy ze zdjęciami, pamiątki z dzieciństwa, ślubna porcelana i inne tego typu rzeczy, które zapewne chcieliby zatrzymać rodzice Beth albo jego rodzice. Zanim odda te rzeczy w obce ręce, powinien najpierw je zaproponować im.

Zadzwoił do swojej mamy. Miał dużo szczęścia, bo nie odebrała, dzięki czemu mógł po prostu nagrać wiadomość na pocztę głosową. Potem przejrzał listę kontaktów w swoim telefonie i odszukał numer do rodziców Beth. Po jej śmierci rzadko z nimi rozmawiał, ale teraz zadzwonił, wyjaśnił sytuację i usłyszał swój własny głos, mówiący, że przyleci do nich jutro i przywiezie ze sobą to, co będą chcieli. Matka Beth dokładnie wiedziała, na czym zależy jej, a na czym rodzeństwo Beth, jakby zrobiła tę listę w głowie już dawno temu i tylko czekała, aż Matt zapyta.

Kiedy skończył rozmawiać, zadzwonił jeszcze do linii lotniczych i zarezerwował lot do Georgii.

Na koniec zatelefonował do Kate. Była dla niego jak światło. Sam ton jej głosu uspokajał go. Próbował wyjaśnić, co robi i dlaczego nie będzie go jutro, ale wiedział, że idzie mu fatalnie.

- Muszę porozwozić część rzeczy Beth... Z tymi, które chcą zatrzymać jej rodzice, jadę aż do Atlanty. Potem mogę pozbyć się reszty.

Nie pytała o powód, dla którego uciekł dziś od niej, by odwiedzić magazyn i otworzyć pudła z rzeczami swojej zmarłej żony. Jakby w pewien sposób Kate wiedziała, dlaczego to zrobił.

- Okay - odparła i z tonu jej głosu Matt wyczytał, że mówiła szczerze.
- Może powinienem porozmawiać z Beverly — zasugerował - i poprosić ją o dzień wolnego.

— Nie trzeba, już z nią rozmawiałem. Naprawdę się nie przejmuj. Weź tyle wolnego, ile potrzebujesz. Praca nie ucieknie.

— Potrzebuję tylko tego jednego dnia. Polecę jutro rano i wieczorem będę z powrotem. - Nie przyznał, że nie zniesie, jeśli będzie z dala od niej dłużej niż jeden dzień. - A zatem widzimy się w czwartek.

— Brzmi świetnie.

— Tęsknię za tobą — wyrwało mu się, zanim zdążył się powstrzymać.

Cisza, trwająca ułamek sekundy, i wtem...

— Ja też za tobą tęsknię - padła odpowiedź.

— Niedługo wrócę.

— Bezpiecznej podróży.

Beth odziedziczyła po matce urodę delikatnej blondynki, a po ojcu wrażliwą, sentymentalną duszę. Matt pamiętał, jak jego teściowie o tym rozmawiali, a Beth w tym czasie chichotała, słysząc o mieszance genów, które przypadły jej w udziale. Patrząc teraz na nich, siedzących po drugiej stronie stolika do kawy, z łatwością dostrzegł potwierdzenie tamtych słów. Uroda po mamie. Charakter po tacie.

Siedzieli we trójkę w luksusowym salonie, w luksusowym ogromnym domu z białymi kolumnami, w luksusowej dzielnicy Atlanty. Matka Beth, Anne, była szczupłą kobietą, miała modnie przycięte krótkie włosy i niebieskie oczy w kształcie migdałów. Jej ojciec całą swoją postawą reprezentował status i pochodzenie - dżentelmen z Południa, przedsiębiorca z sukcesami, który pracował już teraz tylko na pół etatu, żeby móc grać w golfa trzy razy w tygodniu.

Za każdym razem, kiedy przez ostatnie lata Matt o nich myślał, zawsze widział ich takich, jak podczas pogrzebu Beth - bladych i zdruzgotanych.

Ale teraz już tacy nie byli. Wyglądali na opalonych i zdrowych. Pokazali mu zdjęcia pięciorga wnucząt, dzieci brata i siostry Beth. Opowiadali o swoim domku letniskowym na Kostaryce i planowanej na wiosnę podróży do Szwajcarii.

Przywoływanie wspomnień o Beth szło im całkiem swobodnie, zupełnie jakby byli przyzwyczajeni mówić o niej na co dzień. Wracali do historii z jej dzieciństwa, które Matt znał doskonale. Przypominali sobie konkursy piękności, ślub Matta i Beth i wspólne wakacje. Mówili o zaletach jej charakteru, ale i o słabościach. O tym, jak potrafiła się rozplakać w zbyt stresujących sytuacjach. O strachu przed lataniem. O tym, że bała się przytyć, choć miała zawsze nienaganną figurę. Matt czuł się nieswojo, ale jej rodzice opowiadali o tych wadach z uśmiechem i z tą samą przyjemnością, co o innych rzeczach.

Nie pamiętał spotkania rodzinnego, na którym ojciec Beth by się nie wzruszył, i ta wizyta nie była wyjątkiem. Rozmowa o Beth sprawiła, że jego oczy kilkakrotnie wypełniły się łzami. Kiedy Matt wstał, by się pożegnać, teść również zareagował emocjonalnie. Uściskał Matta serdecznie.

- Bywamy w Nowym Jorku jakoś raz do roku. Czy nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli następnym razem zboczymy trochę z trasy i wpadniemy do Pensylwanii, by cię odwiedzić? - zapytał.

- Nie ma problemu - odparł Matt. Uścisnęli sobie dłonie, a potem Anne odprowadziła Matta do samochodu, który wypożyczył na lotnisku.

- Dziękuję - powiedziała - że zadałeś sobie trud i przywiozłeś nam rzeczy Beth.

- Nie ma za co.

Zatrzymali się na trawniku przy samochodzie. Matka Beth opatuliła się długim jasnoniebieskim swetrem i przyglądała się Mattowi.

- Była wspaniałą osobą - powiedział Matt. Cały dzień chciał jej to powiedzieć. Chociaż tyle.

- A ty byłeś dla niej wspaniałym mężem.

Skrzywił się trochę. I od razu zauważył, że teściowa dostrzegła jego reakcję. W przeciwieństwie do swojego męża, Anne działała praktycznie, kierowała się zdrowym rozsądkiem i była nieugięta oraz spostrzegawcza jak sokół.

- *Byłeś*- podkreśliła, patrząc na niego niewzruszenie. - Uczyniłeś ją niesamowicie szczęśliwą. Nikt inny nie zrobiłby tego tak jak ty i zawsze będziemy ci za to wdzięczni.

- Nie, ja...

- Matt, nigdy nie wątp w to, że byłeś dla niej cudownym, *cudownym* mężem.

Patrzył na nią z bólem.

- To oczywiście nie jest moja sprawa — dodała Anne — ale czy przypadkiem... nie znalazłeś sobie kogoś?

- Znalazłem - powiedział wolno Matt — kogoś.

- To dobrze. - Wyciągnęła rękę i lekko ścisnęła jego ramię.

— *Dobrze*. Martwiłam się o ciebie. Beth mówiła mi nie raz, że pragnie, byś pewnego dnia znów zaczął żyć. Jestem pewna, że mówiła to także tobie.

- Mówiła.

- No cóż. Zatem do ciebie należy wybór, czy będziesz w stanie to zaakceptować. Podziękuj Beth za to i uszanuj jej życzenie.

- Przyglądała mu się uważnie. - Matt, ona naprawdę nie chciała, żebyś szedł przez życie sam. Miała zbyt dobre serce i za bardzo cię kochała, żeby tego chcieć. Pozbądź się poczucia winy. Rozumiesz mnie?

Nie wiedział, co powiedzieć, więc przytaknął. Anne przytuliła go, a potem kiwnęła głową w kierunku wypożyczonego samochodu:

- Jedź już. Jest chłodno.

Wsiadł i wycofał auto z podjazdu. Ta wizyta była dla niego bardzo trudna, ale nie tak trudna, jak się spodziewał. Postąpił właściwie. Poczł satysfakcję.

Ostatnim wspomnieniem z wizyty w rodzinnym domu Beth była jej matka, która tak bardzo przypominała mu żonę, machająca na pożegnanie, póki nie zniknął jej z oczu.

- Śmietanki? Cukru? - zaproponowała babcia Kate i Theresie, idąc po małą cukierniczkę z chińskiej porcelany i dzbanuszek, których używała za każdym razem, kiedy serwowała podwieczorek.

- Nie pogardzę - odparła Theresa, częstując się jednym i drugim, po czym wepchnęła do ust dwa cyrnonowe ciasteczka.

Ech, pomyślała Kate, spoglądając na świeżo wyjęte z piekarnika smakołyki i filiżankę parującej herbaty. Kiedy wyjadą z Chapel Bluff, naprawdę będzie tęsknić za tym jedzeniem. Podczas pobytu w Redbud przybyło jej tu i ówdzie, co prawie nigdy się nie zdarzało. I w związku z tym, o ile jej się nie przywidziało, chyba powinna się rozejrzeć za biustonoszem o numer większym. Powrót do Dallas — do mrozonek na kolację, do życia bez Matta i do mniejszego biustu - nie zapowiadał się optymistycznie.

- Czekałam na ten moment, kiedy wreszcie usiądziemy we trójkę — oznajmiła Theresa. - A zatem, skoro już tu jesteśmy, myślę, że chwila jest odpowiednio uroczysta.

- Zwłaszcza, że każda z nas ma na sobie kapelusz wielki jak waza do ponczu - dodała Kate.

Theresa roześmiała się i wyciągnęła z torby teczkę.

- Tadam! - Wykonała ruch, jakby chciała im ją podać na srebrnej tacy.

- Oficjalna wycena zawartości Chapel Bluff.

- Thereso! - krzyknęła babcia. - Och, jak cudownie!

Wzięła od niej teczkę i ochoczo zaczęła przerzucać kartki palcami z dwoma olbrzymimi turkusowymi pierścionkami. To cud, że mimo takiego ciężaru wciąż mogła nimi poruszać.

- A więc naprawdę ją skończyłaś. - Kate wyszczerzyła zęby do przyjaciółki.

- Niesamowite, prawda? Między spotkaniami komitetu rodzicielskiego, treningami halowej piłki nożnej, sklepem i opieką nad dwójką krnąbrnych dzieci, zaiste, w końcu udało mi się to zrobić. Sama jestem zaskoczona.

- A ja ani trochę - odparła babcia. - Od razu wiedziałam, że jesteś właściwym człowiekiem na właściwym miejscu.

- Ja też - poparła Kate.

- No cóż. - Kręcone żółte włosy Theresy wystawały nastroszone spod runda jej kapelusza. - Byłam więc chyba jedynym niedowiarkiem.

- Czy dzięki antykom babcia jest obrzydliwie bogata? - zapytała Kate.

- Obrzydliwie, tak jak podejrzewałyśmy. Same zobaczycie.

- Kiwnęła głową w stronę teczki. - Udało mi się ustalić autentyczność większości mebli, a pozostałe mają wartość same w sobie.

- Poklepała babcię po ręce. - Musicie pomyśleć o jakichś zabezpieczeniach, chociażby o systemie antywłamaniowym, i koniecznie o ubezpieczeniu.

- No dobrze — wyszeptała babcia. — Dziękuję ci, Thereso.

- To ja dziękuję *tobie*, Beverly.

- Za Chapel Bluff - powiedziała babcia, unosząc swoją herbatę. Stuknęły się filiżankami.

Theresa dopełniła łyk herbaty połową ciasteczka.

- Czy Matt jest w pobliżu? - zapytała.

Nerwy Kate napięły się na sam dźwięk tego imienia. Od ich pocałunku nie mogła myśleć o niczym innym, jak tylko o nim.

- Dziś ma wolne - odpowiedziała babcia.

- A niech to - zażartowała Theresa. - A tak się starałam, by wyglądać jak człowiek... tak na wszelki wypadek. A co robi?

- Poleciał do Atlanty - powiedziała babcia.

- Po co? Co jest w Atlancie?

- Rodzice Beth - odpowiedziała Kate. Theresa pochyliła się do przodu.

- Niemożliwe. Naprawdę?

- Naprawdę.

- Po co do nich pojechał? Chciał się z nimi spotkać?

- Okazuje się, że po śmierci Beth wynajął magazyn, w którym trzymał rzeczy z ich dawnego mieszkania - wyjaśniła Kate. - Wczoraj zrobił tam przegląd, a potem poleciał, żeby dać jej rodzicom kilka pamiątek.

- I powiedział ci to wszystko? - zapytała Theresa.

- Tak.

- Co jest między wami? - drażyła Theresa. Obie z babcią spojrzały z zaciekawieniem na Kate, czekając, co im odpowie.

Kate była daleka od zwierzeń. Wzruszyła ramionami i starała się wyglądać niewinnie.

- Przyjaźnimy się.

- Więc czemu to zrobił? - kontynuowała Theresa. - Co sprawiło, że nagle zapragnął uporządkować jej rzeczy po tak długim czasie?

Kolejne udawane niewinne spojrzenie.

- Nie wiem.
- Ciekawe, o co tu chodzi - Theresa spojrzała na Kate, potem przerzuciła pytające spojrzenie na babcia.
- Myślę, że o coś bardzo dobrego - pozwoliła sobie zauważyć babcia.
- Myślę, że to oznacza zamknięcie pewnego rozdziału w jego życiu.
- Myślisz, że w końcu jest gotów, by pójść o krok dalej? Że znów zacznie spotykać się z kobietami? - Theresa położyła rękę na sercu. - Myślisz, że my, kobiety tego świata, dostaniemy jeszcze jedną szansę, by go upolować?
- Cóż, Thereso, chyba się do nich nie zaliczasz - powiedziała babcia ze śmiechem. - Ty, kochana, masz męża.
- Dziewczyna zawsze może sobie pomarzyć, Beverly. Czy ty się nie podkochujesz w żadnym gwiazdorze?
- Ja? - zapytała babcia.
- Tak, ty.
- Ja... ja...
- No dalej - namawiała ją Theresa - przyznaj się.
- Przez wiele lat był to Michael Landon.
- Mój Boże, Beverly, przecież on nie żyje! Będziesz musiała się bardziej postarać.
- Babcia zasznurowała usta. Zdjęła okulary i zaczęła się bawić sznurkiem z koralików.
- Skoro musisz wiedzieć, to mam małą słabość do, hmm, Patricka Dempseya.
- Do pana McCiacho? Oglądasz *Chirurgów*?
- Wstyd się przyznać - wyznała babcia. - To okropne, ale tak, oglądam.
- Theresa i Kate wybuchnęły śmiechem.
- A ty, Kate? - zapytała Theresa. - W kim się bujasz?

W Macie Jarreau. Ale gdyby się przyznała, Theresa zapewne od razu nawrzeszczałaby na nią, że papuguje.

- W Davidzie Beckhamie oczywiście. Ale tylko, kiedy się nie odzywa. Głównie wtedy, kiedy pozuje do zdjęć - wymyśliła na poczekaniu.

- Co racja, to racja!

Gdy Theresa wtajemniczała babcię w najnowsze zwroty akcji w *Chirurgach*, Kate odpląnęła myślami, jak można się było tego spodziewać, ku Mattowi.

Od ich pocałunku przez większość czasu chodziła odurzona i pełna euforii. Naprawdę wpadła mu w oko! Jemu - przystojnemu, sławnemu mężczyźnie, o którym marzyło wiele kobiet - wpadła w oko przeciętna śmiertelniczka! Powiedział: „Kate, chcę być dla ciebie kimś więcej niż tylko przyjacielem”. Pamiętała, jak wtedy na nią patrzył. Wciąż na nowo odtwarzała w głowie ich kłótnię, potem pocałunek, jego słowa. Rozkoszowała się tym wspomnieniem.

Ale jakaś cząstka niej - bardzo mała cząstka - była niespokojna. Wczorajszą noc i dzisiejszy poranek Kate spędziła na modlitwie w intencji Matta. Dziękowała Bogu i prosiła Go o przyszłość dla nich. W odpowiedzi Bóg nie napełnił jej jednak pokojem ani przekonaniem, że Kate robi dobrze. Wprost przeciwnie, miała jakieś złe przeczucie. Jakby bała się zapytać Boga wprost, czy związek z Mattem jest zgodny z Jego wolą - bo mogłaby usłyszeć „nie”. Nie chciała podejmować takiego ryzyka, więc nie zapytała i nie planowała pytać.

Kochała Matta. Tak bardzo próbowała go nie kochać. Ale może niektórych rzeczy w życiu, na przykład niektórych miłości, po prostu nie da się zatrzymać.

Nie miała najmniejszego zamiaru zdradzać mu swoich uczuć, a za to poważne postanowienie, żeby rozegrać to na chłodno. Bardzo

pilnowała się, żeby nie pozwalać sobie na fantazje o tym, że Matt pojedzie za nią do Dallas, że się oświadczy, a potem się pobiorą i będą mieli dzieci. Jeszcze nie zwariowała. Wiedziała, że musi trzymać swoją wyobraźnię na wodzy.

Jaki miała plan? Przyjmie od Matta wszystko, cokolwiek zechce jej ofiarować przez te ostatnie dni w Redbud. Był dla niej zbyt ważny, żeby nawet *rozważać* możliwość rezygnacji z tej znajomości. Nie ma mowy. Nie teraz, kiedy zostało tak mało czasu.

Jej serce podskoczyło, gdy usłyszała samochód Matta parkujący na podjeździe. Matt zjawił się punktualnie, jak zwykle, kiedy ona i babcia sprzątały w kuchni po śniadaniu. Dziś, gdy nadjechał, Kate była w trakcie entuzjastycznego szorowania blatu. Próbowwała wyglądać na zapracowaną, ale jednocześnie na kogoś, kto nie wstał superwcześnie tylko po to, by wziąć prysznic, zrobić makijaż i użyć zarówno suszarki, jak i prostownicy do włosów.

Matt wszedł, przynosząc ze sobą rześkie poranne powietrze, w dżinsach i kurtce North Face, którą narzucił na szarą bawełnianą koszulkę, podkreślając ramiona. Na jego widok Kate przeszła fala rozkoszy, jakby od czasu ich ostatniego spotkania minęły dni, a nie godziny.

- Matt! - zawołała babcia i pospieszyła, żeby go przywitać. Podczas rozmowy z babcią Matt wpatrywał się w oczy Kate

przez dłuższą chwilę. Posłusznie oddał babci swoją kurtkę, odpowiedział na kilka pytań i przyjął kubek z kawą, którą mu wmusiła.

- Lepiej wezmę się za pracę - powiedział w końcu.

Wychodząc z kuchni, rzucił Kate spojrzenie i skinął znacząco głową, z milczącą prośbą, by za nim poszła. Gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem wzroku babci, sięgnął po dłoń Kate.

- Cześć. - Nie zatrzymując się, posłał jej uśmiech, którym mógłby roztopić masło z odległości kilometra.

- Cześć.

Postawił kawę na stoliku w salonie i wciągnął Kate za sobą do biblioteki. Gdy zatrzasnął drzwi, zostali sami, otoczeni ciszą i światłem.

Jego oczy błędziły po niej, jakby chciał się upewnić, że Kate naprawdę stoi przed nim we własnej osobie.

- Jak tam podróż? - zapytała.

- Dobrze.

- Na pewno? - Dzięki temu krótkiemu pytaniu chciała mieć pewność, czy naprawdę tak czuł.

- Tak. - Ścisnął jej rękę zdecydowanie, gładząc kciukiem wierzch jej dłoni. Co dziwne, miał minę, jakby czerpał przyjemność z samego patrzenia na Kate.

Uniosła brwi w oczekiwaniu.

- Czy chciałabyś dzisiaj pomóc mi w pracy? - zapytał w końcu Matt.

- Prawie nigdy nie pozwalasz mi ze sobą pracować. Uśmiechnął się lekko.

- Wszystko się zmienia.

- Po południu idziemy z babcią na zakupy, ale teraz chętnie ci pomogę.

- Jesteś zbyt ładnie ubrana na kładzenie płytek.

- Włożę moje robocze ciuchy.

- Biało-czarny strój i baletki? - Jego oczy błyszczały z rozbawienia.

- Chyba masz na myśli balerinki. - Kate przekrzywiła głowę. - Czy ty nabijasz się z mojego stroju do pracy?

- Chyba tak.
- Przecież jest w porządku.
- Wyglądasz, jakbyś miała wystąpić w filmie z Audrey Hepburn.
- A jakim cudem ty coś wiesz o filmach z Audrey Hepburn? Wzruszył ramionami.
- Jestem wszechstronnie uzdolniony. I dużo wiem.
- Jasne - stwierdziła sceptycznie. Uśmiechnął się, a ona odwzajemniła ten uśmiech.
- Naprawdę, dobrze cię widzieć — powiedział.
- To *ciebie* dobrze widzieć.
- Jeśli jesteś wolna wieczorem, to chciałbym, żebyś zjadła dziś u mnie kolację. Ja gotuję.
- Jestem wolna.

Ostatni raz ścisnął jej rękę i posłał spojrzenie tak pełne czułości, że Kate aż skręciło w środku z absolutnej, chaotycznej i szalonej radości.

Tego wieczoru przyrządził dla niej stek, sałatkę i pieczone ziemniaki. Kate nigdy, w całym swoim życiu, nie widziała niczego równie atrakcyjnego, jak Matt Jarreau gotujący kolację.

Zjedli przy małym stoliku śniadaniowym w kąciu kuchni. Światło służyło im na głowy, a w tle syczał się jakiś blues. Gawędzili o Chapel Bluff, pokerze, o babci i jej przyjaciółkach.

Za każdym razem, kiedy na chwilę odwracała wzrok, na jej ziemniakach tajemniczym sposobem lądowało więcej kwaśnej śmietany lub masła. W końcu umyślnie odwróciła głowę i niemal natychmiast przyłapała Matta na gorącym uczynku, z łyżką kwaśnej śmietany nad jej talerzem. Miał figlarne iskierki w oczach jak sześciolatek zadowolony ze swojego dowcipu.

Roześmiała się i udała, że chce go zganić. Wyszczrzył zęby, nie okazując skruchy. Był taki zrelaksowany i czarujący. Kate nie spodziewała się, nawet w najśmielszych snach, że go takim kiedykolwiek zobaczy.

Po kolacji umyli naczynia i przenieśli się na kanapę w salonie. Matt pochylił się i wziął gazetę ze stolika. Ukrył pod nią torbę miętowych ciągutek. Dokładnie takich, jakie lubiła.

Podał Kate cukierki. Spojrzała na znajome opakowanie, całkowicie zaskoczona.

- Skąd wiedziałeś?

- Zauważyłem kilka w twoim pokoju, kiedy malowałem jeszcze raz listwy przypodłogowe.

- I zapamiętałeś? Kiwnął głową.

- Dziękuję.

- Lubisz miętowe?

- Uwielbiam, ubóstwiam wręcz takie ciągutki. Proszę. Spróbuj. - Otworzyła paczkę i rzuciła mu jedną.

Po chwili oboje żuli swoje cukierki.

- Niezłe - ocenił Matt.

- A mógłbyś zjeść, powiedzmy, jedną paczkę na raz?

- Nie. Dwa by mi pewnie wystarczyły. Parsknęła kpiąco.

- To jesteś za cienki w uszach. - Rzuciła mu kolejny cukierek. Zanim go odpakował, pochylił się i podniósł nogi Kate.

- Mogę? — zapytał i nie czekając na pozwolenie, przesunął się i oparł jej łydki na swoich kolanach.

Zrelaksowany, rozerwał papierek i wrzucił do ust ciągutkę, jak gdyby drobne oznaki intymności, jak nogi Kate na jego kolanach, były między nimi czymś naturalnym.

- A więc - powiedział po chwili ciszy przerywanej jedynie szelestem papierków po cukierkach.

- Tak?
- To co z Tylerem?
- A co ma być? — Uśmiechnęła się.
- Wiesz, o co mi chodzi. Nie ma go już na horyzoncie?
- Rozmawiałam z nim podczas ostatniego spotkania i zdecydowaliśmy, że zostaniemy przyjaciółmi.
- On zdecydował czy ty zdecydowałaś? -Ja.
- Nie podoba ci się?
- Gada nam się świetnie. Ale to by się nie udało. Nie myślę o nim w ten sposób. - *Nie tak jak o tobie.*
- Kate - powiedział z uśmiechem Matt - to jest naprawdę dobra wiadomość.

Aż do pierwszej w nocy rozmawiali o wszystkim i o niczym. Podczas rozmowy Kate zauważyła, że oprawione w ramkę zdjęcie Beth zniknęło.

Kiedy na koniec wieczoru Matt odprowadzał Kate do samochodu, przyciągnął ją do siebie i przytrzymał mocno. Po chwili pocałował jej czoło, policzek, kącik ust. Ich oddechy zmieszały się na moment, aż połączył ich pocałunek.

Choć Kate starała się ze wszystkich sił, niska temperatura na zewnątrz w końcu sprawiła, że zadrżała. I tak jak można się było tego spodziewać, Matt zauważył to i zapakował Kate do samochodu, by przypadkiem się nie przeziębiła.

Cholera jasna, pomyślała, odjeżdżając. Głupi dreszcz! Z największą przyjemnością mogłaby całować Matta jeszcze przez wiele godzin.

Dwa wieczory później Matt zajeżdżał do Chapel Bluff, żeby zabrać Kate na randkę. Gdy oboje znaleźli się na podjeździe, Kate na widok lamborghini omal nie zemdląca.

- Co to jest?
- Mój samochód.
- Przecież ty masz pick-upa.
- To jest mój *drugi* samochód.
- Żartujesz.
- Nie.

Zrobiła wielkie oczy.

- Serio?

Roześmiał się. Kate zawsze potrafiła go rozbawić. Uwielbiał patrzeć na jej twarz. Uwielbiał jej słuchać. Umiała sprawić, że uśmiechał się na sam jej widok.

Kate okrążyła samochód z zaciekawieniem.

- Co to jest?
- Lamborghini Murciélago.
- Piękne.
- Dzięki. Spojrzała na niego.
- Jesteś jakimś sławnym hokeistą czy coś?
- Kiedyś byłem. Kate uśmiechnęła się.
- No raczej.

Otworzył jej drzwi, by mogła wślizgnąć się na siedzenie. Przez ostatnie dwa dni myślał wyłącznie o dzisiejszym wieczorze. Zamierzał zabrać ją do restauracji trzy miasteczka dalej, o której kiedyś wspomniał mu brat. Wybrał to miejsce z kilku powodów - odległości (randka będzie dłuższa), jedzenia (podobno mają genialną kuchnię) oraz tego, że było tam elegancko (więc będzie mógł cały

wieczór gapić się na Kate ubraną w małą czarną i czarne kozaki na obcasach).

Kate zaśmiała się, wskazując na kuchenne okno Chapel Bluff.

- Wygląda na to, że mamy kibiców.

Matt zobaczył, jak Beverly i Peg śledzą każdy ich ruch z twarzami niemal przyklejonymi do szyby. Uniósł rękę w geście pozdrowienia, a potem włączył silnik i ruszył w dół podjazdu.

- Masz ochotę poczuć prawdziwą prędkość? - zapytał po kilku kilometrach, kiedy wjechali na autostradę.

- Sama nie wiem. A o jakiej prędkości mówimy?

- Bezpiecznej.

- No dobra, to gaz do dechy. Uśmiechnął się i przycisnął pedał gazu.

Co wieczór, jeszcze przed Świętem Dziękczynienia, Matt albo zostawał na kolacji w Chapel Bluff, albo zapraszał Kate na jedzenie do siebie. Bardzo często przyjmowała te zaproszenia, ponieważ rozpaczliwie chciała spędzić z nim każdy moment, jaki jeszcze im pozostał. Wciąż jednak jakaś częśćka niej cały czas zalecała ostrożność.

Wiedziała, że ma bzika na punkcie Matta, ale nie chciała zatracić się w tym zupełnie. Potrzebowała asekuracji, odrobiny niezależności, choćby niewielkiego dystansu. Zdrowego rozsądku. Zabezpieczenia. Jakiejś częśćki, którą będzie miała wyłącznie dla siebie.

Dlatego kilka zaproszeń postanowiła odrzucić. Siedziała potem w swoim pokoju, wgapiając się w mały telewizor, tęskniąc za Mattem i żalując, że zamiast niego wybrała jakiś dziwny program TV.

Rodzina Matta zjawiała się na dzień przed Świętem Dziękczynienia. Choć Kate nie widziała się z nim wcale tamtego dnia, trzykrotnie dzwonił do niej. Za każdym razem mówił jej, że o niej myśli, interesował się, co porabia, i upewniał, że nadal planuje wpaść do niego kolejnego popołudnia, kiedy wraz z babcią skończą świętować u Velmy.

A Kate trzykrotnie zapewniła go, że tak właśnie będzie.

Zjawiły się w domu Matta około piątej. Otworzył im drzwi, zanim zdążyły nawet zapukać. Natychmiast skupił uwagę na Kate, obejmując ją wzrokiem. To samo pełne pochlebstwa spojrzenie posyłał jej za każdym razem, gdy widzieli się pierwszy raz po dłuższej rozłące. Odwzajemniła je. Uśmiechnęła się szeroko, czując miłe dreszcze. To będzie jej najlepsze Święto Dziękczynienia w historii, bo Matt był jego częścią.

- Cześć! - powitała go babcia. - Tak się cieszymy, że możemy tu być. Dziękujemy za zaproszenie.

- Nie ma za co. Pozwól, że ja się tym zajmę. - Odebrał od niej jeszcze ciepłe ciasto dyniowe. - Wchodźcie - zachęcił.

Babcia bez skrępowania ruszyła w kierunku salonu.

- Wszystkiego najlepszego z okazji Święta Dziękczynienia

- powiedziała z czułością Kate.

- Już mam wszystko, co najlepsze, skoro tu jesteś - mruknął.

- Czekam od kilku godzin.

- Przecież jesteśmy punktualnie.

- Tak, ale oczekiwanie ciągnęło się w nieskończoność.

- A jak ci mija dzień?

- Jest dobrze. - Zaprosił ją gestem do środka. - Chodź za mną.

Było tu bardzo przytulnie. Ciepłe światło radośnie rozświetlało wnętrze, a w powietrzu unosiła się woń indyka i żurawiny. Krewni Matta ruszyli się ze swoich miejsc i otoczyli babcię i Kate, by się przedstawić.

Tata Matta miał na sobie sweter robiony na drutach, beżowe spodnie z kieszeniami i zamkami po bokach, a na stopach buty trekkingowe. Wyglądał jak jeden z tych facetów, którzy stale wybierają się na wyprawy do dżungli i biegają w maratonach. Same ścięgni i chude mięśnie.

Mama Matta, Elaine, z brązowymi krótkimi włosami, zaczesanymi za uszy, była opalona. Tego dnia włożyła luźny, ale elegancki strój. Na uszach połyskiwały jej stylowe kolczyki wysadzone diamentami.

Brat był starszą i niższą wersją Matta. Te same ciemne włosy i oczy; różnicę stanowiły okulary wciśnięte na nos i dodatkowe siedem kilogramów wokół talii. Zachowywał się jak prawdziwy biznesmen. On, jego żona i ich mali synowie - czterolatek i kilkumiesięczny bobas - wyglądali na modelową rodzinę klasy średniej, której się powodziło.

Matt przedstawił Kate i babci również trójkę uroczych dziadków, ciotkę intelektualistkę oraz jej dziwną, wyglądającą na kujonkę córkę w wieku studenckim.

Kiedy całe towarzystwo już się poznało, wszyscy mężczyźni, oprócz Matta, wrócili na porzucone kanapy i krzesła. Wyłączyli pauzę na nagrywarce cyfrowej, by dalej oglądać mecz futbolowy. Jedna z babć wraz z kujonowatą kuzynką poprowadziły czterolatek do kuchennego stołu, gdzie czekała rozpoczęta gra planszowa Candy Land. Reszta rozsiadła się wokół stołu w jadalni, który z tej okazji rozłożono na maksymalną długość. Dekoracja - zielony wieniec z pomarańczowymi tykwami, grubymi białymi świecami i gałązkami żółtych jagód - została skomponowana ze smakiem,

zapewne kobiecą ręką. Na końcu stołu, w oczekiwaniu na kolejną rundę, leżały zasłonięte kości Rummikub.

Spędzili godzinę na rozmowie i poznawaniu się bliżej. Matt nie wrócił do oglądania meczu. Siedział obok Kate, odpowiadając na pytania i słuchając. Kiedy babcia zasugerowała, żeby zagraли w Rummikub, Kate niemalże zrobiło się go żal.

- Jeśli chcesz, idź obejrzeć mecz - wyszeptła do niego. - Poradzimy sobie, nie martw się.

- Nie, jest okay.

Został i zagrał z nimi, choć wiedziała, że uważa Rummikub za mało dynamiczną grę dla dziewczyn.

Kiedy nadeszła pora kolacji, wszyscy jednogłośnie stwierdzili, że nie są jeszcze głodni po ogromnym posiłku, który zjedli wcześniej. Jednak mama Matta, babcia i ciotka, podpierając się świąteczną tradycją, przygotowały kanapki i podały je na papierowych talerzykach. Tosty z białego chleba z majonezem, sałatą lodową i resztkami indyka, hojnie oproszonymi solą i pieprzem. Kate dostała trójkątne pieczywo i chipsy ziemniaczane. Nie miała za bardzo apetytu, zabierając się za jedzenie, ale kanapka była tak pyszna, że w końcu nie tylko zjadła całą porcję, ale jeszcze popchnęła ją dyniowym plackiem babci i kawą.

- Chyba powinienem cię ostrzec - zwrócił się do niej Matt. - W każde Święto Dziękczynienia moja rodzina gra w Trivial Pursuit'. Panowie przeciw paniom.

- Mam nadzieję, że mają jedną z jakichś nowszych wersji.

- Chciałabyś. To ta z oryginalnymi pytaniami sprzed pięćdziesięciu lat.

- Może babcia i ja powinnyśmy już sobie pójść...

* Rodzinna gra planszowa, która polega na odpowiadaniu na pytania z wiedzy ogólnej - przyp. tłum.

- O nie, zostajesz do końca.

- Tylko się wygłupię. Spojrzał na nią z rozbawieniem.

- Ja przez ciebie wygłupiam się co tydzień, grając w pokera.

- Nie byłoby tak, gdybyś miał choć odrobinę talentu. Zaśmiał się, a Kate zobaczyła, jak jego mama z czujnością zarejestrowała ten dźwięk.

- Kate - zwróciła się do niej Elaine - jeśli masz chwilkę, chciałabym ci pokazać kilka portretów, które zamówiłam.

- Jasne. - Kate ruszyła za nią do jednego z pokoi gościnnych. Tam Elaine otworzyła walizkę, wyjęła płaskie pudło i zaprosiła Kate gestem, żeby usiadła blisko niej na krawędzi łóżka. Jedną za drugą zaczęła pokazywać Kate piękne rodzinne fotografie, robione na plaży, w otoczeniu wydm, białych piasków i czystej wody.

- Przekonałam Matta, żeby przyjechał do nas na tydzień w sierpniu — powiedziała. — Właśnie wtedy je zrobiliśmy. Przywiozłam odbitki, żeby dać je wszystkim.

Kate kiwnęła głową.

- Są wspaniałe - pochwaliła.

W większości były to zdjęcia grupowe. Na kilku widniała rodzina brata Matta, na innych dwaj wnukowie, na jeszcze innych Elaine z mężem. Jako ostatnie wyciągnęła niepozowane zdjęcie Matta. Fotograf uchwycił jego profil, gdy Matt stał z rękoma w kieszeniach.

- Mój syn nie wie, że kazałam zrobić to zdjęcie. Oczywiście sam nigdy by się nie zgodził, ale ja chciałam... - Głos Elaine załamał się. - Chciałam mieć choć jedno jego zdjęcie.

Na zdjęciu Matt był niesamowicie przystojny... i do bólu samotny. Wpatrzony ze smutkiem w ocean, podczas gdy wiatr mierzwił mu włosy i przyciskał do piersi koszulę.

- Bardzo piękne zdjęcie, a jednak zasmuca mnie za każdym razem, kiedy na nie patrzę — wyznała Elaine.

Kate rozumiała to. Ją też przygnębiała ta fotografia.

- Przeżył straszne chwile.

Pełne dobroci, żywe, jasnobrązowe oczy Elaine zaszkliły się od łez. Delikatnie pociągając nosem, patrzyła jeszcze przez chwilę na portret, a potem dołożyła go do innych i odstawiła pudełko. Otarła oczy.

- Przepraszam, że tak się przy tobie roztkliwiam.

- Nie szkodzi, naprawdę - zapewniła ją Kate.

- Chodzi o to, że ja tak długo się o niego martwiłam. A dziś* wydaje mi się, że jest chyba w lepszej formie. Po raz pierwszy od lat wreszcie widzę jakąś zmianę na lepsze i *czuję ogromną ulgę*.

- Rozumiem.

- Znasz go od kilku miesięcy.

- Zgadza się.

- Czy tobie też się wydaje, że jest z nim lepiej?

- Tak.

Elaine przekrzywiła nieco głowę.

- Co twoim zdaniem mu pomogło?

Co mogła odpowiedzieć? Nie chciała spekulować, a już na pewno nie chciała zdradzić jego zaufania.

- Nie wiem tego na pewno.

- Modlisz się? - zapytała Elaine.

- Tak.

- Wiedziałam! — Wyciągnęła rękę i gwałtownie ścisnęła dłoń Kate. - Ja też wierzę w moc modlitwy. Modliłam się, żeby znalazł się ktoś, kto dotrze do Matta. Najwyraźniej nikt z nas nie mógł tego dokonać. Próbowaliśmy i próbowaliśmy, ale on cały czas nas odpychał.

- Tak, jest w tym dobry.

- Ale wydaje mi się, że tobie się udało. Wyglądał przez okno kilkanaście razy, zanim przyszedł. Udało ci się do niego dotrzeć.

Kate zawahała się.

- Może - pozwoliła sobie przyznać.

- Chcę podziękować. Jestem ci bardzo wdzięczna.

- Nie trzeba. - Kate nigdy nie miała w sobie ani tyle zdolności, ani siły, żeby uzdrowić Matta sama. - To Bóg nad nim pracował.

Elaine kiwnęła głową.

- No to chwała Panu. Zatem naprawdę nas wysłuchuje.

- Tak, to prawda.

Między Kate i Elaine przeskoczyła iskra zrozumienia, zgody i wspólnej wiary. Kate rozpoznała w Elaine przyjaciółkę, osobę, która myśli podobnie jak ona. Dlatego postanowiła zebrać się na odwagę i...

- Elaine, mogę cię o coś zapytać?

- Oczywiście.

- Co sądzisz o tej całej sprawie z hokejem? - Kate jeszcze nie zdradziła się przed Mattem, ale porzucenie przez niego kariery sportowej nie dawało jej spokoju. Z każdym kolejnym dniem dręczyło ją to coraz bardziej.

Twarz Elaine złagodniała pod wpływem wspomnień.

- Widziałaś kiedyś, jak gra? - zapytała.

- Nie.

- To była czysta przyjemność patrzeć na niego w czasie meczu. Idealna kombinacja siły, koordynacji i gracji. Nie był jednym z tych, co to ściągają rękawice i rzucają się do bijatyki. Zawsze bardzo spokojny, opanowany, taktyk. Zabójczo skuteczny. Nie uwierzyłabyś, gdybyś go zobaczyła. Ja nie wierzyłam. - Uśmiechnęła się. - Nie wiem, czy wiesz, ale grał w reprezentacji podczas igrzysk olimpijskich. I był wiodącym graczem Baronów z największą liczbą bramek, kiedy zdobyli Puchar Stanleya. Sama zatem widzisz,

że nie jestem jedynie kolejną matką przechwalającą się swoim dzieckiem, kiedy mówię, że był jednym z najlepszych na świecie.

Jeden z najlepszych hokeistów na świecie obecnie kładł kafelki w łazience babci Kate. Przestało to mieć dla niej sens. Remontowanie starych domów było zajęciem godnym szacunku. Dla kogokolwiek innego mogłoby to być nawet wypełnienie Bożego planu. Ale nie dla Matta. Bóg miał wobec niego inną, śmielszą drogę.

- Od czasu do czasu próbuję z nim rozmawiać o hokeju - ciągnęła Elaine. - Wydawałoby się, że dobrze mu to zrobi, prawda? Że będzie mógł sobie porozmawiać o czymś, co było niezwykle ważną częścią jego życia. Te wszystkie godziny spędzone na lodzie, podróże, treningi. Ale on nie chce rozmawiać. Z ojcem meczu też nie obejrzy. Nic.

- Zauważyłam - odparła Kate.

- Że też tak to się skończyło... - Elaine cmoknęła. - W takim momencie. Nie wiem, jak on sobie z tym radzi. - Posłała Kate smutny, pełen ufności uśmiech. — Wiem, że nigdy nawet tego nie będzie chciał rozważyć, że to niemożliwe, ale czasem marzę o jego powrocie na lód, wyobrażam sobie, że dostaje szansę, aby zakończyć karierę tak jak inni sportowcy.

Kate poczuła, jak po ramionach przebiega jej dreszcz. Słowa Elaine były echem tego, co Kate sama czuła. Tak naprawdę jednak to nie Elaine utwierdziła ją w tym uczuciu. To był Bóg. Chciał, by Matt wrócił do sportu.

Podobnie jak z emocjonalnymi bliźniami, które nosił Matt, także w przypadku hokeja Kate nie miała w sobie wystarczająco dużo siły, żeby nakłonić go do powrotu. Ale była skłonna pozwolić Bogu, żeby się nią posłużył.

On musi do tego wrócić, słyszała głos, który ostatnio szeptał jej jak refren te słowa. **To jeszcze nie koniec.**

Dobry Boże, pomyślała. Matt nie będzie z tego zadowolony.

W niedzielny wieczór Kate zjadła kolację, składającą się z podgrzanych w mikrofalówce resztek, i skuliła się z książką na kanapie w salonie. Mniej więcej w połowie trzeciego rozdziału lekturę przerwało jej pukanie do drzwi. Zaskoczona, z wrażenia aż podskoczyła; nie spodziewała się nikogo.

Cicho podeszła do drzwi i zerknęła przez wizjer. Po drugiej stronie, otoczony ciemnością, stał Matt. Żołądek Kate podskoczył z euforii. Przekręciła klucz, otworzyła drzwi i uśmiechnęła się szeroko do przybysza.

Matt założył tego wieczoru brązowy sweter, który uwielbiała, ten z krótkim zamkiem pod brodą. Jego rodzina zatrzymała się w mieście na cały weekend i choć często wykradał się, żeby do niej dzwonić, nie widzieli się od Święta Dziękczynienia. Posłał jej uśmiech.

- Krążą plotki, że seniorzy spędzają dziś czas poza domem.
- A to wcale nie plotki. Są na koncercie fortepianowym. Podeszedł do niej na tyle blisko, że niemal jej nie nadepnął.

Wydała z siebie cichy pół okrzyk, pół chichot i zaczęła się wycofywać, kiedy on szedł prosto na nią.

- To chyba jakiś Irlandczyk - powiedziała. - Gra na fortepianie, znaczy się.

Bredzisz, Kate! Ale nic nie mogła na to poradzić. Bliskość Matta przyprawiała ją o zawrót głowy. Plecami uderzyła o najbliższą ścianę.

- Ci seniorzy mają bardziej ożywione życie towarzyskie niż ja.

- Narzekasz na swoje życie towarzyskie? - wyszeptał. Uwięził Kate w swoich ramionach, a potem pochylił się,

ofiarowując jej fantastyczny pocałunek. Serce Kate zaczęło bić jak szalone. Nie musiał specjalnie się starać, by uwolnić motyle w jej brzuchu. Samo patrzenie na jego ręce albo zapach jego mydła sprawiały, że było jej bardzo przyjemnie. A co dopiero te pocałunki! *Och, jego pocałunki.* Swego czasu całowała paru innych chłopaków, ale żadne z tamtych pocałunków nie mogły się równać z pocałunkami Matta. *Jego* pocałunki sprawiały, że Kate miała pustkę w głowie i czuła fale gorąca.

- Tęskniłem za tobą - wyszeptał.

- Też za tobą tęskniłam.

Ujął twarz Kate w dłonie i złożył na jej ustach kolejny delikatny pocałunek. Odsunął się i spojrzał na nią, unosząc jeden kącik ust w charakterystycznym uśmiechu.

Poprowadziła go na kanapę. William rozpałił wcześniej ogień w kamiennych kominkach we wszystkich pokojach. Płomienie migotały i trzaskały spokojnie.

Matt usiadł i, jak zwykle, uniósł jej nogi i położył je sobie na kolanach.

- Wyglądasz pięknie.

- Naprawdę? - Spojrzała po sobie. Welurowy jasnobezowy dres, różowe futrzane kapcie i włosy związane w kucyk.

Jego oczy iskrzyły się figlarnie.

- Teraz powinnaś powiedzieć: dziękuję.

- Dzięki, ty też wyglądasz pięknie.

- Naprawdę? - zapytał, naśladowując jej głos.

Uśmiechnęli się do siebie.

- Czy twoja rodzina już wyjechała?

- Tak, dzięki Bogu. Właśnie wracam z lotniska.

- Och, przestań - rzuciła w odpowiedzi na jego pełną udręki minę. - Nie było wcale tak źle, prawda?

- Było, Kate.

- No cóż, przynajmniej masz tę satysfakcję, że wiesz, iż postąpiłeś właściwie.

Odchrząknął i wyciągnął się na kanapie. Delikatnie chwycił kosmyk jej włosów, który wymknął się z kucyka, i gładził go zgrubiałymi opuszkami palców.

O rety. Nie chciała robić *niczego*, co mogłoby położyć kres tej sielance, popsuć tę swobodę między nimi. Ale musiała. Myśl o hokeju nie dawała jej spokoju.

Podczas rozmowy Matt ciągle bawił się jej włosami. Wstała, żeby przynieść lody wiśniowe, a on wykorzystał tę okazję, by skraść jej kolejne pocałunki w kuchni. Gdy wrócili do pokoju, poruszył pogrzebaczem polana w kominku i dorzucił kilka drewna. Jedli lody, siedząc koło siebie na kanapie, podziwiając wzniecone płomienie i śmiejąc się z dziwactw, które członkowie rodziny Matta zaprezentowali podczas weekendu.

- O co chodzi? - zapytał Matt, kiedy ruszyli do kuchni, by odnieść puste pucharki.

- Co masz na myśli?

- To marszczenie czoła. Cały czas to robisz. Jakby coś cię rozpraszało, martwiło.

Była zaskoczona, że zauważył.

- Od kiedy zrobiłeś się taki spostrzegawczy?

- Nic nie ujdzie mojej uwadze, gdy chodzi o ciebie. Przygryzła wargę.

- A więc? - zapytał.

Nie mogła się skupić, słowa więzły jej w gardle.

- Po prostu mi powiedz — poprosił cicho.

- Chodzi o... - Kate westchnęła. — Chodzi o ciebie i o hokej.

- Nie ma już mnie i hokeja.

- Ale mogłoby być.

- Nie.

- Posłuchaj. - Wyprostowała się. Zmarszczyła brwi, starając się dobrać słowa. - Myślę, że każdy, kto kocha swoją pracę, kto jest w niej świetny, zawsze ma nadzieję, że odejdzie z niej, kiedy będzie na to gotowy, na własnych warunkach.

- Oszczędłem na własnych warunkach.

- Tak, ale to było wtedy. Gdybyś dostał drugą szansę, zrobiłbyś to inaczej?

- To bez znaczenia. Nie będę miał drugiej szansy.

- Dlaczego nie?

Polano złamało się i upadło z trzaskiem w ogień.

- *Dlaczego nie?* Ponieważ skończyłem z tym. Skończyłem z tym wiele lat temu.

- Ale gdybyś tylko chciał, mógłbyś wrócić i to dokończyć. Patrzył na nią z niedowierzaniem.

- To niemożliwe.

- Dlaczego?

- Ponieważ od lat nie grałem w hokeja.

- Ale jesteś nadal w niesamowitej formie. Mógłbyś zacząć treningi, żeby znów przygotować się do gry. Co trzeba zrobić, żeby wrócić? Bo ja nie wiem. Powiedz mi.

Zerwał się na równe nogi i stanął przy oknie. Oparł się o framugę i wpatrzył w czarne niebo. Milczał.

- Musisz przecież znać jakiegoś trenera, który by ci pomógł. Na pewno miałeś agenta. Do niego też mógłbyś zadzwonić, zobaczyć, co powie — podsuwała mu rozwiązania.

- Nie chcę o tym rozmawiać. - Każde słowo wypowiedział chłodno i szorstko.

Podniosła się, czując, jak jej ręce i nogi drżą.

- Wiem, że nie chcesz.

- To porzuć ten temat.

- Nie mogę, ponieważ mam poczucie, że nigdy nie będziesz w stu procentach szczęśliwy, jeśli nie wrócisz i nie skończysz tego, co zacząłeś, tak jak powinienes.

Stanął na wprost niej.

- A co ty możesz wiedzieć o moim szczęściu?

- Nic. - Poczowała ukłucie. - Ponieważ nic mi nie powiedziałeś. Ale nie tylko ty jesteś spostrzegawczy. Obserwowałam cię i widziałam, jak bolesne jest dla ciebie choćby zwykłe napomknięcie o hokeju. Widziałam twoją twarz, gdy zobaczyłeś mecz hokeja w telewizji. Gdybyś tego nie kochał, to by cię nie raniło. Chyba że to zwykły żal o to, jak zakończyła się twoja kariera.

- Czego jeszcze ode mnie chcesz, Kate? — Jego oczy ciskały błyskawicami. - Już i tak daję ci wszystko, co mam.

Wyprostowała się, jakby miała kręgosłup ze stali.

- Chcę, żebyś znów zawodowo grał w hokeja. Warknął ze złością.

- Jeśli byłabyś kimkolwiek innym, powiedziałbym ci dokładnie, co możesz sobie zrobić z tym swoim żądaniem - wypalił.

- Ale nie powiesz mi, bo wiesz, że chcę jedynie tego, co dla ciebie najlepsze. Prawda?

Matt chwycił pęk kluczy i wymaszerował przez drzwi frontowe, nie oglądając się za siebie.

Gratulacje, Kate. Zapadła się w kanapę. *Poszło ci naprawdę świetnie.* Wzięła kilka głębokich wdechów i siłą woli spróbowała powstrzymać się od płaczu.

Kolejna godzina minęła Kate w ponurej atmosferze. Próbowła czytać - nie wyszło. Próbowła oglądać telewizję - nic z tego. Próbowła surfować po Internecie - kolejna porażka. W końcu zeszła na dół i wyczyściła wszystko, co wymagało czyszczenia, żeby przynajmniej zająć czymś ręce. Kiedy rozładowała zmywarkę i właśnie miała zgasić światło, wyjrzała przez okno... .. i zobaczyła jego.

Matt stał na zewnątrz, opierając się o bok samochodu, i patrzył w jej okno. Uczucia, które wrzały wewnątrz Kate, ostatecznie przerwały wszystkie bariery. Starając się zachować zimną krew, sięgnęła po kurtkę, wolno zapięła guziki i wyszła.

Oderwał się od ciężarówki, by spotkać się z Kate w pół drogi. W odległości kilku kroków od siebie oboje się zatrzymali.

- Nie mogę znieść myśli, że jesteś na mnie zła - powiedział. - Robi mi się niedobrze.

Jej serce stopniało. Czyli jednak nie odsunął się od niej na zawsze.

- Czuję dokładnie to samo.

Zmarszczył czoło, spoglądając na nią zmartwiony.

- Słuchaj - powiedziała. - Przykro mi, że sprawiłam ci przykrość. Przesadziłam, tak na ciebie naskakując, i jestem pewna, że można było to zrobić z większym taktem.

Jego szczęka niemal niezauważalnie drgnęła.

- Nie wracam do hokeja - oznajmił.

Kate nie miała zamiaru się tym zadowolić. Ale wiedziała, że jak na jeden wieczór, Matt usłyszał wystarczająco dużo i że ona teraz musi się wycofać.

- Na tym etapie chcę tylko, żebyś mi obiecał, że o tym pomyślisz.
- Nie ma o czym.
- Zrobisz to dla mnie? - zapytała. - Czy możesz się zgodzić, że po prostu o tym pomyślisz?

Jęknął, zamykając Kate gwałtownie w swoich ramionach. Zatopił nos w jej włosach, jakby chciał zaciągnąć się tym zapachem, wchłonąć go w siebie.

- Wszystko bym dla ciebie zrobił - powiedział żarliwie w czubek jej głowy. - Kupiłbym ci wszystko, zabrałbym cię wszędzie.

- Więc o tym pomyślisz - wyszeptala w jego kurtkę. Przygarnął ją do siebie jeszcze mocniej. Czekala.

- Pomyślę o tym - powiedział.

W ramach niepisanej umowy ani Kate, ani Matt nie poruszali tematu zbliżającego się powrotu Kate do Dallas. Matt jednak myślał o tym cały czas. Myślał też o hokeju, tak jak obiecał.

Zmusił się nawet, żeby wysiedzieć na całym meczu w telewizji. Oglądanie sportu, który niegdyś się trenowało, po tak długim czasie było dla niego dziwnym i trudnym doświadczeniem. Patrzył krytycznie, wyrobionym i doświadczonej okiem, próbując ograniczyć się jedynie do chłodnej analizy. Ale przez cały ten czas, kiedy siedział sam w swoim domu przed telewizorem, ogarniały go różne uczucia. Gorycz. Zazdrość. I najgorsza ze wszystkich, żalosa tęsknota.

Jak zwykle Kate zmuszała go, żeby robił rzeczy, których nigdy nie chciał robić. Ale obiecał jej, że się zastanowi. Choć chyba coś

jej się pomieszało, skoro sądziła, że Matt mógłby wrócić teraz do hokeja. To niemożliwe.

- A więc - zaczęła Beverly. Gotowali razem kolację. Kurczak Cordon... coś tam. - Kate i ja ustaliłyśmy już nieodwołalną datę wyjazdu.

Palce Matta zacisnęły się mocniej na rękojeści noża.

- Wyruszamy za tydzień, licząc od tej soboty - oznajmiła babcia. - Czyli za dziesięć dni. Jejku, ależ ja będę za tobą tęsknić! I co pocznę bez mojego kuchennego pomocnika?

Jakby zabrakło mu tchu. Jego gardło zacisnęło się i nie mógł przełykać śliny. Zostało mu bardzo mało czasu z Kate.

A co on pocznie? Nie wiedział, naprawdę nie wiedział, czy będzie potrafił bez niej żyć. Starał się zachowywać tak, jak zachowywałyby się każdy normalny mężczyzna. Mówić i zachowywać się zwyczajnie, żeby jej całkiem nie wystraszyć. Ale wiedział, że daleko mu było do normalności. Za bardzo jej potrzebował. Kiedy przez ostatnie miesiące poznawał Kate, ona powoli i nieodwołalnie stała się dla niego wszystkim.

- Matt? - zapytała Beverly. - Dobrze się czujesz? Zorientował się, że stoi bez ruchu. Spojrzał na nią.

- Tak, tak. Wszystko w porządku. - Wrócił do krojenia warzyw, które babcia położyła przed nim na desce.

Dziesięć dni. Jego umysł i serce zaczęły wirować. Dziesięć dni.

Prace w Chapel Bluff mógł skończyć już tydzień temu. Ale chciał być blisko Kate, wymyślał zatem ciągle nowe zadania i realizował je *bardzo wolno*. Skoro teraz nie mógł znieść myśli, że nie będzie jej widział przez godzinę, to jak sobie poradzi, kiedy Kate wróci do Dallas?

Spojrzał na deskę.

- Co to w ogóle jest? Cukinia? Jakiś gatunek kabaczka? - zapytał i zdał sobie sprawę, że prędzej przeprowadzi się do Dallas

niz będzie żył z dala od niej. A może Kate, jeśli ją poprosi, jeśli pomoże jej znaleźć pracę, którą mogłaby pokochać, zechciałaby zostać tutaj, w Redbud?

Żelazna obręcz wokół jego klatki piersiowej zwolniła uścisk.

Musi postępować mądrze i wybrać odpowiedni moment, żeby z nią porozmawiać i nie przestraszyć jej swoim pragnieniem. A wtedy, jeśli perfekcyjnie to rozegra, może uda mu się ją przekonać, żeby go nie zostawiała.

- Masz dziś ochotę na film? - zapytała go Kate kilka dni później.

Matt pracował, a ona w ramach przerwy siedziała jak zwykle na swoim wiadrze, popijając wodę prosto z butelki i rzucając Mattowi ukradkowe, pełne zachwyty spojrzenia.

- Mogłabym coś wypożyczyć w drodze do ciebie - zaproponowała.

- Jasne.

- Co powiesz na *Dumą i uprzedzenie*?

- A co to takiego? - zapytał nieufnie. - To chyba nie żaden z tych filmów, w których wszyscy biegają ubrani w starodawne ubrania i mówią z brytyjskim akcentem?

- Ależ to jest dokładnie to. Matt jęknął.

- Ale to takie romantyczne! Możliwe, że jest to najbardziej romantyczna historia w dziejach - próbowała zachęcić go Kate.

Przerwał pracę i spojrzał na nią uważnie.

- Co niby, twoim zdaniem, jest *romantyczne*?

- Pytasz serio?

- Tak. Co to znaczy „romantyczne”? Dla ciebie.

Zastanawiała się przez chwilę.

- Już wiem — powiedziała w końcu.

- Jeśli Anglik w cylindrze i obcisłych spodniach - rzucił Matt - to masz pecha.

Kate zaśmiała się.

- Nie. W mojej okolicy mieszka para staruszków. Są naprawdę starzy. I wydaje mi się, że żona cierpi na Alzheimera. Tak czy owak, każdego ranka idą razem na spacer. Odnoszę wrażenie, że jej mąż codziennie zapina jej guziki płaszcza, wybiera buty, czesze włosy. Chodzą sobie tak cały czas, on ją podtrzymuje w taki charakterystyczny sposób, jakby trzymał ją *całą*. - Nagle nie mogła opanować fali łez, która napłynęła jej do oczu.

Matt z uwagą wpatrywał się w Kate.

- To jest dla mnie romantyczne - dodała. - Miłość aż po grób. Cisza i drobinki kurzu dryfowały między nimi. Matt odpiął i odłożył na bok pas z narzędziami.

- Chodźmy do mnie.

- Jest dopiero w pół do drugiej.

- Co oznacza, że możemy obejrzeć twój film i spędzić razem resztę dnia.

- A co z twoją pracą?

- Ołać to.

- Babcia będzie się zastanawiała, gdzie pojechałam.

- Napisz jej kartkę.

Zdziwiona wpatrywała się w niego przez chwilę, po czym zachichotała.

- Dobrze, zrobmy tak — zgodziła się.

Kiedy wyszli na zewnątrz, ruszyła w kierunku swojego auta.

- Dziś ja mogę cię odwiedzić - powiedział na to Matt. - Chcę odwiedzić cię do domu. Pozwól mi.

Kate była jednak nieugięta i pojechała własnym samochodem najpierw do wypożyczalni, a potem do domu Matta. Mijając znajome już ulice, besztła sama siebie i wyzywała od bezmyślnych.

Kochała go. Ona. Kochała. Matta. Lecz mimo to wciąż było kilka rzeczy, których trzymała się kurczowo niczym boi ratunkowej: a) zawsze jechała do Matta i wracała własnym samochodem, b) nadal co jakiś czas odrzucała jego zaproszenia i spędzała wieczór w domu z babcią. Jakby któraś z tych strategii mogła jeszcze uchronić jej serce! A jednak wciąż broniła się nimi, nie mogąc pozbyć się wrażenia, że jej i Mattowi nie było pisane szczęśliwe zakończenie. To bolesne i narastające przeświadczenie nieprzerwanie chowało się pod osłoną innych myśli i uczuć.

To nie skończy się dobrze.

Odepchnęła od siebie troski. Problem jednak polegał na tym, że im usilniej je odpychała, tym bardziej stawała się świadoma ich milczącej i złowieszczej obecności.

Wspólnie spędzone dni z Mattem zaczęły umykać Kate jak gładki kamyk, który wyslizguje się z ręki i pędzi w dół po błyszczącej powierzchni zjeżdżalni na placu zabaw. Czuła się bezsilna, wiedząc, że nie da się ich zatrzymać ani przeżyć raz jeszcze.

Na pięć dni przed wyjazdem spotkała się z Mattem na mieście. Zarezerwował stolik w lokalu; każda osoba przy zdrowych zmysłach w tak zimny, śnieżny wieczór jak dziś poszłaby prosto do restauracji. W Dallas jednak prawie nigdy nie padał śnieg, a Kate uwielbiała spacerować wśród wirujących płatków. Matt zgodził się wielkodusznie na spotkanie nieco wcześniej i wspólny spacer główną ulicą, by popatrzeć na witryny sklepowe i pozachwytać

się świątecznymi światłami, które rozwieszono na drzewach i budynkach.

Kate zatrzasnęła za sobą drzwiczki samochodu i zobaczyła wysokiego, umięśnionego i mrocznego przystojniaka, który szedł jej naprzeciw wśród wirującego śniegu. Dokładnie zapamiętała ten obraz: jego długi, elegancki płaszcz, błyszczące oczy i poważną minę. Gdy dzieliło ich zaledwie kilka kroków, Kate zauważyła, że Matt trzyma kubek kawy z „Main Street Coffee”. Podał go jej.

- Dla ciebie.
- Wow, dziękuję.
- Nie ma za co. Nie chcę, żebyś zmarła.

Upiła łyk. Zamówił jej latte z dodatkową porcją bitej śmietany i, była tego pewna, czekoladową posypką.

- Dokładnie taka, jaką lubię - pochwaliła.
- Dobry jestem, no nie?
- Bardzo dobry.

Idealna kawa, pomyślała. Tak jak on. I w tej samej chwili niemal wybuchnęła płaczem. Żeby ukryć wzruszenie, wsunęła rękę pod ramię Matta i ruszyła z nim wzdłuż ulicy.

- Słuchaj - odezwał się. - Martwię się o twoje płuca na tym mroźnym powietrzu. To jedna z rzeczy, które mogą wywołać atak astmy, prawda?

- Tak, ale mam ze sobą inhalator. Posłał jej pełne troski spojrzenie.
- Nie chcę, żeby trzeba było go użyć.
- Nie trzeba będzie.
- Ale jeśli usłyszę coś, co choćby przypomina kaszel, idziemy prosto do restauracji.
- Okay.
- Mówię poważnie.

Ukryła uśmiech za kolejnym łykiem latte. Było miło, bardzo, bardzo miło, mieć przy sobie męskiego, silnego faceta, który tak się o nią troszczył.

Zjedli powoli przepyszną kolację, a potem pojechali do Matta na deser.

Elaine zdradziła Kate, że Matt lubi czekoladowe ciasteczka z kawałkami czekolady. Tradycyjne, bez orzechów, płatków owsianych czy innych wymyślnych składników. Gdy Kate poprosiła mamę Matta o przepis, ta z radością nabazgrała jej go z pamięci.

Kate, która zwykle omijała kuchnię szerokim łukiem, upiekła ciasteczka, trzymając się wiernie przepisu. Jednak zarówno zabytkowa blacha do pieczenia, jak i zabytkowy piec w Chapel Bluff zawiodły ją po całości. Ciasteczka od spodu za mocno się przypiekły, ale mimo to smakowały znośnie, więc już wcześniej bez wahania Kate obwieściła Mattowi, że przygotowała dla niego deser. Ale teraz, gdy znaleźli się w jego domu i nadszedł czas na prezentację jej wypieków o dziwnym kształcie, nie miała pojęcia, co sobie w ogóle myślała.

- Zobaczmy, co tam masz. - Matt zacierał dłonie. Zdjęła folię.

- Upiekłam ciasteczka z czekoladą według przepisu twojej mamy.

- Zrobiłaś je dla mnie? - Matt wyglądał na bardzo zadowolonego. -

Uwielbiam je.

- Tak mówiła.

Oboje wzięli po jednym ciastku i zaczęli jeść, opierając się o granitowy blat.

- Są przepyszne - orzekł Matt. - Najlepsze ciastka, jakie kiedykolwiek jadłem.

Kate wybuchnęła salwą śmiechu.

- Ściemniasz. Są za bardzo przypieczone i zimne od podróży autem.

- Najlepsze, jakie jadłem - nalegał.

- Może podgrzejemy je w mikrofalówce?

- Nie, smakują mi takie, jakie są. - I to powiedziawszy, zgarnął dwa kolejne.

Kate przypomniała sobie, jak na początku ich znajomości wydawało się jej, że Matt jest niegrzeczny, obojętny, nieprzyjemny. Całkowicie się pomyliła. To był tylko pancierz. Pod nim Matt był całkowitym przeciwieństwem swej zewnętrznej powłoki.

- Zanim nie przyjechałyście obie z Beverly, nigdy nie jadałem deserów - powiedział.

- Nie ma czym się chwalić, mój drogi.

- Po waszym wyjeździe chyba też nie będę ich jadał.

- Absolutnie nie ma mowy! W takim razie chyba będziemy musiały zostać.

- Chciałbym.

- Wcale nie, po prostu lubisz ciasteczka z czekoladą. I tyle. - Wzięła drugie, zenująco zdeformowane ciastko i odgryzła kawałek.

- Tak naprawdę - powiedział Matt - to mówię serio. Prawie się udławiła.

Miał poważną minę, patrzył na nią niewzruszony i pełen determinacji. Zacisnął dłonie na krawędzi blatu.

Kate starała się wyglądać na opanowaną. Przełknęła kęs i odłożyła swoje ciastko.

- Nie chcę, żebyś wyjeżdżała - wyznał Matt.

Patrzyła na niego, czując w ustach smak czekolady i nadziei.

- Chcę, żeby to, co między nami jest, trwało nadal — kontynuował. — Nie jestem gotowy, aby spakować twoje bagaże do auta i się pożegnać.

Jej puls przyspieszył.

- Ale... ale ja mam pracę, muszę do niej wrócić.

- Wiem. Nigdy bym cię nie poprosił, żebyś ją rzuciła, chyba że sama byś tego chciała. - Dobierał słowa ostrożnie.

- Nie mogę, nawet jeśli bym chciała. Tak czy siak, na pewno nie mogę tego zrobić w tej chwili. Nie mam innej posady, która czekałaby w kolejce.

- Mógłbym pomóc ci znaleźć coś w Redbud, jeśli chciałabyś zostać. Mogłabyś prowadzić własny sklep z antykami. Pomógłbym wynająć lokal i kupić ci pierwsze meble na dobry początek.

Westchnęła cicho, z uznaniem. To była naprawdę kusząca propozycja. Tylko... Co miała zrobić? Przyjąć pieniądze od niego? Od kogoś, z kim nawet jeszcze nie ustaliła, czym był ich związek?

- Brzmi cudownie - powiedziała szczerze. - Ale nie mogłabym przyjąć od ciebie pieniędzy.

- To znalazłabyś pracę w jednym ze sklepów z antykami, które już tutaj są. Może u Theresy? Albo zajęłabyś się czymś innym. Co odpowiadałoby twojemu wykształceniu.

Nie mogła uwierzyć, że w ogóle o tym rozmawiali. Wiedziała, że Matt ją lubi, że zależy mu na niej. Sądziła jednak, że pogodził się już z tym, że za kilka dni Kate wraca do domu. Nie miała pojęcia, co naprawdę myślał. Wychodziło na to, że traktuje ją na tyle poważnie, że chce, aby została w Redbud.

- A jeśli jednak wrócisz do Dallas - ciągnął dalej - i będziesz dalej pracować w ośrodku, to pomyślałem, że...

Czekała, opanowując chęć przygryzienia wargi.

- Sam nie wiem. - Przystąpił z nogi na nogę. — Pomyślałem, że dobrze by mi zrobiła zmiana scenerii. Nie miałbym nic przeciwko, żeby spróbować i przeprowadzić się do Dallas.

Chce przeprowadzić się do Dallas? Jego propozycja była prawdziwym cudem, marzeniem Kate, a nawet czymś *więcej*. Miała ochotę zapiszczeć z radości i rzucić mu się w ramiona — gdyby nie to, że znajome uczucie niepokoju, gnębiące ją od wielu dni, narastało teraz wraz z jej ekscytacją. To była wyrównana walka.

- Twój dom jest tutaj - powiedziała. Wzruszył ramionami.

- Nie zamierzam go sprzedawać - odparł.

- Co... co byś robił w Dallas?

- To samo, co tutaj. Mają tam chyba jakieś stare domy?

- Mają. - Dostrzegła bezbronność w jego brązowych oczach. Widziała, jak wiele go kosztuje, żeby się tak otworzyć. Nie chciała go zranić. Za nic na świecie.

- A co z twoim hokejem?

- Hokej nie ma tu nic do rzeczy. Myślałem o tym, tak jak ci obiecałem, ale nic z tego, Kate.

- Dlaczego nie?

- Minęło zbyt dużo czasu. To nie jest jakaś tam rzecz, którą można tak po prostu podnieść i założyć znów na siebie jak stary płaszcz.

- Wiem, że to nie będzie proste. Ale... - Zasznurowała usta. — Przeczucie podpowiada mi, że ci się uda.

- Kate. Czy wiesz, jak trudno osiągnąć taki poziom, żeby móc grać w NHL?

- Nie.

- To prawie niemożliwe. Patrząc wstecz na swoją karierę, czasami samemu jest mi trudno uwierzyć, że mi się udało. - Widziała, jak jego ramiona i kąciki ust napinają się. - Nie dam rady znów tam się znaleźć.

Myślał praktycznie i martwił się o porażkę. Nie mogła go za to winić. Osiągnąć tak wiele, stracić to, a teraz wrócić i ponieść

kłękę - to byłoby straszne. O wiele gorsze niż nigdy nie podjąć próby powrotu.

Kate westchnęła.

- Mogę jeszcze coś dodać? Jedną malutką myśl - poprosiła. Jego czoło pokryło się bruzdami. Odwrócił wzrok.

- Nie znam się na hokeju, ale trochę znam ciebie. I myślę, że nadal masz talent i determinację, którą miałeś wcześniej. Spojrzysz na mnie?

Popatrzył na nią.

Próbowała każde słowo powiedzieć z uczuciem.

- Wierzę, że potrafisz to zrobić - dodała z przekonaniem.

- Kate...

- Matt - kontynuowała szczerze - czasami musisz po prostu zaufać i zaryzykować.

Patrzyli na siebie badawczo. Kate domyślała się, jak ciężkie musiało to być dla niego. Ze swoją wiarą i optymizmem dostał nieźle w kość od życia. Pokonać ten stan i spróbować jeszcze raz - a to wymagało niesamowitej odwagi.

- A jeśli chodzi o drugą sprawę — dodała cicho. — O moje zostanie w Redbud albo twój przyjazd do Dallas... - Zburzyła mur między nimi. Ujęła dłoń Matta i splótła ich palce, po czym delikatnie je pocałowała. - Nic na świecie nie uczyniłoby mnie szczęśliwszą. Ale potrzebuję czasu do namysłu. Okay?

- Okay.

Kate wiedziała, że powinna paść na kolana i się pomodlić. Ale tej nocy, po jeszcze kilku ciasteczkach, pocałunkach, wybuchach śmiechu i czułych rozmowach, gdy siedzieli przytuleni, tak huczało

jej w głowie, że z trudnością udało się jej nałożyć nawet pastę na szczoteczkę. A co dopiero myśleć o modlitwie.

Matt chciał, żeby została w Redbud! zaproponował, że jeśli Kate się nie zgodzi, on przeprowadzi się do Dallas! Te rewelacje przewróciły jej świat do góry nogami.

Kolejny dzień zaczęła od prysznica, ubrania się i przeczytania fragmentu ze swojej rozpiski „Biblia w rok”. Potem uklękła przy łóżku, oparła na kołdrze mocno splecione dłonie i pochyliła głowę. Miała w sobie tyle nadziei, co niepokoju. Działo się coś ważnego. I Kate wiedziała, że ta rozmowa z Bogiem będzie dla niej momentem zwrotnym.

Zacząła swoją modlitwę od podziękowania Bogu i uwielbienia Go za Matta i za ich związek. Matt okazał się dokładnie takim człowiekiem, jakiego od zawsze pragnęła. Przez wszystkie te lata Kate prosiła Boga o *tego jedyne* i jeśli Matt nim był - a zaczynała myśleć, że tak - to był wart tego czekania, samotności i zwątpienia. Był odpowiedzią na to wszystko, cudownym mężczyzną, zdecydowanie dla niej za dobrym. Po prośbie - najgłębiej skrywanym i największym pragnieniem jej serca. Zamarła.

Jakoś nie poczuła nagłego przekonania o słuszności tej decyzji. Żadnego potwierdzenia. Tylko dziwna, niezręczna cisza.

Zaczął ogarniać ją niepokój, który ostatecznie rozlał się ciepłem po całym ciele.

W końcu zebrała się na odwagę i zmusiła do pytania: *Czy chcesz, żeby nasz związek trwał nadal?*

Jedna połowa niej uważnie nasłuchiwała Bożej odpowiedzi. Druga połowa robiła wszystko, żeby jej nie usłyszeć. Kate próbowała uspokoić myśli. Wsłuchiwała się uważnie.

Gdy trwała tak w bezruchu, spłynęła na nią pewność.

Nie.

Bóg jej odmawiał. Nie chciał, żeby związek jej i Matta trwał dalej.

Do oczu natychmiast napłynęły jej łzy. *Och, Boże. Proszę. Tak bardzo tego pragnę.*

Ogarnęło ją okropne uczucie, że to nie pierwszy raz, kiedy Bóg jej odmówił, ale że odmawiał jej już wielokrotnie, od pierwszego pocałunku z Mattem. Poczowała w piersi wielką bryłę lodu, która zaczęła się rozrastać aż po opuszki jej palców u rąk i stóp. Zadrżała ze strachu i przytłaczającego uczucia przygnębienia.

Proszę, pozwól mi go mieć. Błagam! Zrobię wszystko.

Nie usłyszała żadnej odpowiedzi. Ale zrozumiała Jego wolę - dobrą, pełną miłości, a jednak nieustępliwą.

Nadal mówił: nie.

Poderwała się z podłogi, jakby ją parzyła. W pośpiechu i niemal na pamięć nałożyła makijaż i uczesała się. Nie mogła tu dłużej być. Czowała się jak w potrzasku. Powiedziała babci, że musi coś załatwić, chwyciła kurtkę i pobiegła do samochodu. Ruszyła w kierunku centrum. Na ulicach przemykało niewiele osób, sklepy były jeszcze zamknięte. Wysiadła i rozpoczęła wędrowkę bez celu po zimnych ulicach, otępiała i z pustką w głowie.

Szła, nie zatrzymując się.

Bijąc się z myślami, wyjaśniła Bogu, co czuje do Matta. Nie przestawała mówić o tym, że jej zdaniem pasowałiby do siebie. Jakby On tego jeszcze nie wiedział. Błagała Go. Jakby jeszcze nie dał jej swojej odpowiedzi.

Coraz trudniej było jej oddychać. Nie wiedziała, czy to zawał serca, czy astma. Na wszelki wypadek użyła inhalatora. Matt martwił się o nią i wpadłby w furję, gdyby dostała kolejnego ataku.

Wciąż błąkała się bez celu i wciąż bezowocnie błagała Boga.

Wreszcie zatrzymała się na mostku, który wspinał się łukiem nad strumieniem. Spoglądając w wodę, zobaczyła w jej tafli Matta. Stał w pełnym stroju do hokeja, objuczony sprzętem. Chwilę potem pędził już z oszałamiającą prędkością po lodzie, wycelował i strzelił z absolutną precyzją. Krążek poszybował do bramki i Kate zobaczyła, jak Matt uśmiecha się i unosi pięści w triumfalnym geście.

Łzy ześlizgnęły się jej z rzęs. Wzięła kilka głębokich wdechów i potarła oczy.

Nie mogę go mieć, prawda? - zapytała Boga.

Matt musiał znów zacząć grać, ale nigdy nie będzie mógł tego robić w Dallas. Nie uda mu się także w Redbud, jeśli nie rzuci obecnej pracy, jeśli wybierze Kate, jeśli się ustatkuje.

Co mówiła mama Matta? Że był jednym z najlepszych hokeistów na świecie. *Jednym z najlepszych na świecie*. Nie mieściło jej się w głowie, że można być aż tak w czymś dobrym. Ale Matt był. Był tak wyjątkowy i utalentowany, że ani jego obecna praca, ani małe miasteczko Redbud, ani ona - żadne z nich nie powinno go ograniczać.

Ona sama nie była piękną, geniuszem, utalentowaną artystką czy wybitną sportsmenką. Czy umiałaby się odnaleźć w całym tym błyszczącym świecie sławy, zawodowego sportu i pieniędzy, kiedy Matt wróci do hokeja?

Nie nadawała się do tego. Przez ostatnie trzy miesiące miała w jego życiu pewną rolę do odegrania. Ale teraz jej zadanie się kończyło. I najlepiej będzie dla niego, jeśli Kate pozwoli mu odejść.

Choć nie wiedziała, czy potrafi się na to zdobyć.

Wyobraziła sobie znów, jak Matt sunie na łyżwach, szybko i gładko, jak z jego twarzy bije wola życia, determinacja, koncentracja. To był jego żywioł. Wpatrując się w wodę, Kate zrozumiała, że *potrafi* pozwolić mu odejść.

Potrafi to zrobić, dla jego dobra.

Kate postanowiła, że poinformuje Matta o swojej decyzji jeszcze tego wieczoru. Wiedziała, że był umówiony na lekcje gotowania z babcią. Kiedy jednak zeszła na dół w porze kolacji, babcia siedziała sama przy kuchennym stole, zjadała resztkę zupy jarzynowej i czytała *People* z Patrickiem Dempseyem.

- Co tam? - zapytała Kate.

- Matt prosił, by ci przekazać, że ma pewne plany względem ciebie. Zjawi się niebawem - powiedziała babcia, spoglądając na zegarek - a dokładnie lada chwila.

- Jakie plany?

- Niespodzianka. - Babcia dwukrotnie uniosła brwi w wymownym geście.

- A czy dla tej niespodzianki powinnam się bardziej wystroić? Czy tak może być? - Kate spojrzała na swój czarny golf, džinsy i tenisówki.

- Jest idealnie. To będzie bardzo niezobowiązujące spotkanie. W tym samym momencie usłyszały samochód parkujący na podjeździe. Kate narzuciła na siebie kurtkę, owinęła się szalikiem

i wcisnęła kapelusz na głowę. Babcia, zaaferowana, rzuciła się jej na pomoc, podając torebkę i rękawiczki. Matt wsunął głowę przez drzwi.

- Gotowa?

- Gotowa.

- Bawcie się dobrze! - powiedziała babcia.

- Dzięki. - Kate cmoknęła ją w policzek. - Dobranoc.

- Dobranoc. - Babcia pomachała im radośnie.

Na zewnątrz, błyszcząc wspaniale w świetle księżyca, czekał cadillac Morty'ego.

- Przygotuj się, Kate - powiedział Matt. - Idziemy na podwójną randkę.

Pomimo ołowianej kuli strachu zalegającej w żołądku przez cały dzień, nastrój Kate nieco się poprawił.

- Z Mortym i Velmą?

- Tak.

- Cadillakiem.

- I moim samochodem.

Velma wysiadła z cadillaca i patrzyła w ich kierunku.

- To był pomysł Morty'ego - powiedziała do Kate, kiedy już się zrównali. - Jestem w szoku, że obecny tu przystojniak się na to zgodził.

Matt posłał Velmie ostrzegawcze spojrzenie.

- Ale oczywiście cieszę się bardzo, że to zrobił - ciągnęła Velma. - Teraz będę mogła cały wieczór się na niego gapić.

- Velmo - mruknął Matt. Velma zachichotała figlarnie:

- Morty mówił, że chciałaś się wybrać z nim na przejażdżkę jego samochodem. A skoro są tam tylko dwa siedzenia, to ja pojedę z Mattem. Czeka nas kolacja i kino.

- Brzmi nieźle - odparła Kate.

Velma przytrzymała dla niej drzwi cadillaca i Kate wślizgnęła się na siedzenie pasażera.

- Tylko się za bardzo nie przyzwyczajaj do mojego miejsca, okay? - rzuciła Velma na pożegnanie.

- Twojego miejsca? - odezwał się Morty, promieniejąc szczęściem w kierunku Velmy.

- Tak - odparła Velma z przekąsem. - To jest moje miejsce i jeśli zobaczę na nim jakąś inną kobietę, nie będę się dwa razy zastanawiać i zajdę cię od tyłu z wiosłem.

- Kochanie, nawet nie marzyłbym o tym, żeby pozwolić komuś innemu tu usiąść. - Morty wyszczerzył zęby.

Velma naburmuszyła się.

Morty wrzucił bieg i ruszyli. Kate delektowała się świeżym powietrzem, samochodem, ich pogawędką, przejażdżką, ale przede wszystkim - uczuciem ulgi. Podwójna randka oznaczała, że Kate nie była zmuszona, by tego wieczoru mówić Mattowi o swojej decyzji. Wiedziała, że odwleka jedynie to, co nieuchronne. Ale była tchórzem i z radością przyjęła odroczenie egzekucji.

Z Mattem i Velmą, którzy podążali za nimi w lamborghini, dojechali w końcu do rozpadającej się, przydrożnej spelunki, serwującej hot-dogi, chili i chili na hot-dogach. Knajpa istniała już w czasach, kiedy Morty i Velma chodzili do ogólniaka, więc siłą rzeczy zaczęli wspominać historie z tamtego okresu. Poza hot-dogami z chili dzielili w czwórkę również boks z kanapami obitymi czerwoną skórą, dzbanek dietetycznej coli i talerz krążków cebulowych.

Po kolacji pojechali do kina w Redbud. Nim stanęli w kolejce po bilety, Kate w przyпіływie paniki odciągnęła Matta na bok.

- Ale to chyba nie jest film dla dorosłych, prawda? Nie zniosę wulgaryzmów ani nagości, siedząc obok Morty'ego i Velmy.

Mrugnął do niej, jawnie rozbawiony.

- Kochana, jest dozwolony od lat dwunastu.

- Och, chwała Bogu. Dzięki.

W kinie siedziała otoczona ramieniem Matta, dzieliła ich jedynie torba popcornu i pudełko miętowych cukierków. To była świetna randka - oryginalna, dziwaczna i godna zapamiętania. Film też zapewne sprawiłby Kate przyjemność, gdyby tylko mogła się na nim skupić. Zamiast tego, jedyne, o czym mogła myśleć, to wiewiórki.

Wiewiórki.

W Dallas żyły ich setki. I wiele z nich ulegało szalonej pokusie, być może zakodowanej w ich naturze, żeby przechodzić przez jezdnię. Przez to niebezpieczne pragnienie, połączone z brakiem jakiegokolwiek rozumu, często wbiegały tuż pod koła samochodu Kate.

Czasem wiewiórki, mając przed sobą cel, przecinały ulicę szaleńczym sprintem. Zdarzało się jednak, że zawracały na środku drogi i rzucały się do ucieczki w stronę, z której przyszły. Często ta decyzja, pędzić prosto czy zawrócić, decydowała o ich życiu lub śmierci. Ani biedna wiewiórka, ani biedny kierowca nie wiedzieli, która opcja oznaczała życie, a która śmierć. To była tylko jedna ze składowych.

Dziś wieczorem Kate czuła się jak jedna z tych wiewiórek. Miała do wyboru - albo zignorować wolę Boga i zatrzymać Matta, albo posłuchać Boga i stracić swojego mężczyznę. Wiedziała, która decyzja oznacza życie, a która śmierć. Ale jej serce mówiło coś zupełnie innego. Nigdy wcześniej nie czuła tak wielkiej pokusy, żeby odwrócić się do Boga plecami. Chciała po prostu spełnić swoje pragnienie.

Zachowuję się jak głupia wiewiórka, mówiła do siebie. Ogarnięta niebezpiecznym pragnieniem, pozbawiona rozumu. A jednak.

Och. Zamknęła oczy, czując ciepło ramienia Matta i jego obecność. Naprawdę, naprawdę chciała przebiec przez tę ulicę.

Tej nocy prawie nie spała.

Kate nie należała do rannych ptaszków, ale nietrudno było wstać o świcie, jeśli alternatywą miało być leżenie w łóżku, zadręczanie się i bezsenność. Wzięła prysznic i o wpół do ósmej była już na nogach.

Wiedziała, że Matt niemal codziennie o siódmej chodził na siłownię, więc chciała zastać go w domu jeszcze przed wyjściem. Musiała go złapać. Nie była w stanie utrzymać swojej decyzji w tajemnicy ani sekundy dłużej.

Przeczuwając, że jej wyznanie będzie miało niszczycielską moc, w drodze do Matta zahaczyła o cukiernię i kupiła dwanaście najbardziej wartych grzechu pączków, jakie mieli na stanie. O wiele więcej niż mogliby zjeść we dwójkę. O wiele więcej niż mógł przyjąć jej zdenerwowany żołądek.

Mgła kłębiła się wokół niej, wilgotna i aromatyczna, gdy Kate stanęła na progu domu Matta. Zapukała.

Gdy otworzył drzwi, na jego twarzy od razu zagościł uśmiech.

- Dzień dobry - powiedziała.

- O tak, teraz jest zdecydowanie dobry. - Pochylił się i ją pocałował.

Weszła za nim do środka, postawiła kartonik z pączkami na komodzie i zdjęła kurtkę.

- Ostatnio były ciasteczka. Tym razem znów będę cię kusić swoimi smakołykami. - Wskazała na pączki.

Podniósł wieczko i rzucił okiem.

- Za wszelką cenę próbujesz mnie przeciągnąć na ciemną stronę, prawda?

- Całkowicie.

Miał na sobie wyblakłą białą koszulkę z szarym logo *Nike*. Pod cienkim materiałem zarysowywały się sztywne kontury jego ramion, klatki piersiowej i brzucha. Czarne spodnie od dresu z rozpinanymi u dołu nogawkami odkrywały jego białe stopy. Poczuli zapach mydła z jakiejś linii dla sportowców, którego użył pod prysznicem. Jego ciemne włosy były jeszcze wilgotne.

Wyglądał bardzo atrakcyjnie. Chciała go objąć, wtulić twarz w jego pierś i nie puszczać aż do wieczora.

Obserwował ją uważnie, mrużąc oczy.

- Ile godzin dziś spałaś?

Czyli wyglądała na *aż tak* rozbitą.

- Kilka.

- Wygląda na mniej niż kilka. Co się dzieje?

Spojrzała na niego bezradnie, nie wiedząc, jak zacząć. Westchnął i gwałtownym ruchem przyciągnął dwa krzesła do stołu w jadalni, po czym posadził Kate na jednym z nich. Sam usiadł na drugim.

- Nie spodoba mi się to, prawda? - zapytał.

- To nic strasznego — powiedziała szybko, choć biorąc pod uwagę agonię, w której trwała przez ostatnią dobę, jej słowa dla niej samej zabrzmiały jak kpina.

- Nie? - Widziała, że stara się przygotować na złe wieści.

Od ich pierwszego spotkania aż do teraz przeszedł tak długą drogę. Ufał jej. Wyrządzenie mu krzywdy, kiedy dopiero co zaczął dochodzić do siebie, wydawało się Kate najgorszym okrucieństwem.

- Myślałam o mojej przewodniczce do Redbud, albo o twojej do Dallas.

- Nie chcesz robić ani tego, ani tego - powiedział wolno. - Mam rację?

- To nie tak, że nie chcę. Chcę. Każda z tych opcji byłaby wspaniała.

- Ale?

- Ale... nie jestem jeszcze na to gotowa. - Mogła mu zaoferować jedynie mętną półprawdę.

Instykt podpowiadał jej, że nie powinna zrzucić winy za swoją decyzję na Boga czy hokej. Matt patrzył na nią swoimi pięknymi, smutnymi oczami, chowającymi się pod osłoną ciemnych rzęs. Przygryzła policzek od środka, żeby powstrzymać się od paplania tysiącami bezsensownych rzeczy.

- Ale nadal będziemy ze sobą rozmawiać, tak? - zapytał. - Pisać maile, sms-y i takie tam?

- Oczywiście.

- I będziemy się widywać? To znaczy, odwiedzać się nawzajem. Kiwnęła głową, choć wiedziała, że nie będzie w stanie się z nim spotykać. To będzie zbyt bolesne.

Matt patrzył, jak jakiś cień zasłania jego Kate. Widział, jak ona się wycofuje. Nie znał tylko słów, które mogłyby ją zatrzymać, przekonać, aby zmieniła zdanie.

Czuł pustkę w żołądku, miał zaciśnięte gardło, a serce biło mu tak głośno, że czuł dudnienie w uszach. Potrafił zaakceptować, że nie chciała rzucać pracy i przeprowadzać się tutaj. Wiedział, że prosi ją o wiele, zwłaszcza że ich znajomość nie trwała za długo.

Ale Kate nie chciała pozwolić też na to, żeby on pojechał za nią, a to przecież nic by ją nie kosztowało. Matt nie miał na tyle odwagi, żeby zapytać ją o powód. Nie chciał wiedzieć, dlaczego.

Po prostu... Po prostu chciał być blisko niej. Instynktownie pragnął objąć ją, przytulić z całej siły i już nie puszczać. Była jego całym życiem. Nie mógł znieść codzienności bez niej.

- O czym myślisz? - zapytała.

- **Że...**

Że cię kocham. Ale duma nie pozwalała mu tego powiedzieć. Idiotyczna duma. Po tym wszystkim, przez co przeszedł, Matt z zaskoczeniem odkrył, że trochę jeszcze mu jej zostało.

- O niczym. - Zakręciło mu się w głowie, jakby stracił zaufanie do ziemi, że nie usunie mu się lada moment spod nóg. Całą siłą swojej woli spróbował swobodnie wzruszyć ramionami. - Rozumiem.

- Naprawdę? - Jej twarz złagodniała, przepelniona nadzieją.

- Taa. Za wcześnie. Za szybko. Kumam.

Pochyliła się w przestrzeń, która oddzielała ich od siebie i przycisnęła swoje usta do jego ust.

- Dziękuję ci - wyszeptała mu w policzek i odsunęła się. Odgarnęła kosmyk lśniących, rudych włosów za ucho.

- Dręczyło mnie to. Nie chcę cię ranić, nigdy - wyznała.

- Spoko — odparł. — Naprawdę.

Za chwilę wszystko będzie po nim widać. Matt wiedział, że nie usiedzi już w ten sposób ani chwili dłużej. Nie był dobrym aktorem.

- Chcę tylko, żebyś wiedział - powiedziała Kate - że jeśli sytuacja byłaby inna, z przyjemnością bym się tutaj przeprowadziła.

Musiał wstać, natychmiast, i uciec przed jej wzrokiem. W jego piersi płonął ogień.

- Gdybym mogła... - Uniosła niezręcznie ramię. - Cóż, jeśli sprawy układałyby się inaczej, przeprowadziłabym się.

Nagle wstał.

- Skończę tylko się ubierać. Zaraz wrócę - rzucił i ruszył do sypialni.

Zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie plecami. Gwałtownie potarł rękoma twarz, przeczesał włosy palcami. Drżał. Dreszcze wychodziły z głębi jego wnętrza i promieniowały na całe ciało.

Potrzebował czasu, żeby się opanować. Tylko że Kate siedziała tam w oczekiwaniu, prawdopodobnie wpatrując się w drzwi pokoju, za którymi zniknął, zdeorientowana.

Założył skarpetki, adidas, bluzę z kapturem. Potem zmusił się, żeby wrócić do salonu. Spojrzała na niego z lekkim zdziwieniem.

- Chcesz iść ze mną poćwiczyć? - Zapytał ją tylko dlatego, że wiedział, że nie ma odpowiedniego stroju i będzie musiała mu odmówić.

- Nie, dzięki. Myślę, że wrócę do domu i zobaczę, czy uda mi się nadrobić trochę snu.

- Dobry pomysł.

- Widzimy się później w Chapel Bluff?

- Tak.

Dotknęła dłonią jego twarzy. Opuszkami palców musnęła policzek, szczękę i dolną wargę. Wtedy niemal pękł. Prawie dał się opanować ryczącemu w nim pragnieniu.

Posłała mu pełen czułości uśmiech i obróciła się w kierunku drzwi.

Gdy wyszli z domu, ostatnią rzeczą, jaką zobaczył Matt, było nietknięte pudełko z pączkami. Ich radość, słodycz, obietnica... Zmarnowane.

Kiedy Matt znalazł się sam w swoim samochodzie, zaczął się zastanawiać, czy w ogóle ma ochotę jechać do siłowni. Czuł się zbyt obnażony, by przebywać wśród ludzi. Ale co innego miał ze sobą począć? Schować się w pustym domu? Przekraczać prędkość na autostradzie? Zmusił się więc i pojechał jednak poćwiczyć, i dał sobie taki wycisk, nieomal kalecząc ciało, że wszyscy woleli schodzić mu z drogi.

Podczas wysiłku nieustannie powtarzał sobie, że musi przestać panikować. Kate nie zrywała z nim przecież ostatecznie. Zostało im jeszcze kilka wspólnych dni. Poza tym sama powiedziała, że mogą kontynuować swoją znajomość na odległość. Lecz jego nadzieje, związane z ich przyszłością, drastycznie się od tego planu różniły. Jej wybór oznaczał dla Matta jawne odrzucenie, rozczarowanie, z którego nie mógł się otrząsnąć.

Wydawało mu się, że Kate czuje do niego dokładnie to samo, co on czuł do niej. Myślał, że zostanie z nim albo będzie chciała, by przeprowadził się do Dallas. Całkowicie się przeliczył. Po raz kolejny jego intuicja go zawiodła. Był człowiekiem oderwanym od rzeczywistości, od tego, co wszyscy inni już rozumieli i uważali za naturalne i oczywiste.

Jak mogłeś pomyśleć, że ona cię zechce? Pytał siebie. Co ty w ogóle masz jej do zaoferowania?

Nie był już sportowcem. Nie był już sławny. Bez wątpienia Kate miała nadzieję związać się z kimś, komu życie nie dało w kość, tak jak jemu. Miał już wcześniej żonę, a to nie jest pragnieniem żadnej dziewczyny przy zdrowych zmysłach. Niósł też ze sobą cały bagaż doświadczeń i wiedział, że Kate jest ciężko z tą świadomością.

To oczywiste, że chciała, by ich związek rozwijał się w swoim tempie. Matt powinien być wdzięczny, że Kate w ogóle chce się z nim zadawać.

Ale nie czuł wdzięczności. Miał wrażenie, jakby ktoś gwałtownie odcumował jego statek i Matt dryfował teraz bez celu, niepewny siebie, zmartwiony.

Kate od razu zauważyła, że Matt był jakiś inny.

Myślała, albo może tylko chciała tak myśleć, że naprawdę dobrze przyjął jej decyzję o powrocie do Dallas. Ale przy kolejnym spotkaniu już wiedziała, że go zraniła.

Musiała mu jednak oddać, że naprawdę starał się zachowywać pozory. Przez ostatnie kilka dni, które spędzali wspólnie, nadal okazywał jej troskę, nadal patrzył na nią tak samo płomiennym wzrokiem.

Ale coś się zmieniło. Osłabło. Jego twarz zmizerniała. Jego uśmiechy nie były już tak szczere. I był zbyt... ostrożny. Jakby w jej obecności musiał myśleć z wyprzedzeniem o wszystkim, co chciał powiedzieć i zrobić.

Zaufał Kate, a ona zadała mu cios. Wiedziała, że zasłużyła sobie na to wszystko. A mimo to jego zachowanie załamywało ją. Ceniła swobodę, z jaką zachowywał się w jej obecności. Jakby pozwolił jej wejść do swojego wnętrza. Teraz straciła ten przywilej. Wmawiała sobie, że nie ma to żadnego znaczenia, bo przecież i tak miała go stracić całkowicie. Ale to *miało* znaczenie. Ogromne.

Około południa, w dzień przed ich wyjazdem, Matt oficjalnie zakończył prace w Chapel Bluff. Babcia i Kate narobiły sporo

zamieszania wokół niego, dziękując mu, chwając go, jak wspaniale wykonał swoje zadania i jak bardzo to doceniają.

Kiedy pojechał do domu, Kate wraz z babcią, ramię w ramię, ruszyły, by przespacerować się po Chapel Bluff.

Wielka dama prezentowała się przepięknie. Cel przyjazdu został osiągnięty i Kate mogła być dumna z ich pracy. Podłogi z miodowego twardego drewna błyszcząły. Kremowa farba dodawała wnętrzu posmaku luksusu oraz wyrobionego gustu i idealnie dopełniała przetarte drewniane ramy okien, gzymsów i listew przypodłogowych. Gdzie by się nie spojrzało, tam dumnie pyszniły się rodzinne antyki. Dawno zapomniane obrazy powieszono na ścianach, szkła z czasów Wielkiego Kryzysu wystawiono w kredensach, a stare pikowane kołdry przeżywały drugą młodość jako narzuty na łóżka. Wszystkie nowo zakupione meble dobrano ostrożnie, miały jedynie podkreślić, a nie umniejszyć, urodę tych starych. Babcia i Kate wybrały meble proste, z niewymyślnymi liniami. Dywany. Poduszki dekoracyjne. Zasłony. Gustowne lampy.

Chapel Bluff znów była domem. Przytulnym i zapraszającym, dostojnym i uroczym. Przywróciły jej poprzednią świetność. Babcia oznajmiła, że od teraz będzie tu spędzała około pół roku, a sama Kate była zdeterminowana na ryle, żeby wracać jak najczęściej, ściągając przy okazji resztę rodziny. Dom zbudził się z trwającego kilkadziesiąt lat snu.

Pod koniec wycieczki obie popadły w nieco płaczliwy i sentymentalny nastrój. Niestety, nie było już czasu, żeby spokojnie usiąść i powspominać wydarzenia ostatnich trzech miesięcy. Musiały jeszcze załatwić kilka spraw i przygotować się do podróży. Czekало ich jeszcze bardzo przygnębiające zajęcie: pakowanie.

Ostatni wieczór Kate w Redbud przypadł na piątek. Pokerowy piątek. Gdyby był to jakikolwiek inny dzień tygodnia, Kate i Matt mogliby spędzić go tylko we dwoje. Ale w ramach uświetnienia wyjazdu babci i Kate, seniorzy zaplanowali spędzić ten wieczór szczególnie odświętnie.

Velma i Peg, danie po daniu, wnosiły na stół ogromne ilości swoich popisowych potraw. Dekoracją stołową była kompozycja z rośliny zimozielonej ozdobionej złotymi wstążkami. Kolację mieli jeść na wyjątkowej zastawie, którą wyciągano tylko na Boże Narodzenie. Do tego „dziewczęta” dobrały kolorystycznie pasujące serwetki. Babcia rozlewała musujący cydr do wysokich kieliszków do szampana i co chwila na zmianę wszyscy wznosili toasty, najpierw przed kolacją, a potem przed deserem, na który miał być tort piernikowy. Kiedy nadszedł czas na partyjkę pokera, Morty był bardzo zadowolony, bo przez wzgląd na okazję pozwolono mu podnieść wpisowe z pięciu na dziesięć dolarów.

Kate i Matt ustalili wcześniej między sobą, że wycofają się z pokera szybciej, by mieć też trochę czasu wyłącznie dla siebie. Zgodnie z planem, oboje dali przyzwoity pokaz dobrej gry, a potem przegrali z kretesem.

Po twarzach pozostałych było widać, że żadne z nich nie dało się nabrać.

Kate wcisnęła dłonie w kieszenie džinsów. - Chyba po prostu pójdziemy na górę i pooglądamy telewizję - powiedziała.

Seniorzy posłali im znaczące uśmiechy.

Kiedy znaleźli się w pokoju Kate na poddaszu, oparli poduszki o zagłówek łóżka i położyli się twarzami do siebie, wyciągając nogi i splatając stopy. Wzięli się za ręce. Walizki Kate leżały na podłodze, spakowane, ale jeszcze nie zamknięte. Żadne z nich nawet nie drgnęło, by włączyć telewizor.

Kate było ciężko na sercu. Robiła wszystko, żeby się nie załamać i nie rozpłakać. Rozmawiali po cichu o jej powrocie do Dallas, o tym, co zrobi już na miejscu, o przyjaciółach, z którymi się zobaczy, o rodzinie, restauracjach i ulubionych sklepach. Rozmawiali o Macie, o tym, jakie zlecenie chciałby przyjąć jako następne. Potem znów wróciła do sprawy hokeja, ale Matt delikatnie zmienił temat. Przez cały ten czas, w każdej sekundzie, chciała powiedzieć mu, że zmieniła zdanie. Że nie wyjedzie. Nigdy. Chciała błagać go o przebaczenie i prosić, żeby na powrót jej zaufał.

Jednak powstrzymywała się, by nie powiedzieć tego na głos. To byłoby samolubne. Pamiętała i *wiedziała* o tym, co jest słuszne.

Nigdy byś mi nie uwierzył, myślała, patrząc na jego twarz. *Ale robię to dla ciebie. Jeszcze o tym nie wiesz, ale będziesz znów grał w hokeja, Macie Jarreau. I będziesz w tym świetny. Ja cię tylko hamuję.*

Kiedy seniorzy w końcu zawołali ich na dół, by oznajmić, że na dziś starczy im pokera, Kate niemal odczuła ulgę. Naprawdę nie wiedziała, czy jest w stanie wytrzymać jeszcze jedną chwilę z Mattem, mając świadomość, że ich czas się kończy.

Kate i Matt pożegnali się ze znajomymi babci. Pick-up był jedynym samochodem, jaki stał na podjeździe, kiedy Kate zebrała się w sobie, żeby odprowadzić Matta. Gwiazdy błyszczały nad ich głowami, mocno i jasno.

— Więc wyjeżdżacie koło dziewiątej rano? - zapytał Matt. — Przyjadę godzinę wcześniej, żeby załadować wam samochód.

Doszli do pick-upa.

- Tak naprawdę... - Zamknęła jego dłonie w swoich. Żadne z nich nie założyło rękawiczek i skóra na rękach już zaczynała się robić lodowata. Kate ścisnęła mocniej ręce Matta.

- Myślę, że byłoby lepiej, jeśli dzisiejszy wieczór potraktujemy jako pożegnanie — powiedziała.

Był szczerze zaskoczony.

- Co? Nie... ja... - Próbował coś powiedzieć.

- Matt - wyszeptała. - Ja tego nie zniosę. - Napływające do oczu Kate łązy całkowicie jej rozmazały rysy jego twarzy. - Nie zniosę kolejnego pożegnania jutro, szczególnie przy wszystkich.

Wyglądał na zszokowanego, zniechęconego.

- Zlituj się nade mną. - Spróbowała się uśmiechnąć, ale się nie udało. Jej serce przeszywał ostry ból. - Zlituj się nade mną, co? To jest naprawdę trudne.

Przytulił ją mocno, obejmując jej głowę i przyciskając do swojej klatki piersiowej.

- Nie patrz tak na mnie - wyszeptał. - Nie patrz, Kate. Zrobię, cokolwiek będziesz chciała.

Wydała z siebie drżące westchnienie, które przeszło mroźne powietrze.

Kołysali się delikatnie w ciszy. Kiedy Matt odsunął się od niej i spuścił wzrok, Kate zauważyła, że jest przygnębiony.

- Wszystko w porządku? - zapytał. *Nie. Nie!*

- Tak - odparła. - A u ciebie?

Przytaknął kiwnięciem głowy, ale jego twarz była ziemista i Kate wiedziała, że kłamie.

- Posłuchaj - powiedziała, przełykając bolesną kluchę, która zalegała jej w gardle, i próbując pohamować przyprawiające o mdłości pulsowanie w żyłach. - Wiem, że do tej pory nie miałeś

lekką, i masz za sobą straszne doświadczenia. Wiem też, że ja także cię zawiodłam. Nie chciałam. Tak bardzo mi przykro. - Jej głos się załamał. - Nawet jeśli nie możesz ufać temu światu albo temu, co jest między nami, czyli tak naprawdę nie możesz ufać mnie, to chciałam po prostu, żebyś wiedział, że *możesz* ufać Bogu.

- Kate.

- Musiałam to powiedzieć. - Ścisnęła jego dłonie, uniosła jedną i pocałowała. - I chcę, żebyś to zapamiętał.

Jęknął, przyciągnął ją do siebie i złożył na jej ustach pocałunek, który miał w sobie ostrość rozpaczy i kaskadę smutku. Kiedy oderwali się od siebie, Matt oparł się czołem o jej czoło, oddychając ciężko.

- Nie zapomnij o mnie - powiedział to tak niskim głosem, że ledwo go usłyszała.

- Nie zapomnę.

Odsunął się. Jego pierś podnosiła się i opadała, a Kate zobaczyła, jak twarz Matta mieni się od emocji.

Odejdź, Kate. On teraz tego potrzebuje. Jest mu ciężko i nie chce, żebyś była tego świadkiem.

Wspięła się na palce. Jeszcze jeden gwałtowny uścisk. Jeszcze jedno przyciśnięcie ust. A potem Kate odwróciła się na pięcie i odeszła szybko, z opuszczoną głową, w stronę Chapel Bluff. Weszła do domu i usiadła ciężko w pustej, ciemnej jadalni. Cała energia ją opuściła, jakby wyczerpały jej się baterie.

Odchyliła się do tyłu na krześle, czekając, nasłuchując. Mijały kolejne minuty. *Nie idź za mną*, błagała go w milczeniu. *Nie zniosę tego. Nie będę w stanie się oprzeć. Zrobię to, o czym wiem, że jest złe, i zostanę. Nie przychodź.*

W końcu usłyszała dźwięk odpalanego silnika i chrzęszczący pod kołami żwir, kiedy Matt odjeżdżał od niej w noc.

Następnego ranka Matt wstał, naciągnął na siebie ciepły dres i wyszedł z domu na jogging. Biegł najpierw drogą, a potem wydeptanymi ścieżkami, prosto w lodowaty grudniowy las. W końcu dotarł do linii drzew okalających Chapel Bluff. Zatrzymał się. Celowo zjawił się wcześniej, żeby Kate i Beverly go nie zobaczyły, i zgodnie z jego planem nic nie wskazywało na to, by ktokolwiek w domu już wstał. Ruszył dalej, przez łąkę, ku drewnianej kaplicy.

Beverly poprosiła go, żeby pod jej nieobecność doglądał Chapel Bluff, więc dzień wcześniej wręczyła mu jego własny zestaw kluczy. Dzięki nim otworzył teraz bez problemu drzwi kaplicy i wkradł się do małego budynku.

Czekał kilka godzin, odmrażając sobie siedzenie i opierając się plecami o ścianę. Przez małe boczne okno miał dobry widok na miejsce, gdzie będzie stał samochód Kate.

Prosiła go, żeby dziś nie przyjeżdżał. Posłusznie nie miał zamiaru jej nachodzić, przeszkadzać, czy też ignorować jej prośby. Ale Kate wyjeżdżała, a on nie mógł pozwolić jej odejść tak po prostu. Musiał chociaż tu *być*.

Wreszcie do Chapel Bluff zaczęli się zjeżdżać przyjaciele babci. Pojawiła się też przyjaciółka Kate, Theresa, wraz z dziećmi.

Pragnął zobaczyć Kate choćby w przelocie, więc czekał niecierpliwie, przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą i chuchając ciepłym powietrzem w rękawiczki. Kiedy w końcu wyłoniła się z domu, ubrana w znajomą pikowaną kurtkę i ze swoimi rudymi włosami związanymi w kucyk, serce Matta natychmiast uczepiło się jej widoku. Podjechała samochodem blisko tylnego wyjścia, a potem otworzyła bagażnik. Matt widział, jak Morty i William wynosili z domu walizki, torby i pudła i pakowali je prosto do jej

explorera, wspólnie układając wszystko tak, żeby się zmieściło. To on chciał być tą osobą, która jej w tym pomoże — zniesie jej rzeczy, załaduje samochód.

Sam proces odjeżdżania trwał długo. Co rusz wszyscy wychodzili z domu i wchodzili do niego z powrotem. Gdy Beverly zamknęła, sprawdziła i jeszcze raz sprawdziła tylne drzwi, zebrali się w kole, by chwilę porozmawiać. Mimo porannego zimna gawędzili przez dłuższy czas, jak domyślał się Matt, by odwlec moment odjazdu. Gdy Theresa nie patrzyła, jej dzieci zaczęły się popychać.

W końcu Kate i Beverly obeszły wszystkich po kolei, uściskały się z każdym i wsiadły do samochodu.

Matt zacisnął szczęki i zatopił pięści w kieszeniach swojej bluzy. Kochał ją. Rozpaczliwie chciał, żeby została. Ostatniej nocy nie mógł spać, więc krążył po domu, potem wybrał się na przejażdżkę, a potem znów krążył. Jego ciało było na wpół chore, na wpół odrętwiałe.

Beverly i Kate opuściły szyby w samochodzie i pomachały. Wszyscy odmachali im w odpowiedzi. Matt słyszał, jak nawołują się - ci, którzy wyjeżdżali, z tymi, którzy zostawali. Bacznie obserwował, jak samochód oddala się powoli, a potem znika na horyzoncie.

Nie ma jej.

Przez długie minuty wpatrywał się w punkt, za którym schował się samochód Kate, nie mogąc uwierzyć w to, że już jej nie ma. Inni też powoli zaczęli się rozjeżdżać.

Ciężar straty przygniótł go z całej siły. Smutek. Gniew, że odjechała i zostawiła go z niczym. Nie umiał sobie poradzić z tymi wszystkimi emocjami, które się w nim kłębiły. Nie wiedział, jak ma dalej żyć bez niej, jak ma się nie rozpaść na kawałki.

Odwrócił się i usiadł w ławce, w tym samym miejscu kaplicy, gdzie ostatnio coś naprawiał. Spojrzał na witraż i na postać Jezusa.

Pamiętał, jak Kate powiedziała mu, że Bóg przyprowadził ją do Redbud i do Chapel Bluff dla niego.

Co za bzdura. Po co Bóg miałby to robić? Tylko po to, żeby znów mu ją odebrać? To było okrutne - najpierw ofiarować coś, co zaczęło mieć dla niego znaczenie i uspokajało jego duszę, żeby po chwili to zabrać.

- Dzięki wielkie - warknął w kierunku witrażu. Wstał i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Jak brzmiał ten tekst o kochaniu i odchodzeniu?

Aha. Kate przypomniała sobie. Jeśli coś kochasz, pozwól mu odejść. Jeśli do ciebie wróci, jest twoje. Jeśli nie, nigdy do ciebie nie należało.

Była to jednak wierutna bzdura. Ktoś powinien całkowicie wymazać tę pseudofilozofię ze świadomości Amerykanów. Jeśli człowiek coś kocha, to powinien wbić się w to pazurami i nigdy nie puszczać.

Kate uśmiechnęła się blado, jakby zupełnie wykończona, wymięta, na skraju załamania.

Była w domu od niemal tygodnia. Wróciła bezpiecznie do swojego bliźniaka z dwoma sypialniami, do sąsiadki Judy i jej roślinek i kotów. Spodziewała się, że na kilka dni przed Bożym Narodzeniem będzie bardzo zabiegana, zwłaszcza że do pracy miała wrócić dopiero po świętach. Zakupy, wysyłanie kartek, nadrabianie zaległości z przyjaciółmi.

Jednak od powrotu do Dallas nie zrobiła praktycznie nic.

Nic.

Dziś na przykład paradowała w spodniach od pizamy ściąganych gumką, starej bluzie z uniwersyteckim logo i w szkaradnych skarpetkach narciarskich. Była niedziela i Kate powinna pójść do kościoła. Ale sama myśl o tym, jak niemal o wszystkich innych powinnościach ostatnich dni, wpędzała ją w depresję.

Nie miała ochoty wielbić Boga ani w pojedynkę, ani z innymi. Mówiąc szczerze, nie miała też ochoty z Nim rozmawiać. Ani nawet myśleć o Nim.

Z najwyższej półki w szafie na korytarzu ściągnęła pudło z dekoracjami świątecznymi. Zaciągnęła je do jadalni i postawiła na stoliku.

Westchnęła, oparła się o wieko kartonu i omiotła wzrokiem pokój. Zawsze uwielbiała dekorować dom na święta; wnętrze wyglądało dokładnie tak, jak zostawiła je we wrześniu. Każdy obrazek wisiał prosto, a wszystkie narzuty leżały na swoich miejscach. Odwaliła kawał dobrej roboty, pomyślała beznamiętnie. Kość słoniowa, bładny błękit i brąz - pastelowe kolory przynosiły ukojenie. Eklektyzm mieszkania: antyki, sztuka i wygodne meble sprawiał ogólne wrażenie przytulności zbalansowanej z wyrafinowaniem.

Dlaczego dziś była nieczuła na jego wdzięki? Dlaczego dom nie sprawiał jej już żadnej przyjemności?

Zdusiła w sobie załazek paniki i otworzyła pudło. Odłożyła na bok trzy opakowania z ozdobami choinkowymi. Tym razem daruje sobie przystrajanie drzewka — było za mało czasu, żeby się tym zamećcać. Posortowała sznury białych światełek, które zazwyczaj rozwieszała na krzewach przed domem. Marszcząc nos, postanowiła, że je także sobie odpuści. Zimowy wieniec ze sztuczną zieleniną i czerwoną wstążką był wygnieciony i nieco krzywy. Zawiesiła go na kołatce na frontowych drzwiach, nie zwracając sobie głowy tym, że wymagałby odświeżenia. Jako ostatnią wystawiła swoją kolekcję szklanych płatków śniegu na gzymsie nad

kominkiem i kubki ze Świętym Mikołajem, które ciotka Sally ofiarowywała jej każdego roku pod choinkę.

Na samym dniu nadal czekało kilka przedmiotów, ale Kate straciła już zapał i nie miała nastroju. Włożyła ozdoby choinkowe i światełka z powrotem do pudła i odniosła wszystko do szafy w korytarzu.

Pomaszerowała do sypialni i wślizgnęła do niezasałanego łóżka. Zwinęła się w kłębek pod kołdrą i myślała o Macie. Oczami wyobraźni widziała, jak biegnie w jej kierunku, bez koszulki, z iPodem przymocowanym do bicepsa. Przypominała sobie jego twarz w dniu, w którym ją pocałował na korytarzu, i spojrzenie jego ciemnych, ognistych oczu. A potem zobaczyła zdruzgotanego Matta, siedzącego na bosaka, z mokrymi włosami, na krześle, kiedy powiedziała, że wyjeżdża bez niego.

Coś ty narobiła, Kate?

Była posłuszna Bogu, ot co. Ale mimo to wcale nie czuła spokoju. Ani radości czy choćby zadowolenia. Jedynie ból serca, pustkę, wszechogarniającą samotność. Nie był to pierwszy raz, kiedy jej serce zostało złamane, ale na pewno najgorszy ze wszystkich. Jeszcze nigdy nie została wbita w ziemię z taką siłą.

Matt dzwonił do niej co wieczór. Na całe szczęście, bo żyła tylko po to, żeby usłyszeć jego głos. Przez całą rozmowę udawała, że wszystko jest w porządku, podczas gdy jej dusza spadała w przepaść, gdy tylko Kate odkładała słuchawkę.

Zapytał, kiedy może ją odwiedzić. Chciała go zobaczyć, ale wiedziała, że to niczego nie zmieni, a tylko wywoła większy ból. Dlatego przy każdym takim pytaniu wykręcała się wymówkami, zmieniała temat albo proponowała lekko, że pomyśla o jakiejś dacie nieco później.

Wiedziała, że nie będzie znosił tego wiecznie. Pewnego dnia po prostu skreśli ją całkowicie.

Pewnie powinna była z nim zerwać w Redbud. Może byłoby to lepsze, łatwiejsze niż ta powolna śmierć ich związku, którą Kate zafundowała im obojgu. Ale jeszcze z nim nie zerwała. A teraz nie miała odwagi poprosić, żeby przestał do niej dzwonić. Jej uparte serce było zbyt uparte i postanowiło uczeplić się tej wątlej nici, jaka ich jeszcze łączyła, na tak długo, jak było to możliwe.

Dwa dni przed świętami Matt wrócił do kaplicy w Chapel Bluff. Usiadł w tym samym miejscu co zwykle, w tej samej ławce i zapatrzył się na to samo witrażowe okno.

Kate nie chciała go oglądać. Kiedy przed jej wyjazdem wspomniał o odwiedzinach, wyczuł jej wahanie, ale wmawiał sobie, że jakoś się ułoży. Postanowił odczekać jakieś dwa tygodnie, zanim znów wróci do tematu. Ale czuł się tak potwornie zagubiony, kiedy jej nie było, że poruszył ten temat już po kilku dniach.

Za każdym razem, kiedy o tym wspominał, Kate gasiła jego zapał.

Nie chciała, żeby przyjeżdżał. *Nie mógł w to uwierzyć.* Ale najwyraźniej tak właśnie było. Odcinała się od niego. Zrobiło mu się niedobrze.

„Wiem, że cię zawiodłam”. Usłyszał jej szept w mroźnej ciszy wypełniającej kaplicę. „Nawet jeśli nie możesz ufać temu światu, albo temu, co jest między nami, czyli tak naprawdę nie możesz zaufać mi, to chciałam po prostu, żebyś wiedział, że możesz ufać Bogu”.

Bóg. Bóg. Czuł się tak, jakby do tej pory był ciągle w biegu i teraz nadszedł jego koniec. Nie miał już dokąd biec, nie miał już siły, nie miał już więcej opcji, które mógł wypróbować, niczego, w czym mógł złożyć nadzieję.

Jezus na witrażu wciąż czekał z wyciągniętą ręką.

Drewniana ławka skrzypnęła, kiedy Matt wstawał. Wyszedł na otwartą przestrzeń z przodu kaplicy, uklęknął na jedno kolano i pochylił się, napierając dłońmi na podłogę.

Miał w głowie przerażającą pustkę. Od czego zacząć? Próbował odmówić *Ojcze nasz*, ale doszedł tylko do połowy i zdał sobie sprawę, że nie pamięta dalszych słów. Trudno. Będzie musiał po prostu przeczekać tę pustkę, póki coś samo do niego nie przyjdzie.

I przyszła myśl o Beth. Matt był tak zaskoczony, że niemal odruchowo ją odepchnął. Ale nie do końca. Pokonał własnoręcznie zbudowany mur i pozwolił wspomnieniom napłynąć. Dopadło go poczucie winy, jak zawsze, kiedy myślał o Beth.

Przebacz mi, modlił się w milczeniu. Tylko tyle był w stanie powiedzieć. Dwa małe słowa, które zawierały w sobie tak wiele. Wszystko, co chciał dla niej zrobić, wszystko, co powinien był dla niej zrobić, wszystko, czego żałował. Wszystko, co popsuł.

W odpowiedzi poczuł w piersi podmuch oczyszczającego wiatru.

Spojrzał na minione lata i na to, jak zły był na Boga. Jak Go ignorował, nienawidził, obrażał.

Wybacz mi.

Silniejszy podmuch. Matt czuł, że się otwiera. Czuł przestrzeń. Wolność.

Przychodziły mu do głowy sprawy, nad którymi nigdy wcześniej się nie zastanawiał. To, jak złamał dane słowo i zerwał kontrakt, rezygnując z kariery sportowej. Jak zranił rodzinę i przyjaciół, odpychając ich od siebie. Myślał o egoizmie i dumie, których trzymał się kurczowo, a które były jego bronią. O rym, że wstydzi się swojej miłości do Kate, bo czuje, że powinien kochać Beth wiecznie. Wszystko to bulgotało w nim jak trujące chemikalia,

a on pozwalał tym chemikaliom wydostawać się na powierzchnię. Bez przerwy. Póki nie był pusty. *Przebacz mi.*

Choć wydawało się to niemożliwe, niemal natychmiast usłyszał odpowiedź Boga. **Wybaczyłem ci. Już dawno.**

Szybko i bez ogródek. Żadnych pouczeń, żadnego zrzucania winy. Tylko poczucie, że Bóg wszystko usłyszał i wszystko wybaczył. Tak po prostu.

Przepęłniła go wdzięczność. Wciąż tkwił w miejscu, nie mając pewności, o co jeszcze mógłby się modlić. Chodziło o coś więcej. Tak naprawdę Matt nie był pewien, co dalej zrobić z własnym życiem.

W tym tygodniu celowo przyjął jakieś niewielkie i łatwe zlecenie, więc załatwił je niemal od ręki. Nie podobało mu się. Nie było to Chapel Bluff i nie było tam Kate.

Odkąd wyjechała, co wieczór jeździł do Chapel Bluff, żeby krążyć po pokojach, w których już jej nie było, i tęsknić za nią. Nie mógł tak dalej żyć. Musiał coś zrobić.

„Chcę, żebyś znów grał zawodowo”. Pamiętał bardzo dobrze, jak stała przed nim, wyprostowana i zdeterminowana. „Nigdy nie będziesz w stu procentach szczęśliwy, jeśli nie wrócisz i nie skończysz tego, co zacząłeś, tak jak powinieneś”.

Matt potrząsnął głową. Wszystko, tylko nie to. Może powinien wyjechać gdzieś na dłużej. Albo zapisać się do college'u. Albo spotkać się z doradcą zawodowym i ustalić najlepszą drogę.

„Wierzę, że potrafisz to zrobić. Czasami musisz po prostu zaufać i zaryzykować”. Słowa Kate były tak samo nieustępliwe, jak ona sama. „Hokej nie miałby już siły cię ranić, chyba że nadal to kochasz”.

A kochał?

To nie miało znaczenia. Nie mógł teraz wrócić. Nie miał już w sobie tego czegoś, co było potrzebne, żeby wrócić. Poniósłby porażkę...

Zatrzymał strumień swoich myśli. Czy to możliwe, by pod automatyczną negacją, pod strachem przed porażką nadal kryła się pasja? A jeśli tak, to czy Matt wystarczająco mocno wierzył w siebie i w Boga, żeby spróbować wszystko odzyskać? Potrzeba było czegoś więcej niż tylko wątpliwej wiary, żeby znów tam się znaleźć i zmierzyć z przytłaczająco wysokim prawdopodobieństwem, iż cała ta historia skończy się dla niego upokorzeniem.

Nie, nie miał w sobie wystarczająco dużo wiary. Był nowicjuszem w tym czymś, co łączyło go z Bogiem, a to wszystko, co stało się z Beth i z Kate, na pewno nie podbudowało jego zaufania do ludzi...

Może jednak o to właśnie chodziło. Bóg nie był kimś, kto mógłby w jakikolwiek sposób go opuścić. Był Bogiem. I, jak powiedziała Kate, dzięki temu był bardziej godzien zaufania niż wszyscy ludzie na ziemi.

Oślupiał. Nie mógł uwierzyć, że nawet to rozważał.

Bo nie rozważał.

Prawda?

Ile mogło kosztować wysłanie komuś olbrzymiego pudła w dzień Wigilii?- zastanawiała się Kate. Mnóstwo pieniędzy. Pieniędzy, które Matt najwyraźniej zapłacił.

Facet z UPS wwiózł do jej domu paczkę na specjalnym wózku, poprosił o podpis na podręcznym komputerku i przed wyjściem życzył wesołych świąt.

Patrzyła na prostokątne pudło pośrodku salonu i nie mogła uwierzyć własnym oczom. Na wysokość sięgało jej do pasa i było

szerokie na dobre metr dwadzieścia. Dzięki Bogu, że spóźniała się właśnie na rodzinną wieczerzę wigilijną u rodziców. Gdyby wyszła

O czasie, przegapiłaby niespodziankę.

Szybko znalazła nożyczki i zabrała się za rozrywanie grubej taśmy. Cokolwiek to było, zostało profesjonalnie i dokładnie zapakowane. Zajęło jej kilka minut, żeby przeciąć boki kartonu i przedostać się przez styropian. W końcu, po rozerwaniu już ostatniej warstwy folii bąbelkowej oczom Kate ukazał się zabytkowy stół.

I to nie było jakie, ale stół w stylu Pembroke z blatem z żółtodrzewu, kabrioletowymi nogami i ręcznie malowanym ornamentem z zielonych girland i białych wstążek. Natychmiast go rozpoznała. Oglądali go tamtego dnia, kiedy z Mattem pojechali szukać antyków. Zobaczyła stół w jednym ze sklepów na głównej ulicy i zakochała się, ale był *tak* drogi...

Matt zapamiętał to i kupił go jej.

Blat opasywała czerwona wstęga zakończona wielką kokardą, z dołączonym do niej małym bilecikiem. Kate odwróciła karteczkę na drugą stronę.

Wesołych Świąt, Kate

Matt

Zatkała sobie dłonią usta. Łzy napłynęły jej do oczu i spłynęły po policzkach. Delikatny w swej konstrukcji stół błyszczał w świetle lampy, a każda jego część była tak samo cudowna, jak ją zapamiętała.

Kochała go. Pomimo wszystkich przeciwności Mattowi jednak na niej zależało. Co ona sobie myślała? Chciała natychmiast z nim porozmawiać i powiedzieć mu, że jeśli ją zechce, przeprowadzi się dla niego do Redbud.

Kate pociągnęła nosem, wytarła łzy i drżącymi palcami wystukała jego numer w komórce. Odebrał po trzecim sygnale.

- Halo?

- To ja. Właśnie dostałam stół i nie mogę uwierzyć własnym oczom. Boże, Mart, dziękuję ci! Bardzo ci dziękuję. Jest piękny! Po prostu... po prostu mnie zatkało.

- Hej, ty płaczesz? - zapytał podejrzliwie.

- Tak.

- Ale mam nadzieję, że z radości?

- Tak.

- Cieszę się, że ci się podoba.

- To mało powiedziane. Naprawdę. To najlepszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam. Nie mogę *uwierzyć*, że mi go kupiłeś.

- Chciałem zrobić ci niespodziankę.

- I zrobiłeś! - Oddychała nierówno, poruszona i zapłakana ze szczęścia.

- Wychodzisz do swoich rodziców? — zapytał.

- Właśnie miałam taki zamiar. A ty gdzie jesteś? U brata?

- Jeszcze jadę. Ale za moment będę na miejscu.

To był dobry moment, by wyznać Mattowi jej decyzję.

- Cieszę się, że zadzwoniłaś - przerwał jej myśl Matt. - Chciałbym ci coś powiedzieć.

- Słucham.

Usłyszała, jak powoli uchodzi z niego powietrze.

- Zdecydowałem, że dam sobie jeszcze jedną szansę i spróbuję wrócić do hokeja.

Aha. Jej euforia pikowała w dół, by po sekundzie zderzyć się z twardą rzeczywistością.

- To świetnie! — powiedziała, mając nadzieję, że zabrzmiała szczerze.

- Tak myślisz? - W jego głosie dało się słyszeć zwątpienie.
- No pewnie. Co się stało, że zmieniłeś zdanie?
- Ty, i wszystko, co powiedziałaś przed wyjazdem. Nie mogłem uwolnić się od twoich słów.

Co oznaczało, że Bóg mu na to nie pozwolił.

- Czyli jaki będzie pierwszy krok?
- Muszę się cofnąć do punktu, w którym się znalazłem, mając szesnaście lat. Wiesz, zanim nie zacząłem grać dla Baronów. Trenował mnie taki facet, Jim Gray. Najlepszy trener, jakiego kiedykolwiek miałem. Zadzwoiłem do niego dziś rano. Jest już na emeryturze, ale powiedział, że ze mną popracuje.
- Gdzie mieszka?
- W Nowym Jorku.
- Wow, więc zamierzasz zostawić swój dom?
- Tak. Muszę tylko znaleźć jakieś tymczasowe mieszkanie. Na czas treningów.
- To wspaniale, Matt. Naprawdę wspaniale.

I rzeczywiście tak było. Dokładnie na to liczyła, tego chciała i oczekiwała. To go uszczęśliwi, pozwoli mu zamknąć pewien rozdział w jego życiu.

- Nie mam żadnych wątpliwości, że osiągniesz sukces.
 - Chociaż jedno z nas ich nie ma. Zaśmiała się lekko.
 - Sam zobaczysz.
 - Nie wiem, Kate. Mówiłem ci już, będzie ciężko.
 - *Kle jesteś twardy. Dasz radę.*
- Odpowiedziała jej cisza. Najwyraźniej rozważał jej słowa.
- Muszę kończyć - powiedziała. Musiała pozbierać myśli i uczucia. - Jestem już spóźniona, a podobno przynoszę przystawkę.
 - Ugotowałaś coś?

- Przerażające, no nie? Pamiętałeś, żeby wziąć ze sobą prezent ode mnie?

- Mam go.

- I otworzysz go jutro?

- Tak, ale nie przy wszystkich. Kiedy zostawią mnie samego na sekundę, otworzę i zadzwonię do ciebie.

- Dobrze.

Zanim wyjechała z Redbud, zrobiła czarno-białe zdjęcie Chapel Bluff. Obrobiła i oprawiła je w taki sposób, by pasowało do zdjęć wiszących w jego domu. Nie żeby aspirowała do ich artystycznego poziomu... czy do dorównania Mattowi w jego wspianiałym geście.

- Jeszcze raz dziękuję ci za stół. Bardzo mi się podoba. Dziękuję.

- Nie ma za co.

- I to naprawdę świetnie, że wracasz do sportu. Wesołych świąt i do jutra.

- Wesołych świąt i do usłyszenia.

Wyłączyła telefon i stała, gapiąc się w ścianę. Mężczyzna, którego poznała, gdy przyjechała do Redbud - zraniony, zgorzkniały, lubiący samotność Matt - zniknął. Teraz wracał do formy, rósł w siłę i znów miał stanąć w blasku jupiterów. Była pewna, że mu się uda, i to na wielką skalę. Hokej był zawsze częścią Bożego planu dla Matta. Kate o tym wiedziała. Dlatego wyjechała. Bóg posłużył się nią, żeby pomóc Mattowi wyjść cierpienia i odnaleźć drogę do sportu... i może, przy okazji, do Niego. To była jej jedyna rola. W przyszłości Matta nie było miejsca dla Kate.

Miała wrażenie, jakby stała na brzegu i patrzyła, jak Matt oddala się coraz bardziej i bardziej, odpływając w głąb morza na łodzi, do której Kate nie mogła wsiąść.

Och, tęskniła za nim. Pragnęła go.

Łzy - ach, te głupie łzy! - znów zapiekły ją pod powiekami. Spojrzała na stolik Pembroke. Jak kretynka, zupełnie bez sensu, chciała poślubić Matta, zatrzymać go na zawsze i wstawić ten stół do domu, który dzieliliby we dwoje. Zamiast tego ten piękny mebel będzie musiał zamieszkać tutaj, w domu kobiety, która miała właśnie po raz kolejny stać się wigilijnym cudakiem, będąc jedyną i godną pożałowania singielką w rodzinie.

Grudzień zamienił się w styczeń i Kate wróciła do pracy. Powrót nie był straszny, ale nie był też wyjątkowy. Kate nie czerpała już ze swoich obowiązków takiej przyjemności jak kiedyś, ale przynajmniej mogła wyjść z domu i zrobić coś wartościowego. Jej podopieczni nieustannie dawali jej okazję do spojrzenia na życie z innej perspektywy. Trudno było się nad sobą użalać, pracując z dziećmi tak zaniedbanymi i zranionymi, że trzeba było zabrać je z ich własnych domów.

Wieczorami oglądała programy o urządzaniu wnętrza i *Antyki na wyjeździe* i zaczytywała się w coraz to innych książkach o hokeju, które wypożyczała w bibliotece.

Kościół? Póki co, nie było jej po drodze.

Styczeń ustąpił miejsca lutemu. Matt każdego dnia coraz dalej przesunął granicę swoich fizycznych możliwości. Zjawiał się na siłowni o szóstej rano, gdzie ćwiczył pod okiem osobistych trenerów. Po dwóch godzinach jechał na lodowisko i trenował kolejne

cztery na łodzi ze swoim trenerem. Po lunchu szedł na fizykoterapię, konsultacje z dietetykiem, czasem rozmawiał z agentem, a potem wracał na łód i grał mecze towarzyskie, które aranżował jego trener, żeby przywrócić Mattowi dawną formę. Wieczorem Matt wracał do pozbawionego życia mieszkania, które wynajął na miesiąc wraz z umeblowaniem. I cały czas myślał o Kate.

Podczas pierwszych tygodni ciężko mu było na nowo wciągnąć się w grę. Był kiepski i sztywny. Chciał się poddać. Ale Kate mu na to nie pozwalała. Nie tylko każdego wieczoru podczas rozmowy przez telefon, choć to też robiła. Jego motywacja nie miała szlachetnych pobudek i Matt nie był z tego dumny. Pragnął, by Kate pożałowała, że go zostawiła. Chciał jej pokazać, że potrafi być w czymś dobry, i zmusić ją do odwzajemnienia jego miłości.

Tylko to motywowało go, kiedy nic innego już nie pomagało i kiedy jego ciało krzyczało, że już wystarczy.

I wtedy powoli szczęście zaczynało się do niego uśmiechać. Stawał się coraz lepszy. Stopniowo odzyskiwał dawną formę, a jego umiejętności i instynkty wyostrzyły się.

Po jakimś czasie znów był dobry.

Luty przeszedł płynnie w marzec. Trener nalegał, żeby Matt odpoczywał i w weekendy pozwalał swojemu ciału odzyskiwać siły. Matt zaczął więc chodzić w niedziele do kościoła, który znajdował się na tej samej ulicy, co jego wynajęte mieszkanie. Zjawiał się kilka minut po rozpoczęciu nabożeństwa i wychodził na chwilę przed końcem. Dzięki temu, na szczęście, nie musiał niemal z nikim rozmawiać.

Lubił tam chodzić. Śpiew, modlitwa, ofiarowywanie się Bogu i nauczanie - wszystko to go wyciszało i poruszało.

W ciągu tygodnia modlił się sam, odkrywając, że im częściej próbował, tym lepiej mu szło. Tak samo było z zaufaniem Bogu. Za każdym razem, kiedy w hokeju robił jeden krok do przodu, wystawiając się na zderzenie z katastrofą i kierując się jedynie ślełą wiarą, że się uda, Bóg spokojnie przy nim trwał. I jak dotąd, zawsze kończyło się sukcesem.

Powiedział Kate o dniu w kaplicy, kiedy podjął decyzję, że wraca do gry i że zacznie chodzić w niedzielę do kościoła. Cieszyła się, była podekscytowana, ale nie czuł z jej strony żadnej presji.

W rzeczywistości wspierała go we wszystkim *poza* jego pragnieniem, żeby ją odwiedzić. Matt starał się nie poruszać tego tematu. Naprawdę, starał się. Ale w chwilach słabości, kiedy tęsknił za nią już tak mocno, że nie mógł znieść tej tęsknoty, łamał się i pytał, czy może przyjechać.

Wciąż odrzucała jego propozycje. Matt wymyślał sobie coraz to nowe powody, dla których tak robiła. Po tym, jak dwukrotnie mu odmówiła, poczuł się zdezorientowany i urażony. Poważnie się na nią zezłościł. Po pierwszej odmowie nie odzywał się przez dwa dni. Za drugim razem nie odezwał się przez tydzień. Ale z każdą minutą rozłąki czuł narastający strach, który miażdżył go od środka. Rozmowa z Kate, to, że była obecna w jego życiu, chociażby tylko przez telefon, znaczyły dla niego zbyt wiele, żeby miał się poddać.

Brnął więc dalej w treningi, motywowany idiotyczną nadzieją, że kiedy odniesie sukces, kiedy będzie z powrotem w drużynie, grając w NHL, to może *wtedy* Kate zgodzi się z nim spotkać.

W połowie marca Matt wrócił do ligi zawodowej i do nowojorskiej drużyny Baronów, dołączając do nich w połowie sezonu. Jego powrót stał się ogromną sensacją.

Kate zaczęła oglądać kanał sportowy ESPN, czytać sportowe strony lokalnych i ogólnokrajowych gazet i kupować magazyn *Sport Illustrated*. Niczym dumna matka, która wycina artykuły o swoim synu i wkleja je do albumu, nie chciała przegapić ani jednej wzmianki o Macie. Rozpisywano się o nim tak obszernie, że trudno było nadążyć ze słuchaniem i czytaniem wszystkich nowinek. Niemniej jednak, próbowała.

Babcia była przeszczęśliwa, że Matt wrócił do sportu. Przez ostatnie tygodnie mówiła tylko o tym. Z tej okazji zaplanowała także przyjęcie u siebie, połączone z oglądaniem meczu. Miało być mnóstwo jedzenia, ludzi i czarno-czerwonych dekoracji — barw drużyny Baronów. Była zaskoczona, kiedy Kate oznajmiła jej, że nie przyjdzie, bo z góry założyła, że wnuczka się zjawi. Kate jednak nie czuła się na siłach, by w tłumie ludzi patrzeć, jak Matt gra. Pragnęła być sama ze swoim telewizorem i móc skupić się na każdej poszczególnej sekundzie akcji. Nie chciała, żeby coś ją rozpraszało, a co najważniejsze, w samotności nie musiała ukrywać swoich emocji.

Wracając z pracy w wieczór wielkiego meczu, Kate przejechała wiewiórkę. *Co za ironia*, pomyślała. Tej głupiotkiej wiewiórce nic by się nie stało, gdyby odważnie przebiegła na drugą stronę jezdni. Ale zatrzymała się, obróciła i próbowała wrócić, skąd przyszła. Nie udało się i wbiegła prosto pod koła eksplorera. To nie wróżyło najlepiej.

Kate weszła do domu, dręczona wyrzutami sumienia z powodu wiewiórki i rozdarła w związku z powrotem Matta do sławy. Przebrała się w dzinsy i w bluzę Baronów, którą dostała od Matta pocztą, a potem zjadła podgrzany w mikrofalówce kawałek lasagnii. Rozsiadła się na kanapie przed telewizorem z torebką miętowych ciągutek, jeszcze zanim zaczęły się pokazy przed meczem.

Dużo później, kiedy Matt wreszcie wyjechał na lód, by rozpocząć rozgrzewkę, jego widok dosłownie zaparł Kate dech w piersiach. Wpatrywała się w ekran telewizora, wytrzeszczając oczy. Widziała zesłotygodniowy wywiad z nim w wiadomościach, ale to było coś innego. Teraz miał na sobie pełen strój, ochraniacze, łyżwy. Wirował na lodzie. Był w swoim żywiole. Kiedy podczas hymnu kamera filmowała go dłuższą chwilę, serce Kate niemal wyrwało się z piersi.

Przez kolejne kilka godzin odeszła od telewizora tylko raz - ukradkiem wymknęła się do łazienki w przerwie na reklamy. Dzięki książkom, które przeczytała, rozumiała dokładnie, o czym mówili komentatorzy, kiedy omawiali pozycje i strategię. Znała wszystkie rodzaje kar.

Matt jeździł na łyżwach dokładnie tak, jak opisywała to jego matka. Nie zachowywał się jak osiłek, ale jak chirurg. Bardzo skupiony, precyzyjny, opanowany. Budził w Kate absolutny podziw.

Kilka razy pokazali rodzinę Matta, siedzącą na trybunach. Jego matka, ojciec, brat i bratowa uśmiechali się szeroko i zawzięcie mu kibicowali. Matt zapraszał także Kate, a ona za każdym razem, kiedy pokazywali jego rodzinę, żałowała, że nie przyjęła oferty.

Stacja serwowała też często ujęcia fanek Matta. Wiele z nich miało piękne rysy, wiszące kolczyki, długie, modnie uczesane włosy, obcisłe markowe dzinsy i bluzy z numerem i nazwiskiem Matta na plecach. Dziś jakaś grupka dziewczyn przyniosła plakat

z napisem *Szalejemy za tobą*, a z przodu swoich obcisłych koszulek każda napisała jedną literę, które razem składały się w słowo *M-A-T-T*.

Powinna była spodziewać się innych kobiet. Ale wcześniej, zupełnie naiwnie, w ogóle o tym nie pomyślała.

Przed dzisiejszym meczem najbardziej drżała o to, że Matt nie spełni związanych z nim oczekiwań. Hokejowi eksperci spekulowali, że nie będzie tak dobry, jak kiedyś. Ze nie jest już najmłodszy, że lata poza lodowiskiem znacznie ograniczyły jego możliwości.

Ten występ miał im wszystkim zamknąć usta. Może Matt nie pobije swoich najlepszych występów, ale będzie odpowiednio blisko, by spotkać się z uznaniem. Zdobył dwie z trzech bramek; jedną w ostatnich minutach trzeciej tercji, praktycznie zapewniając Baronom pewne zwycięstwo. Kiedy wybrzmiał ostatni dzwonek, Kate rozluźniła się, rozwarła zaciśnięte do tej pory dłonie i wzięła kilka głębokich oddechów. Aż do teraz nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo była spięta i zdenerwowana, jak desperacko chciała, żeby Matt odniósł sukces.

Kiedy Matt szedł tunelem do szatni, dziennikarze głośno domagali się, żeby udzielił wywiadu. Wyświadczył im tę uprzejmość, zdjął kask i przystanął, żeby odpowiedzieć na kilka pytań. Jego włosy były całkowicie mokre od potu, twarz zaczerwieniona, a oczy ciemne. Ramiona w ochraniaczach wyglądały na znacznie szersze niż w rzeczywistości.

- Co czujesz po powrocie na lód, w kolorach Baronów? — zapytał jeden z dziennikarzy.

- Było okay, czułem się naprawdę dobrze - odpowiedział Matt, z trudem łapiąc oddech.

Pochylił głowę, słuchając uważnie, jak dziennikarz recytuje statystyki gry i podsumowuje:

- Musisz być zadowolony z tych liczb.

- Tak, owszem. Jest nad czym pracować i postaram się być jeszcze lepszym. Ale to pierwszy mecz po moim powrocie. Dziś chciałem po prostu dobrze zagrać i przydać się na coś drużynie.

- Zdobyłeś decydującego gola, mając jedynie dwie minuty i czterdzieści sekund na zegarze. Jak ci się to udało?

- Dostałem świetne podanie od Barkowa. Zobaczyłem lukę, udało mi się ustawić krążek pod odpowiednim kątem i posłać go w górny prawy róg bramki.

- Gratulacje z okazji pierwszego meczu po przerwie i dzięki za rozmowę.

- Dziękuję. - Matt pożegnał się i zniknął z kadru.

Kate obejrzała resztę transmisji po meczu i wyłączyła telewizor. Mogłaby pójść do babci. Na pewno wszyscy jeszcze tam będą przez godzinę lub dwie. Zawsze to jakieś towarzystwo, ktoś, z kim może porozmawiać i pośmiać się. Ale tak naprawdę... nie miała na to siły.

Odbębniła rutynową pielęgnację skóry i zębów przed pójściem spać, narzuciła na siebie koszulkę na grubych ramiączkach i spodnie od piżamy, znów za luźne, bo ostatnio schudła. Zmarszczyła czoło. Chude dziewczyny nie mogły sobie pozwolić na gubienie kolejnych kilogramów! Nie chciała nawet myśleć o tym, co stało się z rozmiarem miseczki biustonosza.

Zsunęła ze stóp różowe kapcie, porzucając je w tym samym miejscu, co zwykle, i opatulili się kołdrą. Próbowwała czytać książkę o hokeju, którą ostatnio wypożyczyła z biblioteki, ale ciągle przed oczami miała Matta mknącego na łyżwach i jedyna myśl, jaka jej teraz przychodziła do głowy, była taka, że przez chwilę ten mężczyzna należał do niej. Wydawało się to niemożliwe, niemal surrealistyczne.

Odłożyła książkę na stoliczek, wyłączyła światło i rozważała pójście spać. Odkąd wyjechała z Redbud, nie szło jej to najlepiej.

Dom przytłoczył Kate duszną ciszą. Głuchą, bolesną, ciężką ciszą. Gdy nagle zadzwonił telefon, aż podskoczyła. Mrużąc oczy, złapała za słuchawkę leżącą na nocnym stoliku i odczytała litery na malutkim ekranie.

JARREAU, MATT.

- O Boże! - Niemal upuściła telefon, kotłując się na łóżku, by usiąść i nacisnąć właściwy klawisz. - Halo?

- Kate?

- Matt - powiedziała. - Cześć.

Dopiero co widziała go w telewizji i oto on teraz dzwonił do niej, *do niej!*, dziś, kiedy miał wokół siebie pewnie tysiące ludzi, którzy pragnęli jego uwagi i czasu.

- Oglądałaś mecz?

- Każdą sekundę. - Włączyła lampkę nocną, rozświetlając sypialnię. - Byłaś niesamowity. Byłaś naprawdę niesamowity. Tak się denerwowałam, że pewnie straciłam rok życia, ale było warto.

- Więc podobało ci się? - Słyszała, że się uśmiecha.

- To było świetne!

- Przydała się lektura obowiązkowa? Wiedziałaś, co się dzieje?

- Skąd wiesz, że coś czytałam?

- Wspomniałaś mi kiedyś.

- Naprawdę? Zachichotał:

- Tak.

- Cały czas miałam sytuację pod kontrolą. Nawet wiedziałam, co to „uwolnienie”.

- No to jesteś jedną z nielicznych. Nie bełkotałem za bardzo podczas wywiadu?

Kate uważała, że wyglądał jak faworyt w gali „Najpiękniejsi” magazynu *People*.

- Nie, poszło ci dobrze. Cieszyłam się, że nie paplałeś dialektem tych wszystkich supersportowców. - Po drugiej stronie słuchawki usłyszała jakieś głosy.

- A niech to - powiedział Matt. - Muszę kończyć.

- Jasne. To był dobry mecz.

- Dzięki. Zdzwoniemy się jutro?

- Jasne.

- Dobranoc, Kate.

- Dobranoc, Matt.

Rozłączył się, a ona jeszcze przez chwilę wsłuchiwała się w sygnał, przyciskając słuchawkę do ucha.

Bez żadnego ostrzeżenia dopadła ją samotność, otoczyła i zaczęła dusić. Po trzydziestu sekundach ciszy Kate odłożyła telefon na stację, zgasiła światło i wyciągnęła się na plecach. Zagapiła się w ciemność.

Odkąd wyjechała z Redbud, było naprawdę mnóstwo sytuacji, w których prawie zgodziła się, żeby do niej przyjechał. Spotkanie z Mattem jawiło się jako kusząca perspektywa i Kate z trudem się jej opierała. Ale za każdym razem, kiedy już pochylała się, aby rzucić się w przepaść, Bóg szeptał „nie” i odciągał ją na bezpieczną odległość.

Przecież trzymała się od Matta z daleka dla jego dobra, a sukces, jaki odniósł dziś wieczorem, udowodnił jej, że podjęła właściwą decyzję. Nigdy by tyle nie osiągnął, gdyby ona - i on - zostali razem w Redbud.

Jego telefony były jedynie namiastką prawdziwości, realności. Mężczyzny z krwi i kości. Ale chociaż tyle. Kilka razy zdążył się na nią zezłościć, gdy storpedowała jego propozycje przyjazdu. Dni, kiedy się nie odzywał, były najdłuższymi i najbardziej przygnębiającymi dniami w jej życiu.

Wykonała zadanie od Boga i teraz powinna za wszelką cenę zakończyć operację *Matt Jarreau*. Ale *ciągle* kurczowo trzymała się ich rozmów telefonicznych. Była to ostatnia rzecz, która ich łączyła. Matt miał teraz wszystko, a z czasem na pewno zacznie żyć własnym życiem, zapomni o niej i zakocha się w kimś na jego poziomie. To było dokładnie to, co Bóg planował dla niego od samego początku.

Na samą myśl o przyszłości bez Matta czuła nerwowy ucisk w żołądku. Kochała go. I wcale nie szło jej tak świetnie bez niego. A jednak każdą cząstką swojego ciała czuła, że prędzej czy później będzie musiała znaleźć sposób, żeby pozwolić Mattowi odejść na dobre.

Matt stał w pokoju hotelowym, z wściekłością patrząc na swój telefon komórkowy. Przeklął pod nosem i cisnął komórką. Aparat poszybował w powietrzu, uderzył o ścianę i z hukiem spadł na podłogę.

Właśnie powiedział Kate, że przyjedzie, by się z nią zobaczyć, a ona znów się nie zgodziła. Chyba po raz setny.

Zaczął chodzić po pokoju. Wręcz pożerał krokami beżowy dywan. Tam i z powrotem. Tam i z powrotem. Na zewnątrz było chłodno. Zza zaciągniętych zasłon Matt słyszał jedynie popołudniowy wiatr, który hulał wokół budynku, sprawiając, że cegła, zaprawa murarska i szkło drżały.

Od niecałego tygodnia był w trasie z drużyną. Po swoim pierwszym meczu i po kolejnym w Nowym Jorku zagrał jeszcze trzy mecze wyjazdowe. Razem pięć meczy. Pięć meczy. Nadeszła pora, by się przyznać, że jego egoistyczne marzenia związane ze wzmożonym uwielbieniem ze strony Kate po jego powrocie na lód nigdy się nie spełnią. Przecież kobiety uwielbiają sportowców! To miał być jego as w rękawie. A jednak ten mały teksański rudzielec nie chciał się ugiąć.

Kate, jego Kate, z ciałem baletnicy i orzechowymi oczami, z hardą gadką, talentem do gry w pokera i słabością do antyków niczym starsza pani... Dla niej nie miało znaczenia, że Matt nie był już budowlańcem z małego miasteczka. Ze stał się znowu zawodowym hokeistą. Nie miało to dla niej znaczenia, bo go nie chciała. I tyle. Czy mogła być bardziej dosadna? Nie chciała go i wielokrotnie dała mu to jasno do zrozumienia. A jednak przysięgłby, *przysięgłby*, że jednak jej na nim zależało, i to bardzo.

Nie mógł tego zrozumieć!

Dzięki rozłace sam był już absolutnie pewien swoich uczuć. Każda godzina bez Kate cementowała jego miłość. Miał jasny umysł i stuprocentową pewność co do swego serca.

Ale nie był pewny jej uczuć.

Spojrzał z obrzydzeniem na pokój hotelowy. Omal się nie wykończył, żeby tutaj dotrzeć. A Kate go nie chciała.

Wiesz co? Nie zostawię tego w ten sposób.

Zdenerwowany podszedł do szafy, wyszarpnął z niej marynarski worek, który służył mu za plecak, i zaczął wpychać do niego ubrania. Koniec z tym. Koniec z telefonami. Koniec z proszeniem

O spotkanie.

Koniec.

Kate lubiła program *The Amazing Race* i od lat w niedzielne wieczory oglądała go ze swoim przyjacielem, Brianem, który mieszkał cztery domy dalej. To była ich tradycja. Kate nagrywała program, a Brian wpadał koło wpół do ósmej. Podjadali zakąski, które Kate akurat miała na stanie, kibicowali swoim ulubionym uczestnikom i wygwizdywali tych mniej ulubionych.

Był czas, kilka lat temu, kiedy Brian czuł miętę do Kate. Ale ona odepchnęła go. Brian był typem ładnego blondyna, który w pierwszej klasie podstawówki może i jest obiektem dziewczęcych westchnień, ale jako dorosły mężczyzna sprawia wrażenie lalusiowatego smarkacza. Kate nie czuła motyli w brzuchu na jego widok, choć był troskliwym i sympatycznym facetem, a do tego miał stabilną pracę w księgowości. Z jej strony to była tylko przyjaźń; doradzała Brianowi w sprawach sercowych i oglądała z nim *The Amazing Race*.

Kate zdołowało to, jak zakończyła się jej rozmowa z Mattem, i straciła ochotę na wspólne oglądanie programu. Odwołanie spotkania jednak się nie udało. Brian odpisał na jej sms-a, że pomimo wszystko *będą* dziś oglądać, że on *przyjdzie* i jeśli ona nie ma ochoty, to już jej problem. Stało się więc na tym, że opychali się z Brianem mieszanką orzechów i martwili o drużynę sympatycznych sióstr, które straciły prowadzenie w wyścigu. Seans przerywał im co jakiś czas grzmot wiosennej burzy, przetaczającej się właśnie nad miastem.

Nagle ktoś zapukał do drzwi.

Kate spojrzała pytająco na Briana, a on odpowiedział jej tym samym.

- Spodziewasz się kogoś? - zapytał.

- Nie - zatrzymała nagranie i wytarła ręce w spodnie. Podeszła do drzwi, odblokowała zamek i otworzyła.

Na progu stał Matt.

Kate przeszył promień czystej, niczym niezmaconej energii. Zamarła, czując na rękach gęsią skórę. Światło na werandzie padało z jednej strony, podkreślając mokre od deszczu ramiona i wilgotne włosy Matta. Miał na sobie znajomą parę džinsów i cienki, ciemnoszary sweter, który pod wpływem deszczu przykleił się do ciała.

Był... znacznie bardziej postawny niż go zapamiętała. Przystojniejszy. I w jego oczach nie było wcześniej ryle gniewu. Kate nie mogła jakoś zebrać myśli. Jak przez mgłę usłyszała za sobą głos Briana:

- Kate?

- Kate? - zawołał głośniejszym głosem Brian.

Matt spojrzał w kierunku, z którego dobiegał męski głos. Zmrużył oczy.

- W porządku - odchrząknęła Kate do Briana. - To mój przyjaciel.

Spojrzała na Matta i poczuła się jak przed atakiem astmy - ucisk w piersi, walące serce, suchość w ustach.

- Mogę wejść? - zapytał Matt.

- Tak... tak, oczywiście. - Cofnęła się, chcąc przepuścić go w drzwiach.

Matt odwrócił się, żeby dać znać taksówkarzowi, by już na niego nie czekał. Reflektory samochodu przeszywały deszcz i ciemności. Podniósł worek marynarski leżący u jego stóp i wszedł do środka. Salon Kate, kiedy nagle Matt się w nim znalazł, wydał się malutki. Wszystko zresztą - łącznie z jej odwagą - skurczyło się gwałtownie w obliczu jego postury i charakteru.

Brian wstał i obaj mężczyźni zmierzyli się wzrokiem. Kate stanęła między nimi i zapadła krępująca cisza. Kate była jednak tak roztrzęsiona, że nie wiedziała, co powiedzieć. Gdzie teraz był jej inhalator?

Matt przerzucił worek z jednej ręki do drugiej.

- Jeśli chcesz, połóż go tu. - Kate wskazała na wolne miejsce na podłodze.

Skorzystał z jej propozycji. Widać było, że coraz bardziej się spinał. Brian zrobił krok do przodu.

- Brian Lufkin - przedstawił się.

- Matt Jarreau. - Uścisnęli sobie dłonie.
- Ten Matt Jarreau, który gra w drużynie Baronów? - zapytał zaskoczony Brian, robiąc wielkie oczy.

Matt kiwnął głową.

- Wow! - Brian uśmiechnął się zdumiony i spojrzał na Kate.

- Nie wiedziałem, że się znacie.

Kate wzdrygnęła się w duchu. Może i doradzała mu w sprawach damsko-męskich, ale ona jemu zwierzać się nie miała zamiaru.

- Tak - potwierdziła nieprzekonywująco. - Poznaliśmy się podczas mojego pobytu w Pensylwanii.

- Nieźle. - Brian klepnął Matta po ramieniu. - Śledziłem twoją historię na ESPN, widziałem kawałek twojego pierwszego meczu po powrocie. Gratuluję, stary.

- Dzięki. - Matt przeniósł swój wzrok na Kate; jego oczy

- och, te oczy — płonęły złym przeczuciem.

Odchrząknęła.

- Czy możesz nas zostawić samych, Brian? Przepraszam, że nie dokończymy programu... Ale jest nagrany. Więc może jutro? Możemy skończyć jutro?

Na twarzy Briana odmalowało się zaskoczenie.

- Jasne. - Podrapał się po głowie i posłał jej długie, pytające spojrzenie; w końcu ruszył po swój płaszcz.

- Eee, nie ma problemu. - Zatrzymał się jeszcze na progu.

- Miło było cię poznać, Matt. Powodzenia z hokejem.

Matt skinął głową.

- Do jutra, Kate - rzucił Brian.

- Cześć.

Brian zamknął za sobą drzwi, zostawiając Kate i Matta samych. Ciszę przerywał jedynie szum w kaloryferach. Matt patrzył na Kate jak tygrys polujący na antylopę.

- Kto to był? - zapytał.

- Przyjaciel.

- Przyjaciel?

- Tak.

- Nie mówiłaś mu o mnie?

- Nie - powiedziała. - Nie mówiłam.

Unikając jego spojrzenia, nagle zainteresowała się własnymi biodrówkami z beżowego sztruksu, brzeżkiem czekoladowej bawełnianej koszulki i różowymi kapciami. Nie ubrałaby się w to, gdyby wiedziała, że Matt wybiera się do niej z wizytą, ale i tak nie wyglądała źle. Nerwowo wygładziła nieistniejącą zmarszczkę na rękawie.

Matt odwrócił się i podszedł do okna z widokiem na ulicę. Przez chwilę wpatrywał się w ciemność i burzę, z rękoma wciśniętymi w kieszenie.

Po co tu przyszedł? *Po co przyszedłeś?*, chciała krzyknąć. Dopiero co rozmawiali kilka godzin temu. Był w Chicago. Powiedziała mu wyraźnie, żeby nie przyjeżdżał. A teraz stoi tu przed nią.

Zachłannie zliczała wszystkie rzeczy, o których zaczynała zapominać. Jego proste, ciemne brwi. Lekko kręcone włosy na karku. Zapach mydła. Silne, szerokie ramiona.

Widok Matta sprawiał Kate przyjemność. Ale zarazem potworny ból w brzuchu. Pewnie przyjechał tu, żeby zerwać z nią osobiście. Pokłócili się przecież i chciał być na tyle honorowy, by powiedzieć jej prosto w oczy, że z nimi koniec.

Tylko czy...

Na pewno? Czy przeleciałby cały kraj wyłącznie po to, by złamać jej serce?

- Burzowo tu u was - powiedział.

- Taa.

- Czy zawsze jest tak... - Przeształ z nogi na nogę. - Burzowo?

- Wiosną zazwyczaj jest brzydka pogoda. To płaskie tereny, fronty często się nad nami przetaczają. - Musiała mocno się powstrzymać, żeby nie gadać bzdur.

- Co u Beverly? - Nadal patrzył przez okno.

- Świetnie.

- A u Velmy?

- Dostałam od niej list w zeszłym tygodniu. Niedługo wybierają się z Mortym jego cadillakiem na zlot zabytkowych samochodów. A poza tym wszyscy czują się świetnie.

Skinął głową.

- A *twoja* rodzina? Wszystko dobrze?

- Tak.

Zapadła długa cisza.

- A co u *twojej* rodziny? - zapytała z desperacją.

- Dobrze.

Znów cisza, przerywana szumem kaloryfera. Nagle Matt warknął z frustracją i przeczesał włosy palcami. Spojrzał na Kate, po czym odwrócił wzrok. I znów spojrzał.

- Słuchaj - powiedział. - Mam już dosyć udawania, że cię nie kocham.

Całe powietrze uszło z niej ze świstem.

- Zaczynam się czuć prawie jak wtedy, gdy wróciłem do gry po śmierci Beth. To było głupie i bezcelowe. I dziś, każdego dnia wychodzę na lód, a tak naprawdę to pragnę tylko... - Zaciśnął usta w cienką linię. - Ciebie - wyznał.

Otworzyła szeroko oczy. Głos uwiązał jej w gardle od emocji, a do oczu napłynęły łzy.

- Powtarzałaś, żebym do ciebie nie przyjeżdżał - kontynuował Matt - i wiem, że mnie nie chcesz. Ale... musiałem przyjechać. Pomyślałem, że może...

- Tak naprawdę, to ja też.

- Co też?

- Też chcę tylko ciebie.

Teraz on z kolei nie mógł znaleźć słów. Kate podeszła do niego i powoli, z nabożeństwem, wyciągnęła rękę i przyglądała niesforny kosmyk jego włosów.

Porwał jej dłoń i odcisnął na niej pocałunek.

Uśmiechnęła się do niego i popatrzyła zamglonymi oczami.

- Więc dlaczego wyjechałaś z Redbud? - zapytał.

- Ponieważ dobrze wiedziałam, że masz wrócić do hokeja. Czułam, że tego nie zrobisz, jeśli zostanę.

- Dlaczego nie pozwalałaś na moje odwiedziny?

- Z tego samego powodu. Myślałam, że to jedynie odwlecze nieuchronne i sprawi, że wszystko będzie bolało jeszcze mocniej. Nie chciałam być przeszkodą.

- Kate.

- Zadziałało - wyszeptała. - Spójrz teraz na siebie.

- Tak, spójrz na mnie. Jestem w rozsypce.

- Jesteś sławny.

- Jestem w rozsypce - powtórzył - bez ciebie. Gwałtownie przyciągnął Kate do siebie, ukrywając twarz w jej

szyi. Czuła, jak drży. Radość rozkwitła w niej niczym róża: pięła się i rozrastała, sprawiając, że Kate niemal zakreśliło się w głowie. Kilka łez ześlizgnęło się z jej rzęs.

- Kocham cię — powiedziała.

Odsunął się nieco, żeby spojrzeć jej w twarz.

- Kocham cię - powtórzyła.

- Więc czemu płaczesz?

- Ze szczęścia.

Starł opuszkami kciuków jej łzy.

- Kocham cię, Kate.

Posłała mu drżący, promienny uśmiech.

- Kocham cię, Matt.
- Pozwolisz mi zostać czy wrócisz ze mną?
- Nie możesz tu zostać. Grasz w Nowym Jorku, a na pewno *nie* rezygnujesz z hokeja.
- Czyli przeprowadzisz się do Nowego Jorku?
- Tak.
- I będę mógł cię ciągle odwiedzać?
- Tak. - *Tak wiele razy powiedziałam 'tak'*, pomyślała Kate. I mogłaby powiedzieć 'tak' tysiąc razy, a nadal byłoby mało.
- Dzięki Bogu.

Pocałował ją, długo i mocno, a potem wziął na ręce i zaniósł na kanapę. Rozsiadł się wśród poduszek, trzymając Kate na kolanach w żelaznym uścisku. Zamarli w tej pozycji na długi czas. Karmili się swoją obecnością, dzielili oddechem, szeptali do siebie pocałunkami. Matt owinął sobie jej włosy dookoła palców. Kate dotknęła jego twarzy - nie mogła przestać tego robić.

Czekała na poczucie winy. Wpuszczając Matta pod swój dach, postąpiła wbrew woli Boga. Choć jedyne przekonanie, jakie w tej chwili czuła, było takie, że postępuje słusznie.

Boże, zwróciła się do nieba. Czuła Jego obecność, ale nie czuła wstydu ani skrępowania w obliczu zaistniałej sytuacji, jedynie silne poczucie wszechogarniającej łaski. I że Bogu podoba się ich spotkanie.

Wtedy przed jej oczami pojawiła się droga, jaką przeszli wspólnie z Mattem. Wszystko było na właściwym miejscu.

- Aha - odetchnęła głęboko.
- Aha? - zapytał Matt.
- Aha - odpowiedziała i przytuliła się do niego mocniej. Zaśmiał się.
- Jesteś piękna - powiedział.

W Redbud usłyszała, jak Bóg mówi jej „nie”. Ale tak naprawdę Bóg mówił: „jeszcze nie”. Chciał, by Matt wrócił do sportu, co oznaczało, że czas trzy miesiące temu nie był jeszcze „ich czasem”. Stwórca potrzebował tych kilku ostatnich miesięcy, żeby zatroszczyć się o nich osobno. I by doprowadzić ich tam, gdzie mieli się znaleźć.

Ale teraz - *teraz* - był ich czas. *Tak? Boże? Czy dobrze Cię rozumiem?*

Tak.

Tylko Bóg mógł ofiarować Mattowi szansę powrotu do hokeja, a Kate ofiarować Matta. Dostała o wiele więcej, niż chciała i zasługiwała. Jej wiara była przecież tak mała. Kiedy wyjechała z Redbud, zostawiając Matta, przestała ufać Bogu, była skłonna odwrócić się do Niego plecami. A przecież On przez cały ten czas działał dla jej dobra.

Poczuła głęboką pokorę. Nawet w chwili buntu Bóg i tak ofiarowywał jej ten dar. Matta. Najwspanialszy z darów. *Przepraszam*, modliła się, *i dziękuję, dziękuję, dziękuję*. Jej serce wypełniła wdzięczność.

- Pamiętasz, jak opowiedziałaś mi historię o tej parze staruszków, którzy spacerują w twojej okolicy? - zapytał Matt. - O mężczyźnie, którego żona cierpi na Alzheimera?

- Pamiętam.

- Myślałem o tym wiele razy. Kate studiowała jego twarz.

- Chciałbym być jak on. Uśmiechnęła się.

- Jesteś pewien? Jest łysy jak kolano.

Matt wyszczerzył zęby w uśmiechu, nieco krzywym i niezgrabnym uśmiechu, który odebrał jej dech w piersiach.

- Jestem pewien. Chcę być dla ciebie takim facetem. Twoim facetem na zawsze.

- Dopóki śmierć nas nie rozłączy?

- Tak.

Czym zasłużyła sobie na takie szczęście? Zupełnie niczym. A jednak Matt był tutaj i mówił jej wspaniałe rzeczy, na których mogła zbudować swoją przyszłość.

- Chyba jeszcze ci o tym nie wspominałam, ale kocham cię. -
Odczekała chwilę. - Nawet mimo to, że nie potrafisz grać w pokera.

Wybuchnął śmiechem, odrzucając głowę do tyłu. Kiedy znów na nią spojrzał, jego brązowe oczy, niegdyś pełne cierpienia, tryskały humorem i miłością.

- A ja cię kocham, mimo że dostajesz ataku astmy podczas spaceru tylko wokół domu.

Zaśmiała się.

- Więc chyba będzie dobrze.

- Tak - powiedział promiennie. - Myślę, że będzie dobrze.

Epilog

Dziewczyna, która modliła się za swego przyszłego męża od czwartej klasy podstawówki, wyszła za mąż tej jesieni w kaplicy w Chapel Bluff.

Światło, które wpadało przez okrągłe witrażowe okno, zalało kaplicę złotem, brzoskwiniowym różem i bladą zielenią i otoczyło poświęcą parę na przodzie, gdy ta trzymała się za ręce i wypowiadała słowa przysięgi.

Panna młoda miała na sobie elegancką i prostą, białą suknię z gorsetem. Rude włosy splotła z tyłu głowy w wyrafinowany kok. Diamentowe kolczyki w kształcie łez, prezent od przyszłego męża, migotały w jej uszach. W ręku trzymała piękny bukiet z białych róż i hortensji, dokładnie takich samych jak te z pierwszego bukietu, który ofiarował jej Matt.

Pan młody wyglądał intrygująco w czarnym smokingu, z białą różą w butonierce, rozpromieniony i uśmiechnięty.

Po zakończonej ceremonii całe towarzystwo, składające się z najbliższej rodziny i przyjaciół, wyszło na łąkę i w ostatnich promieniach

zachodzącego słońca ruszyło w kierunku domu, mijając gobelin drzew mieniący się odcieniami pomarańcza, żółci i czerwieni.

Po części oficjalnej, czyli po złożeniu życzeń młodej parze, uściskach i podjadaniu przystawek roznoszonych na srebrnych tacach przez kelnerów, goście rozsiedli się przy okrągłych stołach ustawionych na parterze Chapel Bluff. Zwisały z nich białe obrusy, zaś wysokie i smukłe świece w rym samym kolorze wystrzeliwały w górę wśród dekoracji kwiatowych, rzucając romantyczną poświatę. Elegancko ubrani kelnerzy i kelnerki dyskretnie krążyli wśród gości, donosząc kolejne ekstrawaganckie dania. Był to pierwszy ślub w tych starych murach od niemal kilkudziesięciu lat i ci, którzy dobrze znali Chapel Bluff, wyczuwali zadowolenie Wielkiej Damy.

Velmę i Morty'ego przyłapano, jak pod stołem trzymali się za ręce, a raz nawet - na pełnym czułości całusie. Beverly upajała się swoją rolą gospodyni - jej niebieskie oczy błyszczały, uśmiech nie znikał z twarzy, a dom i jej serce były pełne ludzi. Mama Matta spędziła cały wieczór na przemian ocierając łzy i promieniejąc ze szczęścia, uświadomiwszy sobie, że każda chwila, jakiej jest świadkiem, to po prostu cud. Bóg usłyszał i hojnie odpowiedział na jej najgorętsze modlitwy.

Odpowiedział również na modlitwę Kate. To był już koniec czekania na *tego jedyne*. Ukochany wreszcie się zjawił. I był wart czekania. Najchętniej rozplakałaby się z radości, wdzięczności i zachwytu, ale była zbyt zajęta wybuchami śmiechu i próbami zapamiętania każdego szczegółu tego wieczoru na zawsze.

Jeśli chodzi o Matta, nie mógł powiedzieć, że Kate była odpowiedzią na jego modlitwy. Jeszcze do niedawna znajdował się za daleko od Boga, oziębły i zbyt porażony cierpieniem, żeby nawet rozważyć taką możliwość.

Kate była niewątpliwie ogromną niespodzianką. Czymś nieoczekiwanym. *Skarbem*. Najlepszym, co mogło mu się przytrafić. Była odpowiedzią Boga na modlitwę, której nigdy nie wypowiedział.

Kiedy siedział obok niej przy weselnym stole - rozmawiając, ściskając jej dłoń, całując, uśmiechając się - ogarnęło go uczucie tak silne, że aż ścisnęło go za gardło i odebrało głos. Uczucie wszechogarniające.

To była miłość do niej. Głęboka, gorąca i prawdziwa.

To była miłość.

Zesłana z nieba.

Idealna.

Temu zaś, który mocą działającą w nas może uczynić nieskończenie więcej niż to, o co my prosimy czy rozumiemy, Jemu chwała.

List do Efezjan **3,20-21**